

MAREK HARNY

URODZONY Z WIATRU

Copyright © Marek Lubaś-Harny, 2003
Copyright © Prószyński i S-ka SA, Warszawa, 2003
Projekt okładki R.S.R.
Fotografia na okładce Adrian Fichmann
Redakcja Jan Koźbiel
Redakcja techniczna Małgorzata Kobuz
Korekta Bogusława Jędrasik
Łamanie Małgorzata Wnuk
ISBN 83-7337-294-6
Warszawa 2003
Wydawca
Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
Druk i oprawa
Drukarnia Naukowo-Techniczna Spółka Akcyjna
03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

Wandzie, która nie zwątpiła

Wychodziłem już z redakcji, kiedy któraś z dziewczyn wybiegła za mną. Przechylając się przez barierkę schodów, zawołała:

- Wracaj! Masz telefon z Nowego Jorku.

- Mnie już nie ma - odpowiedziałem przez ramię, ale w następnej chwili zatrzymałem się. - Z Nowego Jorku? A kto dzwoni?

- Jakaś pani Nadir, czy coś takiego. Nic mi to nie mówiło, ale było intrygujące. Wróciłem.

- Mówi PaulaYadir - usłyszałem w słuchawce po polsku. - To ty?

- Tak, to ja. A pani to, kto?

Po tamtej stronie rozległ się krótki, nerwowy śmiech.

- Kiedyś nazywałam się Paulina Rajska. Pamiętasz jeszcze taką?

Chryste, czy pamiętałem Paulę Rajska? Szczerze mówiąc, kiedyś zrobiłem wiele, żeby zapomnieć o mej raz na zawsze. I o wszystkim, co miało z nią jakiś związek. Prawie mi się udało. Od dawna nie po myślałem nawet przez chwilę ani o niej, ani o Andrzeju Kurniawie, ani o tym, co wydarzyło się latem 1971 roku w Nowym Targu. Ale te raz wszystko wróciło. Jakby nagle znów zaczął kręcić się dawno za trzymany film. Powiedziała, że za parę dni przylatuje do Krakowa, więc musimy spotkać się i pogadać, bo ma dla mnie wiadomości. - Od Andrzeja?

Nie udało mi się ukryć emocji. W słuchawce zapadła krótka cisza.

- To nie wiesz, że Andrzej Kurniawa nie żyje?

Nie wiedziałem. Nawet tego nie wiedziałem. Ale w tej chwili byłem już pewny, że muszę odłożyć na bok wszystkie plany i spotkać się z Paulą Rajska. Choć chyba wolałbym, żeby nie zadzwoniła. Może nie dowiedziałbym się o jej przyjeździe i mógłbym da lej nie pamiętać. A teraz już nic nie mogło uchronić mnie przed powrotem do tej dawno pogrzebanej historii.

1

Nieznajomy pojawił się podczas wielkiego wiatru, który na początku września 1971 roku wiał przez kilka dni. Andrzej Kurniawa kończył właśnie dwadzieścia pięć lat. Ale ci, którzy liczyli, że z te go powodu urządzi większą imprezę, zawiedli się. Matka Andrzeja zmarła na wiosnę i nie miał, kto przypominać mu o rodzinnych uroczystościach. On sam najwyraźniej wolał o nich nie pamiętać. Mieszkał teraz samotnie w dwóch pokojach, których okna wychodziły na rynek. Od jakiegoś czasu nie był w towarzyskim nastroju. Oddalił się od dawnych kolegów, zrobił się dziwny.

Kiedy obcy wtargnął w jego życie, było wczesne popołudnie, gorące i duszne. Wiatr spadał z gór na miasto nagłymi podmuchami, miotając po rynku liście, które nie zdążyły nawet pozółknąć. Jarzębiny na skwerze były już prawie nagie i tylko kiście czerwonych jagód wciąż trzymały się mocno.

Andrzej był w drodze na wieś. Umówił się z pewnym człowiekiem; któremu miał dostarczyć swoją furgonetka lewy towar. Przejeżdżając właśnie przez rynek,

pomyślał, że dobrze byłoby wpaść na chwilę do domu i napić się czegoś zimnego. Zaparkował przed bramą i wyskoczył z szoferki. Wtedy go zobaczył.

W tamtych czasach na rynku w Nowym Targu zatrzymywały się dalekobieżne autokary. Przybysz musiał przyjechać jednym z nich. Stał, nie ruszał się i tylko patrzył. Jego oczu nie było widać, zasłaniały je duże ciemne okulary. Jakby wyskoczył z filmu o gangsterach. Od razu było widać, że przyjechał z Ameryki. Wyglądał jak przebrany. Oni wszyscy stamtąd wyglądali jak przebrani. Ten przynajmniej nie miał na głowie kowbojskiego kapelusza. Ale i te okulary wystarczyły.

Zaskoczony Andrzej zatrzymał się na środku jezdni i też za gapił się na obcego. To był człowiek z jego snu. Stał naprzeciwko żywy, z rozwianymi na wietrze włosami. Wyjął papierośnicę i próbował zapalić papierosa, osłaniając dłońmi płomień zapalniczki. Podmuchy wiatru były jednak zbyt mocne i nic z tego nie wyszło. Powoli ruszył alejką przez skwer, nie wypuszczając z ust niezapalonego papierosa. Ręce wsunął w kieszenie spodni i szedł prosto na Andrzeja, który pomyślał, że widocznie przyszła chwila dowiedzieć się, co właściwie ten facet robił w jego śnie.

Ale obcy minął go obojętnie. Na chodniku zatrzymał się znowu, jakby nie mógł się zdecydować, czy wejść do bramy. Mógł mieć koło pięćdziesiątki, może trochę więcej, ale trzymał się po amerykańsku. Trochę niższy od Andrzeja, suchy i żylasty, bez śladu brzucha. Dwa guziki amerykańskiej koszuli były rozpięte i w wycięciu widać było siwiejące włosy na piersiach. Twarz miał opaloną, a na niej tę pewność siebie, którą oni wszyscy pokazywali, przyjeżdżając do Starego Kraju. Dla nich Polska była wtedy tylko rosyjską kolonią. Ten z pewnością nie był wyjątkiem, bo niby, dlaczego.

Wreszcie nieznajomy zdecydował się. Kilka minut później Andrzej wychylił się przez okno w kuchni, wychodzące na podwórko i zobaczył go znowu. Chwilę obserwował obcego z góry, popijając powoli zimną kryniczankę. Przybysz usiadł na pniaku do rąbania drewna, obok komórki, w której sąsiadka Chowańcowa trzymała króliki. Udało mu się już zapalić papierosa. Andrzej po myślał, że siedzi i pali, jakby był u siebie.

W tej chwili ogarnęła go trudna do wytłumaczenia złość. Nieznajomy przypomniał mu sny, o których po śmierci matki prawie już zdołał zapomnieć. Pojawiły się, kiedy było już wiadomo, że matka nie wyjdzie z choroby. Właśnie wtedy przyszedł ten list z Ameryki, a potem drugi i następne. Żadnego z nich nie pokazała nikomu, a tajemnicę ich treści zabrała ze sobą do grobu. Pod koniec poddała się chorobie. Całkiem przestała się oszczędzać. Paliła coraz więcej papierosów i zaczęła nawet znów popijać, co dla niej było samobójstwem. Jakby przestało jej zależeć i tylko chciała mieć to już za sobą.

W snach Andrzeja matka wyciągała ręce przed siebie, jakby się przed czymś broniła. Ten w ciemnych okularach, który teraz siedział na podwórku, podchodził do niej. Nic nie mówił, tylko szedł powoli, a ona powtarzała: „Zostaw mnie! Zostaw mnie!”, i cofała się w stronę okna. Kiedy już miała przez nie wypaść, Andrzej się

budził. Śniło mu się to kilka razy, zanim umarła. I jeszcze raz po jej śmierci. Potem przestało.

Nagle pomyślał, że widocznie coś niedobrego zaczyna się dziać z jego głową, jeśli spotyka na jawie postaci ze snów. I jeśli w dodatku w to wierzy. Pocieszył się, że to pewnie z tego upału i wiatru. I może także z tego, że życie, jakie prowadził, tak bardzo go męczyło. Postanowił wziąć się za siebie, a na początek nie zawracać sobie głowy jakimś obcym. Bo co on mógł go obchodzić.

Ale kiedy zbiegł na dół, tamten czekał na niego w bramie. I nagle spytał:

- Pan nie wie, kto wynajmuje pokoje tutaj?

Andrzej Kurniawa miał się później nieraz zastanawiać, co by było, gdyby powiedział, że w tej kamienicy nie ma żadnych po koi do wynajęcia. Ale odruchowo rzucił przez ramię:- Ja mogę wynająć.

Zanim zdążył się zastanowić, co zrobił, nieznajomy odpowie dział:

- O, to ładnie ze strony pana.

Już nie chciało mu się wszystkiego odwoływać. Przy tej pogodzie byłoby to zbyt męczące. Zaprowadził obcego na górę, pokazał mu pokój i dał klucze.

- Thanks - usłyszał za sobą, kiedy już zbiegał po schodach. I teraz naprawdę pożałował, że go tak głupio podkusiło.

Andrzej nie lubił tych z Ameryki. Ostatnio w ogóle mało, kogo lubił. Miał swoje powody, żeby nie przepadać za ludźmi. Ci z Ameryki działali mu dodatkowo na nerwy, bo nie dość, że mieli tyle forsy, to jeszcze dawali odczuć, że kto jej nie ma, jest śmieciem. A najbardziej go chyba złościło, że musiał z nimi kombinować, wchodzić w jakieś podejrzanе interesy. Tylko że z dwojga złego wolał to, niż brać pieniądze od ojczyzna.

Tego dnia wybierał się z lewym towarem właśnie do jednego z tych, których serdecznie nie znosił. Klient nazywał się Franek Mrugała i mieszkał daleko w głębi doliny, prawie pod Turbaczem. Niedawno wrócił po paru latach ze Stanów i budował się. Był to wieśniak prymitywny, ale z Ameryki przywiózł dużo dolarów, co mu dawało powód, żeby Andrzeja traktować z góry. A przy tym wciąż się przechwalał, jak to kiedyś razem z jego starym wojował z komuną u Ognia. I jedno, i drugie bardzo Andrzeja wkurzało. Mimo to woził mu jakieś rurki i kafelki, ukradzione z budowy nowego osiedla domków jednorodzinnych, które w mieście nazywano Złodziejówką.

Tego dnia jechał do Mrugały z jeszcze większą niż zazwyczaj niechęcią. Chciał mieć tę wizytę jak najszybciej za sobą i śpieszył się z rozładunkiem. A Mrugała marudził, Choć Andrzej zawsze wywiązywał się solidnie z umów, góral był nieufny, jak za każdym razem. Dreptał naokoło i sam wszystko dokładnie sprawdzał. Patrząc na niego, rozumiało się, dlaczego kiedyś, w partyzantce, Ogień nadał mu pseudonim Śmiech. Był niewysoki, krępy i nienaturalnie ruchliwy. Zamiast normalnie chodzić, co chwila podbiegał, poruszając ramionami, jakby naśladował boksera w ringu. Miał na sobie o wiele za duże ubranie, a na głowie, mimo gorąca, włóczkową czapkę z pomponem. Spadała mu prawie na oczy, a duże, zwisające wąsy zdawały się wyrastać tuż pod nią. Wciąż poprawiał tę czapkę okrągłymi ruchami dłoni, jakby

polerował sobie czaszkę. Robił przy tym miny skończonego debila. Ale Andrzej wiedział, że pod maską głupka krył się wyrachowany cwaniak, który tylko patrzył, jak wykiwać partnera.

W końcu góral uznał, że może być zadowolony z dostawy. Otrzeptał ręce i zaproponował:

- No, to, co? Po kielichu, panie pan?

Taki miał sposób zwracania się do ludzi, z którymi nie był po imieniu, a których nie uważał za naprawdę godnych szacunku. Andrzej chętnie by się napił, ale miał swoje zasady. Po pierwsze, nie pił za kółkiem. Po drugie, nie pił z byle, kim. A już zwłaszcza z kimś takim. Odmówił, więc, co bardzo nie spodobało się Mrugale.

- Chyba nie gardzicie prostym góralem, co, panie pan? - spytał, jakby w ten sposób chciał podwójnie dać do zrozumienia, kto tu jest prawdziwym panem.

Andrzej musiał zdusić złość w sobie.

- Panie Mrugała, pan wie, że muszę uważać, nie? Pan wie, że mam na pieńku z milicją. I pan wie, dlaczego.

- Bez urazy, bez urazy - wycofał się góral. - Przecież was znam. Tatusz zginął za Polskę bez komunistów, to i syn nie będzie gorszy, nie? Chwali się, panie pan. Tylko tak dalej, to w końcu czerwonych szlag trafi.

I klepnął go w plecy. Andrzej najchętniej odwinąłby, aż tam temu spadłaby czapka z pomponem. Ale ścierpiał! Mrugała jeszcze nie zapłacił. Poza tym były widoki, że i w przyszłości da za robić.

- Nie to nie, będzie okazja drugim razem - zgodził się Franek. - Pasowałyby się razem napić za pamięć tatusia. No, mamusi też. Też była prawdziwa bohaterka, a jak! Dawało się w dupę, komu nie. - Uśmiechnął się zwycięsko, jakby w tamtych czasach był samym Ogniem, a nie zwykłym chłopkiem, który oddał swoją chałupę na punkt kontaktowy, bo gdyby odmówił, zarobiłby kulę w łeb.

Tym razem przytrzymał dłużej dłoń na ramieniu Andrzeja, a ten aż zeszytniał. Nawet nie, dlatego, że taki ktoś go poklepywał. To było wliczone w koszty. Ale nie znosił, kiedy wspominało się o bohaterstwie jego rodziców. Przez to bohaterstwo nigdy nie miał ich dla siebie. W dodatku Mrugała miał jakiś niejasny związek z aresztowaniem Wiktorii Kossakowskiej, matki Andrzeja. To właśnie w jego chałupie bezpieka urządziła kocioł, w który wpadł kurier, młody głupek z liceum. Znaleźli przy nim tajne plany operacji przeciw oddziałom Ognia i jeszcze bardziej tajną listę członków PPR z Nowego Targu, których Ogień przeznaczył do rozwałki. Chłopaczek miał głowę pełną heroicznych marzeń, ale wystarczyło, że posadzili go tylko na parę minut gołym tyłkiem na nodze od taboretu, a wyśpiewał wszystko, co wiedział. Przede wszystkim, od kogo dostał papiery. Czy Mrugała też zdradził, nie wiadomo. W każdym razie wsypa zaczęła się od niego. A teraz odstawał nie tylko bohatera, ale i wielkie panisko, ze swoimi dolarami, które gdzieś tam, w jakimś Chicago, zarobił na szorowaniu kibli.

- Panie Mrugała - powiedział Andrzej, hamując się resztką sił. - Trochę mi się śpieszy. Franek z łaskawym uśmiechem sięgnął do kieszeni workowa tych spodni, które krok miały prawie na wysokości kolan. Andrzej spodziewał się, że góral zechce

go naciągnąć. I nie pomylił się. Właśnie po to były te zaproszenia na kielicha i gadki o rodzicach.

- Chyba umawialiśmy się trochę inaczej? Ten towar jest kradziony - przypomniał. - Za wyrzuty sumienia też się coś należy.

- Kradziony? U kogo? U komuny? U tych czerwonych złodziei? Ukraść złodziejowi nie grzech. Z tego nie trzeba się spowiadać.

- Panie Mrugała, jak będę chciał posłuchać myśli Lenina, to się zapiszę na wieczorową szkołę aktywu. Od pana chcę pieniędzy.

Góral przez chwilę się zastanawiał, czy nie powinien się obrazić, ale do końca budowy było daleko i w końcu postanowił uznać wszystko za żart.

- Aleście wygadani, panie pan. No, dobra, niech będzie moja strata, dołożę, bo was lubię. Ale to, co robicie, to tylko Panu Bogu na chwałę. Może się przez to ta francowata komuna prędzej rozwali. Przecież też jej nie kochacie, co, panie pan?

Uśmiechał się protekcyjnie, zadowolony z siebie, mieszając w kieszeni i wyciągając z niej drugą garść wymiętych banknotów. Andrzej na szczęście umiał sobie powiedzieć, że nie może zwracać uwagi na takich jak Mrugała i ich gadanie. Musiał jakoś kombinować, jakoś sobie radzić. Potrafił zdobyć się na wiele, żeby nie być na łasce ojczyzna. Wziął swoją dolę i szybko pożegnał się z Mrugała. Musiał się uspokoić. Wracał naokoło, wąskimi i krętymi drogami pełnymi dziur. Na tych pagórkach dla jego żuka dziewięćdziesiątka była prędkością morderczą. Ale tego dnia nawet wariacka jazda nie zdołała mu pomóc. Mógł sobie wmawiać, że to halny wytrąca go z równowagi. Wcale nie był taki wrażliwy na pogodę. To nie wiatr, tylko Paula Rajska. Grała mu na nerwach już któryś dzień z kolei. Wyglądało na to, że między nimi psuje się na dobre. Kiedy przed południem zadzwonił do niej z trasy, żeby umówić się na wieczór, wykręciła się sesją poprawkową. Nie uwierzył, że musi siedzieć dzień i noc, wkuwając naukowy komunizm. Mogła wmawiać, komu innemu, że całą dobę chce spędzić tylko z Marksem i Leninem. Raczej chodziło o to, że było jej coraz bardziej nie po drodze z kierowcą z Samopomocy Chłopskiej, kombinującym na lewych kursach. Był tego świadomy i czuł coraz bardziej dławiący żal do świata. Ostatnio trzymał się jako tako wyłącznie dzięki Paulinie.

Dopiero teraz sam się przekonywał, jak bardzo załamało go wyrzucenie ze studiów w marcu 1968 roku. Kiedyś miał takie wielkie plany. Naprawdę przejmował się nauką. Jakby chciał w ten sposób oderwać się od Nowego Targu, od swojej rodziny i jej ponurej przeszłości. No i jeszcze wtedy wierzył, że ten kraj da się naprawić. Właśnie, dlatego postanowił studiować prawo. A teraz sam musiał bawić się w gówniane kombinacje. Nagle stracił wszystko. I to tak głupio.

Nigdy wcześniej nie pchał się do polityki. Nie interesowała go. Tylko po prostu szlag go trafił, kiedy kierownikiem katedry został pułkownik docent Pollak-Schumacher, zwany Szumaśkiem, który przed laty zyskał ponurą sławę jako sędziego Wojskowego Sądu Rejonowego w Krakowie. Później partia skierowała go do pracy naukowej, ale teoretykiem prawa okazał się tak marnym, że nawet zasługi w utrwalaniu władzy ludowej nie pomogły mu się wybić. Dopiero w marcu doczekał się nagrody, krzycząc przeciw Żydom głośniej niż inni docenci. I to zrobiło z

Andrzeja opozycjonistę. Bo wiosną 1947 roku właśnie Pollak-Schumacher przewodniczył składowi sędziowskiemu w procesie jego matki. I był bardzo gorliwy. Wiktoria Kossakowska dostała o trzy lata więcej, niż zażądał prokurator. Szumasiek był znany z tego, że lubił przyłożyć. Kiedy partii zależało, żeby zapadły wyroki śmierci, powoływano go do składu. Z największą przyjemnością dawał czapy, kiedy oskarżonymi o wrogą działalność byli studenci. Raz nawet posłał na szubienicę dwóch harcerzy z liceum. Dla Andrzeja nominacja Pollaka-Schumachera była, więc obelgą. Nie mógł tego po prostu tak zostawić. Towarzysze z patrolu robotniczego złapali go w chwili, kiedy na murze Collegium Iuridicum przy Grodzkiej kończył malować napis: „Choć ma skórę na kutasie, większym katem był Szumasiek”. Sens tej rymowanki był wtedy dla wszystkich zrozumiały, świeżo po przemówieniu Gomułki, w kółko powtarzanym przez radio. Pierwszy sekretarz już otwarcie szczuł naród na Żydów, a posłużył się do tego przykładem byłego ubeka nazwiskiem Józef Światło, który uciekł na Zachód i przez mikrofony Wolnej Europy pluł na komunę w audycji „Za kulisami bezpieki i partii”. Gomułka krzyczał, że ten zdrajca Światło to największy kat narodu polskiego, a jego prawdziwe nazwisko jest Izaak jakiś tam. Na nieszczęście Andrzej pamiętał o tym, o czym inni woleli zapomnieć, że Światło tylko łapał, skazywał Pollak-Schumacher. Tak czy inaczej, kretyński wierszyk miał jedną zasadniczą wadę. Był za długi i Andrzej dał się zaskoczyć.

Wciąż za to płacił i za każdym razem, kiedy sobie o tym przy pomniał, wpadał w dołek. Kłopoty z Paulina też były w jakiś sposób skutkiem tamtego głupstwa i teraz, kiedy zjeżdżał ostro w dół wąską, dziurawą szosą, na moment znów zrobiło mu się wszystko jedno. Przeszawił dźwignię biegów na luz i nie reagował, kiedy żuk, klekocąc i podskakując na wybojach, rozpędzał się coraz bardziej. Jakby to było w kinie, a on siedział na widowni i chciał zobaczyć, co będzie dalej. Opamiętał się w ostatniej chwili. Nadepnął na hamulec, a kierownica o mało nie wyskoczyła mu z rąk. Ledwo nad nią zapanował. Skreślił w polną drogę na skraju łąk opadających ku rzece. Zatrzymał furgonetkę, przeskoczył przez rów i rzucił się na ziemię, że by ochłonać. Ale w trawie też nie znalazł ulgi. Na odwrót. Koniec tego lata w górach był niezwykły. Nagrzane powietrze w kotlinie działało jak narkotyk. Kiedy wiatr uspokajał się na chwilę, z łąk buchał gorący, duszny od woni usychających roślin. Jakby przed śmiercią chciały jeszcze ostatni raz zapachnąć z całej siły. Tylko co Andrzej z tego miał? Nie mógł uwolnić się od natrętnej myśli, jak dobrze byłoby tu leżeć z Paulina. I mało od tego nie oszalał.

A do tego wszystkiego przypomniał sobie, że nawet wieczorem nie będzie miał spokoju. W domu czekał na niego obcy, którego sam wpuścił pod swój dach.

2

Odstawił żuka do bazy, ale nie miał ochoty wracać do domu. Jak prawie co wieczór wstąpił do Podhalanki. W tamtych latach była to dość możliwa knajpa, w stylu niby to regionalnym, z drewnianymi zydlami i stołami z grubych desek. Dopiero później miała zmienić się w skończoną mordownię. Andrzej wolał ją od

innych lokali, bo zawsze było tu lane piwo i często trafiały się panienki, które nie robiły wielkich ceregieli. Odkąd zaczął poważnie kręcić z Paulina Rajska, już go nie interesowały, ale przyzwyczajenie zostało.

W szatni siedziała starsza pani Bukowska i jak codziennie robiła na drutach skarpetę alpinistyczną. Była jak pomnik. Przed wojną i za Niemców, aż do końca okupacji, miała tu własną restaurację. Kiedy na lokalu położyli łapę komuniści, wołała zostać babką klozetową niż odejść. Siedziała i robiła te skarpety, odkąd Andrzej pamiętał. Wszystko było niby jak zawsze, a jednak uderzyło go coś dziwnego. Minęła chwila, zanim zorientował się, że to wrażenie wywołuje muzyka z szafy grającej. Z automatu wydobywały się zniekształcone przez marne głośniki dźwięki, w których rozpoznał ze zdziwieniem „Biały krzyż” Czerwonych Gitar, piosenkę niby to partyzancką, napisaną na jakąś patriotyczną rocznicę. Nawet nie przypuszczał, że jest w maszynie taka płyta. W każdym razie w Podhalance nigdy wcześniej jej nie słyszał.

- Piweczko? - spytał kelner Staszek, z powodu swej przeszłości zwany Krwawym Staszkiem, zamiatając stolik ścierką, jakby odpędzał muchy.

Zbliżał się do sześćdziesiątki i dawno minęły czasy, kiedy można było go nazwać mężczyzną potężnie zbudowanym. Teraz przypominał bryłę mięsa niemal pozbawioną szyi. Chorował na kręgosłup i kiedy chciał odwrócić głowę, obracał się cały od pasa w górę. Przed laty był śledczym w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa. Ludzie cuda mówili, czego to nie miał na sumieniu. Mimo to już jakby o tym zapomnieli. Nawet nieraz stawiali mu wódkę. Kiedy podawał Andrzejowi kufel, jego wzrok uciekł na drugi koniec sali, jakby coś go tam ściągnęło bez jego woli. Dziwne były teraz oczy Krwawego Staszka - jakby równocześnie zdumione i wystraszone. Andrzej obejrzał się przez ramię i zobaczył tego z Ameryki. Obcy siedział we wnęce nad kieliszkiem wódki i butelką mineralnej. W jego okularach odbijały się żarówki.

- Wiesz pan? Jaki bandzior? - wyrwało się Staszekowi jakby niechcący.

Nazywał bandziorem każdego, kto mu się nie spodobał. To mu zostało z czasów, kiedy utrzymywał władzę ludową na Podhalu. Były to najlepsze lata jego pięknej młodości: trzymał w łapie nagan zamiast kelnerskiej ściereczki. Mało, kto potrafił zrozumieć, jak Andrzej mógł zadawać się z kimś takim, normalnie z nim rozmawiać, żartować, podawać mu rękę. Zdawało się, że w ten sposób zdradzał pamięć swoich rodziców.

- Jaki tam bandzior - zaśmiał się Andrzej nieszczerze. - Zwykły Amerykan. Przebrany. Krwawy Staszek pokręcił głową.

- Nie taki zwykły - powiedział z dziwnym przekonaniem. - Wcale nie. - A potem, jakby nagle poczuł nieprzewyciężoną chęć zwierzenia się, pociągnął: - Posłuchaj pan tylko, panie Andrzeju. Zaraz, jak wszedł, woła mnie, pokazuje na grajszafę i pyta, ile się wrzuca. To ja mówię, że dwa złote, a on, żebym mu dał dziesięć dwuzłotówek i wpycha mi pięć dolców. Normalnie mnie zatkało, panie Andrzeju i mówię: goł tu bank, czendź monej, mister, z tego wszystkiego gadam do niego po amerykańsku, choć on do mnie po naszemu, jakby całe życie przeżył na

Zaskalu. I wiesz pan, co mi odpowiedział, panie Andrzeju? Nie bądź głupi, chłopcze, bierz, póki możesz. Per chłopcze do mnie, burżuj zasrany.

To fakt, trzeba było mieć dużo poczucia humoru, żeby Krwawego Staszka z jego byczym karkiem i sylwetką mistrza rzeźnickiego nazwać chłopcem.

- I co, nie wziął pan?

- Panie Andrzeju, w tym fachu jest taka zasada, że się bierze. Jak się już zostało tym lokajem, to trzeba brać. Ale jakby to było kiedyś, to byśmy inaczej pogadali.

Oczy mu się zapaliły, dłoń zacisnęła jakby na kolbie pistoletu.

- Więc co, ta muzyczka to jego pomysł? - spytał Andrzej.

- No, chyba mówię. Apel poległych sobie w knajpie urządził. Z grającej szafy po raz kolejny rozległ się głos Krzysztofa Klenczona:

Gdy zapłonął nagle świat,

bezdrożami szli

przez pusty la-a-as...

- I tak w kółko. - Krwawy Staszek aż się gotował, jakby to było nie wiadomo, jakie wykroczenie przeciw porządkowi publicznemu. - Z nikim się nie liczy. Trzeba mieć tupet, co? Ale to jeszcze nie wszystko, panie Andrzeju. Słuchaj pan, co było dalej. Za chwilę znów kiwa na mnie. Myślałem, że mu chodzi o drugą wódkę, ale on pyta: Ładna piosenka, co? Ale nie tak normalnie, tylko jakby szukał zaczepki. Nie wiem, o co gościowi chodzi, więc mówię: Już niemodna, mister. A on: Dla pana też już niemodna, panie sierżancie? Przedtem per chłopcze do mnie, teraz sierżancie, co jest? Więc mówię: Czy my się znamy, bo ja sobie nie przy pominam. A on: Ale Jakubka Zuckerberga to pan sobie chyba przypomina, co? Jakby mnie szlag trafił, panie Andrzeju.

- Jakubka? Zuckerberga? - spytał Andrzej zdziwiony.

- No, Jakubka, Zuckerberga. To przecież był synek tych Żydów, co mieli tę kamienicę w rynku, no tę, co pan teraz mieszka. Dziadek panu nie opowiadał? No tak, was, młodych, to już nie obchodzi. I może słusznie, panie Andrzeju, może słusznie. No, więc, ja w pierwszej chwili jak głupi, stoję i myślę, co, w mordę, Jakubek zmartwychwstał czy co? Patrę na niego, ale on nawet w tych okularach bandziorskich wcale Żyda nie przypomina. No, niech pan sam powie.

- Panie Staszku, ja naprawdę nie umiem odróżnić Żyda od nie-Żyda, słowo panu daję. - Ale ja umiem. I panu ręczę, że to nie jest Żyd. Więc co, myślę, w mordę. A on, jakby mi chciał pomóc: No, nie pamięta pan? W maju, pod Obłazową. Kwitły kaczeńce. No, już pan pamięta, już pan pamięta? Tak pytał, jakby jakiś prokurator.

W oczach Krwawego Staszka pojawiło się coś dziwnego, czego Andrzej nigdy wcześniej nie dostrzegał. Trochę może i strach, ale przede wszystkim jakby żal i złość, i zawód, że nagle wypłynęło na wierzch coś, o czym już myślał, że utopione na amen. Jego szept ochrypl:

- Poeta zasrany, kaczeńce mu się przypomniały. On wie, że ja tam byłem. Ale to znaczy, że on też był. Bo inaczej skąd by wiedział, że w tym rowie, gdzie oni leżeli, naprawdę kwitły kaczeńce?

- Kto leżał?

- No, Żydzi, panie Andrzeju, Żydzi. Zabici Żydzi.

O Boże, pomyślał Andrzej, znów się zaczyna. Jakże mu to wszystko obmierzło, cmentarze, salwy honorowe, białe krzyże. I ci ludzie, dla których czas się zatrzymał ćwierć wieku wcześniej.

- Kiedy to było - powiedział. - W innej epoce geologicznej.

- Dla pana w innej epoce, panie Andrzeju. A dla takich jak ja i on to jakby wczoraj. Amerykanin podniósł się, podszedł do grającej szafy i wrzucił w szparę kolejną monetę. Wszyscy jeszcze raz usłyszeli:

W szczerym polu biały krzyż

nie pamięta już

Kto pod nim śpi...

Andrzej znów się obejrzał, choć wcale tego nie chciał. Pomyślał, że Amerykanin wysyłał chyba jakieś promienie czy co, że po prostu nie można się było opanować. Głowa sama się odwracała. Widać to było najlepiej po Krwawym Staszku. Pocił się, a to je go ciężkie ciało skręcało się w tamtą stronę, mimo że starał się z całych sił je opanować. Aż zdawało się, że słycać, jak trzeszczą kręgi w tym jego karku.

- A pan to, co właściwie robił przy tym rowie z kaczeńcami? - spytał Andrzej. Krwawy Staszek ocknął się. - Ja? No jak to, co? Jechaliśmy tym Żydom na ratunek. Był cynk, że mają być napadnięci. Ale za późno dojechaliśmy. Wszyscy już leżeli w tym rowie. A naokoło pełno piór z porozpruwanych poduszek.

Znów zapatrzył się przed siebie, jakby miał w oczach tę scenę sprzed lat. Andrzej niemal słyszał coraz szybsze bicie własnego serca. Bronił się przed tą myślą, ale ona nie dawała się odpędzić. Bał się, że jeśli od nowa zacznie się nad tym zastanawiać, zwariuje. Wszystkie dostępne źródła podawały, że nigdy nie znaleziono żywych świadków napadu na Żydów pod Oblazową. A tu tymczasem Krwawy Staszek, zwykły kelner z Podhalanki, mógł znać prawdę. Nigdy wcześniej nawet o tym nie wspominał. Andrzej był pewny, że to pojawienie się obcego sprowokowało dawnego ubeka do zwierzeń.

- To pan pewnie także wie, kto ich pozabijał? - spytał przez ściśnięte gardło.

- Pan się pyta? Banda.

- Ale dokładnie. Jaka banda?

Krwawy Staszek wzruszył ramionami.

- No, banda - burknął niechętnie. - Panu chyba nie muszę tłumaczyć.

Oczywiście, że nie musiał. Nad pograniczem w okolicach Oblazowej panował oddział dowodzony przez Wawrzyńca Kurniawę. Nawet, jeśli zapędzały się tam inne zbrojne grupy, nie działo się to bez jego wiedzy.

- Niech pan od razu powie, że banda Górala - odezwał się Andrzej zaczepnie.

- Tego nie powiem, bo nie wiem. Bez urazy, panie Andrzeju, w bandach też trafiali się przyzwoici ludzie. Takie były czasy.

Ale Andrzej nie słuchał go już. Jego uwagę przyciągnął znów obcy. Klenczon właśnie po raz kolejny kończył piosenkę:

Tylko w polu biały krzyż
nie pamięta ju-uż,
kto pod nim śpi-i-i...

W tej samej chwili Amerykanin podniósł kieliszek, jakby przepijał do Krwawego Staszka. Może Andrzej chciał widzieć więcej, niż było naprawdę. Przez to, że już kiedyś spotkał go we śnie. Ale Krwawy Staszek chyba też tak to zrozumiał.

- A to bandzior - szepnął ochryple. - Nie mówiłem? I popatrz pan, nikt nawet słowem nie piśnie.

Rzeczywiście, towarzystwo w Podhalance, choć nieźle już o tej porze podpite, siedziało cicho i słuchało.

- Co pan chce - powiedział Andrzej. - To Podhale, kraina partyzantów. Ale jak tak, to teraz my jemu zrobimy koncert życzeń. Zobaczymy, jak mu się spodoba nasza piosenka. Poszukał w kieszeni dwuzłotówki, wrzucił do szafy i nacisnął guzik przy „The Unknown Soldier” Doorsów. Sam wiedział, że nie było to ładne zagranie wobec miłośnika partyzanckich piosenek w tym kraju. Już w następnej chwili zrobiło mu się trochę głupio. Ale było za późno.

W środku zachrobotało i łzawe, słowiańskie zawodzenie Czerwonych Gitar zastąpił bełkotliwy, wibrujący Jim Morrison. Śpiewał o tym nieznanym żołnierzu, jakby mu ubliżał. Andrzej patrzył, czy Amerykanina ruszy. Ruszyło, i to od razu. Kiedy tylko zabrzmiały pierwsze takty, wargi mu się zacisnęły. No, w każdym razie nie był to jeden z tych ciemnych ćwoków, jakich zawsze było pełno w tej polskiej Ameryce, niemających pojęcia, kto to Jim Morrison. Musiał znać ten kawałek, od razu zrozumiał, że to prowokacja. Wstał znad niedopitej kryniczanki i podszedł do bufetu, do Krwawego Staszka. Szedł, jakby go miał rozdeptać. Ale tylko powiedział:

Ja chcę płacić.

Morrison śpiewał:

Nieznany żołnierzu,
wszystko skończone.
Skończone...

Teraz nie było mowy o gestach. Wyliczył Staszekowi należność, co do grosza i to w złotych. Potem powiedział, nie ze złością, ale jakby z żalem;

- Ci młodzi myślą, że oni wiedzą lepiej wszystko. Ale oni tego nie wiedzą, co my. Prawda, sierżancie, co? - A potem zwrócił się prosto do Andrzeja: - My możemy w domu porozmawiać o tym, jeśli chce pan.

Mówił po polsku prawie bez akcentu, choć trochę dziwnie. Odwrócił się, żeby odejść i prawie zderzył się z Bukowską. Nie zważając na swe chore nogi, aż wyszła z szatni, żeby mu się przyjrzeć. Patrzyła na niego, jakby chciała mu zajrzeć do duszy.

- Mój Boże - odezwała się, jak to ona. - To pan się pytał o biednego Jakubka Zuckerberga? I po co pan się o niego pytał?

- Lepiej się nie pytać, co, pani Bukowską?

- A czy my się znamy? - zdziwiła się, dokładnie tak samo, jak wcześniej Krwawy Staszek. - Bo ja jakoś nie pamiętam.

Aż się wspięła na palce, jakby mu chciała zajrzeć pod okulary.

- Nie pamiętać może też lepiej, mam rację? - powiedział i chciał ją ominąć. Ale ona zastąpiła mu drogę.

- Pan przecież tak bez powodu by nie pytał o Jakubka, prawda? Pan chce kusić diabła? - Zaraz diabła?

- Ja myślę, że pan dobrze wie, co pan mówi. Ten biedny Kubuś, takie miał szczęście, takie cudowne szczęście. Udało mu się Hitlera przeżyć. I po tym wszystkim, kiedy już myślał, że znów ma cały świat dla siebie, wtedy go śmierć dopadła. Ma pan rację, ja też myślę, że to okropne. Ale, po co wilka wywoływać z lasu po tylu latach? Jak to nigdy nie wiadomo, co komu przeznaczone.

- Pani Bukowską, przeznaczenie spóźnia się czasem, mam rację?

Starsza pani nagle zmieszana się, machnęła ręką.

- A tam, co pan gada? Ja nic z tego nie rozumiem.

- Pani rozumie, ja myślę. Przecież to pani własne słowa są. Te go pani też nie pamięta, co sama mówiła?

- Kiedy?

- Pani wie, kiedy.

Zostawił ją oniemiałą. Odszedł powoli, nie oglądając się za siebie, jak szeryf z filmu „W samo południe”, niedbający o to, czy ktoś nie strzeli mu w plecy.

Krwawy Staszek nie strzelił. Zawołał tylko:

- Gut najt, mister. Jest pan u nas zawsze mile widziany.

Obcy zniknął. Podhalankę wypełniał dym z papierosów i krzyk Morrisona:

It's all over!

Over!

Over!{Wszystko skończone! Skończone! Skończone! - The Doors „The Unknown Soldier”).

- A czy ja mam pamiętać wszystko, co mówiłam ćwierć wieku temu? - wzruszyła ramionami Bukowską, jakby chciała się usprawiedliwić. Potem zamruczała pod nosem: - Przeznaczenie, widzicie go. Że major Ogień nie lubił Żydów, to jeszcze się nie nazywa przeznaczenie.

- Jaki major - zezłościł się Staszek. - Kto mu dał majora? Zwykły bandzior i tyle. Bukowską popatrzyła na niego wyniośle:

- To, że nawet panu wolno mieć własne zdanie, panie Morek, jeszcze nie znaczy, że się pana ktoś o nie pyta.

Krwawy Staszek był mokry od potu. Kiedy starsza pani poszła z powrotem, robić swoją skarpetę, zapytał nieufnie:

- To pan go znasz, panie Andrzeju?

- A skąd. Wynająłem mu tylko pokój.

- Chyba się pan szaleju objadłeś. Takiego wpuścić do domu?

- Dobrze płaci. Dolarami.

- Dolary, dolary, wszyscy tylko tęsknią za tymi dolarami - mruknął Krwawy Staszek. - A niejedyn już się przez nie przejechał. Uważaj pan na niego, dobrze panu radzę. Myślisz pan, że to przypadek?

Andrzej odpowiedział pytaniem:

- A pan?

- Ja jestem tylko kelner. Kłaniam się hołocie i biorę za to napiwki. I chciałbym już tak doczekać do emerytury.

Po latach (wrzesień 2000)

Wieczorem po telefonie od Pauliny Rajskiej próbowałem pracować, pisać jakiś tekst na następny piątek. Szybko jednak dałem sobie z tym spokój. Myślami byłem całkiem gdzie indziej. W innej epoce. W innym życiu. Tak się złożyło, że siedziałem tego dnia sam w domu, więc wypłem w samotności trzy drinki i dopiero wtedy przystawiłem drabinę do pawlacza w przedpokoju. W najdalszym, zasnutym pajęczynami kącie stało nigdy nieruszone pudło, a w nim na samym dnie spoczywała tekturowa teczka ze starymi notatkami. Nie zaglądałem do nich ze dwadzieścia lat. Ale teraz, przed przyjazdem Pauli, nie mogłem się powstrzymać. Choć, Bóg mi świadkiem, starałem się.

Nie jest przyjemnie wspominać porażki. A spotkanie z Paulą musiało prowadzić do tego nieuchronnie. I wcale nie, dlatego, że przed laty nie udało mi się jej poderwać. Nie zdążyłem zakochać się w Pauli Rajskiej, więc to bolało najmniej. Nie chodziło o nią, tylko o niego. O Andrzeja Kurniawę.

Znaliśmy się jeszcze ze szkolnych czasów, kiedy obaj wspinaliśmy się w Tatrach. Ale wtedy to było tylko takie luźne koleżeństwo. Nasza bliższa przyjaźń zaczęła się w czasie egzaminów wstępnych na Uniwersytet Jagielloński w lipcu 1965 roku. Postanowiłem zdawać na historię, choć odradzali mi to najbliżsi i większość przyjaciół. Tłumaczyli mi, że w komunizmie nie ma historii, tylko manipulacja. I będę musiał albo kłamać, albo zostać bez pracy. Miałem dziewiętnaście lat i nie wierzyłem im. Przepętniała mnie pewność, że ze mną będzie inaczej. Znalazłem sobie cel. Zająć się starożytnym Rzymem i w ten sposób uciec od całego syfu historii najnowszej. Marzyły mi się zagraniczne stypendia, palmy, oliwki i ciepłe morza. Wiedziałem, rzecz jasna, że tacy cwaniacy byli już przede mną, a w końcu i tak wyładowali w podstawówkach i robili dzieciakom wodę z mózgow, nabierając coraz większej odrazy do samych siebie. Ale mnie miało się udać.

Na czas egzaminów zamieszkałem w Nowym Żaczku i tam zupełnie przypadkowo wpadłem w hallu na Andrzeja Kurniawę. Nie widzieliśmy się parę lat, ale obaj czuliśmy się trochę osamotnieni i wmeldowaliśmy się do jednego pokoju. Potem poszliśmy razem Pod Szóstkę. Była wtedy taka winiarnia przy Sławkowskiej, pod numerem szóstym. Lokal podły, z toaletą w podwórzu, ale podawano tam węgierskie, rumuńskie i bułgarskie wina po cenach hurtowych. Było, więc tanio, a w dodatku rodzaj serwowanych trunków zniechęcał lumpów, którzy kwasu nie pijali. Pod Szóstkę przychodzili studenci, asystenci z UJ i dziennikarze. Dość nam to wtedy imponowało.

Wspominaliśmy dawne czasy, jakieś górskie i narciarskie eskapady, kiedy coś mi się przypomnielo.

- Słuchaj - spytałem - czy Wawrzyniec Kurniawa to jakiś twój krewny?

Zdziwiłem się, bo Andrzej nagle zeszywniał. Nie potrafił tego ukryć. A przecież posiadanie kogoś takiego w rodzinie mogło być dla dorastającego chłopaka tylko powodem do dumy. O Wawrzyńcu Kurniawie, partyzancie zastrzelonym w Nowym Targu pewnej wrześnieowej nocy 1946 roku, dowiedziałem się z książki pułkownika Gniadosza „Beskidy w ogniu”, która ukazała się nie dawno. Wcześniej tego rodzaju lektury w ogóle mnie nie pociągały. Ale mój nauczyciel historii, kiedy dowiedział się, gdzie będę zdawał, złamał na chwilę swoje zasady i szepnął mi, żebym przejrzał też wspomnienia starych ubeków, bo na egzaminie mogą pytać o utrwalanie władzy ludowej. „Ale myśl swoje!” - upomniał mnie, jakby mimo wszystko miał mnie za głupka.

Pułkownik Gniadosz był przed laty kapitanem UB i dowodził likwidacją podziemia na Podhalu. Szczególnie zasłużył się dla komuny w walkach z Ogniem. Oczywiście, dla Gniadosza tacy jak Kurniawa byli bandytami. W książce znalazłem fotografię przystojniaka w rogatywce, z orlim nosem i jasnymi oczami. Podpis brzmiał: „Wawrzyniec Kurniawa ps. Góral, dowódca jednej z grup w bandzie Ognia. Zginął w niejasnych okolicznościach, za pewne w wyniku bandyckich porachunków”. Może nie brzmiało to pochlebnie, ale na ogół wszyscy wtedy mieli świadomość, kto to był pułkownik Gniadosz. I można się założyć, że większość czytelników tłumaczyła sobie jego słowa na odwrót. Tymczasem Andrzej odezwał się wręcz wrogo:

- A co cię to obchodzi?

Zrobiło mi się przykro. Chciałem przecież dać mu okazję, że by się pochwalił.

- Startuję na historię, nie pamiętasz? - próbowałem mu wy tłumaczyć. - Mam zamiar zająć się antykomunistycznym podziemiem. To będzie temat mojego życia.

Wymyśliłem to właśnie w tej chwili. Nigdy wcześniej nic podobnego nie przeszło mi nawet przez myśl. Ale teraz zacząłem wierzyć, że nigdy o niczym innym nie marzyłem. Tym bardziej dziwiłem się, że Andrzej przyglądał mi się znad kieliszka rumuńskiego wina z coraz większą niechęcią. Nagle wypalił:

- Wawrzek Kurniawa był moim ojcem. Spojrzałem na niego zdumiony.

- Jakim cudem? Przecież....

- Nie zgadzają ci się daty? A jednak. Nie zdążył mnie już zobaczyć, ale zdążył mnie jeszcze zrobić. I co? Zadowolony? Znalazłeś temat do swojej pracy magisterskiej? Opisz ładnie wszystkie jego zbrodnie, a karierę masz jak w banku. Możesz zostać drugim Alfredem Braunem.

Wtedy nazwisko tego zaprzędanego komunie historyka, dziś zupełnie zapomnianego, mówiło jeszcze wiele. Wciąż można było trafić na jego kłamliwe podręczniki, w których Katyń przedstawiał jako zbrodnię niemiecką, powstanie warszawskie jako faszystowską prowokację, a całą Armię Krajową jako bandę szpiegów kolaborujących z Niemcami. Ale nie obraziłem się. W jednej chwili zrozumiałem wrogość Andrzeja. I od razu wytłumaczyłem mu, że to nieporozumienie, że moim zamiarem jest zdemaskować kłamstwa, jakie

rozpowszechniają na temat Ognia i jego partyzantów reżimowi historycy. Patrzył na mnie jak na wariata.

- I co? Myślisz, że ci się uda? Przed chwilą myślałem, że jesteś po prostu skurwysynem, a teraz widzę, że masz narąbane w głowie. Dla czerwonych Józek Kuraś to wcielony diabeł. Nigdy nie pozwolą nikomu powiedzieć o nim nic innego.

Ale w miarę, jak ubywało wina, jego nieufność zaczęła mijać. Może nareszcie miał komu opowiedzieć o sprawach, które go od dawna męczyły. O swoim dzieciństwie spędzonym bez ojca i matki. Od razu wiele mi się rozjaśniło. Bo kiedy powiedział mi, że jest synem Wawrzyńca Kurniawy, zdumiałem się, że wcale nie wyglądał na górala. Choć jego uroda była rzeczywiście trochę wsiowa, mówił i zachowywał się jak inteligent od dziesięciu pokoleń. Po kilku następnych kieliszkach cała ta historia zaczęła wyglądać bardziej wiarygodnie.

Tylko ojciec Andrzeja pochodził z góralskiej rodziny. Matka, Wiktoria z Kossakowskich, była córką szanowanego przed wojną w Nowym Targu nauczyciela historii i łaciny, Romana Kossakowskiego. W czasie wojny trochę konspirowała, jak większość młodzieży. Po wyzwoleniu, kiedy na Podhalu Ogień zbuntował się przeciw nowej władzy, a wielu jej kolegów konspirowało nadal, tyle, że teraz przeciw komunistom, ona została sekretarką w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa. Wyglądało, więc na to, że zdradziła. Ale w tym samym czasie musiała utrzymywać dość bliskie kontakty z leśnym bandytą Góralcem, jeśli pozwoliła mu zrobić sobie dziecko. Wszystko to było bardzo skomplikowane. Andrzej urodził się kilka dni po śmierci swego ojca. Niedługo po porodzie, jeszcze w szpitalu, Wiktoria Kossakowska została aresztowana. Okazało się, że tajemnice bezpieczeństwa przekazywała do lasu. Za udział w spisku mającym na celu obalenie siłą ustroju państwa sąd wojskowy w Krakowie skazał ją na piętnaście lat. Przesiedziała w Rawiczu prawie dziesięć.

Kiedy dowiedziałem się o tym wszystkim, po prostu nie mogłem nie zaprzyjaźnić się z Andrzejem. Zawsze pociągali mnie ludzie, których życiorysy komponowały się w ciekawe opowieści. A historia Andrzeja była najbardziej niezwykła ze wszystkich, jakie znałem. I już naprawdę wierzyłem, że to temat mojego życia. Gadaliśmy aż do zamknięcia knajpy, a potem jeszcze długo w noc w pokoju w Nowym Żaczku. To znaczy on gadał, a ja starałem się wszystko notować w pamięci tak wiernie, jak tylko po zwało mi wypite wino.

Aż dziw, że nazajutrz nie oblaliśmy naszych egzaminów. Obaj musieliśmy być naprawdę zdolni. Zdaliśmy jako jedni z najlepszych i dostaliśmy się bez problemów na nasze wymarzone studia. Poczuliśmy się panami sytuacji. Dopiero teraz spiliśmy się jak koty Pod Szóstką. Już nie wspominaliśmy pieprzonej przeszłości. Tego dnia byliśmy pewni, że jeśli nawet nie podbijemy od razu całego świata, to Kraków i PRL na sto procent.

No i nie minęły trzy lata, a obaj byliśmy za burtą. Albo, jeśli ktoś woli, na śmietniku. A dokładnie w Ludowym Wojsku Polskim. Daliśmy się wyrolować. Polityczna zawierucha roku 1968 zastała nas zupełnie nieprzygotowanych. Niby wybraliśmy sobie do studiowania takie kierunki, że powinniśmy być lepiej

zorientowani, a byliśmy ślepi jak małe pieski. Oczywiście, w marcowych awanturach wzięliśmy udział z ochotą. Coś się przynajmniej działo. Zawsze to była jakaś atrakcja: pogonić się z milicją albo łać z górnych pięter wodę na niebieskich, którzy zapędzili się w pułapkę na dziedzińcu Nowego Żaczka. A przy okazji powrzeszczeń przeciw komunie. Z przekonaniem, jasne. Ale żebyśmy mieli rozeznanie, o co w tym wszystkim chodziło, to nie, ani trochę. Komu wierzyć? Partyjnej propagandzie, że studenci zostali wykorzystani przez niemieckich rewanżystów i światowy syjonizm przeciwko Ojczyźnie? Czy plotce, którą bardziej bywali koledzy przywieźli z Warszawy, a może zasłyszeli od swych partyjnych ojców, że całą grandę sprowokowała sama partia, żeby rozprawić się z Żydami we własnych szeregach? Co myśmy wie dzieli o Żydach? Byli dla nas dziwnym, prehistorycznym plemieniem, które znikło. Jak Prusowie. Jak Mohikanie.

Skończyło się więc tak, że obaj wylecieliśmy ze studiów. Co prawda każdy z innych powodów. Andrzej rzeczywiście organizował strajk na wydziale prawa i redagował jakieś ulotki. No i złapali go, kiedy bazgrał po murze Collegium Iuridicum. Ja po prostu pozawalałem wszystko, co można było zawalić. Przypadkiem zostałem skreślony z listy właśnie wtedy, więc ludzie myśleli, że też za politykę, a ja nie prostowałem. Potem wzięli mnie do wojska z tymi marcowymi i równo z nimi dostałem w tyłek. Z tego powodu z biegiem czasu też zacząłem uważać się za ofiarę komuny.

Razem z Andrzejem trafiliśmy do słynnego studenckiego batalionu w Drawsku Pomorskim. W wojsku nasza przyjaźń bardzo się umocniła. Kiedy trzymaliśmy się razem, było łatwiej. Andrzej przy bliższym poznaniu okazał się gadułą. Poznałem niezliczoną ilość opowieści z jego życia, niektóre po kilka razy.

Wtedy jeszcze nie było w nich miejsca na Paulę Rajska. Zнали się od dziecka, bo jego ojczym i ojciec Pauli byli lekarzami. A ilu może być lekarzy w Nowym Targu? Poznałem ją w Krakowie Pod Jaszczurami tuż przed naszym wyjazdem i zdziwiłem się, że Andrzej nigdy mi o niej nie opowiadał. Według mnie była piękna. Nie miał prawa istnieć facet, który by się na nią z miejsca nie na palił. Ale widocznie Andrzej przyzwyczyił się do niej w dzieciństwie, tak myślałem. Właściwie było mi to na rękę. Nie musiałem z nim konkurować. A nie będę krył, że nabrałem ochoty na Paulę Rajska, kiedy tylko ją zobaczyłem. Tyle że obaj z Andrzejem mieliśmy już w kieszeniach bilety do wojska. Właśnie żegnaliśmy się w Jaszczurach z naszym dotychczasowym życiem.

Nie mogłem przecież zaciągnąć jej natychmiast do akademika, przelecieć i zostawić, żeby zdążyć na pociąg. Chociaż...Może mogłem. Nigdy się tego nie dowiem. Może nawet powinienem tak zrobić, kto wie. Ale ani ja nie byłem 2 tych szybkich, ani Paula nie wyglądała mi na tego rodzaju dziewczynę. Młodsza od nas o trzy lata, była dopiero na pierwszym roku nauk politycznych. Wydała mi się trochę dzieckiem, z którym trzeba by delikatnie. Tak czy siak, przepadło.

Bardzo się zdziwiłem, kiedy dostałem od niej list. Był chyba początek października 1968 roku, w każdym razie nasze bohaterskie wojsko u boku Armii Radzieckiej i innych sojuszników ar mii wciąż broniło w Czechosłowacji socjalizmu

przed Czechami i Słowakami. Nas, ze zrozumiałych względów, na tę bratnią pomoc nie zabrano. Zamiast tego pełniliśmy służbę wartowniczą przy obiektach opuszczonych przez bohaterskie pułki. Naszemu plutonowi przypadła ochrona dywizyjnej świniami w jakiejś wiosce pod Drawskiem. Była to duża chlewnia, cuchnąca na parę kilometrów i kiedy zawiało, co bardziej wrażliwi rzygali nawet na posterunkach. A służba była odpowiedzialna, bo chłopstwo z okolicznych pegeerów tylko patrzyło, żeby podpieprzyć świniaka swym bohaterskim żołnierzykom. Po paru dniach sami śmierdziliśmy nie gorzej od naszych podopiecznych, a zasnąć po służbie pozwalały tylko duże dawki owocowego wina z pobliskiego geesu.

W tych okolicznościach list od Pauli Rajskiej wydawał się wieścią z innego świata. Nosilem się z nim przez kilka godzin, ukrywając przed innymi, a przede wszystkim przed Andrzejem. Wyobrażałem sobie, że zakochała się we mnie od pierwszego wejrzenia i tak dalej. Wreszcie znalazłem się sam i otworzyłem.

Cześć!

Wybacz, że zawracam Ci głowę, ale dowiedziałam się, że służysz razem z Andrzejem, więc mam do Ciebie prośbę. Napisz mi parę słów, co u niego, bo nie odpisuje na moje listy. Czy ich nie dostaje, czy się obraził, czy co? Chciałabym mu jakoś pomóc, podtrzymać na duchu po tym świństwie, które mu zrobili. Które zrobili Wam wszystkim. Jak się zapewne domyślasz, atmosfera na studiach jest parszywa. Jedyne nadzieje, że ktoś wreszcie przepędzi tę bandę starych ciemniaków i pozwoli rządzić młodszym, z otwartymi głowami. Może wreszcie wtedy socjalizm będzie tym, czym miał być. Z góry Ci dziękuję za parę słów, co u Was słyhać.

Paulina Rajska

(ta czarna, z którą Pod Jaszczurami rozmawiałeś o Che Guevarze)

PS Nis wspominaj Anrzejowi o tym liście; dobrze? Ale jeśli możesz, dowiedz się, czemu się do mnie nie odzywa.

To nie było to to, o czym marzyłem. Ale nie przeżyłem też specjalnego rozczarowania. W końcu nie miałem powodu, żeby liczyć na coś więcej ze strony Pauliny Rajskiej. Poza tym rola powiernika też bardzo mi odpowiadała. Miałem do tego talent. Pomału zacząłem ciągnąć Andrzeja za język. Zresztą, jak wspominałem, nie było to wcale trudne. O babach też lubił sobie pogadać. I to z detalami. Narzekał na kocmołuchy z pegeeru, że nawet są chętne, ale nie lubią się myć. I wzdychał, jak by to było fajnie, gdyby któraś z dawnych panienek z Krakowa zechciała nas odwiedzić. Ale jaka zechce przyjechać do świniami?

- A Paula Rajska? - spytałem bardzo przebiegle.

Z miejsca się najeżył.

- Co Paula Rajska?

- Nie przyjechałaby?

- A ona mi, po co? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Tak tylko pytam. Wyglądała na taką, co nie przestraszyłaby się świniami.

Andrzej przyjrzał mi się podejrzliwie.

- Niby skąd to wiesz? Widziałeś ją raz w życiu. - I nagle zrozumiał. - Napisała do ciebie?

Nie było sensu zaprzeczać. Wiedział, że trafił, i był wściekły. Nie rozumiałem go. Czyżby udawał, że nic go do Pauli nie ciągnie?

- Chciała się tylko dowiedzieć, czy u ciebie wszystko w porządku. Nie odpisywałeś na jej listy.

- I nie mam zamiaru. Co ona sobie myśli, gówniara? Że mi potrzebne jej gówniane współczucie?

- Przesadzasz - powiedziałem bez przekonania.

- Przesadzam? Ty wiesz, co ta głupia pinda studiuje? A wiesz, kto tam teraz wyklada? Najgorsze szuje. Nas spacyfikowali, teraz pacyfikują Czechosłowację, a ona uważa, że może sobie spokojnie studiować nauki polityczne. I jeszcze mi współczuje. Ona mnie!

Zrozumiałem, że to niebezpieczny temat i nie ma sensu go ciągnąć. Chyba nie chodziło o to, co Paulina studiuje, tylko, że w ogóle. Nie miałem zamiaru wkurzać Andrzeja. Na nim zależało mi bardziej niż na niej.

Teraz; wiele lat później, kilka godzin po telefonie Pauliny Rajskiej trzymałem w rękach jej stary list i zastanawiałem się, dlaczego dotychczas go nie wyrzuciłem. Czy tylko, dlatego, że miał związek z Andrzejem? Czy także z innych powodów? Przez kilka miesięcy po wyjściu z wojska to ja częściej ją widywałem. I nic z tego nie wynikło. Andrzej wrócił do Nowego Targu i ugrzązł tam. Zdumiał wszystkich, zatrudniając się jako kierowca dostawczej furgonetki w Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni Samopomoc Chłopska, czyli w geesie, jak się mówiło. Podejrzywałem, że po prostu się poddał. Inni myśleli podobnie. To nie znaczy, że przestałem go znać.

Sam byłem w nie lepszej sytuacji. Tylko wciąż wierzyłem, że się odbiję. Choć nie bardzo wiedziałem, jak. I co właściwie mam ze sobą zrobić. Moi dawni koledzy byli już daleko z przodu, nie mieliśmy, o czym rozmawiać. Siedziałem matce na karku i niby przygotowywałem się do powrotu na studia, ale sam nie bardzo w to wierzyłem. Moja miłość własna cierpiała. Nie spałem po nocach, tylko rozmyślałem, co by tu zrobić, żeby wszystkim pokazać. W końcu postanowiłem napisać prawdziwą książkę o antykomunistycznym podziemiu na Pod halu. Taką, jakiej jeszcze nikt nie napisał. Oczywiście, nawet gdyby mi się udało, szansę opublikowania czegoś takiego były bliskie zeru. W ostateczności mógłbym wydać ją za granicą. Taki krok powodował duże kłopoty w kraju, ale równocześnie pozwalał chodzić w chwale buntownika. Mimo całego ryzyka byłoby to na pewno lepsze, niż dreptać na uniwersytecie dwa lata z tyłu za kolegami.

Podczas wakacji 1971 roku doktor Boryczko, z którym kiedyś dobrze żyłem, zorganizował w Nowym Targu obóz naukowy dla studentów historii na temat „Białe plamy w dziejach Podhala. Waclaw Krzeptowski i Goralenvolk (1939-1945). Józef Kuraś Ogień i reakcyjne podziemie (1945-1947)”. Wrzucenie do jednego worka góralskiej kolaboracji z Hitlerem i góralskiej walki z komuną mogło wydać się

po prostu draństwem. I tak potraktował to Andrzej, kiedy mu powiedziałem, że zamierzam dołączyć do grupy Boryczki. Zamiast się ucieszyć, że przyjeżdżam na parę tygodni do Nowego Targu, wsiadł na mnie:- W co ty się znowu pchasz? Chcesz robić czerwoną propagandę? Co to w ogóle za historycy? Kurasia stawiają na równi z Krzeptowskim? Obaj zdrajcy, tak? I mój ojciec też, tak? Tylko, że Ogień i mój ojciec zdradzili komunę, a Wacek Krzeptowski Polskę. Dla czerwonych to to samo. Ale ty? Nie widzisz różnicy?

Widziałem. Boryczko też widział. Z jego strony była to po prostu zasłona dymna. Gdyby powiedział, o co mu naprawdę chodzi, nikt nie pozwoliłby na takie badania. Musiał działać w istniejących warunkach. Kto znalazł Boryczkę, ten wiedział, że na pewno nie chodziło mu o dostarczenie propagandzie nowych dowodów, że Ogień był tylko krwawym bandytą, ale o wydobycie z zapomnienia i zachowanie dla przyszłych pokoleń jego prawdziwej historii, póki jeszcze nie wszyscy świadkowie wymarli. Żeby jedynym świadectwem tych wydarzeń nie pozostały książki Gniadosza i innych starych komunistów, pełne nienawiści i kłamstw.

Ale nie dało rady wytłumaczyć tego Andrzejowi. Po prostu wszystko go drażniło.

- Ogień i mój ojciec chcieli zmyć z górali to gównno, które się do nich przykleiło za sprawą różnych Krzeptowskich. Właśnie, dlatego poszli do lasu, walczyć z Hitlerem. Potem Hitlera zastąpił Stalin, a Krzeptowskich Gniadosze. Ogień i ojciec woleli dać się zabić. Widziałem, że jest w takim nastroju, że nie zdołałem go przegadać. Postanowiłem nie sprzeczać się z nim więcej, tylko udowodnić, że się mylił.

Boryczko przypomniał mi sobie i po starej znajomości pozwolił mi dołączyć do swojej grupy na zasadzie wolnego strzelca. I tak znalazłem się w Nowym Targu właśnie wtedy, kiedy w życiu mego przyjaciela zaszły trudne do uwierzenia i brzemiennie w skutkach wypadki. Nie brałem w nich udziału, ale wszystko obserwowałem z bliska. I skończyło się na tym, że zamiast dziejów Ognia opisałem historię Andrzeja. Co i dla mnie miało różne, trudne do wymierzenia konsekwencje. Naprawdę, wolałbym do tego nie wracać. Ale po telefonie Pauli Rajskiej już nie mogłem.

3

Nie powinien łązić do Pauliny, póki pokazywała swoje humory. Zrobiłby lepiej, gdyby poczekał, aż zatęskni i sama zadzwoni. Wiedział o tym. Ale był w takim nastroju, że nie myślał rozsądnie. Chociaż, kiedy miewał przebłycki trzeźwości, dziwił się sam sobie. Prawie wszyscy byli zgodni, że oni dwoje w ogóle do siebie nie pasowali. I on też tak myślał do niedawna. Znał Paulinę od piaskownicy i nigdy mu się nie podobała. W dzieciństwie uważał, że jest podobna do lemura.

Miał może pięć lat, kiedy babcia Kossakowska zaprowadziła go do krakowskiego ZOO i postraszyła lemurem. Po latach był zdumiony, że mógł bać się

takiego małego zwierzątka. Ale babcia naopowiadała mu bajd, że lemury są jak Żydzi. Mały Andrzej nie miał pojęcia, o co jej chodzi, zapamiętał tylko, że mogą rzucać uroki swoimi wielkimi czarnymi oczami. Zapewne miał to być żart. Ale on przestraszył się naprawdę.

Jeszcze długo później mała Paula Rajska, młodsza od niego o trzy lata, kojarzyła mu się z lemurem. Zachował zdjęcia z dzieciństwa, na których byli oboje. Rzeczywiście, nie miała w sobie nic z małego aniołka. Była chuda, czarniawą dziewczynką z wystającymi żebrami. Buzię miała drobną, policzki zapadnięte. A oczy jak czarne latarki. Na jednej z tych fotografii, na tej, na której zwiślała z gałęzi, trzymając się jej rękami i nogami, podobieństwo do lemura naprawdę rzucało się w oczy.

Ale teraz Paula od dawna nie przypominała już chudzielca ze starych zdjęć. Wyrosła na prawdziwą gwiazdę Instytutu Nauk Politycznych. Nie zmarnowała dwóch lat, które jemu upłynęły w piachach poligonów nad Drawą. Kiedy wrócił z wojska, miała już w dorobku kilka reportaży opublikowanych w „Sztandarze Młodych”. On tymczasem postanowił zostać kierowcą w Samopomocy Chłopskiej i rozwoził towary po wiejskich sklepach. Wydawało się, że są od siebie dalsi niż kiedykolwiek. A potem przyszły wakacje 1971 roku i wszystko się odmieniło. Paula kombinowała wtedy od kilku miesięcy z Arturem Krupskim, studentem prawa, z którym Andrzej był kiedyś na jednym roku. Artura znali prawie wszyscy na uniwersytecie. Rzucał się w oczy. Wzrostu miał prawie dwa metry, a twarz aż za ładną, miękką, w typie Gerarda Philipea. Koledzy przezywali go Hrabią, trochę złośliwie, a trochę z zazdrością. Po matce był spokrewniony z rodziną Stadnickich, do których przed reformą rolną należało chyba ćwierć powiatu. Z tego powodu bardzo się cenił. Prawie nikomu nie kłaniał się pierwszy, a odpowiadał na pozdrowienia tylko niektórym. Nie mówiąc już o podawaniu ręki. Wybrańców wyróżniał samymi końcami palców. Andrzej zawsze uważał go za bufona. Teraz Krupski był górą. Kiedyś musiał rywalizować z Andrzejem o pozycję najlepszego na roku. I wysiadał. Ale po marcowej zadymie, kiedy Andrzej zamienił indeks na kałasza i gazmaskę, Hrabia pozostał samotnym liderem. Teraz to jego pułkownik docent Pollak-Schumacher stawiał za wzór innym studentom. Kierownik katedry został też promotorem pracy magisterskiej Artura Krupskiego i sam wybrał jej temat: „Prawne aspekty walki z reakcją i wrogą agenturą w PRL”. Protekcja liczącego się w partyjnych układach docenta plus pozycja starego Krupskiego w palestrze dawały gwarancję, że Hrabia zrobi dużą karierę. A przy tym wszystkim, nie wiadomo jakim sposobem, zdołał wytworzyć wokół siebie mit ukrytego opozycjonisty, Konrada Wallenroda wydziału prawa. Nawet obrzydliwy temat dysertacji wytłumaczył na swoją korzyść, wmawiając naiwnym, że jego prawdziwym celem jest zdemaskowanie systemu. Wszyscy zdążyli zapomnieć o dawnych kolegach, którzy zapłacili za Marzec wyrzuceniem na bruk, jak Andrzej. I dawali się nabierać na sztuczki takich cwaniaków jak Artur Krupski.

Na początku tych wakacji Andrzej stał się przedmiotem kpinek dawnych kolegów z roku, którzy odwiedzali Hrabiego w willi jego dziadków w Nowym

Targu. Andrzej też się przy nich kręcił i z początku dziwili się, czego taki nieudacznik, wyrzucony za burtę, szuka w ich towarzystwie. Potem zauważyli, że jest zadurzony w Pauli Rajskiej. Uczucie do dawnej towarzyszki zabaw w piaskownicy dopadło go nagle i niespodziewanie. I wyglądało śmiesznie. Niby grał takiego zbuntowanego, a dał się opętać panience, która uosabiała wszystko, przeciw czemu się buntował. W dodatku grzmocił ją ten Krupski, a on tylko wzdychał.

Nie docenili go. Wystarczył jeden dzień, żeby Paula wyrzuciła Hrabiego ze swojego życia i wskoczyła do łóżka Andrzejowi. Stało się to w przedostatnią niedzielę czerwca. Całe towarzystwo umówiło się na wycieczkę w Pieniny. Pierwszy na miejsce zbiórki podjechał Krupski czerwonym garbusem. Przywiózł Paulinę i jeszcze dwóch studencików z Krakowa. Garbus nie był pożyczony od ojca, tylko naprawdę jego własny. W tamtych czasach mógł z tego powodu czuć się prawie bohaterem filmu „La dolce vita”. I czuł się. Kiedy pojawił się Andrzej w rozklekotanym żuku z gminnej spółdzielni, było trochę śmiechu.

- Chcesz nam wmówić, że ten złom gdzieś dojedzie? - spytał Hrabia.

Andrzej nie potrafił wziąć tego lekko. Od razu się zjeżył.

- Prędzej niż twój jaguar za dychę - odgryzł się niezgrabnie.

- Może się chcesz założyć? Skrzynka piwa pasuje?

- Tak bardzo lubisz przegrywać? A może kombinujesz jakiś kancik?

Koledzy Krupskiego zaśmiali się bez skrępowania, a on puścił do nich oko. Zdawało mu się, że znalazł frajera do bicia. Nie poczuł, że właśnie w tym momencie popełnił fatalny błąd. Zgubiła go nadmierna pewność siebie. Bo Andrzeja nagle jakby olśniło:

- Dobra, jeśli się boisz, to niech Paula jedzie ze mną i pilnuje, żebyś był pewny. Chyba sam nie spodziewał się, że ona w to wejdzie. Ale nawet nie mrugnął okiem, a już siedziała w sfoferce. Nie można powiedzieć, żeby sama się w to nie pchała. Kolega z dzieciństwa musiał jej już dawno wpaść w oko. Tylko on nic o tym nie wiedział. Popatrzył na nią zdziwiony.

- Naprawdę tego chcesz?

- A ty nie? Znam drogę, mogę być twoim pilotem. Nie bój się, umiem.

- A modlić się umiesz? To lepiej się módl - odpowiedział Andrzej i zapuścił silnik. Potem już nie słyszeli się nawzajem.

Na prostej drodze nie miałyby żadnych szans. Ten jego spółdzielczy żuk prędzej by się rozleciał, niż prześcignąłby garbusa. Ale to wcale nie znaczyło, że Andrzej był frajerem. Wiedział, co robi. Był środek sianokosów i na wąskiej, krętej szosie, prowadzącej w Pieniny przez Trybsz i Łapsze, tłoczyły się chłopskie pojazdy. Po prostu nie dało się rozwinąć szybkości.

Aż do Niedzicy tylko pilnował, żeby Hrabia za daleko nie odjechał. Nie próbował wyprzedzać, pozwalał rywalowi poczuć się jeszcze pewniej. Żuk i tak ledwo mieścił się w zakrętach. Byli już blisko mostu na Dunajcu, kiedy garbusa przyblokował traktor i Andrzej siadł mu na ogonie. Z przeciwka nadjeżdżały wozy z sianem, jeden za drugim. Hrabia, choć miał więcej czasu, nie zaryzykował. Andrzej

też się do tego nie palił. Wozy były tuż, a gdyby konie się spłoszyły, byłoby po nich. I wtedy Paula wrzasnęła mu prosto w ucho:

- Rura!

Nie miał pojęcia, gdzie taka panienka mogła nauczyć się tego „rura”. Skutek był taki, że zareagował nogą a nie głową. Silnik zaryczał, żuk skoczył do przodu jak wystrzelony. Nagle znaleźli się na środku jezdni, między traktorem a wierzgającym koniem od pierwszej furmanki. Nawet nie zdążył pomyśleć, że zaraz umrze. W ułamku sekundy zauważył tylko wykrzywioną twarz woźnicy, gwałtownie ściągającego lejce, a przez otwarte okno dobiegło go:

- Co ty, chuuu.....

Reszta wrzasku została z tyłu. Cudem ominęli wycelowany w nich dyszel, a w następnej chwili cały widok przesłoniła im wielka sterta siana. Ale zamiast wbić się w nią całym impetem, otarli się tylko bokiem. I było po wszystkim. Mieli przed sobą pustą szosę. Teraz Hrabia mógł im skoczyć.

- Uaaaaa! - wydarł się Andrzej na całe gardło, jakby chciał zagłuszyć myśl o tym, co mogło się stać.

Kiedy się obejrzał, z tyłu w ogóle już nie było widać garbusa. Przejechali przez most na pełnym gazie. Dalej droga też była wolna. W Sromowcach Andrzej zjechał na dziki parking nad brzegiem Dunajca. Wyłączył silnik i chwilę siedział bez ruchu, z rękami na kolanach i zwieszoną głową. Musiał wyjść z szoku, zanim odwrócił się do Pauli:

- Wariatka jesteś, słowo daję.

- Trzeba było wcześniej pomyśleć, w co się pakujesz. Ja nie lubię przegrywać. - Zaśmiała się bez troski. - Aleśmy ich załatwili, co? Po prostu nokaut.

Cieszyła się jak dziecko. Pomyślał, że ona naprawdę ma źle w głowie, kilka minut wcześniej o mało nie zginęli. Ale nie było, co tego roztrząsać. Najwyraźniej przyszedł czas na działanie.

- To twoja zasługa - powiedział. - Należy ci się nagroda. Odwrócił się, zniemacka unieruchomił ją ramieniem i zaczął całować, zanim zdążyła się wyrwać. Tylko, że ona wcale się nie wrywała. Nawet nie próbowała udawać, że tego nie chce. Pozwalała mu się lizać, jakby Hrabia nie istniał i nie nadjeżdżał gdzieś z tyłu. Kiedy już mogła złapać oddech, powiedziała tylko:

- O, to coś nowego.

- Zaskoczona?

- No, trochę.

- Nie podobało ci się?

- Jeszcze nie wiem.

- Narzeczonemu chyba by się nie spodobało. - Nie umiał sobie tego odmówić.

- Jestem dużą dziewczynką - obruszyła się Paulina. - Robię, co chcę i nikomu nic do tego.

Dopiero wtedy na trawnik wtoczył się wreszcie czerwony volkswagen z wściekłym Arturem Krupskim za kierownicą. Hrabia nawet nie próbował trzymać fasonu. Wyskoczył z auta, chwycił Paulinę za ramię i odciągnął od Andrzeja.

- O mało cię nie zabił ten szajbus! - zawołał.

- Miej klasę - osadziła go. - Pokaż, że umiesz przegrać z honorem. Łyso ci, że musisz postawić? Na biednego nie trafiło.

Hrabia nie wiedział, co odpowiedzieć. Nagle stracił cały swój tupet. Wyczuł, że coś się musiało wydarzyć, kiedy tylko spuścił ją z oczu. Od tej chwili bez przerwy jej pilnował. A było, czego. Kiedy na plaży zrzuciła kieckę i została w samym bikini, studenci aż jęknęli. Andrzej też, choć od jakiegoś czasu palił się do niej, nawet nie przypuszczał, że ma teraz aż takie ciało. Kościste ramiona i wystające kolana znikły bez śladu. Była jedna pośród kilku facetów i żaden nie umiał się powstrzymać, żeby się na nią ciągle nie gapić. Udawała, że wszystko jest po staremu, ale Hrabia nie był taki głupi. Tym bardziej szukał każdej okazji, żeby podkreślić swoje prawa do Pauli i wciąż to obejmował ją, to głaskał, to dotykał całkiem niedwuznacznie. Andrzeja skręcało w środku, ale na razie nic nie mógł poradzić. Woda w Dunajcu była jeszcze za zimna do kąpieli, więc tylko chlapali się przy brzegu i szybko uciekali na koce, grzać się w czerwcowym słońcu. Zza rzeki wiatr przynosił zapach świeżego siana. Potem Paula rozpakowała koszyk z jedzeniem. Kroiła chleb do kanapek, kiedy Artur władczy gestem położył dłoń na jej nagim udzie. Drugą ręką zatoczył półkole. - Widzisz, kiedyś to wszystko było nasze - pochwalił się. - Gdyby nie to czerwone złodziejstwo, zabierałbym cię na Riwierę. Nie musielibyśmy opalać się na pastwisku, pośród krowich placzków.

Andrzej powinien to zlekceważyć. Ale nie wytrzymał. Może, dlatego, że palce Hrabiego błądziły niebezpiecznie blisko miejsca, gdzie żółte figi wrzynały się w opalone udo Pauliny. Niepotrzebnie wdał się w dyskusję.

- O ile wiem, to twoi krewni wcale nie brzydzili się krowich placzków. Ludzie opowiadają, że ostatni hrabia sam dobierał byki dla swoich krów i własnoręcznie przyjmował cielęta. Gdyby zamiast tego hulał w Monte Carlo, dla czerwonych złodziei nic by nie zostało. Artur spojrzał na Andrzeja z ukosa, jakby zdziwiony, że ktoś taki odzywa się ludzkim głosem.

- Hrabia Adam był maniakiem. Miał takiego fioła, że sam robił to, co powinien zostawić najmitom. Ale ja nie mam chorej głowy. Od czego są ludzie? Gdybyś się postarał, też mógłbyś się załapać. Na szofera.

„Najmici” to było ulubione słówko Hrabiego na określenie ludzi, którzy utrzymywali się z własnej pracy. Andrzej pomyślał, że nie powinien już dłużej czekać, tylko jak najszybciej zabrać mu Paulinę. Dla samej zasady. Choć wciąż nawet nie marzył, że stanie się to jeszcze tego wieczoru.

O zmroku wylądowali w Trzech Koronach, ponurej knajpie w Krościenku, pełnej dymu i pijanych górali. Ale dawali tu lane piwo, więc reszta była nieważna. Okazało się całkiem niezłe, a oni planowali nocleg w schronisku i nikt sobie nie żałował. Znużeni słońcem, pogrążali się powoli w oszołomieniu i alkoholowym gadulstwie. Rozmowa, coraz bardziej chaotyczna, zeszała w końcu, bo musiała, na plany wykończenia komuny. Andrzej dobrze to pamiętał. Tak właśnie wyglądały studenckie dyskusje przy kielichu. W końcu wszyscy zaczęli krzyczeć, że trzeba wreszcie coś zrobić, żeby rozpiardolić komunę. Potem rano leczyli kaca i wracali do

swoich zajęć. Było to potrzebne dla zachowania psychicznej równowagi. Artur Krupski należał do wyjątków. Naprawdę wierzył, że jest człowiekiem opozycji. Często sam o sobie mówił, że jest wybitnym teoretykiem kontrewolucji. Niby w żartach, ale nie do końca. A kiedy wypił, robił się zaczepny. Tego dnia miał wciąż niewyrównane porachunki z Andrzejem, więc czepił się jego:

- Myślisz, że jak jesteś tylko kierowcą w geesie, to nie wysługujesz się czerwonym? I zaczął dowodzić, że geesy to perfidne narzędzie zniewolenia chłopów przez komunę. Bo czerwoni wcale nie zrezygnowali z kolektywizacji. Cofnęli się tylko trochę, przyczaili, żeby potem uderzyć jeszcze dotkliwiej i z powrotem zapędzić polskich rolników do kołchozów, tym razem nieodwołalnie. Geesy udają, że chodzi tylko o handel i usługi rolnicze. A naprawdę chodzi o ziemię i chłopskie dusze. To zasadzka. I Andrzej pomaga czerwonym wciągać w tę zasadzkę nierozgarniętych wieśniaków. Krupski uwielbiał perory, zwłaszcza kiedy miał wdzięcznych słuchaczy, jak teraz tych dwóch studencików. No i, rzecz jasna, robił popis przed Paulina. Ale Andrzej brał to ze śmiertelną powagą.

- Najpierw ludzie muszą jeść, a dopiero potem walczyć z komuną - odezwał się ponuro.

Krupski zaśmiał się głośno, jak w amatorskim przedstawieniu.

- Otóż to, otóż to! Naród niewolników. Kiełbasa jest dla was ważniejsza niż wolność. Kiełbasa ważniejsza niż wolność! - wykrzykiwał na całą knajpę, Wyraźnie rozkoszując się swoją figurą retoryczną.

- I kto to mówi? - Andrzej znów niepotrzebnie się zdenerwował. - Ty, który codziennie klepiesz teorię naukowego komunizmu zamiast paciorka?

Ale ten temat Hrabia miał przećwiczony.

- A co ty możesz o tym wiedzieć, człowieku? Żeby rozwalić komunę, trzeba siedzieć w jej środku, rozumiesz? Od kiedy Stalin ukradł bombę atomową, to świństwo można rozpiardolić tylko od środka, nadążasz za mną?

- I to mają zrobić studenciki?

A kto? Jak się lud roboczy weźmie do dzieła, to tylko wymienia jednego czerwonego na drugiego. A czemu? Bo w gruncie rzeczy komuna chamom pasuje. Gdzie im będzie lepiej? Popatrz tylko na te mordy naokoło. Oni mieliby wywalczyć niepodległość? Nie rozśmieszaj mnie.

Andrzej wcale nie widział powodów do śmiechu. Tylko brakowało, żeby do siedzących wokół podpitych wieśniaków dotarło, co wygaduje o nich Artur Krupski.

- A co ty opowiadasz, co ty o nich wiesz? - brnął dalej Andrzej. - Oni byli u Ognia, bili się z komuną, kiedy ciebie nie było nawet w planie. I ty twierdzisz, że nie potrafiały walczyć? Ktoś was kiepsko uczy na tych podziemnych kursach.

Artur Krupski patrzył na niego znudzony.

- Chyba żartujesz. O kim ty w ogóle mówisz? Kto to właściwie był, ten twój cały Ogień. O jakiej walce z komuną można tu mówić? Zwykły ciemny bandzior i tyle.

- I kto tu gada jak czerwoni?

- Bo akurat w tym wypadku mają rację. Jedni drugich byli warci. Zwykle porachunki między chamami. Niech się lepiej zajmą widłami i gnojem, a niepodległość zostawią mądrzejszym ud siebie....

- Takim jak ty?

- Sam powiedziałeś.

Nie wiadomo, jak by się ta dyskusja skończyła, bo Andrzejowi brakowało już pomysłów, gdyby nagle coś nie przesłoniło im światła. Kiedy podnieśli wzrok, zobaczyli młodego górala, wielkiego jak fura z sianem. Mierzył prawie tyle samo na szerokość, co wżwyż. Miał pozbawioną wyrazu twarz kretyna, takiego, co najpierw rozwali ci łeb, zanim sobie przypomni, że miał tylko spytać o godzinę. Wydawało się, że wypełnia sobą całą izbę, aż pod sufit. Chwycił Paulinę za ramię i pociągnął. Aż podskoczyła do góry. Mógł urwać biednej dziewczynie rękę i nawet tego nie zauważyć. Usłyszeli jej piskliwy głos, załamujący się ze strachu i z bólu:

- Czego pan ode mnie chce? Proszę mnie puścić. Z takim samym skutkiem mogłaby przemówić do niego po francusku. Osiągnęła przynajmniej tyle, że wszyscy naokoło się uciszeli. W tej nagłej ciszy kretyn powiedział powoli i wyraźnie:

- Podź. Bedem cię dupcył.

Jeden Andrzej właściwie ocenił sytuację. Nie miał skłonności do panikowania, ale źle to wyglądało. Nie widział w pobliżu nikogo, na kogo mógłby liczyć. Artur Krupski, choć jako jedyny dorównywał góralowi wzrostem, mógłby chyba tylko umrzeć w obronie Pauliny. Jego koledzy już wyglądali jak nieżywi. A dzik był naprawdę zdecydowany zrobić to, co zapowiedział.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Andrzej bez słowa skoczył na kretyna od tyłu, chwycił jego zwisającą prawą rękę i wykręcił na plecy, naciskając na łokieć, aż chrupnęło. Ćwok dał się zaskoczyć. Na szczęście był tak pijany, że kiedy nagły ból w ramieniu pochylił go do przodu, nawet jego słoniowe nogi nie zdołały utrzymać w równowadze tej góry mięsa. Andrzej pchnął go w stronę męskiej toalety, otworzył nim drzwi i wrzucił do środka. Olbrzym poleciał głową naprzód i padając, walnął czołem w pisuar. Rozległ się potworny łomot, pisuar spadł i roztrzaskał się. Przez wyłamane drzwi było widać, jak wielkie ciało kretyna znieruchomiało na posadzce, a z urwanej rury trysnął na nie syczący strumień wody. Kałuża wokół głowy leżącego zaczerwieniła się. Wszyscy patrzyli na to jak zaczarowani. Andrzej ocknął się pierwszy.

- Zmywamy się, ale już - krzyknął. - Chyba, że ktoś ma ochotę wynieść widły w plecach.

Nikogo nie trzeba było popędzać. Andrzej, nawet nie oglądając się na Hrabiego, złapał Paulę za rękę, wyciągnął z knajpy na ulicę i wepchnął do żuka. Zauważył jeszcze, że pozostali też zdołali dopaść czerwonego garbusa, więc nie czekając dłużej, wystartował z rykiem, jakby to nie był żuk, ale porsche. W drodze powrotnej Hrabia nawet nie próbował go wyprzedzić. Wyglądało, że pogodził się z klęską.

W światłach nadjeżdżających z przeciwka samochodów Andrzej rzucał ukradkowe spojrzenia na Paulinę. Jeszcze nie był pewny swego. A ona nie zachęcała

go. Siedziała w milczeniu, trzymając się rękami siedzenia, z lekko rozchyłonymi kolanami wystającymi spod letniej sukienki w kwiaty. Wreszcie zdecydował się, zdjął prawą dłoń z kierownicy i położył na udzie Pauli. Poczł, jak pod gładką i ciepłą skórą naprężyły się mięśnie. Jechali wciąż szybko, silnik warczał głośno, żukiem telepało, a przez otwarte okna wpadał zapach świeżo skoszonego siana. Odczekał chwilę i łagodnie przesunął dłoń wyżej, pod chłodny jedwab sukienki. Paula odwróciła głowę do okna, jej uda rozluźniły się, kolana uniosły i jeszcze bardziej rozchyliły na boki. Nawet nie spytał Pauliny, czy nie powinien odwieźć jej do domu. Jakby to było całkiem naturalne, zajechał na uśpiony rynek i zatrzymał żuka przed swoją kamienicą. Paula wysiadła razem z nim w sposób równie naturalny. Weszli na górę, obejmując się ramionami, a drzwi z pośpiechu zamknęli tylko na łańcuch. Nie tracili czasu na kąpiel, nie szukali świeżej pościeli. Nawet nie zasłonili pootwieranych na oścież okien. Rozeszła się później plotka, że Hrabia spędził tę noc w swoim czerwonym wolkswagenie, zaparkowanym pod tymi otwartymi oknami. Jeśli tak, musiał się niezłe nasłuchać. W każdym razie o świcie zapukał do drzwi Andrzeja. Nie doczekał się odpowiedzi, więc nacisnął klamkę. Zajrzał przez szparę i zobaczył Paulę, która właśnie nadchodziła korytarzem, popijając kefir prosto z butelki. Była boso i tylko w koszuli Andrzeja, o wiele za dużej i całkiem rozpiętej. Nie śpiesząc się, zebrała ją dłonią na brzuchu. - Co się tak gapisz? - spytała. - Co tu robisz o tej porze? Stało się coś?

Hrabia, który przed chwilą miał może jeszcze jakąś nadzieję, poczuł narastającą wściekłość.

- Nawet mi nie otworzysz?

Bez słowa spuściła łańcuch. Potrzebowała do tego dwóch rąk i koszula znów się rozchyliła. Hrabia patrzył na to jak porażony. Paula oblizwała wargi z kefiru.

- No, to co chciałeś powiedzieć? - spytała spokojnie.

- Nic - odpowiedział lodowato. - Chciałem tylko sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku.

- No, to sprawdziłeś. A teraz przepraszam cię, ale rozumiesz.....

A jednak nie zdołał zachować do końca hrabiowskiej wyniosłości.

- Nie, nie rozumiem - wybuchnął. - Z kierowcą!

- Miej klasę - powiedziała Paula spokojnie.

Artur Krupski odwrócił się i zbiegł po schodach, znikając na dobre z jej życia. Tej namiętnej nocy Paula Rajska była, więc gotowa poświęcić dla Andrzeja wiele. I trzymała się tego przez całe wakacje. Ale teraz lato już się kończyło. Za parę dni trzeba było wrócić na studia. Kochanek, który był tylko kierowcą w gminnej spółdzielni w Nowym Targu, robił się coraz bardziej kłopotliwy.

Andrzej musiał to wyczuwać. Chodził ciągle rozdrażniony i wybuchał z byle powodu. W końcu, tak jak kilka tygodni wcześniej jego przegrany rywal, nie wytrzymał i poszedł odwiedzić Paulinę w środku nocy.

Jeszcze stojąc przed domem Rajskich, powtarzał sobie, że zachowuje się jak debil. I nic nie pomogło. Ręka sama wyciągnęła się do dzwonka. Teraz już nie wypadało uciekać. Tym bardziej że doktor Rajski właśnie wyszedł, żeby wypuścić na noc psy i od razu zauważył go za bramką.

- Ja tylko na chwilę - zastrzegł się Andrzej.

- Ale coś ty. - Rajski otworzył furtkę szeroko, objął go ramieniem i prawie siłą wciągnął do ogrodu. - Wal jak w dym. W tym domu jesteś zawsze mile widziany.

Nie była to do końca prawda. Doktor rzeczywiście bardzo Andrzeja lubił, ale doktorowa o wiele mniej. Ona najwyraźniej widziała już oczyma wyobraźni Paulinę jako panią Kruską i była wściekła, kiedy Andrzej zniszczył te piękne plany. Rajski chyba na odwrót; nigdy nie przepadał za Hrabią, który na każdego patrzył z góry, a ludzie z Nowego Targu, czy to chłop, czy doktor, by li dla niego po prostu wieśniakami.

- Dobrze, że cię widzę - powiedział, nie wypuszczając Andrzeja z objęć. - Właściwie to mam do ciebie pewną sprawę, a nie chciałem przez telefon.

- Przywieźć coś panu? Nie ma problemu.

- Nie, nie. To jest rzecz dużo delikatniejsza. Aż się trochę krępuję. Ale ty znasz życie, swoje przeszedłeś. Nie to, co ta nasza narwana córka. Z tobą chyba mogę być szczerzy? Andrzeja zmroziło. W tym stanie ducha, w jakim był tego dnia, przyszło mu do głowy tylko jedno: stary chce mu zaproponować jakiś układ, żeby zostawił Paulinę w spokoju. Przydał się, żeby przepłoszyć Artura Krupskiego, ale teraz powinien się usunąć i pozwolić jej rzucić się w ramiona kogoś bardziej na poziomie. A może w ogóle powinna jeszcze trochę poczekać. To byłoby najbardziej podobne do zazdrosnego ojca.

- Jasne. Niech się pan nie krępuje, panie doktorze. W tej samej chwili Paula stanęła na progu. - Nie, to nic pilnego - mruknął Rajski. - Idź do niej, idź. To może poczekać. Andrzej był trochę skołowany. Teraz doktor dla odmiany jak by sam wpychał go do łóżka córki. Nie był pewny, czy Rajski ma świadomość, że on i Paula sypiają ze sobą prawie codziennie. Wiedział, że starzy potrafią być w tych sprawach zdumiewająco naiwni. Ale Rajski nie był zwyczajnym ojcem, tylko najbardziej wziętym w mieście ginekologiem. Tylko on sam znał tajemnicę, ile skrobanek zrobił nowotarskim dziewczętom. Także tym z najlepszych domów. O kilku Andrzej wiedział na pewno. I nawet, ile kosztowały. Doktor nie mógł, więc zachować takiej niewinności jak inni ojcowie. Utrzymywał rodzinę głównie z rozpusty młodych panien. I to na całkiem niezłym poziomie. Andrzej nie miał pojęcia, co ma o tym sądzić. Wiedział tylko, że teraz nie da mu spokoju myśl, czego stary mógł od niego chcieć.

Paula nawet nie starała się udawać, że choć trochę napuszyła się na jego widok.

- Przecież mówiłam ci, że wkuwam.

- Nie będę ci przeszkadzał. Chyba, że ja ci w ogóle zawadzam. Jeśli tak, to powiedz otwarcie. Nie krępuj się.

Pokręciła głową ze złością i zniecierpliwieniem.

- Nie zaczynaj od nowa, proszę cię. Jeśli mi nie potrafisz pomóc, to przynajmniej nie utrudniaj. Bez tego mam dosyć kłopotów, aż łeb mi od nich pęka.

Nie była to ich pierwsza rozmowa na ten temat. Andrzej dobrze wiedział, że pod koniec trzeciego roku Paulina wpadła na uczelni w poważne tarapaty. Przyczyniły się do tego jej zbyt wczesne sukcesy dziennikarskie, które nie mogły spodobać się kilku wykładowcom i asystentom, mającym za sobą mniej udałe próby podejścia do dziennikarstwa. Ale najbardziej zaszkodziło jej to, że podpadła generałowi Wasilewskiemu z Wojskowej Akademii Politycznej. Dorobił się on, co prawda tytułu profesora i nawet napisał kilka podręczników oraz książki „Watykan w służbie złotego cielca” i „Krew na gwiazdzie Dawida”, ale w głębi duszy pozostał zupakiem. Do Krakowa przyjeżdżał od roku wykładać teorię współczesnych doktryn politycznych i szybko zasłużył sobie wśród studentów na przezwisko Berta.

Doktryny polityczne były prawdziwą pasją Pauliny, czym wywoływała zdumienie większości swych kolegów. Na drugim roku z historii doktryn miała same piątki. Był to, więc przedmiot, którego najmniej się obawiała. I to ją zgubiło. Nie znała wcześniej zawodowych wojskowych i nie zorientowała się, że wszystko, co mówi generał Wasilewski, to nie poglądy naukowe, tylko rozkazy, których nie wolno kwestionować. I przez to ona, która nie zaważyła wcześniej żadnego zaliczenia, musiała teraz martwić się poprawką.

Ale Andrzej nie zawsze umiał podejść do tego rozsądnie. Kiedy potrzebował Pauli, mało go obchodziły doktryny polityczne. Podejrzewał, że to tylko wykręty.

- Czego ci nie utrudniać? - spytał.

Wyminął ją i bez zaproszenia wszedł do jej pokoju. Przekonał się, że mówiła prawdę. Na biurku pod wielkim plakatem z Che Guevarą leżały w nieładzie książki. Same gnioty, jak ocenił. Kilka tomów dzieł Marksa, Engelsa i Lenina, dalej „Marksizm a jednostka ludzka” Schaffa; „Historia nas rozgrzeszy” Fidela Castro i jeszcze parę innych w tym rodzaju.

- Ty to naprawdę wpięprzasz, ten kit? - spytał z obrzydzeniem. - Nie mogłaś pójść na Akademię Sztuk Pięknych? Albo na stomatologię?

- Bo co? Bo to takie kobiece?

- Bo to normalne.

- Proszę cię, nie mam teraz siły na kłótnie. Potrzebuję się skupić. Słuchaj, daję ci słowo, że nie jestem naiwną, otumanioną przez czerwonych panienką. Wiem, przez co przeszła twoja rodzina, rozumiem cię. Ale to naprawdę nie jest tak, że socjalizm wymyślili w delirce dwaj pijani Żydzi.

- A co, byli przypadkiem trzeźwi? To tym gorzej.

W tamtych latach nawet bardzo poważni myśliciele sądzili jeszcze, że socjalizmu nie należy obalać, tylko poprawić. To co się dziwić Paulinie Rajskiej. Ale Andrzej nie mógł rozmawiać o tym spokojnie. Zwłaszcza po powrocie z wojska. Po chwili wpadła mu w oko mała książeczka w liliowej okładce, z popularno naukowej serii Omega.

- „Eros i rewolucja” - przeczytał na głos. - No, pięknie. Dawno podejrzewałem, że to ma dla ciebie coś wspólnego z seksem. Choć, prawdę mówiąc, to bardziej chyba z onanizmem

Książeczka zawierała dość głośny wówczas esej o Herbercie Marcusem podstawowe źródło informacji na ten temat w okresie, kiedy prace filozofa z Berkeley były po polsku niedostępne. Andrzej wziął ją do ręki z obrzydzeniem, jakby to był zdechły szczur.

- Herbert Marcuse? - spytał. - Jakiś nowy pornograf?

- Sam jesteś pornograf. Wszystko sprowadzasz do jednego. - Tak ją rozwścieczył, że dała się sprowokować i zaczęła mu tłumaczyć jak dziecku: - To dzisiaj największy przywódca młodzieży.

- Tak? Nie słyszałem. Gdzie?

- Gdzie? W San Francisco, w Paryżu, wszędzie.

W Paryżu - pokiwał głową. - W San Francisco. A może na Księżycu? Czy ty na pewno wiesz, gdzie żyjesz?

- To właśnie ty nie masz pojęcia świecie, na jakim żyjesz. Masz taki horyzont, jaki widzisz przez okno tej twojej furgonetki Te pagórki naokoło zasłaniają ci cały świat. Klapy na oczach. Przykro mi to mówić, ale jesteś, koziołku, typowym, seryjnym produktem komunizmu, którego podobno tak nienawidzisz.

Wiedziała, jak ugodzić, żeby naprawdę zabołało. Ruszyło go, kiedy zobaczył, że tak interesuje się Herbertem Marcusem, którego znajomość wcale nie była wymagana na egzaminach. Nie mógł nie skojarzyć tego z Arturem Krupskim i jego teoriami studenckiej rewolucji. Ale to było jeszcze nic w porównaniu kwestią, którą teraz wyrecytowała. Jakby Hrabia stał za nią i szeptał do ucha, co ma mówić.

Ja wiem, świetnie się znasz na praniu mózgów - wyrzucił ciebie. - Mój poprzednik na pewno cię nauczył, jak to się robi.

- Taki twój poprzednik?

- A ilu ich było? Ten ostatni. Towarzysz hrabia Krupski.

- Co się czepiasz Artura? Zazdrościsz mu?

- Nie rozśmieszaj mnie. Ja, jemu? Niby czego.

- Że jest mądrzejszy.

- Bo liże czerwonym tyłki, a jednocześnie potrafi wmawiać naiwnym panienkom, że jest bohaterem ruchu oporu? Ja nie jestem naiwną panią. Na mnie nie działają jego zabójcze spojrzenia. I inne zabójcze rzeczy, jeśli je ma. To już ty lepiej wiesz.

- Jesteś beznadziejny - powiedziała Paula. - Zaczynasz mnie nudzić.

Chwycił ją za ramiona i potrząsnął. Musiał coś zrobić z rękami żeby jej nie uderzyć. Nigdy mu się to nie zdarzyło, ale czasem wyprowadzała go z równowagi tak bardzo, że mógłby. Wiedział o tym. Ich wakacyjny romans toczył się wśród następujących po sobie na przemian wybuchów wielkiej namiętności i awantur. Przez pierwsze dwa tygodnie była sama namiętność, ale potem, im bardziej zbliżał się nowy rok akademicki, do awantur dochodziło coraz częściej. Coraz więcej

wysiłku musiał wkładać, żeby się opanować. Teraz trzymał ją mocno za ramiona i nie puszczał.

- No co, masz ochotę mnie uderzyć? - spytała. - To spróbuj.

Zamiast tego pchnął ją na biurko i zmusił, żeby usiadła na otwartym „Manifeście komunistycznym” Marksa i Engelsa. Miała na sobie domową sukienkę, zapinaną z przodu na guziki. Przez dwa miesiące doszedł do dużej wprawy w ich rozpinaniu. Nie stawiała oporu, nic już nie mówiła. Także wtedy, kiedy zsunął jej majtki w pachwinę i zaczął gwałcić palcami. Odwróciła głowę w bok i przygryzła wargi. Nie zamknęła oczu, wpatrywała się tępo w plakat z Che Guevarą. Ale po kilku minutach zareagowały jej biodra. Z początku jakby wbrew woli, jakby jeszcze starała się hamować odruchy ciała. Potem przestała się kontrolować. Jej głowa nie zmieniła pozycji, a twarz wyrazu. Tylko biodra falowały coraz mocniej, a okładki „Manifestu komunistycznego” szurały miarowo po blacie biurka. Wreszcie całe ciało Pauliny zadygotało. Zaraz potem odepchnęła Andrzeja gwałtownie.

- No, dobra. Pokazałeś, co chciałeś, a teraz bądź tak dobry i zniknij. Daj mi wreszcie popracować. Dopiero teraz przeżył prawdziwy szok. Do tej pory był to zawsze dobry sposób na zakończenie awantury. Po takim wstępie łądowali w łóżku. Mówiąc dokładnie, Paula sama wciągała go na siebie i po godzinie znów byli w sobie zakochani, jak na początku. Nie rozumiał, co się stało. A raczej odebrał to jako potwierdzenie najgorszych podejrzeń.

- Co ty sobie myślisz? - spytał. - Że co ja jestem, twój wibrator?

Odsunęła się od niego na tyle daleko, żeby nie mógł jej do sięgnąć.

- Sam sobie jesteś winien - powiedziała spokojnie. - Chciałeś mi pokazać, że możesz ze mną zrobić, co zechcesz. Zapomnij o tym. Już nie możesz. Sam się postarałeś, żebym przejrzała na oczy.

- Może po prostu przestałem cię zaspokajać. No, powiedz. Bądź szczerą choć przez chwilę.

- Jesteś trywialny - wzruszyła ramionami. - Wydaje ci się, że tylko to się liczy.

- Nie? To co masz do mnie?

- Dobrze wiesz. Nie złożyłeś podania o przywrócenie na studia.

- No to, co?

- Obiecałeś.

- To był głupi pomysł. Nie sprzedam się za indeks.

- Bredzisz. Wiesz, jaki jest twój problem? Ty się już poddałeś. Naprawdę to ty się wolności boisz, już nie chcesz wyrwać się z tego zadupia.

- Gdzie to wyczytałaś? Erich Fromm czy jakiś inny mędrzek modny w Paryżu?

- Wyczytałam to w twojej twarzy, kochanie.

Kiedy mówiła „kochanie” takim tonem, był to znak, że przestaje nad sobą panować.

- Czy do ciebie nigdy nie dotrze, że właśnie tu jestem najbardziej wolny? Nikt mi nie wciska żadnego marksistowsko-leninowskiego gówna. Nikt mnie stąd nie wyrzuci. Mogę mieć ich wszystkich w dupie. Z kierowcy mnie nie zdejmą.

- Wiesz, co, biedaku? To oni mają cię w dupie.

- Widzę, że ty też - uciał Andrzej i trzasnął drzwiami.

I tak się tego wieczoru rozstali. Kiedy wybiegł z domu, z trudem powstrzymał się, żeby nie odepchnąć Rajskego, który wciąż czekał na niego na ławce przed domem, paląc fajkę. Przypominał mu tym ojczyma. Andrzej bezbłędnie rozpoznawał zapach amphory, którą obaj doktorzy dostawali w prezencie, od co bogatszych pacjentów. Mieli zresztą więcej wspólnych zamiłowań. Grali w tenisa, jeździli na polowania. Jakby chcieli pokazać, że w całej komunistycznej szarzyźnie są jednak trochę lepsi, Andrzeja to mierziło. Kiedy doleciał go dym z fajki Rajskego, w środku zagotował się jeszcze bardziej. Ale opanował się. I tak zrobił już z siebie za duże przedstawienie przed Paulą. Kiedy więc doktor chwycił go za rękę, pozwolił się zatrzymać i usiadł posłusznie obok niego.

- Miał pan do mnie jakąś sprawę? - zaczął sam.

- No właśnie. Wiesz, martwi mnie ta moja córka. Obawiam się, że ona nie zda tej poprawki.

Andrzej spodziewał się zupełnie, czego innego. Był tak zaskoczony, że nie wiedział, co powiedzieć.

- Paula miałyby nie zdać jakiejś dupianej poprawki?

- Wiesz, jaka ona jest. Niesłusznie lekceważy tego generała. Wydaje się jej, że może z nim rozmawiać jak z innymi profesorami.

- Ale co ja mogę zrobić? Przecież mnie tym bardziej nie posłucha.

- Oczywiście. - Rajski machnął ręką. - Z nią w ogóle nie ma sensu gadać.

- To czego pan się po mnie spodziewa?

- Nie domyślasz się? No, przecież temu żołdakowi trzeba po prostu dać w łapę. Tobie łatwiej będzie wywiedzieć się wśród studentów, jakie jest do niego dojście.

Andrzej, oszołomiony, pokręcił głową.

- Z tego, co wiem, generał Wasilewski to ideowiec. Nie weźmie.

Doktor położył mu dłoń na ramieniu.

Nie weźmie? Jak ty jeszcze niewiele wiesz, mój chłopcze. Dobrze znam takich ideowców jak ten generał Wasilewski. Weźmie, i to z pocałowaniem ręki. Cała sztuka, żeby to załatwić przez właściwą osobę. No i nie dać za mało, bo się obrazi. To co? Mogę na ciebie liczyć?

Andrzej aż nie mógł uwierzyć, że trafia mu się taka okazja. Nie zastanawiał się dłużej, postanowił zrobić to, o co prosił go doktor Rajski. Jeśli chciał mieć haka na Paulę, to nie mógłby znaleźć lepszego.

- Jasne, panie doktorze - odpowiedział.

- Tylko Pauli ani słowa. Obiecujesz?

- Oczywiście. Za kogo pan mnie ma?

Jeszcze przez chwilę siedział obok doktora na ławce przed domem Rajskego, wystawiając twarz na ciepłe, zapierające dech podmuchy wiatru. W jego skołowanej głowie gniew ustąpił teraz miejsca złośliwej radości. Ale nie na długo.

Po latach (wrzesień 2000)

Grzebiąc w pudle, natrafiłem na inny list od Pauli Rajskiej, z początku lipca 1971.

Cześć!

Piszę do Ciebie, bo nie chciałabym, żebyś źle zrozumiał to, co stało się między mną i Andrzejem. To nie jest tak, że przesypiam się z kimś pod wpływem chwili. Wiem, że nieraz wygadywałam o nim różne rzeczy, ale widocznie okłamywałam sama siebie. Jedno jest pewne: Artur okazał się pomyłką. Zresztą, Ty przecież od początku wiedziałeś, że to pomyłka, prawda? Myślę, że w gruncie rzeczy ja też o tym wiedziałam. Co wcale nie znaczy, że teraz czuję się już na pewno na swoim miejscu. Jestem taka zagubiona. Przecież wiesz, jaki jest Andrzej. Nieobliczalny. Wydawało mi się, że mnie nie lubi, a tymczasem widzisz, co się stało. Tak chciałabym z Tobą dłużej o tym pogadać. Całuję Cię (jak siostra).

Twoja okropna Paulina R.

To było doprawdy trudne do zniesienia, te zwierzenia Pauli; jakbym był kawałkiem drewna i nic nie czuł. Ale kiedy odkładałem na bok urażoną samczą dumę, wchodzenie w życie Andrzeja tak głęboko, poznawanie go od nieznanych wcześniej stron stawało się po prostu fascynujące. Bez Pauli nie byłoby to możliwe.

Sam nie wiem, jak to się stało, ale kiedy widywaliśmy się, a miało to miejsce dość często po moim wyjściu z wojska, gadaliśmy głównie o Andrzeju. Za pierwszym razem, kiedy spotkaliśmy się przypadkiem na wieczorku tanecznym w Rotundzie, był to pretekst, żeby ją zaczepić i przypomnieć się. Prawdę mówiąc, pretekst wcale nie był potrzebny, ale tak wyszło. Zacząłem ją wypytywać, co u niego słychać, bo przepadł w tym swoim Nowym Targu. Z początku nie bardzo chciała cokolwiek mówić. Było to na wiele miesięcy przed tym, jak poszła z nim do łóżka. I jeszcze nic nie wskazywało, że to się kiedykolwiek stanie.

- Ach, do Andrzeja to trzeba mieć zdrowie - zachnęła się tylko. Ale przy następnych spotkaniach wspominała o nim coraz częściej, nawet sama nawiązywała rozmowę na jego temat. Dobrze pamiętam nasz ostatni wieczór w Rotundzie, pod koniec maja. Zatańczyliśmy parę kawałków, wypiliśmy pod stolikiem trochę wódki, którą przyniosłem, i rozwiązał jej się język.

- Wiesz, lubię go - wyznała niespodziewanie. - Choć to góral.

- Co z tego, że góral? - zdumiałem się naprawdę.

- Nie wiem. Niby nic, ale coś mnie od nich odrzuca.

- Co? Że szajbusy?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - To nawet fajne. Ale że antysemita. Wzruszyłem ramionami. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że Paula na tym punkcie była szczególnie przeczulona i jakie miała ku temu powody. Zaśmiałem się kpiąco.

- No wiesz? Przecież wszyscy Polacy to antysemita, nie słyszałaś o tym? To jaka różnica, góral czy nie góral?

- Nie żartuj sobie z tego. Mają nieładne rzeczy na sumieniu. Wiesz, góralenwołki i to wszystko.

Teraz to już o mało nie spadłem pod stół. Goralenwlk był zapomnianą kartą historii. Wśród ludzi w naszym wieku nawet nie wszyscy o nim słyszeli. W podręcznikach wspomniano o tym jednym zdaniem, a i to nie w każdym. Prawdę mówiąc, nikt nie był zainteresowany, żeby tej góralskiej hańbie nadawać zbyt duży rozgłos. Ani komuniści, ani ich przeciwnicy. Po śmierci Wacka Krzeptowskiego, powieszono go w dniu wkroczenia Rosjan na gałęzi w Kościelisku, problem właściwie sam się rozwiązał. Kiedy wodza dosięgła sprawiedliwość, na resztę wszyscy machnęli ręką. Przypominanie o Goralenvolku psułoby przekonanie, że byliśmy narodem niezłomnym w obliczu wroga, do czego władza ludowa przywiązana była równie mocno, jak patriotyczne podziemie. Sam przecież pamiętam, jak moja mama nuciła przy kuchni:

My kraj bez Quislingów, Petainów,
My naród nadziei i snów...

Goralenvolk nijak nie pasował do tego pięknego obrazka. Zakłócał wszystkim dobre samopoczucie. Chociaż, jaki tam z Wacka Krzeptowskiego był Petain. Zamarzyło mu się, że zostanie góralskim księciem, a skończył w Kościelisku na świerku. Nie kryłem zdziwienia, że akurat Paula brała to tak poważnie.

- Co ty gadasz? Ilu ich było w goralenvolku?

- Dziadek Andrzeja był - powiedziała cicho.

A więc wiedziała o tym. Nie spodziewałem się. Może zresztą tylko domyślała się, słyszała jakieś pogłoski. Nie miałem pojęcia, czy nawet Andrzej wiedział o tym na pewno. Nie wszystkie listy członków Goralenvolku się zachowały. Józef Kurniawa nie był wymieniany w żadnych pisanych dokumentach. Nie uczestniczył też w delegacji, która na Wawelu złożyła wiernopoddańczy hołd generalnemu gubernatorowi Frankowi. Andrzej mógł więc nie mieć pewności. W każdym razie o dziadku Kurniawie nigdy ze mną nie rozmawiał. A ja nie zadawałem pytań. Bo ja tę pewność miałem.

Dowód spoczywał do dziś w moim pudle, starannie zabezpieczony twardą tekturową okładką. Teraz wydobyłem go delikatnie i rozłożyłem go na stole obok listów od Pauli Rajskiej. Papier był wciąż w doskonałym stanie. Propagandowy hitlerowski szmatławiec „Das Generalgouvernement und deine Volk” został wydany bardzo starannie. Miał przekonać czytelników, jak fajnie żyje się w Polsce pod niemiecką opieką.

Całą rozkładówkę zajmował bogato ilustrowany reportaż o wizycie Reischfiihrera Himmlera w Zakopanem i przyjęciu, jakie goście zgotował wdzięczny naród Górali. W tym tekście też nie pojawiało się nazwisko Józefa Kurniawy. Ale pośrodku zamieszczono wielkie zdjęcie, zrobione przy bramie tryumfalnej na Kalatówkach. Wszyscy byli na nim widoczni bardzo wyraźnie: Himmler, Frank, wystrojony jak na wesele Wacek Krzeptowski, a trochę z tyłu dziadek Kurniawa w całej swej góralskiej urodzie, ze skrzypkami przy uchu. O pomyłce nie mogło być mowy. Józef Kurniawa był wcześniej sławnym przewodnikiem i jego charakterystyczna, ostra, wąsata twarz zachowała się na dziesiątkach przedwojennych fotografii.

- Teraz mnie rozumiesz? - spytała wtedy Faula. - Ja wiem, że Andrzej miał przerąbane od małego. Zawsze mu współczułam.

- Nie, wcale cię nie rozumiem - odpowiedziałem jej. - Co ma piernik do wiatraka? Dlaczego Andrzej miałby opowiadać za coś, co robił jego dziadek?

- Przecież nie mówię, że miałam mu to za złe - broniła się. - To on zawsze zadzierał nosa. Traktował mnie jak głupią gówniarę. I wtedy, i teraz. Wielki pan kierowca. Zauważyła, że to ostatnie wcale mi się nie spodobało.

- No, co? Wymyślił sobie, że będzie szoferem. Przecież to chore. On i szofer. I jeszcze ma do mnie pretensje, że studiuje, bo jemu się nie chce.

Miałem ochotę sprostować, że Andrzejowi nie chodziło o to, że Paula w ogóle studiuje, tylko co. Ale po co miałbym ją dobijać? Zresztą, nie zostawiła mi na to czasu. Chyba chciała zatrzeć złe wrażenie, bo wyciągnęła mnie szybko na parkiet. Pamiętam, że zagrali właśnie „Oh, Darling” Beatlesów, a Paula Rajska przykleiła się do mnie w tańcu. Nie było w tym nic wielkiego. Po prostu tańczyliśmy. Ale może mogłoby być. Od tego wieczoru w Rotundzie do jej pierwszej nocy z Andrzejem miało minąć jeszcze kilka tygodni. A o tym, że Artur Krupski naprawdę nigdy się nie liczył, rzeczywiście wiedziałem. Gdybym się choć trochę postarał...Do dziś nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem.

Zwlekałem, aż w końcu wydarzyła się ta historia w knajpie w Krościenku. Stało się jak w bajce o biednym szewczyku, który pokonał smoka i dostał w nagrodę córkę króla. I było po wszystkim. Szczerze mówiąc, byłem wtedy z nimi w Trzech Koronach. To stało się na moich oczach. Tej nocy spałem u Andrzeja. Pokoje w jego mieszkaniu miały wspólne drzwi, z jednej strony zastawione szafą, a z drugiej zasłonięte kilimem. Ale dźwięki przenikały przez nie całkiem swobodnie. Kilka godzin musiałem się męczyć, słuchając, co wyprawiali za ścianą.

O świcie spotkałem Paulinę w kuchni, gdzie, podobnie jak ja, szukała czegoś do picia. Była zaspana, w za dużej na nią koszuli Andrzeja. Właśnie wtedy zapukał Artur Krupski, a ona poszła mu otworzyć. Za chwilę wróciła i z butelką kefiru w ręce przysiadła na taborecie, podkurczając jedną nogę. Koszula Andrzeja rozchyliła się całkiem i przez sekundę, jedyny raz w życiu, zobaczyłem Paulę nagą. Zrobiło mi się sucho w gardle. A ona spytała niewinnie: - Jak się spało?

Wystawiła język, oblizując kefir z górnej wargi, a ja myślałem, że skonam.

- Nie najlepiej - przyznałem się szczerze. - A tobie?

- A mnie super - odpowiedziała i uśmiechnęła się przepraszająco, jak dziecko przyłapanie na wyjadaniu z garnka.

Naprawdę nie spodziewałbym się wcześniej, że tak to przeżyję. Poczulem się, jakbym dostał cegłą w łeb. Chyba jeszcze gorzej niż nieszczęsny Artur Krupski. Ale, oczywiście, udawałem, że tylko na to czekałem i że wszystko jest w najlepszym porządku, że po prostu nareszcie spełniło się przeznaczenie. Paula jednak musiała wyczuć fałsz w moim zachowaniu, skoro napisała do mnie taki list.

Kiedy miesiąc później przyjechałem do Nowego Targu na obóz naukowy doktora Boryczki, wcale nie unikałem towarzystwa Andrzeja i Pauli. Nawet go szukałem. Udawałem po prostu przyjaciela domu, jakby było oczywiste od zawsze,

że oni są dla siebie stworzeni. A to nie tylko nie było oczywiste, ale wydawało mi się zupełnie bez sensu. Mimo to jakby nigdy nic chodziłem z nimi nad rzekę i do knajpy, bez protestu patrzyłem, jak Andrzej ją obłapiał, jak na plaży kładł głowę na jej brzuchu i jak tańcząc w Podhalance, miętosił jej pośladki. Było więc zupełnie normalne, że kiedy zaczął mieć z Paulą problemy, przyszedł po pomoc nie do kogo innego, tylko do mnie. Któregoś ranka przyjechał do mnie na kwaterę o jakiejś nieludzkiej godzinie, obudził mnie i oznajmił bez wstępów:

- Wiesz, trzeba naszej prymusce kupić egzamin. Okazuje się, że nie wszyscy poznali się na jej geniuszu.

Z trudem ukrywał satysfakcję. Może to dziwnie zabrzmiało, ale ja też się ucieszyłem. Nie wiem, z czego bardziej. Czy z tego, że mogę przysłużyć się Pauli, choćby bez jej wiedzy, czy z tego, że to właśnie mnie Andrzej wciągnął do spisku. Widać było, że sam nie bardzo wiedział, jak sobie z tym poradzić. Tak czy inaczej musiał poprosić kogoś o pomoc. A zaufanie miał właśnie do mnie.

- Słuchaj, a ty nie masz jakiegoś dojścia do tego generała Wasilewskiego? - pytał bezradnie.

- Mogę mieć do pułkownika Gniadosza - przyszło mi do głowy genialne rozwiązanie. - To starzy kumple.

- Do tego skurwysyna? - skrzywił się Andrzej.

- Wybieraj. Takich rzeczy nie załatwia się przez księdza.

- No dobrze - machnął ręką. - Bylebym ja nie musiał go oglądać. Było mi to całkiem na rękę. Po pierwsze, moja zasługa stawała się większa. Po drugie, ja, w przeciwieństwie do mego przyjaciela, byłem ciekaw Gniadosza. Niespodziewanie Andrzej wystrzelił, jakby czytał w moich myślach:

- Przy okazji możesz z nim przeprowadzić wywiad, jak likwidował bandy. - A, kiedy milczałem zaskoczony, dorzucił: - A właśnie, jak tam twoje badania historyczne? Dowiedziałeś się czegoś nowego?

W jego głosie wyczułem sarkazm. Zacząłem coś opowiadać, że to trudne, chłopcy nie chcą z nami rozmawiać, może się boją, a może mają coś do ukrycia, opowiadają przeważnie to, co i tak już ogólnie wiadomo. A niewiadome pozostają niewiadomymi.

- A czego się spodziewałeś? - spytał nagle innym tonem. - Nikt nie ma ochoty od nowa babrać się w tym gównie. Tobie też się dziwię. Myślałem, że jak zobaczysz, w czym się grzebiesz, dasz sobie spokój.

Zaskoczyła mnie gwałtowność, z jaką to powiedział. Wydawało mi się, że już pogodził się z moim udziałem w obozie historycznym Boryczki i nawet zaczął się przekonywać, że nie miałem złych intencji. Teraz nagle znów coś mu się nie podobało. Byłem zdezorientowany. Jeszcze nic nie wiedziałem o Amerykaninie, który właśnie u niego zamieszkał. I który, choć dopiero się pojawił, zdążył już parę osób nieźle nastraszyć. Nie miałem, więc pojęcia, czym Andrzej miał od dwóch dni zaprzątniętą głowę. Oczywiście, jeśli nie liczyć Pauli, która zaprzątała go bez przerwy.

Po powrocie do domu długo nie mógł zasnąć. Wiatr wył za oknem coraz głośniejszy, a na skwerze śpiewali pijani górale. Zwykle mu to nie przeszkadzało. Ale nie tego dnia. Wizyta u Pauli zburzyła resztki jego opanowania. Satysfakcja ze spodziewanej zemsty szybko minęła i wróciło przykre wspomnienie tego, jak został potraktowany. Przez chwilę nawet żałował, że nie poderwał sobie w Podhalance panienki. Dawniej wystarczyło, że przyszła mu ochota, a zawsze trafiła się chętna. Zastanawiał się, gdzie jeszcze teraz mógłby jakąś znaleźć. Znał dwa niezłe adresy. Ale w końcu dał spokój. Jeszcze do tego nie dojrzał.

Przewracał się bez końca po tapczanie. Wydawało mu się, że za ścianą słyszy oddech obcego. W każdym razie czuł jego obecność. Nie wiedzieć, dlaczego rozdrażniło go to jeszcze bardziej. Wreszcie wstał, zapalił światło i próbował znaleźć sobie coś do czytania. Odruchowo wziął z półki „Beskidy w ogniu” pułkownika Gniadosza, usiadł w fotelu i zaczął przeglądać. Kiedy był młodszy, robił to wiele razy. Dziś może się wydawać dziwne, że Andrzej trzymał w domu relację komunisty i ubeka, który kierował akcjami przeciw partyzantom. Ale wtedy ta książka była, w co drugim domu na Podhalu. Po prostu z niej jednej wynikało czarno na białym, że w ogóle istniała jakaś antykomunistyczna partyzantka. A przede wszystkim można było zobaczyć na zdjęciach, jak wyglądali partyzanci i ci, którzy do nich strzelali.

Przed laty właśnie w niej znalazł ostateczne potwierdzenie, kim był naprawdę jego ojciec. Jedna z ilustracji nie pozostawiała, co do tego żadnych wątpliwości. Mężczyzna w rogatywce i z automatem, określony w podpisie jako bandyta Góral, zabity w wyniku bandyckich porachunków, był na pewno tym samym, które go Andrzej znał z nielicznych rodzinnych fotografii. Ukazanie się wspomnień ubeka musiało rozwiązać jego ostatnie złudzenia, jeśli jeszcze je miał.

Dawno już nie sięgał do książki Gniadosza. Kiedyś nawet chciał ją wyrzucić, jeszcze za życia matki, ale coś go powstrzymywało. Teraz znów zaczął przerzucać kartki, jak dawniej zatrzymując się na fotografiach. Nagle złapał się na tym, że tym razem w twarzach uczestników krwawych zmagani sprzed lat szuka podobieństwa do Amerykanina, który spał za ścianą. Poczuł rosnącą wściekłość, sam nie wiedział, na co. Już nie tylko na Paulinę. Jakąś ogólną, na cały świat. Kiedyś, przed laty, te twarze też nie dawały mu spokoju, ale wtedy był chłopcem, który nie wiedział, czego chce od życia. Teraz musiałyby zwariować, żeby z powrotem dać się wciągnąć w ten obłąd. Mało brakowało, a rzuciłyby wspomnieniami pułkownika Gniadosza o ścianę. Opanował się i odłożył je spokojnie na półkę. Potem nalał sobie do szklanki solidną porcję wódki i nastawił radio na „Muzykę nocą”. To było lepsze niż walczyć beznadziejnie z brakiem snu.

Do trzeciej klasy nie wiedział, że miał ojca bandytę. Dorośli najpierw opowiadali mu jakieś bajki, że jest za granicą. Skończył już osiem lat, kiedy po raz pierwszy odważyli się powiedzieć mu, że jego ojciec nie żyje. Podśluchał jakąś rozmowę i dłużej nie mogli zaprzeczać. Ale nawet wtedy nie zdradzili żadnych szczegółów. Tylko tyle, że zginął. Tak, jakby zginął w jakimś wypadku.

Okłamywała go nawet ciotka Zuzanna Bilaska, która przez prawie dziesięć lat zastępowała mu matkę. Wiedział, że przez pierwszy rok przychodziła do niego kobieta ze wsi, która przynajmniej raz dziennie karmiła go piersią. Ale nie pamiętał jej i nigdy jej później nie spotkał. Odkąd sięgał pamięcią, była tylko ciotka Zuzanna. To w jej ramionach zasypiał jako mały chłopiec i do jej łóżka przybiegał rano po przebudzeniu. Z nią chodził na pierwsze spacerunki do lasu i na kamienistą plażę w miejscu, gdzie Czarny Dunajec łączy się z Białym. Ona pomagała mu w ścisłych przedmiotach, bo dziadek Kossakowski miał kłopoty już przy obliczaniu reszty na bazarze. I nawet ona nie złamała zмовy milczenia.

Był wtedy akurat zakochany w swoim wychowawcy, nauczycielu historii magistrze Kowalu. Podziwiał go, jak chyba nikogo innego w całym życiu. Kiedyś magister Kowal był kapitanem KBW i walczył z bandami. Nawet utykał na nogę po tym, jak w jednej z potyczek bandycka kula strzaskała mu kolano. Andrzej nie mógł zrozumieć, dlaczego nauczyciel nie odwzajemnia jego uczucia, choć tak bardzo starał się na to zasłużyć.

Tak lubił lekcje wychowawcze na świeżym powietrzu, kiedy Kowal prowadził całą klasę doliną w stronę Turbacza, na wzgórze nad miastem, albo na łąki za szpitalem. Sadzał ich wkoło i opowiadał, jak bohatercko chłopcy z KBW, UB i MO walczyli o nową Polskę. Jak z lasów porastających zbocza Gorców wymiatali bandytów, którzy ośmielili się podnieść swe zbrodnicze, kierowane zza granicy ręce na ludową władzę, władzę robotników, chłopów i postępowej inteligencji. Wyobrażał sobie wtedy, że jest w prawdziwej akcji przeciwko bandytom; magister Kowal na czele, on obok z pepeszką w rękach, podchodzą pod zabudowa nia pod lasem, tam gdzie stara chałupa Mrugałów, on krzyczy: „W imieniu władzy ludowej, poddajcie się, bandyci, jesteście otoczeni!”.

To wszystko zaważyło mu się, kiedy do ich klasy przyszedł Felek Boruta, syn nowo mianowanego sekretarza partii, którego przysłali do Nowego Targu, żeby wreszcie zrobił tu porządek. Felek wierzył, że wszystko mu wolno. I w dodatku niewiele się mylił. Żadnemu z belfrów nie przyszłoby do głowy, żeby narazić się jego ojcu. I choć to właśnie oni musieli dla Felka wymyślić przydomek Partyjniaczek, w szkole był nietykalny. I od razu zaczął rządzić w klasie.

Przekleństwem Partyjniaczka były długie, obcięte na pazia włosy, jakich wtedy poza nim nie nosił nikt w całej szkole. Jego matka, choć żona pierwszego w powiecie komunisty, gust miała nieprzyzwoicie burżuazyjny. Może właśnie przez tę fryzurę zrobił się taki mściwy, bo wyczuwał, że chłopcy za plecami śmieją się z niego. I robił wszystko, żeby się go bali. Na początku Partyjniaczek najbardziej gnębił bliźniaków ze wsi, Zbyszka i Tadka Srałów. Bracia Srale nadawali się do tego jak mało, kto. Nie tylko przez swoje nazwisko. Przede wszystkim dla tego, że i bez Partyjniaczka byli zastraszeni i pogiębieni. Prawie cała ich rodzina była kiedyś u Ognia. Ojciec siedział z wyrokiem śmierci zamienionym na dożywocie, a wujkowie i dalsi krewni albo nie żyli, albo też gnili w różnych kryminałach. Bliźniacy jakby przeprasali, że istnieją. Obaj byli naładowani chłopską krzepą i umieli się bić. Ale Partyjniaczkowi nie potrafili stawić czoła.

Od razu, pierwszego dnia po długiej przerwie, przed samym wejściem nauczyciela, Felek wypchnął bliźniaków z ławki i kazał im siedzieć na podłodze. I oni usiedli. Musiało to naprawdę zrobić na Andrzeju wrażenie, bo pamiętał tę scenę jeszcze po wielu latach. Wyglądało to trochę tak, jakby ktoś kijem zapędzał psy do budy. One szczerzą zęby i warczą, ale w końcu włązą. Tak samo Srale, choć próbowali odpychać Partyjniaczka ciałami, patrzyli spode łba i powarkiwali, no, co, no, co, w końcu i tak wylądowali na podłodze. A wtedy do klasy wszedł magister Kowal i od razu na nich, co oni sobie wyobrażają. Co to za wyglupy, co to za demonstracje? Bliźniacy nic się nie odzywali, tylko łypali spode łba, ale dalej siedzieli na podłodze, a Partyjniaczek rzucił półgłosem, że widocznie wiedzą, że tam ich miejsce. Jak na takiego smarkacza, był porządnie politycznie wyszkolony. Po klasie przebiegły chichoty. Magister Kowal też się uśmiechnął, niby to hamując się, bo mu nie wypadało. Potem wyrzucił za drzwi nie Felka, tylko bliźniaków.

Andrzej wcale nie żałował Sralów. Byli przecież z bandyckiej rodziny, a on chciał być po stronie magistra Kowala. Miał nadzieję, że Felek zostanie jego przyjacielem. Jakże się zawiodł. Partyjniaczek nie tylko nie zdradzał najmniejszej ochoty, żeby się z nim skumplować, ale szybko wyczuł, że to może być następna łatwa ofiara. Kto poznał Andrzeja po latach, nigdy nie uwierzył by, jakim naiwnym, nieśmiałym i niezdolnym do obrony chłopcem był on we wczesnym dzieciństwie. Wyniósł to z domu, był nauczony, żeby jak najmniej rzucać się w oczy. Oczywiście, że brało się to ze strachu i z troski o niego. Ale skutek był taki, że jeszcze w szkole wierzył w Świętego Mikołaja i w bajkę, że ludzie na przyjaźń odpowiadają przyjaźnią.

Zaczęło się od taniego numeru z podłożeniem na ławkę pluskiewki. Wielkiej, z podwójnie długą szpilką. Andrzej naprawdę o mało nie zemdlał, kiedy weszła mu w pośladek. Zatrzymała się chyba na kości. Wyraźnie usłyszał zgrzytnięcie. Ale nawet się nie poruszył. Taki wtedy był. Wstyd nie pozwolił mu krzyknąć i podskoczyć na ławce. Siedział sztywny i czekał, aż minie szok. Dopiero po chwili sięgnął ręką do tyłu, wyciągnął pluskiewkę z pośladka, odwrócił się i położył ją na ławce przed Partyjniaczkiem.

- Nie udało się - powiedział przez ściśnięte gardło.

Ale na szpilce była krew i Felek Boruta dobrze wiedział, że się udało. W tej samej chwili magister Kowal zauważył, że Andrzej gada, wywołał go i zapytał, czy wie, o czym to właściwie jest mowa na lekcji. Andrzej wiedział to bardzo dobrze, w słowa magistra Kowala wsłuchiwał się zawsze jak w najpiękniejszą muzykę. Ale poczuł się tak dotknięty niesprawiedliwością swego ukochanego nauczyciela, że nie mógł wydusić z siebie słowa. A magister Kowal, nie ukrywając zadowolenia, wpisał mu do dziennika dwóję. To nic dziwnego, powiedział, że Andrzej nie chce słuchać, jak lud pracujący rozprawił się z burżujami oraz ich pachółkami z leśnych band. On wie, że dla niektórych to przykry temat. Andrzej nie wierzył własnym uszom. Przecież zawsze tak się starał, żeby magister Kowal był z niego zadowolony. Na szkolną akademię przygotował nawet, w tajemnicy przed dziadkiem, wiersz o

śmierci komunisty, zamordowanego przez bandytów. Coś dławiło go w gardle za każdym razem, kiedy recytował:

Jeszcze chwiał się o ścianę wsparty.

Czekał: Lufy strzałem zadymia!.....

I oddała swe imię Partia

tym, co własnych zrzekli się imion.

Jednak do występu magister Kowal wybrał innych uczniów, którzy, Andrzej był tego pewny, recytowali dużo gorzej i bez takiego uczucia. Wtedy miał tylko żal do wychowawcy, ale pomyślał, że widocznie powinien starać się jeszcze bardziej. Tym razem, po incydencie z pluskiewką, miał świadomość klęski.

Srale mieli od tego dnia trochę lżej. Felek zajął się Andrzejem. Teraz to jego tornister ginął najczęściej, a potem znajdował się w toalecie dla dziewcząt albo w krzakach na skarpie za szkołą. W kanapkach odkrywał piasek i zdechłe muchy, a raz przez całą dużą przerwę paradował z napisem na plecach: „Lubię mieć szpilę w dupie”. Nie umiał się przed tym bronić. Wychowywany przez dziadka na Platonie i Horacym, nie miał wyrobionych najprostszych odruchów, jakie ma każdy chłopak w jego wieku, na wet najgłupszy. Zaczepki próbował traktować filozoficznie, obracać w żarty, co przynosiło jak najgorsze skutki, bo tylko coraz bardziej podniecało Partyjniaczka.

Andrzej wszystko to znosił do czasu, kiedy Felek wpadł na pomysł nowej zabawy: w sprawdzanie jajek. Na przerwach korzystał teraz z każdej okazji, żeby wepchnąć Andrzeja w kąt - tam chwycił go między nogami, macał i ścisnął. Miał do tego kilku chętnych pomocników. Było to nie tylko bolesne, ale za każdym razem coraz bardziej upokarzające. Coraz trudniej było udawać, że to tylko żarty. Choć Andrzej nadal nie bronił się naprawdę, a tylko się kulił, ścisnął i krzyżował uda.

Aż któregoś dnia rozgorączkowany jego słabym oporem Partyjniaczek przycisnął go do ławki w klasie i zawołał:

- Chodźcie, zobaczcie, on tam nic nie ma. Odpadły mu!

Dwaj tacy, co najbardziej podlizywali się Felkowi, natychmiast przygwoździli Andrzeja do ławki, a sam Felek zaczął rozpinać mu rozporek. Andrzej w tym momencie przestał słyszeć, czuł tylko dziwny szum i gorąco w głowie. Nigdy wcześniej nie przypuszczał, że ma tyle siły. Wywinął się trzymającym go chłopcom, złapał z ławki ciężki drewniany piórnik i rąbnął nim Partyjniaczka w głowę.

Skutku nie byłby w stanie przewidzieć nigdy w życiu. Wydawało mu się, że ogląda kolorowy film, tak bardzo czerwona była krew, która zalała skroń i policzek Partyjniaczka. Boruta z osłupiałą miną dotknął ostrożnie twarzy, a kiedy popatrzył na swoje zakrwawione palce, oczy wyszły mu na wierzch, jakby go coś dusiło za gardło, potem nogi mu zmiękły i osunął się na podłogę. Ale to był tylko strach, nie stracił przytomności. Kiedy Andrzej już myślał, że zabił Felka Borutę, ten otworzył usta. Przez długą chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu, jakby nie potrafił przypomnieć sobie obelgi dość strasznej, żeby nazwać to, na co od ważył się Andrzej. Wreszcie wrzasnął płaczliwie:

- Bandyta, jak jego ojciec i matka!

W tej okropnej dla dziewięciolatka chwili Andrzej nie pojął jeszcze, co naprawdę znaczyły te słowa. Rzeczywiście czuł się jak bandyta. Wciąż jeszcze sądził, że Felek zaraz umrze, tym bardziej, że krew puściła mu się także z nosa i robił się coraz bielszy. Dziadek nieraz ostrzegał Andrzeja, że uderzeniem w skroń można zabić. Teraz miał dowód. Ale ani się nie bał, ani nie żałował tego, co się stało. Gdyby ktoś go jeszcze tylko dotknął, był gotów dać lej rozbijać głowy piórnikiem, który ciągle ścisnął w ręce, aż bolało.

W szkole sprawę wyciszono. Dziadek Andrzeja został wprawdzie wezwany do dyrektora, ale przecież prawie wszyscy starsi nauczyciele byli jego kolegami jeszcze sprzed wojny. Sekretarz Boruta też pewnie nie życzyłby sobie takiego rozgłosu. Wszyscy uczestnicy zajęcia, łącznie z Felkiem, za karę zostali po lekcjach i musieli napisać w zeszytach po sto razy: „Złe zachowanie w szkole to woda na młyn wrogów socjalizmu”. I na tym się skończyło. Jednak dla Andrzeja najgorszą karą była świadomość, że magister Kowal już nigdy nie poprowadzi go do ataku na klasowego wroga, czającego się w lesie na stokach Turbacza.

Teraz już wiedział, że nigdy nie będzie tego godny. Wystarczyło parę godzin, żeby się dowiedział, co ukrywano przed nim przez lata. Okazało się, że prawie wszyscy chłopcy w klasie wiedzieli, tylko on nie. Można by pomyśleć, że tego dnia świat przewrócił mu się do góry nogami. Ale kiedy minął pierwszy szok, poczuł nawet coś w rodzaju ulgi, bo zrozumiał, gdzie jest jego miejsce. Wiedział wreszcie, czego się trzymać; jeśli już ma być tym bandytą, no to będzie. A gwałtowna miłość do magistra Kowala za mieniła się w równie gwałtowną nienawiść.

Było jasne, że Partyjniaczek tak tego nie zostawi. Andrzej liczył się z jego zemstą i próbował być ostrożny. Aż w końcu miał tego dość. Powiedział sobie, że jeśli już tak, to gotów jest nawet zginąć, jak ojciec.

Dopadli go w parku nad rzeką. Partyjniaczek, Jasiołek Morek, syn ubeka, zwanego Krwawym Staszkiem, i jeszcze jacyś dwaj. Z okrzykiem „Bić bandziora!” przewrócili go na ziemię i od razu wzięli pod buty. Myślał, że już po nim. Dziecięce nogi też mają swoją siłę. Z początku próbował jakoś zasłaniać głowę i brzuch, ale kiedy pomiędzy kopiącymi go nogami dostrzegł nadbiegającego alejką Krwawego Staszka, nabrał pewności, że naprawdę biegnie już po niego śmierć. Sława, jaka się za ubekiem ciągnęła, budziła strach w całym mieście. Ludzie opowiadali, że powybił w śledztwie zęby nawet łączniczce i jednej z licznych kochanek Ognia, przez co ten starał się go dopaść za wszelką cenę. Ale nie dopadł. Krwawy Staszek zawsze był górą. Andrzej wtulił jeszcze mocniej głowę w ramiona i zamknął oczy.

Kiedy je otworzył, zaskoczony pustką, jaką nagle poczuł na około siebie, zobaczył, jak śmierć w postaci Krwawego Staszka trzyma lewą ręką za włosy swojego własnego syna, a pozostałych rozgania kopniakami. Dwaj uciekli od razu, tylko Partyjniaczek zatrzymał się ledwo o parę kroków i patrzył wściekłym wzrokiem. Ubek tymczasem okładał swego syna otwartą dłońią po głowie.

- A masz - sapał, i było to i śmieszne, i straszne. - A masz. Ile razy ci mówiłem, co? Ile razy?

Twarz Jaśka zalała się krwią, a ojciec ciągle bił. Andrzej wciąż nie mógł uwierzyć w to, co widział. Pozbierał się z ziemi i złapał Morka za rękaw.

- Niech pan przestanie! - krzyknął. - To nie jego wina. Dopiero teraz Krwawy Staszek się opamiętał. Pozwoliło to Jaśkowi złapać oddech. Obcierając palcami krew z nosa, wyciągnął ramię w kierunku Felka Boruty i zawołał przez łzy:

To on mi kazał!

Ubek puścił syna i zrobił krok w stronę Partyjniaczka, który odskoczył, ale też tylko o krok.

- To tak, zasrańcu? Będziesz mi chłopaka buntował? Chodź no tu!

- Niech pan mnie złapie, jak pan da radę - krzyknął Partyjniaczek i pokazał mu zgięte ramię. - Mój ojciec to sekretarz Boruta. On pana zgnoi! On pana zdepcze! Pana już nie ma! Krwawy Staszek puścił się w pogoń, ale Felek był już w bezpiecznej odległości. Więc tylko zawołał za nim: - Wiem, kto jest twoim ojcem, zasrańcu. Jeszcze was dopadnę. I ciebie, i jego.

Potem zawrócił i powiedział do potulnie czekającego Jaśka:

- Idziemy, powtórzysz to w komitecie. Pogadamy sobie z towarzyszem Boruta. To ładnie wychował sekretarz synalka. Ty mi się od niego trzymaj z daleka. Omamią tacy człowieka, otumania, a jak im na to pozwolisz, to potem cię kopną, jak parszywego psa. Mamrotał tak jeszcze przez chwilę, jakby sam do siebie, aż Andrzej zaczął się go znowu bać, bo teraz doszedł do wniosku, że ubek zwariował. Ten musiał w końcu zauważyć jego przerażony wzrok, bo jakby się ocknął i powiedział uspokajająco:

- A ty, mały, nic się nie bój. Teraz nikt cię nie ruszy.

Rzeczywiście, trudno w to uwierzyć, ale od tej pory już się Andrzeja nie czepiali. Felka nie było w szkole parę dni, a potem wrócił krótko ostrzyżony i potulny. Andrzej nic z tego nie rozumiał, bo nie wiedział, że już szczęśliwie kończyły się czasy towarzysza Boruty i tych, co go przysłali. Wkrótce sekretarz został odwołany z Nowego Targu, a razem z nim zniknął Partyjniaczek. Zdarzenie to miało wpływ na zachowanie Andrzeja jeszcze po wielu latach. Kiedy zaczął spotykać Krwawego Staszka jako kelnera w Podhalance, nie mógł nie podać mu ręki.

Z upływem czasu awantura z Felkiem Boruta zmieniła się w jedno z najprzyjemniejszych wspomnień, jakie Andrzej wyniósł ze szkoły. Właśnie wtedy przestał się bać. Nawet teraz, kiedy znalazł się w takim dołku, myśl o tym, jak walnął Partyjniaczka piórnikiem w głowę, poprawiła mu nastrój. Obcy za ścianą wydał mu się już mniejszym problemem. I sam nie wiedział, kiedy zasnął, nie dopiwszy wódki. Zostało jej w szklance jeszcze całkiem sporo.

6

Wydawało mu się, że ledwo zasnął, zaraz obudził go zły sen. W rzeczywistości było już po szóstej. Owinał się płaszczem kąpielowym, podszedł do okna i otworzył je na oścież. I aż się cofnął. Pierwszą rzeczą, na jaką natknął się jego wzrok, były okulary obcego. Amerykanin siedział na ławce na skraju skweru i palił

papierosa, a czarne szkła miał wycelowane prosto w okno. Andrzej nie słyszał, jak tamten wychodził, za to jeszcze dwie minuty wcześniej widział go we śnie. Pierwszy raz od kilku miesięcy był to znowu sen z matką. Zobaczył ją na ulicy, była to któraś z uliczek odchodzących od rynku, jakby Szkolna, a może raczej Kolejowa, a on zawołał: Zaczekaj! Matka na moment odwróciła głowę, a potem nagle zaczęła uciekać. Zaczekaj! - wołał, to ja! Ale ona uciekała coraz szybciej, kluczyła ciemnymi uliczkami. Spojrzał do tyłu i zobaczył, że nie tylko on gonił matkę. Drugą stroną ulicy biegł Amerykanin, wciąż w swoich czarnych oku larach, mimo że była to noc. Uciekaj! - krzyknął teraz Andrzej za matką - Uciekaj! - przerażony, że to on ściągnął na nią niebezpieczeństwo. Obcy zatrzymał się i wymierzył do niego z pistoletu. Ale nie z takiego, jakie miewali gangsterzy w amerykańskich filmach, tylko z rozpylacza z prostym magazynkiem, jak ze zdjęć w książce pułkownika Gniadosza. Przeznaczenie czasem się spóźnia - powiedział i zaśmiał się bardzo głośno. Andrzej nie usłyszał strzałów, ale czuł, że pociski już nadlatują. W tym momencie się obudził. Wiedział, że to głupi sen, bez żadnego sensu, ale nie mógł się z niego otrząsnąć.

Pierwsze spotkanie z matką po jej wyjściu z więzienia okazało się wielką klapą. Tak na nią czekał, tak czekał. Tyle razy przeżywał w wyobraźni powitanie. Tyle razy w myślach rzucał się jej na szyję, a ona odpowiadała gorącym uściskiem. A potem weszła szczupła, krótko ostrzyżona pani, zupełnie niepodobna do roześmianej dziewczyny ze zdjęć, które pokazywał mu dziadek Kossakowski. Stała nieruchomo, mnąc w palcach połę zakietu,

- No, to przecież twoja mamusia, biegnij do niej - powiedział dziadek i popchnął go. Andrzej wiedział, że powinien podbiec, ale nogi go nie słuchały. Podszedł powoli, ze spuszczoną głową. Naprawdę chciał za rzucić obcej pani ręce na szyję. Ale tylko wyciągnął je niepewnie i dotknął jej bioder. Zapamiętał, że spódnicę miała szorstką, jakby w grudki. Wtedy ona położyła mu dłoń na głowie.

- Mój biedaku - powiedziała, a potem rozplakała się i wybiegła.

Nigdy później nie zdołali zatrzeć wrażenia, jakie zostawiło to fatalne powitanie. Nigdy też nie umiała rozmawiać z nim o ojcu. Był całkiem sam ze swoim problemem. Kiedy za sprawą Felka Boruty zawaliły się wszystkie mity tworzone przez dziadka i babcię, przestał wierzyć, że może być na świecie ktoś, kto by go nie oszukał. Z początku liczył jeszcze na matkę. Ona jedna nie okłamywała go. Cenzurowane listy z Rawicza w ogóle na ten temat milczały. A teraz ta matka, z którą wiązał takie nadzieje, potrafiła się tylko rozplakać. Zanim udało im się nawiązać bliższy kontakt, pojawił się w ich życiu doktor Piotr Zawada. To znaczy, pojawił się dużo wcześniej, ale nie w tej roli. Andrzej nigdy nie traktował go jak kandydata na swego nowego ojca. Dopiero po latach przypomniał sobie, że dziadek zawsze robił wszystko, żeby jak najmocniej polubił doktora Zawadę, żeby się do niego przywiązał. Jeszcze na długo przed powrotem matki. Kiedy był dzieckiem, nie dostrzegał tego. Doktor był dla niego tylko sympatycznym, przynoszącym drobne prezenty wujkiem, z którym przyjemnie było czasem pójść na ryby albo piec kiełbaski nad ogniskiem. I to wszystko. Nie miał pojęcia, że były okresy, kiedy tylko dzięki dyskretniej pomocy doktora nie głodowali.

Teraz nagle Zawada miał wejść do ich rodziny. Dziadek Kossakowski bardzo się o to starał. Pewnie nic by z tego nie wyszło, gdyby usilnie i z uporem nie nakłaniał Wiktorii do małżeństwa. Ona sama wcale się nie paliła, choć doktor od lat adorował ją w milczeniu i ze zdumiewającą pokorą. Kiedy siedziała w Rawiczu, wysyłał jej krzepiące listy i paczki z czekoladą. Teraz przyszła pora, żeby uregulować dług wdzięczności. Andrzej podsłuchiwał kiedyś, jak dziadek tłumaczył matce:

- Choćby, dlatego, że tak długo czekał, nie powinnaś mu odmawiać. To by było nieludzkie. A poza tym chłopcu potrzebny jest mężczyzna. Nie wiadomo, jak ja jeszcze długo pociągnę.

I w końcu Wiktoria Kossakowska uległa. Od tej chwili żyło im się dużo lepiej. Doktor Zawada starał się jak mógł, żeby zapewnić rodzinie dostatek. Ale jako ojciec był do niczego. Nie umiał przełamać nieufności Andrzeja. Może chciałby. Zresztą, może chcieliby tego obaj, ale Zawada za bardzo się bał. W ten sposób Andrzejowi wciąż brakowało kogoś, kto mógłby mu w trudnych chwilach poradzić. Złe czy dobrze, ale poradzić. Tak było wtedy i po latach nic się nie zmieniło. Nagle dotarło do niego, że znów pozwala, aby zaprzętały go głupie, niepotrzebne myśli. Chwytał hantle i przez pół godziny ćwiczył solidnie, dopóki mięśnie nie odmówiły posłuszeństwa. Wziął zimny prysznic, przebrał się w dres i poszedł do kuchni za parzyć sobie kawę. Nastawiał wodę, kiedy za szybą zobaczył Chowańcową. Jakby specjalnie czekała na ganku na tę chwilę. Otworzył drzwi, nie czekając, aż zastuka.

- Przyszłam, bo widziałam, że Andrzejek już nie śpi. Cukru mi zabrakło, a mój stary jest chory, jak sobie z rana nie wypije słodkiej bawarki. Pożycz mi Andrzejek, póki nie otworzą sklepu?

Był to jeden z jej stałych numerów. Można było najwyżej zgadywać, czy następnym razem braknie jej herbaty, soli czy tartej bułki. Odsypał jej solidną porcję do szklanki i czekał, żeby wydobyła z siebie, z czym naprawdę przyszła.

- Niech pani usiadzie. Napije się pani kawy, pani Chowańcowa? - spytał.

- Wie Andrzejek, że ja kawy nie piję, bo mi i bez tego ciśnie nie skacze.

Jednak usiadła. Chowaniec mógł poczekać ze swoją bawarką. Andrzej starał się dobrze żyć z takimi sąsiadami, jakich miał. Zresztą, Chowańcowa bywała przydatna. Od lat handlowała na bazarze i zdarzało się, że zaopatrywał się u niej w wystrzałowe, zagraniczne ciuchy. Jej mąż, schorowany i ponury sześćdziesięciolatek, był milicjant, prowadził w podwórku zakład ślusarski i to też było wygodne, kiedy trzeba było coś szybko zreperować. Panieńskie nazwisko Chowańcowej brzmiało Mrugała. Była przyrodnią siostrą Franka z Mrugałówki. To właśnie ona przekonała brata, że Andrzej jest firmą solidną i godną zaufania. Zawdzięczał jej także kilka innych niezłych interesów. Tak, że w gruncie rzeczy nie mógł na nią narzekać.

- To widzę, że trafił się Andrzejkowi dewizowy lokator? - zaczęła.

- Czasem i Andrzejkowi coś się trafi.

- Niech Andrzejek sobie, broń Boże, nie pomyśli, że ja zazdroszczę. Pewnie, że mu się przyda te parę dolarów. Chciałam tylko Andrzejka ostrzec, ze szczerego serca.

- Od razu pomyślałem, że to jakiś gangster, widziałem takich w kinie.

- Andrzejek może sobie żartować, ale on mi się naprawdę nie podoba. Pogadałam sobie z nim wczoraj.

- Już pani zdążyła?

- Sam mnie zaczepił. Wszystko chciał wiedzieć, co się teraz w Nowym Targu dzieje. Jakiś za bardzo ciekawy. Dużo wypytuje, a o sobie nie chce gadać.

- Nic pani z niego nie wyciągnęła? Nie wierzę.

- Tyle, że ma duży interes. - Nie! Poważnie? I to jest mało?

- Duży interes w branży budowlanej. - Popatrzyła na niego z politowaniem. - Tylko mnie zdziwiło, że nie w Czykago, jak to nasi, ale w jakimś mieście, o którym nigdy nie słyszałam, choć siedziałam w Ameryce parę lat. Ale że dziany, to sama widzę, nie musi mówić.

- Skąd pani wie? Przecież nic z sobą nie ma.

- No właśnie. Nic, tylko portfel.

- Cholera, ale mi się szczęście trafiło.

- I to jest właśnie dziwne, proszę Andrzejka. Pewnie, że dolar piechotą nie chodzi - powtórzyła ze źle ukrywaną zazdrością - ale czemu on trafił właśnie do Andrzejka? Czy jego nie stać na najlepszy hotel w Zakopanem?

- Może w tej kamienicy przeżył kiedyś największą miłość swojego życia. Co pani na to powie?

- Akurat! Już ja się domyślam, co to za miłość. Może sobie Andrzejek myśleć, co chce, ale ja pomyślałam, że mój obowiązek jest ostrzec Andrzejka.

Wyjrzała do przedpokoju, choć nie było słyhać, żeby ktoś wchodził, a potem powiedziała ściszym głosem, prawie szeptem: - Ja myślę, że on przyjechał sprawdzić, czy nie zostało coś po Cukierbergach.

Była taka podniecona, że Andrzej aż się zaśmiał.

- Niech się Andrzejek nie śmieje. Ja wiem, co mówię. Stary Szlomko nie był taki głupi, żeby wszystko zabierać do getta. Tu taj musiało coś zostać zamurowane. - Nachyliła się jeszcze bardziej do jego ucha, aż poczuł zalatujący walerianą oddech. - A może Andrzejek coś wie? Dziadzio, nasz pan profesor, nic Andrzejkowi nie mówił?

- A co właściwie miałby mówić?

- No, o Cukierbergach. - Oczy uciekły Chowańcowej gdzieś w bok. Nie miała odwagi wprost zapytać, czy dziadek Kossakowski nie znalazł i nie przywłaszczył sobie czegoś po Żydach.

- Pani Chowańcowa, mnie to naprawdę tyle obchodzi, co zeszłoroczny śnieg.

- Niech Andrzejek tak nie mówi. Nie ma Andrzejek racji. O Andrzejka też wypytywał - powiedziała takim tonem, jakby pytała o niego milicja.

- A co on może mieć do mnie?

- Widzi Andrzejek. Nie powinien, a ma. Więc niech Andrzejek nie mówi, że go to nic nie obchodzi. On mi się wcale nie podoba. Coś za mocno węszy. A czasem jak coś palnie, to nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać. Powiem coś Andrzejkowi, bo mi się aż do tej pory coś robi. Zgadało się nam o Cukierbergach, no, że to tacy bogaci ludzie byli, mogli się w mleku kąpać, a co ja mówię, w mleku, w szampanie.

Andrzejek wie, że Szlomko Cukierberg to był szwagier tego Herszowica, co miał hotel na rogu?

Wtedy jeszcze nic mu to wszystko nie mówiło. Nic nie wiedział o żadnym Herszowicu, co miał hotel na rogu. Wszyscy Żydzi z Nowego Targu byli dla niego tylko masą bezimiennych ciał, zakopanych pod murem na opuszczonym żydowskim cmentarzu przy Waksmundzkiej.

- Ja Andrzejkowi mówię, że powinien się tym zainteresować. Stary Szlomko razem ze szwagrem robił złote interesy. Moško Herszowic pożyczał pieniądze na lichwiarski procent. A Szlomko stawał za niego w sądach. Razem niejednego puścili z torbami. Moško za długi dorobił się paru ładnych kamienic. Co tam kamienic, folwark zajął gdzieś pod Limanową, stadninę koni, po wozami jeździł, jak wielki pan, auta kupował. Aż się ludzie zaczęli burzyć. Przed samą wojną ludowcy zrobili pochód w Nowym Targu, żeby rząd ukrócił żydowską lichwę. I wieszali takie kartki „Nie kupuj u Żyda”. Ale co to dało? Ten Szlomko to miał taki łeb, że mało który chrześcijański adwokat nie bał się przeciw niemu stawać. Mówią, że piwnice od restauracji Herszowica miały tajne przejścia do innych kamienic. Założę się, że do naszej też. Niemcy, jak u Herszowica zrobili hotel dla oficerów, wszystko zamurowali. Ja myślę, że tam jeszcze cuda mogą być zakopane. Tylko trzeba wiedzieć, gdzie szukać. Andrzej był pewny, że Chowańcowa wszystko to dokładnie widziała w swojej wyobraźni.

- Ja się dziwię, że pani jeszcze nie zaczęła kopać w piwnicy, pani Chowańcowa. A może się pani tylko nie przyznaje?

- Andrzejek ciągle się z tego śmieje - powiedziała z wyrzutem. - Ale jeszcze wspomni Andrzejek moje słowa. Trzeba go było słyszeć, jak się użaliłam, co tym Cukierbergom przyszło z tego bogactwa i z tych mądrych głów. A on do mnie, niech sobie Andrzejek wyobrazi: No, pani Chowańcowa, pani to chyba nie ma powodów, żeby ich żałować, zawsze się pani przez to dostało niebrzydkie mieszkanko pożydowskie. Mało mnie szlag nie trafił. Mnie coś takiego powiedzieć. Tak jakby mnie, proszę Andrzejka, potrzeba było żydowskiego. Jakby mi szwaby mojego nie zabrały, domu nie spaliły, to ja bym mogła kichać na żydowskie. Ja Andrzejkowi mówię, że on specjalnie tak kombinował, żeby właśnie u Andrzejka zamieszkać.

- Pani go przypadkiem nie zna, że pani taka pewna? Co, pani Chowańcowa? - spytał Andrzej już poważniej. Wciąż próbował kpić, ale kiedy tak opowiadała, przejęta i spocona, robiło mu się trochę nieswojo.

- To mnie właśnie najbardziej męczy, proszę Andrzejka, oj, jak mnie to męczy. Coś mi mówi, że muszę go znać, a nie mogę sobie przypomnieć. Ale on miał chyba plastykę robioną. Przecież widział Andrzejek te jego blizny.

- Nie przyglądałem się.

- A to źle. Trzeba się przyglądać, kogo się wpuszcza do domu. Andrzejka on o nic nie wypytywał? O Cukierbergów, albo o co?

- W Podhalance coś mówił o jakimś Jakubku. Że przeznaczenie się po niego spóźniło czy coś takiego.

- O Jakubku? - spytała zaskoczona; patrzyła przez chwilę na Andrzeja z rozdziawionymi ustami. - O Jakubku! A to takie rzeczy,

- Jakie, pani Chowańcowa?

- A nic, tak mi się powiedziało - wymamrotała, jakby się dopiero obudziła. A potem, jakby chciała to wszystko zagadać: - Pamiętam Jakubka, a jakże. Oj, jaki to był ładny Żydek, całkiem na Żydka niepodobny, proszę Andrzejka. Dobrze go pamiętam z gimnazjum. Jakby, jaki Rudolf Valentino, taki blady. A jaki zdolny, jak pięknie grał na skrzypcach. Cukierbergi chciały go wychować chyba na drugiego Rozeństajna.

- Rubinsteina?

- Może i Rubieństajna. Ja tylko mówię, że grał przepięknie. Śpiewał też, i to po polsku. Ale wie Andrzejek, co? - Uśmiechnęła się złośliwie, jakby sobie nagle coś przypomniała. - Stara Cukierbergowa nie była z tego bardzo zadowolona. Co innego Szlomo, ale ona wcale nie. Jakubek za bardzo lubił polskie panny. Ja myślę, że jemu nie bardzo się uśmiechało zostać Żydkiem do końca życia i robić to, co jego tata. Jak mu jakaś wpadła w oko, to na pewno była katoliczka. Sama słyszałam, jak stara Cukierbergowa krzyczała o to na niego. Co ja mówię, nie krzyczała, bo to była dama elegancka, z palcami w brylantach, ale ręce załamywała: Jakub, na co tobie potrzebne te polskie siksy? Czy ty masz mało w Nowym Targu pięknych żydowskich panien? Co innego mecenas. Mówił do żony: Saro, ty jesteś głupia kobieta. Niech nasz syn lepiej będzie gojmem. A ona ręce załamywała jeszcze bardziej: Ty obrażasz Pana Boga, Salomon, ty jego ciężko obrażasz.

Andrzej nie wiedział, co o tym sądzić. Czy Chowańcowa na prawdę słyszała kiedyś taką rozmowę, czy znała ją tylko z plotek albo wręcz zmyśliła? Nie umiał sobie tego wyobrazić. Tacy ludzie jak Zuckerbergowie byli dla niego postaciami z baśni. Ale czuł, że stara nie opowiada mu tego wszystkiego bez ukrytej myśli.

- Jak panią znam, pani Chowańcowa, to pani wie, do których panien ten Jakubek się zalecał, co?

- Ach, zaraz zalecał. - Wcale się nie mieszała. - To nie było nic złego. Tylko wzdychał, wiersze deklamował i grał na skrzypcach. Niech Andrzejek sobie nic nie myśli. Ja się wcale nie dziwię, że Jakubkowi się podobały katoliczki. To przecież nikt inny, tylko Andrzejka dziadzio tak go od małego przerabiał na Polaka.

Teraz już nie mógł mieć żadnych wątpliwości, co do jej intencji. Spytał:

- To, czemu go zabili, pani Chowańcowa?

- Zabili?

- A nie zabili? Przecież pod Obłazową, no, gdzie te kaczeńce...

- Jakie kaczeńce? - Aż zrobiła krok do tyłu.

- Nieważne. Ale dlaczego?

- Kto to wie - wyszeptwała. - Las, ciemno. Zabili i już.

- Pani Chowańcowa, przecież pani mąż był milicjantem. I pani nie wie?

- Ja się do takich spraw nigdy nie wtrącałam. I niech Andrzejek mojego o to nie pyta, bo jak mu serce wysiądzie, to znowu wszystko na mnie spadnie.

Nagle straciła ochotę na dalszą pogawędkę. W ostatniej chwili przypomniała sobie, że przyszła po cukier.

Amerykanin wrócił kilka minut później. Andrzej zatrzymał go w drzwiach.

- Jest pewien problem - zaczął.

- Problemy po to są, żeby rozwiązywać je - odpowiedział tam ten spokojnie.

- Muszę pana zameldować. Takie są przepisy.

- Jaki to problem? Prawo jest prawo, ja rozumiem.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął paszport z amerykańskim orłem na okładce. Andrzej nie mógł się powstrzymać, żeby go natychmiast nie otworzyć. Przeczytał szybko: Surname: Safran. Given names: Steven Thaddeus. Place of birth: Zakopane, Poland. Nieznajomy uśmiechnął się lekko pod okularami.

- To nie była tajemnica - powiedział. - Od razu bym przedstawił się, ale nie wiedziałem, że to pan.

- Ze ja co?

- Że to pan właśnie synem Górala jest.

7

Nigdy nie myślał o sobie jako o synu Górala. Najpierw, bo nie wiedział o tym, a później, bo nie chciał. Może była tylko jedna krótka chwila, kiedy próbował pogodzić się z rzeczywistością. Zdarzyło się to na jednej z ostatnich górskich wycieczek z dziadkiem Kossakowskim. Dziadek wtedy po raz pierwszy nie próbował uciec od rozmowy na temat ojca. Wcześniej, odkąd pamiętał, dorośli zawsze zamykali przed nim drzwi od pokoiów, gdzie rozmawiali, milkli nagle, kiedy pojawiał się w pobliżu. Wszyscy naokoło mieli jakichś ojców, lepszych albo gorszych, nawet nie żywych, ale mieli. Tylko on jeden nie miał. Nawet po awanturze z Felkiem Borutą miał tylko wstyd, a nie ojca.

Dziadek i wnuk wybrali się na tę wycieczkę krótko po dziesiątych urodzinach Andrzeja. Był to czas, kiedy w świecie dorosłych nastąpiła kolejna zawierucha. Nagle wszyscy zaczęli źle mówić o Stalinie, a do władzy doszedł łysy człowiek o śmiesznym nazwisku Gomułka. Dorośli byli tym bardzo podnieceni. Słyszał, jak dziadek rozmawiał z matką, że będą wypuszczać politycznych i że idzie odwilż. Nie rozumiał, dlaczego ma być odwilż w październiku, ale nie pytał, bo był na nich obrażony. W Nowym Targu pojawił się nowy sekretarz partii. Matka Andrzeja poszła do niego na rozmowę i dostała pracę w bibliotece. W klasie zawieszono krzyże, a lekcje religii odbywały się teraz w szkole. Na godzinach wychowawczych magister Kowal tłumaczył im, że to wszystko wcale nie oznacza końca władzy ludu, jak chcieliby jego wrogowie. To tylko kolejny krok na drodze do ostatecznego zwycięstwa socjalizmu. Pisali zadanie domowe na temat: „Stalin - zdrajca idei Lenina. Nikita Chruszczow - ich genialny kontynuator”.

Andrzej nie dzielił podniecenia dorosłych. Wiedział już, że nie są tacy, jak mu się wcześniej zdawało. Ich sprawy nie były już jego sprawami. Ale wciąż jeszcze lubił chodzić z dziadkiem Kossakowskim w góry. Wolałby z ciotką Zuzanną, ale ona

trzymała się coraz bardziej na uboczu, odkąd w domu pojawiła się matka. Nie miał, więc wyjścia. Przestał wierzyć prawie we wszystko, co dziadek starał mu się wpoić. Ale w górach wciąż było mu dobrze. Choć wcale nie z takich powodów, jak się wydawało dziadkowi.

- Nic tak nie hartuje młodego człowieka jak trudy górskich wypraw - mawiał starszy pan Kossakowski tym swoim językiem z innego świata. - A ponadto nie ma lepszej szkoły zrozumienia ojczyzny i jej ludu. Trzeba żeby miejskie paniczki wiedziały, jak trudzi się proste chłopstwo, które jest solą tej ziemi.

Andrzejowi wcale nie zależało, żeby zrozumieć ojczyznę i jej lud. Proste chłopstwo miał w klasie w osobach bliźniaków Srałów i widział na własne oczy, jak siadało na podłodze, kiedy życzył sobie tego Partyjniaczek. Ale odkrył, że właśnie w góry można przed tym wszystkim uciec.

Drugim dziadkowym lekarstwem na świat było porządne, klasyczne wykształcenie. Wciąż wszystkich pouczał, że kto raz nasiąknie wielkością starożytnych Aten i Rzymu, poezją Homera i Horacego, mowami Cezara, Platonem i tak dalej, ten nigdy nie schleje się samogonem i nie uwali do rowu, nie będzie prał baby po pysku i ni komu nie przyłoży sztachetą. Andrzej już wtedy rozumiał, jaki dziadek był naiwny. Ale przez te dziadkowe nauki coś mu, chociaż zostało w głowie. Trzeba pamiętać, że profesor Kossakowski, któremu po aresztowaniu córki odebrano prawo uczenia w liceum nawet łaciny, przez kilka lat miał tylko jednego słuchacza. Cała jego misja niesienia wiedzy między ciemny, ale dobry lud, skupiła się na wnuku.

Takiego go zapamiętał, zawsze gotowego do wygłoszenia wykładu, niewysokiego, łysego pana w ciemnopopielatym ubraniu z kamizelką, w której nosił srebrną cebulę na dewizce, a w górach z laską, w pumpach i staromodnym brezentowym anoraku. Mógł pałać mowę o jakimś Tukidydesie równie dobrze przy śniadaniu, jak i na stromym podejściu, gdzie dziesięcioletniemu Andrzejowi zatykało dech. Nic nie mówił tylko o rzeczach najbliższych. I najważniejszych.

Tak było aż do tego dnia w listopadzie, kiedy korzystając z ostatnich dni jesiennej pogody, wybrali się na Turbacz. Dzień był zamglony, ale słoneczny. Z buków opadły już liście i tylko żółciły się jeszcze igły na modrzewiach. Droga zajęła im kilka godzin, a długi wieczór spędzali w jadalni schroniska w towarzystwie wycieczki licealistów z Krakowa, którzy wyprzedzili ich wcześniej na podejściu. Nauczycielka, niewiele starsza od swych podopiecznych, wyglądała raczej na ich koleżankę. Co bardziej wyrośnięci chłopcy podrywali ją prawie jawnie. Przyglądał się im ukradkiem i tak bardzo chciał być jednym z nich. Trochę się wstydził starego, łysego pana w śmiesznych, bufiastych spodniach, który opiekował się nim, jakby on ciągle był małym dzieckiem.

Andrzej zapamiętał młodą nauczycielkę na zawsze i jeszcze po latach opowiadał, że była jedną z pierwszych, które obudziły w nim hormony. Gapił się na nią cały czas, a ona śmiała się, odgarniała raz po raz ciemne włosy, opadające jej na twarz i obciągała trykotową bluzkę, pod którą odcinały się koronki biustonosza.

Podśluchiwał, co mówi, aż wreszcie usłyszał, jak opowiada, jakby chciała pochwalić się przed swoimi uczniami:

- A wiecie, moi drodzy, że bywałam na Turbaczu już w czasach, kiedy było tu bardzo niebezpiecznie? W okolicy grasowała ta słynna banda Ognia, o której na pewno słyszeliście. Wtedy nawet nie zdawałam sobie sprawy, co mi groziło. To byli straszni ludzie. Mordowali nawet turystów, nawet harcerzy na wycieczkach.

Dla Andrzeja był to kolejny w życiu policzek, wymierzony przez osobę, na której zaczęło mu zależeć. Jeszcze nie zabiły rany po zawiedzionej miłości do magistra Kowala, a teraz znów go to spotkało. Dużo później zrozumiał, że nauczycielka po prostu chciała zaimponować swoim wychowankom. Ale wtedy bardzo go zabolalo. I nie tylko jego. Dziadek Kossakowski nagle poderwał się i podszedł do tamtej grupy, stukając laską. Opierając się na niej oburacz, stanął przed nauczycielką i wypalił:

- Moje dziecko, pani chyba nie wie, o czym mówi. Czy oni pani coś zrobili, ci bandyci, jak ich pani nazywa?

Młoda pani patrzyła na niego, mrugając oczami i odgarniając włosy z twarzy.

- Ja ich nie spotkałam - powiedziała niepewnie.

- To dlaczego powtarza pani oszczerstwa najgorszej stalinowskiej propagandy? Mam nadzieję, że pani jednak nie ma pojęcia, o czym mówi, bo tylko to jedno może panią usprawiedliwić.

Nauczycielkę замуrowało, jej podopiecznych też. A co dopiero mówić o Andrzeju. Nie znosił, kiedy dziadek wdawał się w jakieś awantury w sklepach albo przy autobusie. A teraz zanosilo się właśnie na coś takiego. Poza tym tak nagle, tak niespodziewanie zaczął mówić o sprawach, których przy nim nigdy wcześniej nie poruszał.

- Zwłaszcza pani, moje dziecko, taka młoda i ładna, nie po winna nazywać bandytami młodych i pięknych chłopców, którzy oddawali życie za niepodległą Polskę. Może byli naiwni, może lekkomyślni, może często bładzili, ale przecież walczyli z okupantem i jego pachołkami. Ci, którzy ze strachu siedzieli cicho, nie powinni ich osądzać.

Z trudem zrozumiał, że dziadek nazywa okupantem Związek Radziecki, ojczyznę socjalizmu. Oczywiście, wiedział, że niektórzy ludzie tak mówią, źli ludzie, chodzący na pasku imperialistów. Ludzie, którzy obalamucili jego ojca, przez co został bandytą. A teraz słyszał to z ust dziadka. Jeszcze się nie zorientował, że wielu dorosłych zaczęło teraz mówić, co innego niż dawniej.

- Może pan też należał do tej całej bandy? - wyrwał się jeden z licealistów, wyglądający na klasowego cwaniaczka, co to zawsze zadaje belfrom kłopotliwe pytania. - Nie, ja nie miałem szczęścia być w tym powstańczym oddziale - odpowiedział dziadek patetycznie i karcąco. - Ale byli moi uczniowie. Piękni, młodzi chłopcy, jak wy. Józio Kuraś, ten sławny major Ogień, też był moim uczniem. On, którym komuniści straszą dzieci i widzę, że panią też nastraszyli, moje dziecko. A to był prawdziwy chłopski wódz. On pierwszy chciał Polski prawdziwie ludowej. Ale

swojej, nie obcej. I dlatego go zabili, a razem z nim wielu tych pięknych młodych ludzi. Wśród nich był także tatuś tego chłopca, mojego wnuczka.

Poczuł na głowie ciężar dłoni dziadka. Najchętniej wszedłby pod stół. Bardzo nie lubił, kiedy mówiło się o nim jak o biednej sierotce. A już po prostu nie znosił, kiedy ktoś głaskał go po głowie. Wstyd mu było bardzo. Ale kiedy obserwował spod oka tych dużych chłopców, zauważył, że wcale się z niego nie śmieją, nie patrzą ironicznie ani z pogardą. A w łazience, choć sami tłoczyli się i przepychali, rozstąpili się i przepuścili go do umywalki. Kiedy wracał do pokoju, w korytarzu natknął się na młodą panią nauczycielkę. Była przebrana w dres. Nagle zagarnęła go ramieniem i przyciągnęła do siebie.

- Już nigdy więcej tak nie powiem, przyrzekam ci. Dmuchnęła mu w ucho gorącym oddechem i nie wiadomo kiedy jego głowa znalazła się między jej piersiami. Były tam, pod dressem, miękkie, wyzwolone ze stanika, czuł je wyraźnie. Jeśli nie liczyć pieszczot ciotki Zuzanny, kiedy był całkiem mały, pierwszy raz tak mocno, choć tylko przez ułamek chwili, poczuł kobietę. Myślał o tym przez pół nocy; na zmianę o śmierci ojca i o ciele młodej nauczycielki pod dressem.

Toteż rano w żaden sposób nie mógł się rozbudzić, kiedy dziadek zerwał go z łóżka o jakiejś nieprawdopodobnej dla niego godzinie i kazał podziwiać wschód słońca nad górami. Z dziadkiem Kossakowskim w takich razach nie było dyskusji. Postanowił sobie, że uszczęśliwi wnuka tym widokiem i już.

Kiedy wyszli ze schroniska, okazało się, że stoją ponad chmurami. Wypełniały całą kotlinę Podhala, białe, skłębione i nieruchome aż po horyzont. Tylko sam wierzchołek Turbacza wyłaniał się z nich jak wyspa, a po drugiej stronie kotliny Tatry wisiały nad nimi nierzeczywiste jak fatamorgana. Słońce właśnie wzeszło i wypełniło świat takim blaskiem, że łzy ciekły Andrzejowi z zaspanych oczu.

Dziadek stał nieruchomo, zwrócony na południe, oparty na lasce. Nagle zaczął recytować:

Exegi monumentum aere perennius
regalique situ pyramidum altius,
quod non imber edax, non aquilo impotens
possit diruere aut innumerabilis
annorum series et fuga temporum.

Non omnis moriar...

[Stawiłem sobie pomnik trwalszy niż ze spiży,

Od królewskich piramid sięgający wyżej;

Ani go deszcz trawiący, ani Akwilony

Nie pożyją bezsilne, ni lat niezliczony

Szereg, ni czas lecący w wieczności otchłanie.

Nie wszystek umrę.-

Pieśń 3.30 Horacego w tłum. L.Rydla; - Horacy, „Pieśni”, Prószyński i S-ka 2001).W wielkiej ciszy, jaka wisiała dookoła, Andrzejowi wydało się, że stary pan mówi bardzo głośno, jakby występował na szkolnej akademii. Modlił się, żeby w schronisku nikt się nie obudził i nie usłyszał, że jego dziadek gada sam do siebie po

łacinie. A już zwłaszcza młoda pani nauczycielka. Ale faktem jest, że „Exegi. „jeszcze piętnaście lat później mógł recytować bez błędnie, nawet wyrwany ze snu w środku nocy, tak mu je dziadek skutecznie wbił do głowy. Stary pan Kossakowski był z tego dumny.

- Może nie dokonałem w życiu niczego wielkiego. W takim znaczeniu, jak to zwykle ludzie rozumieją - mawiał często. - Nie zdobyłem sławy, którą przepowiadała mi twoja prababcia. Ale. Zrobiłem coś więcej, z czym nic nie może się równać. Wychowałem wielu porządnych ludzi. I nawet kilku bohaterów. Tak się tłumaczył przed dzieckiem, a chyba i przed sobą. Chciał, żeby obaj uwierzyli, że przedpotopowe idee, które przez całe życie usiłował wtłaczać w leniwe mózgi swoich wychowanków, to właśnie ten jego pomnik trwalszy od spiżu i wyższy od piramid. Andrzej bał się, że dziadek znów zacznie od początku swoje wywody. A jego akurat interesowało coś zupełnie innego. Poczul, że właśnie teraz, kiedy słońce wstawało nad wypełnioną chmurami kotłina, musi wreszcie o to spytać, że taka chwila może się nie powtórzyć.

- Dziadku - zaczął - to mój tato naprawdę nie był bandytą?

Kossakowski popatrzył na niego, jakby przez całe życie brał wnuka za kogoś innego i dopiero teraz zobaczył, jaki jest na prawdę.

- Mój biedaku, oczywiście, że nie. - Znowu położył mu dłoń na głowie. - A ty naprawdę tak myślałeś? Dlaczego?

- Ludzie tak mówią.

- To, dlatego, że twój tata był po tej stronie, która przegrała. Gdyby wszystko potoczyło się inaczej; gdyby Stalin dotrzymał słowa, gdyby Zachód nas nie zdradził, gdyby komuniści nie sfalszowali wyborów, mówiliby całkiem, co innego. Byłby czczony jako bohater.

Andrzej zapamiętał te słowa dokładnie, choć wtedy jeszcze nic z nich nie rozumiał. Przede wszystkim nie wyjaśniły mu one, dlaczego przez tyle lat musiał obywać się bez ojca. Stary pan westchnął.

- Mój biedaku, nie rozmawialiśmy z tobą o tym ze strachu. Ze strachu o ciebie - dodał szybko. - Widzisz, to jest tak, że w tym kraju od trzystu lat chodzi o jedno. Bić się z Rosją czy próbować się z nią dogadać. I tak źle, i tak niedobrze. Więc zawsze jedni myśleli, że trzeba tak, a drudzy, że siak. I nawzajem się wykańczali. Tak było zawsze i tak jest teraz. A korzysta na tym tylko Rosja. Znów mówił nie o tym, o co naprawdę chodziło. Andrzej więc zdobył się, żeby zapytać wprost:

- Dziadku, ale kto zabił mojego tatę?

Stary pan rozłożył ręce.

- Kto to wie? Są tylko domysły.

- Ale jakie?

- Chyba UB. Ale może swoi?

Pewnie zrozumiał, że dla dziesięcioletniego chłopca taki dylemat może być nie do zniesienia, bo po chwili dodał cicho:

- Niektórzy mówią, że to musiał zrobić Jasiu Sokolnicki.

Przysiedli na ławce pod ścianą schroniska. Chmury w dolinie powoli się rozplywały. - Ech, aż nie chce się o tym mówić - westchnął stary pan. - Jasiu Sokolnicki, mój najlepszy uczeń. Moja duma. Gdyby nie wojna, może byłby dziś wielkim lekarzem. Albo wielkim mężem stanu. Może nawet prezydentem wolnej Polski.

Andrzej był przyzwyczajony do nieznośnego patosu dziadka i nauczył się takie westchnienia puszczać mimo uszu. Czekał, co będzie dalej.

- Przygarnęliśmy tego chłopca. Jasiu był ze Lwowa, miał słabe płuca. Jego rodzice koniecznie chcieli wysłać go bliżej gór. Dwa lata mieszkał w naszym domu, traktowaliśmy go jak własnego syna. Zasługiwał na to. Wtedy jeszcze zasługiwał. Kto mógł przypuścić, że tak się to wszystko potoczy? W szkole Jasiu bardzo zaprzyjaźnił się z twoim tatą. Tak bardzo, że w klasie maturalnej poprosił, żebyśmy także twojego tatę przyjęli na stancję. Zgodziłem się. Zamieszkali w jednym pokoju. Serce rosło, kiedy patrzyło się na nich dwóch, zatopionych w rozmowie. Wierzyłem, że w przyszłości zrobią razem wiele dobrego. Twój tato, który wy bił się z prostego ludu, i Jasiu Sokolnicki, spadkobierca najlepszych tradycji polskiej szlachty. Po maturze spędzili razem ostatnie wakacje trzydziestego dziewiątego roku. Chodzili po górach, pływali na kajakach, ale przede wszystkim marzyli, czego to dokonają w przyszłości. Gdyby wojna nie wybuchła, jesienią obaj zaczęliby studia we Lwowie. Kto mógł przypuścić, że po wojnie Jasiu znajdzie się po stronie komunistów? Właśnie on? Kiedy pomyślę, ile mogli zdziałać i jak to się skończyło, serce mi się kraje. A ty, biedaku, cierpisz najbardziej. Andrzej nie znosił, kiedy dziadek nazywał go biedakiem. Później nieraz myślał ze złością, co było warte to całe dziadka bajdurzenie. Wszystkie jego nauki, Platon i Horacy. Nie potrafił nawet na tyle wychować swoich najlepszych uczniów, żeby nie mordowali się nawzajem

8

- Ja mam prośbę do pana - powiedział Amerykanin. - Pan na Mrugałówkę pojedzie dzisiaj, prawda?

- A pan skąd to wie? - zjeżył się Andrzej.

- To nietrudno było dowiedzieć się.

- Poczciwa pani Chowańcowa, co?

- Right, pan dobrze myśli.

- A ta prośba to, jaka?

- Pan zabierze mnie tam?

Andrzej najchętniej wysłałby nieznanego do diabła. Ale z drugiej strony, pytanie, czego facet naprawdę chce, coraz mocniej go dręczyło.

- Żaden problem. - Wzruszył ramionami. Potem spytał niewinnie:

- Pan zna Franka?

- O, ja mam duże szczęście. Ja nie znam go osobiście.

Andrzeja denerwowało, że obcy wciąż mówił zagadkami, jakby celowo chciał wokół siebie tworzyć atmosferę tajemniczości. To było aż tandetne. Postanowił nie dać się sprowokować i powstrzymał się od dalszych pytań. Pomyślał, że jeśli zgodzi

się i zabierze obcego na Mrugałówkę, ten może zdradzi się sam. Jeśli, oczywiście, ma, z czym. Jeśli to miejsce wiązało się dla niego z jakimś wspomnieniem, nad którym nie będzie mógł zapanować.

Kiedyś chałupa Mrugałów była jedną z melin ludzi Ognia. Tu odpoczywali, pili wódkę i spotykali się z łącznikami z miasta. Były też pewne poszlaki wskazujące, że w dniu swojej śmierci Wawrzyniec Kurniawa właśnie tu spotkał się z porucznikiem Sokolnickim. Albo miał się spotkać. Wspominał o tym pułkownik Gniadosz. W jego książce zdjęcie dowódcy specgrupy UB zostało opatrzone podpisem: „Porucznik Jan Sokolnicki, partyzant Armii Ludowej, później uczestnik walk z bandami. Urowadzony przez bandę Ognia i skrytobójczo zamordowany”. Było to kłamstwo. W najlepszym razie przypuszczenie. Nikt nie wiedział, co stało się z porucznikiem Sokolnickim. Po prostu przepadł bez śladu tej samej nocy, kiedy został zastrzelony Wawrzyniec Kurniawa. Jego ciała nigdy nie znaleziono.

O Sokolnickim w ogóle niewiele było wiadomo. Żył w Nowym Targu sporo ludzi, którzy dobrze pamiętali go z tutejszego gimnazjum. Ale potem następowały same niedomówienia i zagadki. Pod koniec wakacji, dosłownie dwa dni przed niemieckim atakiem, wyjechał do Lwowa, do swych rodziców. Nie wiadomo, co robił w czasie wojny w Związku Radzieckim. Cokolwiek to było, jesienią 1944 roku został zrzucony z radzieckiego samolotu w Górach Świętokrzyskich razem z grupą, która zasiła tamtejszą komunistyczną partyzantkę. Na początku zimy oddział Armii Ludowej „Za Wolność i Lud”, dowodzony przez kapitana Izaaka Findera pseudonim Kordian, przedarł się w Gorce. Sokolnicki przyszedł z nimi. Zrobiło się o nich głośno, kiedy pod Limanową wysadzili niemiecki pociąg z amunicją dla frontu.

Wkrótce z Finderem i jego komunistami dogadał się Ogień. Wspólnie przeprowadzili kilka akcji przeciw niemieckim transportom. Jest bardzo prawdopodobne, że kontakt został nawiązany poprzez Górala, który w oddziale AL odnalazł swego przyjaciela z lat szkolnych. Sokolnicki, znający tutejszy teren i ludzi, był teraz zaufanym człowiekiem Kordiana. Kto wie, czy to nie właśnie on nakłonił swego dowódcę do współpracy z niepewnym politycznie Ogniem, którego dowódcy operujących w pobliżu radzieckich oddziałów partyzanckich uważali za anarchistę. Nie można wykluczyć, że w tym samym czasie Sokolnicki odnowił też znajomość z Wiktoria Kossakowską, która dostarczała do lasu informacje o ruchach pociągów.

Po przejściu frontu porucznicy Kurniawa i Sokolnicki ramię przy ramieniu wmaszerowali do Nowego Targu, zajętego wspólnie przez oddziały Armii Radzieckiej, partyzantów Armii Ludowej i Ognia. Późniejsi śmiertelni wrogowie przez trzy dni zgodnie walili w niebo na wiwat i pili na umór. Wawrzyniec Kurniawa znalazł się w pierwszym składzie Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa, kiedy jego szefem został mianowany Ogień, rekomendowany podobno w Komitecie Centralnym PPR przez Findera. Niedługo później Ogień i jego ludzie wzięli służbową broń i wrócili do lasu, rozpoczynając dwuletnią wojnę z władzą ludową, znaczoną trupami ubeków, członków PPR, żołnierzy KBW, czer wonych kolaborantów i zwykłych pechowców, którzy nieostrożnie weszli im w drogę. Był czas, kiedy Andrzej na własną rękę próbował ustalić powody tego nagłego zwrotu,

który pułkownik Gniadosz nazwał w swojej książce „podstępna i haniebna zdrada”. Ale były to starania beznadziejne. Najwyżej mógł usłyszeć to, co od Władka Srała, stryjka bliźniaków. Władek opuścił Ognia po ogłoszeniu amnestii dla tych, którzy ujawnią się dobrowolnie i zmazał swe winy, budując hutę im. Lenina. Andrzej spotkał go po latach na dworcu w Krakowie i tam, w barze, Władek zwierzył mu się:

- Wiys, Jendrek, to beło tak, ze kie wrócił się Józek z Warszawy, zawołał nas i godo: Myślołek, ze to polski rzond, a hań siedzom same Ruskie i Zidy. Trza się nam brać na powrót do łasa. No to wzięli my giwery i pošli.

Andrzej sam wiedział, że świadectwo Władka Srała, złożone po tylu latach, nie miało wielkiej wartości. Nie dało się ocenić, ile z tego, co mówił, było prawdą, ile mu się zdawało, a ile tylko powtarzał za rozpowszechnioną już wtedy na Podhalu legendą.

Sokolnicki nie odegrał w tych wydarzeniach żadnej roli. Zaraz po zwycięskiej defiladzie znowu zniknął. Wrócił dopiero dziesięć miesięcy później, tuż przed Bożym Narodzeniem 1945 roku, z zadaniem utworzenia specjalnej grupy UB do likwidacji Ognia. Na swoją sekretarkę przyjął Wiktorię Kossakowską. Istnieją powody, by przypuszczać, o czym pisze także Gniadosz, że przez jakiś czas prowadził z Ogniem rozmowy na temat honorowego złożenia broni. Wyglądało na to, że Sokolnicki częściowo próbował działać na własną rękę, wbrew poleceniom swych przełożonych z Krakowa. 5 września 1946 roku najprawdopodobniej wyruszył w góry, żeby osobiście spotkać się z Ogniem. Do kryjówki sztabu miał go doprowadzić Góral. Tak przynajmniej sugerował Gniadosz, nie podając źródeł, z których czerpał informacje.

Pewne jest tylko to, że Sokolnicki do Ognia nie dotarł. Nikt go już nigdy więcej nie widział. A Kurniawa został rano znaleziony martwy przy moście na Białym Dunajcu. Andrzej od dawna podejrzewał, że udający głupka Franek Mrugała może o tym wszystkim wiedzieć więcej niż ktokolwiek inny. Ale miał też świadomość, że nie ma sposobu, żeby Franka zmusić do mówienia.

O czwartej po południu, jak się umówili, Amerykanin czekał na rynku, koło Podhalanki. Z papierosem w ustach wskoczył do żuka i ścisnął Andrzejowi rękę. Palce miał jak obcęgi. Był ubrany zupełnie inaczej niż po przyjeździe. Kupił sobie polskie szmaty. Jakieś tandetne, podrabiane dżinsy i flanelową koszulę w kratę. Nawet okulary zmienił na zwykłe, plastikowe, jakie można było dostać w każdym kiosku.

- Trochę tu brudno - usprawiedliwił się Andrzej. - To nie tak sówka.

- Nie szkodzi. Ubrałem się jak trzeba.

- Widzę. Przebrał się pan za Polaka? - nie darował sobie Andrzej.

Amerykanin przełknął to.

- Ja czułem się dziwnie. Ja byłem ubrany jak wasi handlarze walutą.

- Reszty nie stać na amerykańskie ciuchy.-

Sure. W Polsce teraz mają pieniądze nie ci, co powinni.

- Ma pan rację. Na przykład ja nie mam, choć powinienem.

Tamten się zaśmiał.

- Pan radzi sobie. Pan jeszcze wszystko przed sobą ma. Pan przecież nie jest dñver, udaje tylko, nie?

- Pan też coś udaje. Mógł pan sobie wziąć taksówkę, stać pana.

- Wolę tak - powiedział.

- Stąd ja widzę lepiej.

- Co pan lepiej widzi?

- Pana.

- A co ja jestem, James Dean? - spytał Andrzej. - Było iść do kina.

- To ciekawe jest, zobaczyć, jak żyje Górala syn.

Andrzej spochmurniał jeszcze bardziej.

- Ja jestem ja, a nie żaden Górala syn.

- Pan nie zmieni tego - powiedział Amerykanin.

- Nie mam zamiaru. Ale mi to lata. A pan co, jakiś psycholog?

Obcy się uśmiechnął.

- Swoje wiem, choć tylko skromny contractor jestem. Przecież ta plotkara Chowańcowa poleciała do pana z samego rana, to pan wie. Ja nie zawsze jeździłem cadillakiem. Jak odbiorę od service-station mój samochód, to się zrewanżuję panu.

- Przyjechał pan z Ameryki cadillakiem? - spytał Andrzej.

- A po co? - wziął to poważnie. - Kupiłem w West Berlin coś mniejsze, dobre na te drogi. I wie pan co? W pierwszą noc w Warszawie okradli mnie. Oni nie umieli włamać się nawet. Wybili szyby w nowym aucie, bastards.

- Odwiedzajcie Polskę, kraj pustych szos.

- Niech pan nie żartuje z Polski. To jest tak, bo ludzie nie czują się u siebie. Przejechali most na Czarnym Dunajcu.

- Zmieniło się - zauważył Amerykanin.

- Dawno pan nie był w naszych stronach? - spytał Andrzej.

- Dwadzieścia pięć lat. Niedawno minęło.

- To chyba nie wyjechał pan legalnie?

- Właśnie przedawniło się.

Na chwilę zapadło niezręczne milczenie.

- Ma pan tu krewnych? - spytał Andrzej, żeby je przerwać.

- Nikogo.

- To co, chciał pan po prostu pooddychać górskim powietrzem?

- Pan śmieje się, ale to naprawdę coś warte. Trzeba trochę szczęścia mieć.

- Nie wszyscy go tyle mieli, prawda?

- No, nie mieli.

Ciężko było go sprowokować. Andrzej wciąż nie umiał faceta rozgryźć, czy naprawdę nosił w sobie nie wiadomo, jaką tajemnicę, czy tylko coś udawał, w jakimś celu, który znał tylko on. Minęli już zabudowania Kowańca i wjechali do lasu.

- A wie pan, co ludzie mówią? - spytał Andrzej. - Że przyjechał pan tu szukać złota. - Jakiego złota?

- Zuckerbergów.

Nie wydawał się zaskoczony.

- Tak mówią? Jacy ludzie? Nasza Mrs. Chowaniec, co, rację mam? Pan nie wierzy w te brednie, mam nadzieję?

- A nie powinienem?

- No, chyba żartuje pan. Jakie złoto? To prawda jest, że Szlomo Zuckerberg siedział na złocie, ale przecież Jakubek przeżył wojnę nie za darmo, co? Jak myśli pan?

- A co ja mogę myśleć?

Rzeczywiście, co on wiedział o Żydach z Nowego Targu? Nie wiele więcej niż o łowcach reniferów, którzy koczowali tu w epoce lodowcowej. Z opowiadań nieboszczki babci Kossakowskiej zapamiętał tylko, że bogate Żydówki lubiły całymi dniami przesiadywać w miejskim parku, miały platynowe zęby, a w uszach wielkie brylanty. A znowu Żydzi nosili pejsy, które babcia nazywała ickami, a od święta ubierali się w białe pończochy jak dziewczynki do pierwszej komunii. No i jeszcze wymyślili pieniądze i pożyczki na procent, żeby Polaków puścić z torbami. Tyle. Niewiele więcej mógł mu powiedzieć żydowski cmentarz, gdzie nagrobki z napisami, których nie dało się odczytać, zapadały się w ziemię i zarastały pokrzywami. To, co on mógł myśleć?

- Ja nie słyszałem - mówił dalej Amerykanin - żeby innemu Żydowi uciec z getta przez Dunajec udało się. Niejeden próbował, ale wszystkich wystrzelali w rzece jak kaczkę. Wartownicy robili sobie zabawę z tego. Dopóki Żyd był w wodzie, strzelali obok, a jak już dopadł brzegu, już się na niego gramolił, wtedy dostawał. A Jakubkowi udało się.

- Może miał więcej szczęścia?

- Right, jego szczęście było takie, że miał mądrego ojca, który się dla niego poświęcił. Szlomo sam siebie wystawił za weksel. Syna wysłał w góry, a sam został w getcie. Zapłacił dopiero, jak Jakubek był już daleko w lesie. Adwokacki łeb, on wiedział, jak załatwić interes. Jakubek miał pecha, że ojca nie było już, kiedy zaczął robić głupstwa.

- Chodzi panu o to, że chciał uciec z Polski? To było to głupstwo?

- Kto powiedział, że chciał uciec?

- Przecież uciekał. Razem z tymi innymi.

- On nie uciekał. On przerzucał ich. Nie za darmo, jasna rzecz. On zrobił z tego złoty interes. To nie była jego pierwsza tura. On się chciał przede wszystkim odkuć. On chciał za bardzo. A nie znał się na tym, bo go Szlomo chował na muzyka.

Asfalt się skończył. Andrzej zredukował bieg do dwójki i jechali teraz dużo wolniej w głąb doliny. Żuk kołysał się na wybojach.

- Podobno pan wie, jak zginął ten Jakubek i ci inni - zaczął Andrzej ostrożnie.

- Kto panu powiedział tak?

- Już się rozeszło.

- Ja nie mówiłem, że ja wiem, ale że ludzie są, co wiedzą. To różnica jest, co? A pan zainteresowany tym?

- To nie ja, tylko pan przyjechał tutaj i zaczął ludzi podpuszczać.

- Podpuszczać? What means podpuszczać?

- Prowokować.

- Ja nie prowokuję nikogo. - Wzruszył ramionami. - Ja tylko próbuję rozmawiać. - Dziwnie to panu wychodzi.

- No, jak wychodzi, tak wychodzi. Może dziwnie.

Zamilkł i przez chwilę tylko wyglądał przez okno. Za ostatnim zakrętem otworzył się widok na położone pod lasem zabudowania Mrugałów.

- Jak panu robi się interesy z Frankiem? - spytał. - Chyba niełatwo, co?

- Mówił pan, że go nie zna.

- Bo nie znam. Ale coś słyszałem w dawnych czasach, że lubił mieć długi język. Pan pewny jest, że bezpieczne to?

- Kto nie ryzykuje, ten nie żyje.

- Sure.

Zajechali na podwórko Mrugały. Amerykanin wysiadł i zapatrzył się na imponujące mury wznoszonego budynku, który rozmiarami mógłby konkurować z niejedną kamienicą w mieście. Za ogrodzeniem z siatki miały się dwa owczarki niemieckie. Nie zważając na nie, odezwał się:

- No to ma pan złoto Zuckerbergów.

- Co pan mówi? - Andrzej aż przystanął.

- To nie wiedział pan, że Franek chował Żyda? On nie chwali się?

- Tego Jakubka?

- Sure.

Andrzej chętnie dowiedziałby się czegoś więcej, ale już wybiegł do nich Mrugała. Widok Amerykanina przystopował go na chwilę, ale nic nie wskazywało, żeby poznał przybysza. Obiegł go naokoło, machając swymi krótkimi ramionami, jakby chciał zniecka wałnąć sierpowym. Ale to była tylko zwykła Franka podejrzliwość. Amerykanin spokojnie podniósł plandekę i ściągnął z paki pięćdziesięciokilowy worek z cementem. Zrobił to lekko i tak naturalnie, jakby był wynajętym tragarzem.

- Gdzie wam zrzucić to, gazdo? - spytał.

Zdumiony Mrugała podskoczył, skinął ręką i pobiegł przodem po schodkach. Andrzej usiadł spokojnie na deskach i przyglądał się, jak Amerykanin rozładowuje żuka. Rzadko się widywało, że by ktoś w jego wieku miał tyle krzepy. Mrugała przysiadł obok Andrzeja i zagadał:

- Widzę, że interes dobrze idzie, panie pan, jak was stać na pomocnika. Ale to pewny człowiek?

- Jak harcerz - uśmiechnął się Andrzej.

- Ale chyba nie czerwony, co? - zaśmiał się Franek i wałnął go w ramię.

- Coś pan. Jak najbardziej przedwojenny.

- No to gra, panie pan. To już sami się z nimi rozliczycie czy jak? - zaniepokoił się nagle.

- A, niech pan mu postawi kielicha i będzie dobrze - powiedział Andrzej złośliwie. Amerykanin uwinął się z rozładunkiem w kilka minut, jakby pracował na

akord. Otrzeptał dłonie z cementu i przetarł czoło wierzchem przedramienia, choć nawet nie był bardzo spocony.

- Gut dziop - pochwalił się Franek swoją znajomością amerykańskiej mowy. Spojrzał na Amerykanina przebiegle, jakby chciał go wy badać. Ale nie doczekał się żadnej reakcji. Nalał wódki do szklanki i podał obcemu.

- Ja do pana piję, gazdo - powiedział Amerykanin. - Ładna chałupa. I ładny grosz musiała kosztować.

- Kto pracuje, ten ma, - Franek ani się zająknął.

- Sure. A kto wiedział w dawnych latach, jak wzbogacić się, ma więcej. Dobrze mówię ja, panie Mrugała?

Zaskoczony góral zamrugał oczami, potem zerknął w stronę ogrodzenia, w którym trzymał psy. Owczarki biegały nerwowo za siatką.

- Panie, a czy my się znamy? Bo ja sobie nie przypominam.

- Pewnie, że lepiej nie przypominać sobie.

Mrugała podrzucił głową z nagłym zrozumieniem. Zamachał ramieniem, jakby groził obcemu palcem.

- Ja wiem, panie. Od razu się domyśliłem. To wy jesteście ten z Ameryki, co ludzi szpieguje?

- Ja nie szpieguję nikogo. Ja patrzę tylko, jak żyją sobie.

Franek wzruszył nerwowo ramionami i nagłym ruchem zakorkował na powrót butelkę. Poczęstunek był skończony. Odwołał Andrzeja na bok i tam się policzyli, po cichu. - Czy to tak bezpiecznie? - odezwał się nagle Amerykanin.

- Niby, co?

- Tyle drewna w kupie, a zaraz obok beczka z benzyną.

- Przeszkadza komu?

- Nie przeszkadza, ale jakby tak, nie daj Boże, pożar?

- Pożar? A skąd pożar? Pioruny biją po górach. Prąd się odłącza. A jakby tu przyszedł, kto, jakby chciał zrobić, co głupie go, to moje pieski jaja mu odgryzą. - Franek zaśmiał się złowieszczo.

Zrobił jakiś ruch i naraz owczarki zaczęły miotać się za siatką jak wściekłe, obnażając wszystkie zęby. Nie mieli tu więcej nic do szukania. Mrugała już nawet nie krył wrogości. - Miałem do was zaufanie, panie pan. A wyście tu przywieźli tego szpicla - mruknął do Andrzeja, jakby trochę obawiał się siły, jaką zademonstrował Amerykanin i tego, że w razie, czego może nie zdążyć wypuścić swoich owczarków.

Andrzej też był naprawdę wkurzony. W powrotnej drodze w ogóle się nie odzywał, tylko zaciskał wargi.

- Ja popsulem biznes panu? - spytał w końcu Amerykanin. - Sorry, ja nie chciałem. Poniosło mnie.

Andrzej nie odpowiedział.

- Naprawdę, przykro mi. Ale pan nie ma, co żałować. Ja panu załatwię lepszego coś. - Pan?

- No, ja. Pan nie wierzy mi? Ja mogę dać uczciwie zarobić panu. Po co robić szwindle z Frankiem Mrugała?

- A skąd pan wie, że miałbym ochotę z panem?

- Pan zrobi, jak zechce - powiedział Amerykanin i umilkł. Dopiero, kiedy dojeżdżali do starego cmentarza, poprosił - niech pan zatrzyma się. Ja wysiądę tutaj.

Andrzej spełnił jego prośbę i nagle zrobiło mu się głupio. Miał ochotę powiedzieć coś, co zatarłoby niemiłe wrażenie, ale nic nie przyszło mu do głowy. Przyglądał się, więc tylko długą chwilę, jak tamten podchodził powoli pod górę, w stronę cmentarnej bramy.

9

Tego dnia zrezygnował z piwa w Podhalance. Chciał już tylko wyciągnąć się na tapczanie i pogrążyć w lekturze. W księgarni Domu Książki kupił sobie „Erosa i rewolucję”. Postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o Herbercie Marcusem, tym nowym proroku, który znalazł nowy sposób, żeby uszczęśliwić świat. A przede wszystkim młodzież, która i na Wschodzie, i na Zachodzie coraz bardziej burzyła się przeciw starym. Za jego studenckich czasów nie był on jeszcze taki modny i Andrzej czuł, że nie jest na bieżąco.

Nie miał nic przeciw takim, co chcieli uszczęśliwiać świat, do póki to się kończyło na chęciach. Miał ich przecież we własnej rodzinie i wiedział aż za dobrze, jak z nimi jest. Dziadek Kossakowski też był pełen dobrych intencji. Ale kiedy uczniowie dziadka zaczęli wcielać w życie jego nauki, każdy po swojemu, skończyło się masakrą. Andrzej wciąż był przekonany, że jego życie właśnie wtedy zostało na zawsze spaprane. Tym większą niechęć budzili w nim ludzie pokroju tego jakiegoś Marcusego, co chcieli majstrować od razu przy całej ludzkości. Musiał doksztalcić się na jego temat, żeby mieć lepsze argumenty w dyskusjach z Paulina.

Ale i tego wieczoru nie miał zaznać spokoju. W drzwiach mieszkania znalazł kartkę: Czekam o szóstej w Podhalance. Zuzanna.

Akurat tego dnia musiała sobie o nim przypomnieć. Podejrzewał, że ciotka nie ma do powiedzenia nic nowego, tylko wygłosi kolejne kazanie, żeby się wreszcie opamiętał, zastanowił nad swoim życiem i tak dalej. Ostatnio, co jakiś czas miewała takie napady. Jakby przeszłość upoważniała ją teraz do prawienia morałów. Mimo wszystko nie potrafił tak po prostu odepchnąć ciotki razem z jej dobrym sercem. Nigdy nie zapomniał, że to ona go wyniańczyła, kiedy Wiktoria Kossakowska siedziała w Rawiczu. Poza tym, kiedyś ciotka zastąpiła mu w życiu nie tylko matkę. Musiał jej wybaczyć, że od jakiegoś czasu bywała nieznośna. Bilans jej życia też nie wypadł dobrze.

Kiedy Andrzej wszedł. Bliskiej jeszcze nie było.

- Piweczko, panie Andrzeju? - zawołał Krwawy Staszek, ledwie go zobaczył. Zadziwiające były te jego zdrobnienia, jeśli się wiedziało, że kiedyś jednym chwytem swojej łapy za szczękę potrafił nakłaniać złapanych bandytów do współpracy. Jeszcze teraz wyglądał, jakby się tylko przyczaił.

- Tylko szybko, panie Staszku. Mam się tu spotkać z ciotką. Przy niej obowiązuje wyższa kultura.

- To prawda, pani Bliska to prawdziwa dama - przytaknął Krwawy Staszek, lejąc beskidzki zdroj do kufla.

- Ale co to ja miałem do pana? Aha, widziałem pana dziś z tym bandziorem z Ameryki. Co to pan z nim kombinujesz?

- Nic. Zabrałem go tylko na Mrugałówkę.

Krwawy Staszek odwrócił głowę tak szybko, jak tylko pozwolił mu chory kręgosłup. - A to, po jaką cholere?

- Po żadną. Po prostu na wycieczkę Chciał odetchnąć powie trzem Gorców.

- Aha Już w to wierzę, Od razu mówiłem, że ten bandzior nie kręci się tu przypadkiem Ja się w końcu muszę dowiedzieć, co to za jeden?

- Ja nie musze, bo Już wiem - rzucił Andrzej lekceważąco.

- I nic pan nie mówisz, gadaj pan!

- Niejaki Szafran z Zakopanego.

Krwawy Staszek wykrzywił wargi - Szafran, pseudo Zemsta? Wykluczone.

- A to dlaczego?

- Na własne oczy widziałem jak zginął.

- Widocznie coś się panu pokręciło.

- Akurat Widziałem. Jak teraz pana widzę, Zastrzelił go na moich oczach Jasiek Sokolnicki przy próbie ucieczki. Dostał kulę w plecy, padł jak ścięty.

Zanim zdążył ochlana po ostatnich słowach Krwawego Staszka, Zuzanna Biliska stała w drzwiach. Zobaczyła Andrzeja w towarzystwie byłego ubeka, skinęła mu tylko lekko głową i poszła prosto do stolika Usiadła zasłaniając się demonstracyjnie „Newsweekiem”, jakby chciała odciąć się nim od prowincjonalnej nędzy Podhalanki, gdzie kelnerem był dawny oprawca. Poznałby ją po tym wszędzie Była to jedna z nieszkodliwych słabostek. Andrzej weschnął, zostawił na kontuarze niedopite piwo i podszedł do ciotki.

- Hallo auntie - przywitał ją. - It's a lovely day today, isn't it?

Popatrzyła na niego ponad stronicami. Była czegoś zła i podenerwowana, widział to.

- Ta ironia jest nie na miejscu - powiedziała. - Zwłaszcza w twoich ustach Uważasz mnie za snobkę a sam nie znasz dość dobrze języków Gdybyś znał. Nie musiałbyś być szoferem.

- Zawsze mnie doskonale rozumiałaś, cioteczko.

Nie znosiła, kiedy nazywał ją cioteczką. Dobrze o tym wiedział. Przerwała lekturę I położyła otwarte pismo na stoliku. Na stronie, którą przed chwilą czytana, było duże zdjęcie Edwarda Gierka, komunisty z ludzka twarzą, którym zachwyciła się Ameryka.

- Andrzej, czym ja sobie na to zasłużyłam? Dlaczego mnie ostatnio tak traktujesz? Zresztą nie tylko mnie. Ojca także Przede wszystkim jego

- Jak?

- Jakbyś nas oboje uważał za wrogów.

- O Jezu - jęknął tylko. Jakże go takie gadanie nudziło.

- Więc jak sobie wytłumaczyć twoje zachowanie?

- Chcę żyć po swojemu, to wszystko.

- A czy ktoś ci w tym przeszkadza? Przecież Piotr nawet zostawił ci mieszkanie, żebyś mógł być samodzielny.

- Jestem mu wdzięczny do końca życia - rzucił opryskliwie.

Uważał, że ojczym nie zrobił mu łaski. Do mieszkania po dziadkach Kossakowskich doktor nie miał żadnych praw. Nawet matka na krótko przed śmiercią przeprowadziła się już do nowego, jeszcze niewykończonego domu, który Zawada zbudował za rzeką. Andrzej był pewny, że ojczymowi też byłoby ciężko wytrzymać z nim w jednym mieszkaniu. Wiedział, że jest dla doktora niby wyrzut sumienia. Choć nie czuł się temu winny. Zawada sam sobie wmówił, że pasierb go nie lubi.

- To on cię przysłał? - spytał.

- Uważasz, że ktoś musi mnie do ciebie przysyłać? Bardzo ci dziękuję.

- Ale chodzi o niego?

- Chodzi o ciebie.

- A więc o niego. O spokój jego sumienia.

- Andrzej, co ty masz do ojca? Co on ci zrobił złego?

- Nic, zupełnie nic. Ja tylko proszę, żebyś go nie nazywała moim ojcem. Mojemu ojcu odstrzelili głowę, zanim miałem okazję go poznać. Nie udawaj, że o tym nie pamiętasz. Drażnił się z nią. A ją bolało to naprawdę. Chwilę siedziała w milczeniu, patrząc w okno i zagryzając dziwnie wargi, jakby zbierało się jej na płacz.

- Nigdy o tym nie zapomniałam nawet przez chwilę - powiedziała cicho. - Jeśli ktoś, to na pewno nie ja. I twój drugi ojciec także nie. Zawsze szanował pamięć Wawrzyńca. Choć Bóg mi świadkiem, że nie był przez to szczęśliwy.

- Bo nie było dobrze szanować pamięć bandyty?

- Bo kochał twoją matkę. I możesz sobie myśleć, co chcesz, ale ciebie też.

- Och, no dobrze. Jest wcieleniem dobroci. Tylko co z tego wynika?

- Nie rozumiem cię, wiesz?

- Dopiero teraz przyszło ci to do głowy?

Zadawał jej ból większy, niż miał zamiar. Ale to ona sama go prowokowała. Czuł, że wciąż nie mówi, o co jej naprawdę chodzi.

- On bardzo się gryzie z twojego powodu - powiedziała. - 1 to przy jego zdrowiu. - Z dwojga złego lepiej gryźć się z mojego powodu, niż gryźć ziemię, nie uważasz?

Pierwszy raz tego wieczoru udało mu się wywołać jej gniew.

- Nie masz prawa go osądzać - przerwała mu ostro. - Jemu też zawdzięczasz życie. Miała rację. Wiktoria Kossakowska zaczęła rodzić w nocy, o miesiąc za wcześniej. Gdyby nie doktor Zawada, ani ona, ani Andrzej nie przeżyliby do rana. W mieście toczyła właśnie się prawdziwa bitwa. Leśne oddziały zaatakowały równocześnie pocztę, komisariat milicji i UB. Nie było prądu, nie działały telefony, a po rynku latały pociski. Zawada, choć był tylko skromnym laryngologiem, przyjął ciężki poród, zatamował krwotok i nawet jako tako pozszywał położnicę, zanim

przybyła z odsieczą kompania KBW wyparła leśnych i karetka ze szpitala mogła wjechać na rynek.

Wszystko stało się znienacka, w domu nie było odpowiednich narzędzi, leków ani opatrunków. Doktor Zawada zdobył się wtedy na niezwykle wyczyn. Przebiegł pod kulami przez rynek, rozbił szybę w aptecę, wyniósł z niej potrzebne rzeczy i wrócił, ostrzeliwany przez broniących komisariatu milicjantów, którzy wzięli go za bandytę. Powód takiej odwagi mógł być tylko jeden, wszyscy go zresztą znali. Doktor był od dawna beznadziejnie zakochany w Wiktorii Kossakowskiej. Andrzej kpił, że był to jedyny raz, kiedy jego ojczym zdecydował się narazić życie.

- To by nie było potrzebne, gdyby mój prawdziwy ojciec był tam, gdzie jego miejsce, a nie w ziemi - odpowiedział ciotce tak samo twardo. - Ale on wolał dać sobie odstrzelić mózg. I to, za co? Za Polskę bez komunistów? Czy za głupotę?

- Nie jesteś sprawiedliwy, Jędrzek - powiedziała. Wiedział o tym. Odgrywał się właśnie na niej, choć ona jedna dawała mu tylko dobre rzeczy. Teraz też nie chciała odpłacać mu tym samym.

- Nie kłóćmy się - poprosiła. Przymknęła oczy i potrząsnęła głową, jakby chciała otrząsnąć się z jakiejś zmory. - Może to rzeczywiście ja przesadzam. Nie jestem ostatnio w formie. Chybabędę już przekwitać czy co? - Zaśmiała się nerwowo. - Robi się ze mnie stara historyczka. Wyobraź sobie, przed chwilą na skwerze ubzdurało mi się, że jakiś facet chce mnie napaść. Uciekałam jak idiotka, a on po prostu tylko łąził i oglądał rynek, zwykły turysta. Może chciał spytać o drogę. - Nagle wyprostowała się i odrzuciła do tyłu swoje wciąż wspaniałe włosy. - No, dość tych bredni. Przecież nie po to tu przyszłam.

Nagłym ruchem sięgnęła pod stół i położyła na blacie paczkę, zawiniętą w kolorowy papier.

- W dniu dwudziestych piątych urodzin spełnienia marzeń życzy stara ciotka - powiedziała szybko.

- Zupełnie zapomniałem - przyznał się Andrzej, speszony. W paczce była dżinsowa kurtka, autentyczny wrangler, w tamtych latach królewski podarunek. Nie było fałszu w jego zachowaniu, kiedy poderwał się i pocałował ciotkę w policzek.

- Jesteś niezawodna, wiesz?

- I co mi z tego? - westchnęła.

- Chociaż tyle, że napijemy się teraz tokaju, jak za dawnych czasów.

Nagle zrobiło mu się żal ciotki. Ona też nie wybierała sobie takiego życia. Jej też wszystko pokręciło się na samym początku.

- Ale się ta pańska ciocia trzyma, panie Andrzeju. - Krwawy Staszek aż kręcił głową, napełniając kieliszki tokajem. - Z daleka można by was wziąć za parę, słowo daję. Andrzej nie wiedział, jak ma to potraktować. Kiedyś przecież on i ciotka Zuzanna rzeczywiście byli parą. Dużo ludzi o tym wiedziało. Krwawy Staszek też mógł wiedzieć, choć nie musiał. Andrzej postanowił udąć, że nie słyszał. Ale Staszek nie dawał się tak łatwo zbyć. - I pomyśleć, taka kobitka i całe życie sama, co?

- Widocznie woli sama, niż z byle kim - odpowiedział Andrzej, starając się, żeby nie zabrzmiało to zachęcająco.

- O, mogłaby jeszcze teraz złapać sobie nie byle kogo. Nawet bandzior z Ameryki się o nią wypytywał.

- Co pan opowiada?

- Co pan słyszysz. Dziś był całkiem inny, chciał mnie wziąć pod włos. Mówi: Bez urazy, sierżancie, może wczoraj mi się coś głupiego wyrwało, ale nich mi pan powie, co teraz porabia panna Bliska? I znów mi dał pięć dolców.

Krwawy Staszek wyjął banknot, chuchnął, wygładził kantem dłoni na ladzie i schował z powrotem.

- To razem ma pan już dziesięć.

- Panie Andrzeju, ja nie chcę mieć absolutnie nic wspólnego z takimi sprawami.

- Ale pan wziął?

- Wziąłem, ale nic mu nie powiedziałem. No, tyle, co wszyscy wiedzą. Nie jestem taki głupi.

- Skąd pan wie, jakie to sprawy?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Tyle wiem, że jak ktoś płaci za informacje zielonymi, to coś tu śmierdzi.

- A jak by pan wolał? - spytał z uśmiechem Andrzej. - Pałą?

Krwawy Staszek miał do wyboru obrazić się albo zignorować. Wybrał trzecie wyjście. Oświadczył bardzo poważnie:

- Pan wiesz, że ja z tym absolutnie dawno skończyłem. I dlatego nie podoba mi się jego morda. Diabli wiedzą, kto go tu nasłał i po co.

Andrzej nachylił się blisko jego ucha.

- Podobno przysłało go tu przeznaczenie - szepnął.

Miał to być tylko głupi żart, ale Krwawy Staszek wcale się na nim nie poznał. Wyglądał po prostu na wystraszonego, co dziwnie nie pasowało do jego ciała.

Andrzej wziął kieliszki z tokajem i wrócił do stolika. Ciotka Zuzanna patrzyła na niego oczami beznadziejnie zakochanej. Stuknęli się. W tej samej chwili wszedł Amerykanin. Ciotka jeszcze go nie zauważyła.

- Odwróć się, tylko dyskretnie - powiedział Andrzej. - Przeszłość wróciła.

- Co ty bredzisz?

- Po prostu popatrz.

- O Boże - wyszeptała Zuzanna Bliska.

- Co się stało? Ty też się przestraszyłaś? Dlaczego wszyscy się go boją?

- To właśnie on zaczepiał mnie na skwerze.

- Podobno tylko ci się zdawało.

- Teraz już sama nie wiem.

- Znasz go?

- Skąd?

- Mnie o to pytasz?

Ciotka wypila duszkiem całe wino.

- Chodźmy stąd, Jędreku. Duszno tu jakoś.

W przedśionku Amerykanin ukłonił się jej.

- Pani mnie nie poznaje, panno Bliska?

- A powinnam?

- Jestem Szafran. Stefek. Zналиśmy się kiedyś.

- Żałuję, ale sobie nie przypominam. - Wyminęła go szybko, ciągnąc Andrzeja za sobą.

Krwawy Staszek zrobił do Andrzeja porozumiewawczą minę, obciążając palcem dolną powiekę. Miało to zapewne znaczyć, że jeśli obcy nazywa się Szafran, to jemu w tym oku jedzie tramwaj. Andrzej i ciotka Zuzanna minęli się w drzwiach z wchodzącymi właśnie dziewczynami. Na chodniku zaczepiali je podpici wieśniacy, a one opędzały się od nich z niechęcią.

- O, Andrzej! - ucieszyła się jedna z nich, wysoka blondynka z włosami opadającymi na ramiona. - Co u ciebie? Nie zostajesz na tańce?

Dopiero teraz ją zauważył. Była to Marysia Zbójnik, do nie dawna jeszcze małolatka. Dość mu się podobała, choć w niczym nie przypominała Pauli Rajskiej. Kilka miesięcy wcześniej próbował ją nawet poderwać. Wtedy była jednak zbyt młoda, zbyt dzika i nic z tego nie wyszło. Ale tymczasem zdała maturę i bardzo wydorosła. Szybko nadganiała zaległości. Odrabiała staż zawodowy w jakimś domu wczasowym w Zakopanem, a wieczorami wędrowała po prywatkach, festynach ludowych i dancingach, bo w tamtych czasach nie było jeszcze dyskotek. Najwyraźniej miały ochotę naprawić błąd, ale w życiu Andrzeja była już Paulina Rajska. Inne panienki przestały się dla niego liczyć. Marysię też potraktował obojętnie.

- Może wpadnę później - powiedział na odczepnego i wyszedł za ciotką na ulicę. Wieśniacy nie weszli do środka i spoglądali na Andrzeja zaczepnie, ale na więcej się nie odważyli. Miał coś takiego w sobie, że nawet ci, którzy czuli się od niego silniejsi, rezygnowali, zanim jeszcze doszło do awantury. Przestraszyła się tylko ciotka Zuzanna i chwyciła go mocno pod ramię.

- Co to za dziewczyny? - spytała, kiedy już byli na skwerze.

- Takie jedne. Dziewczyny jak dziewczyny.

Ciotka westchnęła.

- Co cię trapi, Zuza? - spytał.

- Masz jakąś stałą?

- Prawie co drugi dzień. A co?

- Skończyłeś dwadzieścia pięć lat.

- Popatrz, jak ten czas leci.

- Nie lubisz, jak stara ciotka truje?

- Chciałabys, żebym ci przedstawił oficjalną narzeczoną czy jak?

- Owszem. - Popatrzyła mu w oczy. - Myślisz, że nie powinnam?

Nagle objęła go ramieniem i na moment przyłgnęła czołem do jego policzka.

- Naprawdę chciałabym, żeby ci się udało w życiu.

- Wiem. Ale słowo ci daję, że jestem już dużym chłopcem i nie trzeba mnie wyciągać z tarapatów jak dawniej.

- Jakoś nie mogę w to uwierzyć - powiedziała ciotka Zuzanna.

Andrzej od dziecka nazywał Zuzannę ciotką, ale w rzeczywistości była kuzynką jego matki, bratanicą babci Kossakowskiej, z domu Bliskiej. Urodziła się we Lwowie i nikt nie mógł przewidzieć, że przyjdzie jej prawie całe życie spędzić na Podhalu. W 1939 roku przyjechała tu tylko na wakacje. Miała wtedy trzynaście lat. Tuż przed początkiem nowego roku szkolnego złapała anginę i dziadkowie Kossakowscy nie pozwolili jej wracać w tym stanie do domu. Leżała z gorączką i ropnymi pryszczami na migdałkach, kiedy nagle usłyszała za oknem warkot motocykli i krzyki po niemiecku. Kossakowscy ukryli przed nią, że właśnie zaczęła się wojna, więc myślała, że mający. Kiedy wróciła do zdrowia, we Lwowie byli już Rosjanie. Ktoś, kto uciekł przed Niemcami za San, a potem przed bolszewikami z powrotem, przywiózł wiadomość, że dzieją się tam straszne rzeczy, a ojciec Zuzanny, sędzia Bliski, został aresztowany.

Niespodziewana angina zapewne uratowała Zuzannę Bilską przed śmiercią, bo z jej najbliższej rodziny nikt nie ocalał. Ojciec zginął, zastrzelony przez NKWD w Charkowie, a matka i bracia przepadli bez wieści w stepach Kazachstanu. Byli jeszcze jacyś dal si krewni na wsi, w jakimś mająteczku pod Drohobyczem, ale ich jeszcze na samym początku wymordowała ukraińska banda. Została, więc u dziadków Kossakowskich. Poza nimi nie miała już nikogo.

Kiedy Kossakowscy mieszkali jeszcze w domku przy Nadbrzeżnej, było dość miejsca dla wszystkich. Ale później Nadbrzeżna znalazła się w granicach getta i Niemcy przenieśli ich do kamienicy w rynku, z której wyrzucili Zuckerbergów. Zuzanna zamieszkała w jednym pokoju z Wiktoria i zdaje się, że obie dorastające panny coraz mniej się lubiły. Po wojnie, kiedy zdała maturę i mogłaby się wreszcie usamodzielnąć, przyszła pora na spłatę długu wdzięczności. Po aresztowaniu Wiktorii była potrzebna, żeby zaopiekować się małym Andrzejem. I tak już została. Po paru latach przestała myśleć o wyjeździe na uniwersytet do Krakowa albo Warszawy. Skończyła pomaturalne studium i poszła pracować do biblioteki. Kiedy Wiktoria Kossakowska wróciła z więzienia, konflikt między kuzynkami odżył z jeszcze większą siłą. Im mniej Wiktoria potrafiła być dla Andrzeja matką, tym mocniej była zazdrosna o Zuzannę. Już po kilku dniach zrobiła dziadkom awanturę, że nie wypada, aby taki duży chłopiec spał w jednym pokoju z obcą kobietą. Zuzanna musiała, więc zamieszkać z dziadkami. Na szczęście matka Andrzeja wkrótce pozwoliła wydać się za doktora Zawadę i oboje przeprowadzili się do jego nowego służbowego mieszkania. Choć Andrzej chodził już wtedy do czwartej klasy, przez trzy noce płakał za ciotką.

Zuzanna Bliska miała ponad trzydzieści lat, kiedy przez różne znajomości udało się jej zdobyć mieszkanie w Zakopanem i mgła wreszcie wyprowadzić się od Kossakowskich. Wtedy było już za późno na ułożenie życia od nowa. A może tylko nie miała, z kim. Nie stroniła od mężczyzn, ale szczęście jej nie sprzyjało. Żaden z jej związków nie przetrwał długo. Pierwszy narzeczony, który miał być miłością na

śmierć i życie, nie rozumiał, dlaczego nie chciała zostawić małego Andrzeja i wyjechać na studia. Wyjechał sam i przestał pisać już po miesiącu. W ciągu następnych dziesięciu lat pojawili się jeszcze dwaj poważni konkurenci, ale i oni w końcu zachowali się podobnie.

A potem, kiedy wreszcie mogłaby poświęcić się swemu mężczyźnie całkowicie, wszyscy byli już żonaci. Miała teraz dużo wolnego czasu, zdobyła, więc uprawnienia instruktora jazdy na nartach i przewodnika górskiego. Te nowe zajęcia wypełniły jej życie. Zaczęła lepiej zarabiać, była niezależna i wciąż piękna. Kiedy natura upominała się o swoje prawa, zawsze był w pobliżu jakiś przystojny alpinista albo ratownik górski. Zuzanna Bilska wydawała się pogodzona ze swoim losem.

Andrzej i wtedy pozostał z ciotką w przyjaźni. To ona nauczyła go jeździć na nartach i pływać kraulem. Ona też odkryła przed nim, że literatura nie kończy się na Sienkiewiczu i Jacku Londonie. Aż wreszcie przyszedł dzień, kiedy pomogła mu przejść przez najtrudniejszą próbę, jaka czeka każdego chłopca.

Stało się to w czasie zimowych ferii 1962 roku, które Andrzej spędzał z kolegami na nartach w Zakopanem. Niedługo miał skończyć szesnaście lat. Uważał, że już najwyższy czas, żeby wreszcie zaliczyć panienkę i ta sprawa zaczynała dla niego być najważniejsza w życiu. Zamieszkali całą paczką u jednego kolesia na strychu w drewnianej willi jego rodziców. Walało się tam pełno starych gratów i było okropnie brudno, ale w tamtych latach niewiele by ło im potrzeba do szczęścia. Przyjechały z nimi także dwie dziewczyny z ekonomika, o których mówiło się, że dają.

Już pierwszego dnia stało się oczywiste, że obie miały ochotę na Andrzeja. Nie było w tym nic dziwnego. Bil swoich kolegów pod każdym względem. Robił wrażenie dużo starszego od nich. Kiedy mówił, że ma dziewiętnaście lat, wszyscy mu wierzyli. Był rozrośnięty, przystojny, z gęstymi włosami opadającymi na boki i z wyraźnym już zarostem. A przede wszystkim jeździł na nartach jak szatan. Nikt z tej paczki nie mógł nawet marzyć, żeby się z nim porównywać. Na samym wstępie dał taki koncert w Kotle Goryczkowym, że szczęki opadły im z wrażenia. Obie panienki wpatrywały się potem w niego, jakby był Tonim Sailerem w filmie „Czarna Błyskawica”. Ładniejsza z nich, ta, która miała na imię Asia, od razu się do niego przykleiła, a kiedy wracali wieczorem z piwa, po drodze wylizywała go bezwstydnie na środku ulicy.

Przed nocą ułożyli się pokotem na podłodze. Na sześciu chłopaków były tylko dwie dziewczyny i wieczorem atmosfera zrobiła się napięta i pełna oczekiwania na to, co się wydarzy. Wreszcie skończyły się resztki alkoholu, ucichły rozmowy i wszyscy zaczęli udawać, że śpią, a naprawdę nasłuchiwali w ciemności. Pierwsza znalazła amatora ta brzydsza. Z ciemności dochodziły tajemnicze szelesty i skrzypienia, potem całkiem głośne jęki, a w końcu jej zadowolony śmieszek. Tego było za wiele dla Asi. W kilku susach, nieomylnie kierując się w mroku, dopadła legowiska Andrzeja i wpełzła pod koc. Na strychu zapadła jeszcze bardziej przejmująca cisza, nawet ta brzydsza i jej amator jakby wstrzymali oddechy. Ale tym

razem długo nic nie było słycać. Aż wreszcie rozległ się całkiem wyraźny, głośny szept Asi:

- No, na co czekasz? Włóż mi.

A po chwili znowu jej głos, gniewny i zawiedziony:

- No, co jest z tobą? Co ci się stało?

Jeszcze chwilę się tam kotłowało, a potem Asia przeleciała z powrotem przez strych jak furia, potykając się o leżących. Któryś z nich złapał ją za nogę, a po chwili wszyscy usłyszeli, że ten nie zmarnował okazji.

Rankiem Andrzej wymknął się, kiedy inni jeszcze spali. Zabrał swój sprzęt, poszedł piechotą do Kuźnic i wjechał na Kasprowy pierwszą kolejką. Musiał sobie coś udowodnić. Przez noc warunki w górach zupełnie się zmieniły. Po kilku dniach słonecznej odwilży nagle chwycił mróz, chmury zeszły po niżej szczytów. W Kotle Goryczkowym rzadko spotykało się tak złe warunki. Gęsta mgła pokryła zlodowaciały stok, najeżony pułapkami wystających spod śniegu kamieni. Od górnej stacji kolejki nieliczni tego ranka narciarze zjeżdżali ostrożnie trawersem aż do miejsca, gdzie kocioł obrywał się lodową ścianą, która we mgle wydawała się jeszcze bardziej obca i groźna. Jedyłą możliwością w miarę bezpiecznego zjazdu dawała śnieżna rynna o brzegach najeżonych kamieniami. Przy jej początku zgromadziła się grupka mniej wprawnych narciarzy, którzy musieli dojrzeć do decyzji, by puścić się w dół. Co chwila któryś z nich zbierał się na odwagę i ze zgrzytem krawędzi zniknął we mgle.

Dla Andrzeja, oczywiście, nie miało to większego znaczenia. Przemykał między przerażonymi narciarzami jak zdalnie sterowana rakietka. Nie obchodziło go nic poza tym. Nawet nie zauważył, że w którymś momencie na stoku pojawiła się Zuzanna Bilka z grupą kursantów. Jeden po drugim zsuwali się właśnie rynną, kiedy Andrzej po raz kolejny wyskoczył z trawersu na pełnym gazie i zobaczywszy większy niż zwykle tłok na skręcie, przemknął na skrót między kamieniami i wskoczył do rynny kilkanaście metrów niżej. A potem było już za późno, kiedy z mgły wyłonił się na jego drodze narciarz, który przestraszył się zjazdu i schodził powoli drabinką. Andrzej dostrzegł tylko wycelowany w jego brzuch, uniesiony akurat kijek tamtego, skręcił odruchowo w bok i zwałił się ciężko między kamienie.

Kiedy się ocknął, zobaczył nad sobą twarz ciotki Zuzanny w narciarskiej czapce, spod której wymykały się jej jasne włosy.

- Czy ja już jestem w niebie? - spytał. Ten żart miał niewątpliwie na celu zatarcie plamy, jaką był dla Andrzeja upadek na normalnej trasie z Kasprowego.

- Jeszcze żyję - powiedziała ciotka. - To ty wyglądałeś na trupa.

- Tylko udawałem. - Zaśmiał się z wysiłkiem i spróbował poderwać się jednym ruchem.

Prawie mu się to udało, ale kiedy tylko oparł się na lewej nodze, od razu znalazł się z powrotem między kamieniami. Wykrzywiony z bólu, odpiął narty i chciał znowu wstać, ale tym razem ciotka go powstrzymała.

- Jędrak, co ty wyprawiasz? Nie ruszaj się, przecież złamałeś nogę.

- Nic nie złamałem - odpowiedział ze złością. - To tylko kolano. - Tylko kolano! Leż spokojnie, sprowadzę pogotowie.

- Czy ty naprawdę zawsze musisz mnie ratować? - Złość w jego głosie była jeszcze większa. - Jeśli już nie możesz bez tego wytrzymać, to pomóż mi.

I Zuzanna Bliska uległa. Coś takiego było w Andrzeju, że ludzie mu ulegali. Ostrożnie pomogła mu się podnieść. Stał na prawej nodze, z jednej strony podpierając się włożonymi pod pachę kijkami, a z drugiej podtrzymywany przez ciotkę.

- Co chcesz zrobić? - spytała z niepokojem.

- To, co trzeba.

Pochylił się, objął bezwładne kolano obiema dłońmi, wziął głęboki oddech i nacisnął. Coś chrupnęło, a potem rozległ się krzyk. Ale to nie Andrzej krzyknął, tylko jego ciotka, jakby to ją zabolalo. Zanim zdążyła temu przeszkodzić, zapiął z powrotem narty.

- Jędrak, proszę cię - zaprotestowała dopiero teraz. - Nie rób tego. Załatwisz sobie kolano na amen. Pozwól mi wysłać moich kursantów po ratownika.

- Ani mi się waż - odpowiedział. - Tylko to zrób, a więcej cię nie znam.

- Bądź rozsądny - prosiła.

- Ty bądź rozsądna. O mnie się nie martw. Zajmij się lepiej swoimi kurczętami, bo się pogubią. Jeśli się o mnie martwisz, poszukaj mnie w barze w Kuźnicach.

Odbił się kijkami i zniknął we mgle. I zanim jej udało się pozbierać uczniów, on, zsuwając się po kawałku na jednej nodze, zjechał na sam dół. W panujących tego dnia warunkach był to niemały wyczyn. Pół godziny później zobaczył ją przestraszoną w drzwiach baru. Wyraz ulgi i radości na jej twarzy aż go rozśmieszył.

- Widzisz, cioteczko? - powiedział. - Ja też ciągle żyję.

Usiedli na prostych ławach przy drewnianym stole z ciężkim ciemnym blatem. Ciotka przyniosła z bufetu piwo. Było zimne, aż kufle pokryły się rosą. Mimo to po każdym kolejnym łyku robiło mu się coraz cieplej i spokojniej. A po chwili poczuł, że ich kolana dotykają się pod stołem.

- Rozpijasz mnie - próbował zakpić. - Nie jestem na to przypadkiem za młody?

- A może uważasz, że ja jestem na to za stara? - spytała dwuznacznie.

- Na co?

- Na wszystko.

- Coś ty, nie jesteś na nic za stara. Niejedna osiemnastka przy tobie wysiada.

Nie było to wcale nieszczerze. Andrzej właśnie zdał sobie sprawę, że obie te panienki ze strychu były do niczego w porównaniu z jego własną ciotką. Zdjęła włóczkową czapkę i jej gęste, jasne włosy rozsypały się na ramionach. Wyglądała z nimi bardziej dziewczęco niż większość ówczesnych nastolatek. Akurat weszła moda na tapirowanie, którego nie znosił. Włosy były po nim jak cukrowa wata. Dziewczyny robiły sobie albo napuszone fryzurki z pejsami pod Helen Shapiro, albo ogromne, wydłużone kapusty, deformujące głowę jak u dzikich plemion. Nie

wiadomo było, jak się z czymś takim obchodzić, żeby nie popsuć i nie wywołać u panienki szału na myśl o forsie wydanej na fryzjera. Włosy ciotki Zuzanny nie zapowiadały takich problemów.

Mógłby tak siedzieć bez końca, popijając zimne piwo, od którego robiło się ciepło i sennie, i patrząc na swoją ciotkę, którą właśnie odkrył na nowo. Ale Zuzanna znów weszła w rolę jego matki.

- Powinien to obejrzeć jakiś lekarz - odezwała się rozsądnie. - A potem trzeba cię położyć do łóżka.

Nagle popsuł mu się nastrój. Przypomniał sobie, że nie ma, co z sobą zrobić. Nie chciał wracać do domu po dwóch dniach ferii. A u tego koleśka nie pokazałby się teraz za nic w świecie.

- A nie dałoby się od razu do łóżka? - próbował zażartować.

Ciotka westchnęła.

- Wolałbyś, żebym ja to najpierw zobaczyła?

- Wyłącznie ty.

- No cóż - ugięła się. - Nie będzie to bardzo mądre, ale spróbujmy. Trochę się na tym znam. Może to wystarczy.

Kiedy wstawał od stołu, przekonał się, że jest potłuczony mocniej, niż miał ochotę przyznać. Oprócz kolana zaczęło dawać o sobie znać prawe biodro, którym przejechał po kamieniach. Rwało i piekło coraz mocniej, jakby je powoli przybliżał do rozpalonej blachy. Do taksówki dokuśtykał powoli, opierając się na ramieniu ciotki. Przy niej jednej nie musiał cały czas udawać twardziela.

W jej kawalerce poczuł się od razu jak u siebie. Może, dlatego, że panował tu podobny bałagan jak u niego. Mebli było nie wiele, za to wszędzie piętrzyły się stosy książek, czasopism i płyt gramofonowych. Na nocnym stoliku stała napoczęta butelka tokaju. Andrzej opadł na wersalkę i pociągnął spory łyk prosto z butelki. Na ścianie nad wersalką wisiały stare zdjęcia, ale na razie nie zwrócił na nie uwagi. Kiedy miał szesnaście lat, niewiele go obchodziły rodzinne pamiątki.

- Mieszkasz tu ciągle sama? - spytał.

- A z kim miałabym mieszkać? - Popatrzyła na niego dziwnie, potem jakby się spieszyła i powiedziała: - No, ściągaj spodnie. Obejrzymy sobie twoje rany.

- Obawiam się, że śmierdzą mi nogi.

- Mnie to nie przeszkadza.

- Nie powiesz mi, że to lubisz.

- U ciebie mi nie przeszkadza - powtórzyła. - Nie mów mi tylko, że podcierałaś mi tyłeczek i splukiwałaś z pieluszek moje kupki.

- A może to nieprawda?

Westchnął z rezygnacją i już nie protestował, kiedy zdejmowała mu buty i skarpety, a później pomogła ściągnąć spodnie. Położyła go na wersalce i zaczęła obmacywać kolano. W pierwszej chwili napiął mięśnie, obawiając się bólu, ale poczuł tylko dotyk jej suchych, ciepłych dłoni. Aż przymknął oczy, takie to było przyjemne.

- Nie boli? - spytała.

- Przeciwnie. Badaj dalej.

- Co za dużo, to niezdrowo. - Cofnęła rękę. - Masz szczęście, nie puchnie. Chyba wymigasz się od wizyty u chirurga.

- Gdybyś ty miała mnie pielęgnować, zgodziłbym się i na to. Słowo daję, mogłabyś być pielęgniarką na wojnie.

- A mogłabym - powiedziała poważnie. - Tylko nie zdążyłam. Najpierw byłam za młoda, a potem było za późno.

Wcale mu o to nie chodziło. Ale widział, że przypomniał jej o czymś, o czym w tej chwili chyba nie chciała pamiętać: że wojnę, która dla niego była tylko baśnią, ona przeżyła. Nagle posmutniała. Jakby jej dusza wyleciała przez okno nie wiadomo, dokąd.

- Cioteczko, wróć do mnie - powiedział. Ocknęła się i uśmiechnęła, jakby chciała przekreślić tamto wrażenie. Potem spojrzała na jego biodro.

- To trzeba będzie opatrzyć - powiedziała. - Ale najpierw zrobię ci kąpiel. Zostawiła go leżącego na wersalce w swetrze i slipach. Trochę czuł się z tym głupio, ale równocześnie zaczęły się w nim budzić niejasne nadzieje. Ciotka wróciła z łazienki w białym szlafroku i boso.

- Wykąpię się po tobie - wyjaśniła, przyłapując jego spojrzenie.

Pozwolił zaprowadzić się do łazienki, jakby rzeczywiście jego kontuzja była nie wiadomo jak poważna. Ściągnął z siebie sweter i nie wiedział, co dalej. Obrzuciła jego nagi tors szybkim spojrzeniem, udając, że wcale jej to nie interesuje.

- No, to pokaż tę swoją ranę - powiedziała.

Otarcie na biodrze było widoczne tylko częściowo. Resztę zakrywały slipy, na których odcinała się plama zakrzepłej już krwi. Andrzej próbował oderwać delikatnie materiał od ciała i aż syknął z bólu.

- Zaczekaj, nie tak - powiedziała ciotka.

Palce obu dłoni włożyła za gumkę jego majtek, a potem nagłym ruchem pociągnęła w dół, odsłaniając nie tylko ranę, ale i całą jego nagość. Nawet nie zdążył krzyknąć. Tylko odruchowo zasłonił się z przodu. Ciotka uśmiechnęła się kpiąco.

- No, co ty? Wstydzisz się starej ciotki? Przecież kąpałam cię, kiedy byłeś malutki. Pomyślał, że jak już, to już, i cofnął rękę. Ona tymczasem udawała, że ogląda wyłącznie jego biodro.

- No, ładnie to nie wygląda - powiedziała. - Włóż do wanny, pomogę ci się umyć. Głos jej dziwnie zadrżał. I jemu też, kiedy odpowiadał:

- W zasadzie jestem już dużym chłopcem.

- Ale ciężko rannym. Myślę, że dziś wyjątkowo mi się to należy.

Stanął w wannie, a ona namydliła gąbkę i zaczęła go myć, od góry i coraz niżej, i niżej, omijając delikatnie ranę na biodrze. Jej ruchy były coraz wolniejsze i wolniejsze. Nigdy wcześniej nie przeżył nic podobnego. Skutek był widoczny aż za bardzo.

- Tam też? - spytała niepewnie.

- No, przecież myślaś mnie, jak byłem malutki. - Choć się starał, miał chrypę jeszcze większą niż ona.

Dotknęła go namydloną dłonią, jej palce na chwilę znieruchomiały, a potem poruszyły się niepewnie. Cofnął się nagle, bo się przestraszył, żeby wszystko nie skończyło się za prędko. Ale ona źle to rozumiała.

- Nie wstydź się. Jak byłeś malutki, też ci się już tak robiło.

Czekała, patrząc mu niepewnie w oczy. Ujął jej dłoń i położył tam sobie z powrotem. Jej ruchy stały się teraz pewniejsze.

- Tak? - spytała.

Chciał tego, ale to było za mało. Nagle chwycił ją pod pachami, uniósł i postawił obok siebie w wannie. Potem pociągnął za pasek i biały szlafrok zsunął się z ciotki do wody. Pod spodem nie miała nic.

- Jędrak, co ty wyprawiasz? - spytała niepewnie, jakby nie mogła się zdecydować, czy miało to być powiedziane ostro, czy błagalnie.

Nie mógł oderwać oczu od jej piersi, ciężkich i białych.

- Jędrak, zdaje się, że mnie źle zrozumiałeś - powiedziała i próbowała wyjść z wanny. Ale on miał dużo więcej siły. Nie mógł nic powiedzieć, więc tylko wyjął jej gąbkę z ręki i zaczął ją myć, jak przedtem ona jego. Poddała się. Poprosiła tylko:

- Nie patrz na mnie.

- Wstydzisz się mnie, cioteczko? - udało mu się wychrypieć. - Przecież już cię oglądałem naga.

- Co ty bredzisz?

- Podglądałem cię, kiedy byłem malutki.

- Opowiadasz. - Popatrzyła mu w oczy zdziwiona, ale nie było jej nieprzyjemnie. - Słowo daję. Nawet się z tego spowiadałem.

- Tak? No i co ci ksiądz powiedział?

- „Bój się Boga, dziecko”.

Nagle zaśmiała się radośnie. Zarzuciła mu ramiona na szyję i ich namydlone ciała przyłgnęły do siebie. Dłonie Andrzeja ześlizgnęły się między jej pośladki. Przycisnęła ją, żeby poczuła go mocno na brzuchu.

- Co robisz? - spytała jeszcze raz, ale już całkiem słabnącym głosem. - Jędrak, ty myślisz, że ja cię tu sprowadziłam specjalnie.

- Marzę o tobie od lat.

- Kłamiesz - szepnęła tak cicho, że ledwie usłyszał.

- Nie kłamie. To święta prawda - powiedział z przekonaniem, bo rzeczywiście właśnie w to uwierzył.

Pocałował ją. Nie bronila się, tylko po chwili wymamrotała jak we śnie:

- Boże, co my robimy.

Ale jeszcze długo pozwałała mu na wiele. Dopiero, kiedy chciał od razu doprowadzić wszystko do końca, zaczęła protestować.

- Nie, nie tak. Nie tak szybko. Przecież nie w wannie. Jestem staroświecka, nie wiesz o tym?

Nagle puściła im na głowy prysznic. Splukali z siebie mydło i wytarli się w pośpiechu, byle jak. Potem ciotka złapała go za rękę i poprowadziła za sobą do pokoju. Szła przodem, jakby specjalnie po to, żeby mógł patrzeć na jej wąskie plecy i

pełne pośladki. Kiedy pochyliła się, żeby rozłożyć wersalkę, nie zdołał zapanować nad swoją ręką. Odwróciła się do niego, a on nie przestał. Zarumieniła się, ale nie odwróciła wzroku.

- Nareszcie cię mam - wyszeptała.

Nie zastanawiał się, co to miało znaczyć. Jakie to mogło mieć w tej chwili znaczenie. Ciotka pociągnęła go na siebie, padli na wersalkę i zanim zdążył się przestraszyć, miał to już za sobą. Był zdziwiony, że poszło tak łatwo, ale czuł, że naprawdę jest już w ciotce Zuzannie, że porusza się w żywej kobiecie, na jawie, a nie tylko w wyobraźni. Ona tymczasem to gładkała go delikatnie końcami palców, to obejmowała kurczowo, jakby się bała, że jeszcze może jej uciec. Wreszcie zaczęło mu się robić ciemno przed oczami i czuł, że dłużej już się nie powstrzyma. Wtedy ona wyszeptała tuż przy jego uchu:

- O, Wawrzek.

Zdążył jeszcze zobaczyć, jak ciotka przygryza zębami dolną wargę, a jej powieki zaciskają się i wypływają spod nich łzy. Zaraz potem poczuł, jak wycieka z niego cała krew i zwałił się czołem na poduszkę, obok głowy ciotki. Zdawało mu się później, że na chwilę zemdlął.

Ciotka wciąż trzymała go mocno, nie pozwalając, żeby się z niej wysunął, a on powoli przychodził do siebie. Uświadomił sobie, że przed chwilą mówiła do niego imieniem ojca, ale nie bardzo go to zastanowiło. To było także jego drugie imię, a w dzieciństwie czasami tak go nazywała. A zresztą, w takiej chwili nie miał do tego głowy, chyba normalne.

Wreszcie go puściła. Przewrócił się na wznak. Był naprawdę wykończony. Przez dobrych parę minut nie byłby w stanie się poruszyć, choćby nie wiadomo, co od tego zależało. Ale starczyło mu siły, żeby się bezwstydnie, zwycięsko uśmiechać, kiedy pomyślał, jakiego dokonał wyczynu. Nie mógł się od tego powstrzymać. Ciotka tego nie widziała. Ona była w całkiem innym nastroju.

- Boże - powiedziała. - Co myśmy zrobili.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Poczł się już trochę silniejszy, uniósł się na łokciu i chciał ją pocałować. Odwróciła głowę. Zasłaniała się obiema rękami, jak święta Maria Magdalena na obrazach.

- Jędreku, ty mnie teraz chyba znienawidzisz.

Zachciało mu się śmiać. Był pewien, że ciotka tak się tylko droczy, jak to dziewczyny. - Coś ty - powiedział. - Prędziej się w tobie zakocham.

Popatrzyła na niego trochę gniewnie, a trochę błagalnie.

- Jędreku, nie kpj sobie ze mnie.

- Ale to święta prawda. Chyba już się w tobie zakochałem - powiedział, zanim zdążył ugryźć się w język. Ale nie doceniał ciotki. Przewróciła się na brzuch, opasała Andrzeja ramieniem i przylgnęła policzkiem do jego twarzy.

- Ładnie, że to powiedziałeś - zamruczała mu do ucha. - Dobry z ciebie chłopak, Jędrusiu. Ale więcej tego nie mów. Po co? Dobrze jest, jak jest. Za parę dni będziesz wstydił się nawet pokazać na ulicy z taką starą babą.

Chyba czuł, że ciotka ma trochę racji, ale w tej chwili nie chciał za nic w świecie dopuścić tego do siebie.

- Powiedz lepiej, że to ty nie chcesz mieć nic wspólnego z gówniarzem. Niespodziewanie zaśmiała się radośnie.

- Ty już wcale nie jesteś gówniarzem. Popatrz, już rosną ci włosy na piersiach. - Pogłaskała go. - Jak twojemu ojcu.

- Sprawdziałaś?

- Kąpaliśmy się razem w rzece. No, nie patrz tak, wszyscy się kąpaliśmy. - Uśmiechnęła się jakby do własnych wspomnień, potem uklękła i wskazała palcem jedno ze zdjęć na ścianie. - Popatrz, trzydziesty dziewiąty, nasze ostatnie wakacje. Ja, twój tata, twoja mama, a ten czarny, kręcony, to Kubuś Zuckerberg, boski śpiewak i skrzypek. - Jej uśmiech zgasł. - Boże, tyle pięknych ludzi się zmarnowało.

- A ten trzeci? - spytał Andrzej.

- Też kolega. Jaś Sokolnicki.

- Ten, co zastrzelił ojca?

Popatrzyła na niego wzburzona.

- Co takiego? Kto ci to powiedział?

- Dziadzio Kossakowski.

- Dziadzio Kossakowski! Dziadzio Kossakowski przez całe życie fantazjował. Jędreku, nie wiadomo, kto zabił twojego ojca. Po prostu nie wiadomo.

Nagle zaczęła płakać.

- Zuza, co jest? - spytał niepewnie.

- Jędreku, ja zwariuję. Przecież to jest czyste szaleństwo, co my robimy. Przecież my należymy do dwóch różnych epok.

Dziwnie było tak patrzeć na nagą, płaczącą ciotkę. Ale podziało to na niego tak, że nigdy by się nie spodziewał. Przecież jeszcze przed chwilą był taki wykończony. Ale to było chyba najlepsze, co mogło mu się w tej chwili przydarzyć. Nie spodziewał się, że w ten sposób można tyle spraw załatwić od ręki. Ciotka też przyjęła to jak niespodziewany dar niebios i rzuciła się na niego zachłannie, nie przestając płakać, ale i uśmiechając się pomiędzy wstrząsami szloch uśmiechem prawdziwego szczęścia.

Tym razem poczuł się bardziej uspokojony, jakby oczyścił się z wszystkich myśli i uczuć. Ciotka też była już spokojna i leżeli obok siebie na wznak, a ona głaskała go leniwie końcami palców. Potem usnęli. Ciotka obudziła się pierwsza. Kiedy on otworzył oczy, siedziała nad nim i wpatrywała się w niego

- Dobrze nam z sobą, co? - spytał, bo poczuł, że powinien coś powiedzieć. Szybko położyła mu palec na ustach.

- Jędreku, nie wolno nam tego robić.

- Co ty? - wymamrotał.

- Nie przerywaj. Niedługo sam to zrozumiesz. Może, kiedy ochłoniesz, nie będziesz mógł na mnie patrzeć. Ale gdybyś chciał zostać u mnie do końca ferii, będzie miło.

- Cioteczko, jasne!

- W takim razie jeszcze jedno.
- Tak?
- Przestań, do ciężkiej cholery, nazywać mnie cioteczka.

11

Rozmowa z ciotką jeszcze bardziej wytrąciła Andrzeja z równowagi. Jakby mało było innych spraw, które go wkurzały. Jego stosunek do Zuzanny Bliskiej pozostał dziwaczny i pełen sprzeczności. Nigdy nie próbował wrócić do zakończonego dawno romansu. Mimo to traktował ją jak dawną kochankę, a nie jak krewną. I denerwowało go, kiedy próbowała wchodzić w tę rolę. Do tego wciąż był trochę o ciotkę zazdrosny. Kiedy wracał następnego dnia z pracy, Chowańcowa złapała go na schodach. Znowu chyba trzymała wartę za firanką, bo ledwo wszedł na schody, wysunęła się cicho zza swoich drzwi, zastąpiła mu drogę i wciągnęła do kuchni.

- On się spotkał z Andrzejką ciocią - wyszeptała dramatycznie.

- A co mnie to obchodzi? - odezwał się opryskliwie, choć w głębi duszy poczuł coś zupełnie innego. Wcale nie był zaskoczony. Spodziewał się tego. Znowu ktoś go oszukał i zdradził.

- Szkoda, bo powinno Andrzejkę obchodzić. Tu się coś dzieje i jeszcze Andrzejek pożałuje, jak się dowie ostatni.

Wiedział, że nie powinien dać się wciągnąć babie w rozmowę na ten temat, ale to było silniejsze od niego.

- No dobra, skąd pani wie? - spytał.

- Na własne oczy widziałam ich w parku.

- Zaczepiał ją?

- No, jak to się nazywa zaczepiał, to ja się nie nazywam pani Chowańcowa. Oni się nie spotkali przypadkiem. Musieli się umówić. Zachowywali się jak starzy dobrzy znajomi. Co ja mówię, znajomi. - Zerknęła na Andrzeja i pohamowała się. - No, w każdym razie on ją obejmował, a ona pozwalała. Myśleli pewnie, że do południa nikt ich tam nie zobaczy. Ale nie znają pani Chowańcowej. Co dzień rano idę na mszę do starego kościółka, a potem wracam sobie piechotką. Byli tacy sobą zajęci, że nawet nie musiałam się bardzo kryć. Gadali ze dwie godziny, a potem on poszedł do kwaciarni i kupił jej wielki bukiet czerwonych róż. Więc niech Andrzejek nie opowiada, że go to nie obchodzi.

- Chodziła pani za nimi przez dwie godziny, że pani to wszystko wie?

- A pewnie, że chodziłam. Ja wolę wiedzieć od razu, co się dzieje. Tym bardziej, że rano mnie wypytywał o te listy z Ameryki.

- Jakie listy z Ameryki? Do pani?

- A gdzie do mnie? Do świętej pamięci Andrzejki mamusi. No, co się Andrzejek tak patrzy? Że o nich wiem? Przecież sama odbierałam, jak u was nikogo nie było. Pytał, czy Andrzejka mamusia na pewno je dostała. Myślał, że może skonfiskowali je komuniści. Mówię mu, panie, to już nie te czasy.

- I co jeszcze mu pani powiedziała?

- A to, że jeden z nich Andrzejka mamusia własnoręcznie przy mnie potargała. Ale mu się zrobiło łyso, mówię Andrzejkowi! Co, myśli Andrzejek, że źle zrobiłam?

- Dlaczego? Jeśli to prawda?

Udała obrażoną.

- Pani Chowańcowa mówi tylko prawdę, proszę Andrzejka.

Jakże już czuł się tym wszystkim zmęczony. W mieszkaniu padł na kanapę i nie chciało mu się nawet ruszyć. Siedział i gapił się bezmyślnie na portret ojca, który patrzył na niego ze ściany nad telewizorem. Było to powiększone zdjęcie z kenkarty, Wawrzyniec Kurniawa wyglądał na nim bardzo młodo, a w dolnym rogu dało się dostrzec odcisnięty kawałek pieczęci z hitlerowską wroną. Kanapa z rzeźbionym oparciem i poręczami pamiętała Zuckerbergów. Przed laty dziadek Kossakowski ucinął sobie na niej drzemki na siedząco, Tak było i owego popołudnia, kiedy Andrzej ostatni raz próbował rozmawiać z nim o śmierci ojca. Z matką w ogóle nie miało to sensu. Kiedy tylko zaczynał mówić na ten temat, wpadała w panikę. Zbierało się jej na płacz i chwytął ją ból głowy, zaraz musiała się położyć. Po kilku takich scenach przestał w ogóle próbować. Dziadek odkrył przed nim trochę prawdy też tylko raz, tamtego dnia aa Turbaczu. Andrzej czuł, że matka robiła dziadkowi z tego powodu wyrzuty, bo później już nie dawał się wyciągać na żadne wynurzenia. Co najwyżej po swoim rozkładał ręce, podnosił oczy do góry i wzdychał:

- Polityka.

Dopiero na krótko przed śmiercią zdarzył mu się taki błysk jakby nie całkiem świadomy. Siedział właśnie na tej kanapie i udawał, że czyta po łacinie Horacego w przedwojennym wydaniu Gebethnera i Wolffa, ale w rzeczywistości po prostu przysypiał. Andrzej był tego dnia w szczególnie złym nastroju, miał jakieś kolejne kłopoty w szkole, nauczyciele znów bardziej go gnębili. Nie umiał sobie z tym poradzić, z tego wszystkiego odstawiał numery jeszcze większe i tak w kółko. Ostatnio przyszedł do szkoły pijany, zrobił awanturę i właśnie ważyły się losy, czy już go wyleją, czy dopiero następnym razem. Później ciotce Zuzannie udało się wszystko załagodzić, ale tego dnia cała złość Andrzeja skupiła się na dziadku. On przecież był także belfrem. I przez całe lata robił mu wodę z mózgu, wmawiając, jakim to niby każdy belfer jest aniołem. A w dodatku jeszcze, kiedy tego popołudnia zobaczył Andrzeja, spytał jak nieprzytomny, co tam w szkole. Andrzej odpowiedział mu ze złością, że w szkole byłoby całkiem dobrze, gdyby miał ojca, który niedałby się zastrzelić jak idiota. Wtedy miałby, kto pójść do budy i załatwić, żeby się go nie czepiali, tak jak to robią inni ojcowie. Dziadek chyba już nie bardzo rozumiał, o co chodzi, bo spojrzał na niego z wyrzutem i odezwał się głosem trochę nieobecny

- Nie mów tak. Dulce et decorum est pro potna mori.[Słodko i chlubnie ginąć za ojczyznę. - Pieśń 3.2 Horacego w tłum. Tadeusza Bodzeńskiego - „Horacy. Wybór poezji”. Biblioteka Narodowa 1971]

Wtedy Andrzej krzyknął na dziadka, chyba po raz pierwszy w życiu:

- A co mi tu dziadzio opowiada, jakie pro patria? Co tej ojczyźnie z tego przyszło? Przez głupotę dał się zabić i tyle, kiedy mądrzy dawno zrozumieli, że wszystko szlag trafił. I mama też dała się wplątać w aferę, zamiast pilnować swojego brzucha, jak normalna kobieta. Dziadek nie rozgniewał się. Powiedział tylko z żalem:

- Nie osądzaj ich pochopnie. My, którzy nie musieliśmy przez to przejść, nie powinniśmy ich osądzać.

- Przez co przejść, dziadku?

Stary pan podniósł na Andrzeja zażawione oczy.

- A czy ty myślisz, że ja wszystko wiem? Czy oni mi mówili? Ty myślisz, że mi było lekko, kiedy twoja mama poszła pracować do bezpieki? Taki wstyd, dawni przyjaciele zaczęli udawać, że mnie nie widzą na ulicy. Babcia przypłaciła to ciężką nerwicą. Ale co robić. Rozkaz to rozkaz.

- Czym znowu rozkaz? Partii?

- Co ty wygadujesz? Jakiej partii? - zdenerwował się dziadek, jakby to nie przez niego Andrzej był taki ciemny. - To podziemie kazało swoim ludziom wchodzić do nowej władzy, żeby nie dawać komunistom wolnej ręki. To, dlatego Ogień objął UB i wciągnął swoich ludzi. Twojego tatę też. A kiedy się nie udało, kiedy musieli wrócić do lasu, zastąpili ich nowi, lepiej zakonspirowani.

Wszystko to wciąż nie dawało Andrzejowi odpowiedzi na najważniejsze pytanie. - A ten cały porucznik Sokolnicki, dziadzia pupil? Czy jego mama też zwerbowała, po starej znajomości?

- Skąd ja mogę to wiedzieć? - Milczał przez długą chwilę, nim podjął: - Ach, Jasiu, Jasiu. Gdyby w trzydziestym dziewiątym nie wyjechał do Lwowa, sam, bez twojej mamy, wszystko potoczyło się inaczej. A tak go prosiłem, żeby jeszcze zaczekał.

- Dziadzio chciał, żeby to on ożenił się z mamą? - spytał Andrzej z bijącym sercem. Coś takiego już od dłuższego czasu chodziło mu po głowie.

- Ach, co tu gadać. Nie zdążyłem im tego powiedzieć, ale na pewno mieliby moje błogosławieństwo.

- To może mi dziadzio wreszcie powie, dlaczego on zabił ojca. Niech mi dziadzio nie wmawia, że nikt nie wie, o co poszło.

Powieki dziadka opadły, chwilę siedział bez ruchu, a potem nagle otworzył szeroko swoje starcze oczy i wbił je w Andrzeja.

- Nie powiedziałem, że nikt. Jeśli ktoś wie, to Zuzanna, twoja ukochana cioteczka. Spytaj ją.

Andrzej od dawna czuł, że dziadek nie lubił z jakiegoś powodu ciotki Zuzanny. Jeszcze długo przed tym, jak wyszedł na jaw ich romans. I uważał, że to bardzo niesprawiedliwe, bo przecież zajmowała się nim jak mogła, kiedy nikt inny nie miał dla niego czasu. Toteż wściekł się, kiedy teraz we wzroku dziadka zobaczył prawdziwe sztylety.

- Ja dziadzia pytam! - prawie krzyknął. Ale oczy dziadka już znowu jakby go nie wiedziały, jakby nie poznawał wnuka. Wymamrotał tylko:- Mors et fugacem

persequitur virum, nec parcat inbellis iuventae.[- Alic dopadnie śmierć i tchórzliwego... ibidem.108]

- A niechże się dziadzio wreszcie wypcha swoją łaciną! - krzyknął Andrzej i wybiegł z pokoju, trzaskając drzwiami.

Zrozumiał słowa dziadka tak, jak wtedy mógł zrozumieć przy swej znajomości łaciny i jeszcze mniejszej wiedzy o swoich rodzicach. Sądził, że stary pan chciał mu przez to powiedzieć, że jego ojciec zginąłby nawet wtedy, gdyby się wcale nie pchał do polityki. I uznał, że to starcze bredzenie. Obiecywał sobie, że jeszcze kiedyś przycisnie dziadka bardziej. Ale już nie zdażył.

Sam nie wiedział, dlaczego to wszystko wciąż tak bardzo wy prowadzało go z równowagi. Przyzwyczyił się przecież do myśli, że nie miał rodziców. Zdawało mu się, że już dawno przestał się przeciw temu buntować. Jeszcze w szkole. Może było już za późno, żeby on i matka zdołali się odnaleźć. Widział, że i ona cierpiała z tego powodu, ale nie umiała się przełamać. Czuł, że matka nie potrafi poświęcić swoich myśli wyłącznie jemu, że był tylko jednym z powodów, przez które jakiś czas miała problemy z alkoholem. Zaczęło się niewinnie; przez parę lat nie było widać, że wpadła w kłopoty. Ale w końcu nie potrafiła już zasnąć bez paru kieliszków. Z picia wyciągnął ją doktor Zawada. Był przy niej zawsze. Wierny, nieskończenie cierpliwy, nieżądający dla siebie niczego, gotów znieść dla Wiktorii wszystko. Wcale nie zarobił sobie w ten sposób na uczucie pasierba. Jego niezwykła dobroć, którą wszyscy tak podziwiali, w Andrzeju budziła raczej pogardę. Ojczym się dla niego nie liczył. Wiedział o tym i prawie się do Andrzeja nie wtrącał. Nie próbował go wychowywać. Był wystarczająco inteligentny, żeby rozumieć, że byłoby to beznadziejne.

Zaledwie parę razy zebrał się na odwagę, ale i wtedy chodziło mu tylko o Wiktorię. Próbował przekonywać pasierba, żeby miał trochę litości dla matki. Andrzej przyznawał sam przed sobą, że czasem się na niej mścił, choć właściwie nie wiedział, za co. Ona wtedy nie krzyczała, nie robiła wielkich scen. Po prostu sięgała po następny kieliszek. Alkohol nie wprowadzał jej w awanturniczy nastrój. Na odwrót, zubożniał na wszystko. A kiedy już dzięki doktorowi skończyła z piciem, na wysoki Andrzeja zaczęła reagować jeszcze gorzej. Cichła, przestawała jeść, całymi godzinami leżała na kanapie, z mokrym ręcznikiem na czole, i łykała masę różnych prochów.

Andrzej czuł, że przez jakiś czas on i matka mieli jeszcze szansę. Stracili ją dopiero w dniu, kiedy zrobiła mu piekło o ciotkę Zuzannę. Była to jedyna awantura, jaką pamiętał w jej wykonaniu. Wcześniej nie wiedział nawet, czy ona się domyślała, co łączyło go z ciotką. Poszło w gruncie rzeczy o głupstwo. O to, że zapomniał o imieninach matki i nie wrócił w porę z gór. Chyba po raz pierwszy wtedy na niego krzyczała:

- Nawet nie zadzwoniłeś, żeby złożyć mi życzenia. Pewnie zapomniałeś o tym w łóżku tej wyuzdanej kobiety, którą nazywasz swoją ciotką!

Tego Andrzej nie darował matce nigdy. Gotów był przyjąć wszystkie wymówki pod swoim adresem. Ale przez to, że ubliżyła Zuzannie, spaliła między

nimi ostatnie mosty. Siedział tak na kanapie i rozmyślał, kiedy wszedł Amerykanin. Drzwi do przedpokoju były otwarte i obcy zajrzał przez nie.

- Można na chwilę?

- Nawet trzeba - odpowiedział Andrzej. - Może i ja w końcu dowiedziałbym się czegoś?

- Beg your pardon?

- Słyszałem, że jednak dogadał się pan z ciotką Zuzanną.

Szafran nie zmieszał się. Przeciwnie, chętnie podjął rozmowę.

- W końcu mnie przypomniała sobie. A co, ludzie już wiedzą to? Niezawodna pani Chowańcowa, right?

- Nie taka znowu niezawodna. Nie dała rady podsłuchać, o czym rozmawialiście z takim zainteresowaniem przez całe dwie godziny.

- To nie tajemnica jest. Trochę o dawnych czasach, ale najwięcej o panu.

- O mnie?

- Pan dziwi się? Przecież to przez pana ona taka zmartwiona.

- Naprawdę? A czym znowu tak się przejmuje?

- Wie pan, że pan o karierze swojej nie myśli, że już stary kawaler jest i tak dalej. - Ja się zabiję! I właśnie panu się na to użalała?

- Takie już kobiety są. - Uśmiechnął się kpiąco. Potem znowu spoważniał. - Ja bym chciał z panem poważnie porozmawiać.

- O czym?

- Mam jeden biznes.

Andrzej znów poczuł taki przyływ rozdrażnienia, że nie zdołał zmusić się do dalszej rozmowy.

- Przepraszam, ale teraz jestem zajęty. Muszę coś załatwić.

- OK, mnie nie pali się. - Amerykanin pokiwał głową. - Ja poczekam.

Po latach (wrzesień 2000)

Tekturowe pudło kryło jeszcze wiele ciekawych rzeczy. Wystarczyło na całą noc. Z którejś koperty wysypały się zdjęcia Zuzanny Bliskiej. Przez całe życie zazdrościłem Andrzejowi romansu z ciotką. To było takie literackie. Ale fabularne walory jego przygody odkryłem dopiero później, kiedy zająłem się spisywaniem historii. W roku naszych szesnastych urodzin po prostu diabli mnie brali, że to jemu, a nie mnie, trafiło się bujne ciało Zuzanny. Nie gorszyło mnie wcale, że była jego ciotką. To nawet dodawało tej miłosnej aferze grzesznego uroku. Sam żałowałem, że nie miałem ciotki, która by się do tego nadała. Po prostu żarła mnie czarna zazdrość i tyle. Przecież nawet zapisałem się do niej na lekcje jazdy na nartach. I akurat wtedy Andrzej ściągnął mi ją sprzed nosa.

W trzydziestym szóstym roku życia Zuzanna Bliska wciąż nie wyglądała na więcej niż trzydzieści, jasne włosy nosiła rozpuszczone na ramiona, a jej biodra i piersi, zwłaszcza opięte swetrem i narciarskimi spodniami, były równie wyzywające,

jak wdzięki modnych wówczas w Polsce Bardotki i Sophii Loren. Było to wyraźnie widoczne na zdjęciach, których dogrzebałem się w pudle zdjętym z pawlacza.

Nalałem sobie wódki i zacząłem przeglądać fotografie sprzed prawie czterdziestu lat. Zostały zrobione właśnie tej zimy, kiedy Zuzanna pomogła Andrzejowi stracić cnotę. Może dwa albo trzy dni wcześniej. W każdym razie, zanim jeszcze przyjechały te dwie panienki, które narobiły tyle zamieszania. Prawdę mówiąc, ja też mieszkałem wtedy na tym strychu. Byłem świadkiem Andrzejowej kompromitacji, choć udawałem, że śpię jak zabity. Nigdy później nie przyznałem mu się, że wszystko słyszałem. On też wolał w to wierzyć. Albo udawać, że wierzy.

Na kilku fotografiach Zuzanna Bliska była ze mną. Na jednej nawet w przychylieniu odwagi obejmowałem ją. Nie wiem, czy odważyłbym się posunąć dalej, nawet gdyby Andrzej nie wszedł mi w drogę. Ale w myślach moja odwaga nie miała granic. Toteż z łatwością mogłem sobie wyobrazić, co wyprawiał z nią Andrzej. Zresztą, pomagał mi w tym, jak mógł. Pochwalił się sukcesem zaraz następnego dnia. Nie powiem, żebym wpadł w zachwyty.

Ale wobec koleśki ze strychu wziętem jego stronę. Kiedy zainteresowali się, gdzie tak nagle zniknął, poinformowałem ich nie bez satysfakcji:

- Przeprowadził się do kochanki.

Asia od razu zastrzygła uchem, choć wcześniej udawała, że ten temat w ogóle jej nie obchodzi.

- On zdolny mieć kochankę! - nie wytrzymała.

- Oczywiście. - Wzruszyłem ramionami. - Wątpisz w to?

- Właśnie, że wątpię.

- To nie wątp. On tylko nie chwyta się za byle, co.

W ten sposób przekreśliłem także szansę, żeby pocieszyć się z Asią albo z tą drugą ekonomistką. Ale nie żałowałem. Andrzej. Już wtedy był dla mnie ważniejszy.

Od tamtych zimowych ferii do przyjazdu Amerykanina minęło prawie dziesięć lat, a Zuzanna Buska wciąż była warta grzechu. Rysy Jej twarzy wyostriły się, skóra była mniej gładka, ale zachowała dawną figurę. Nie zapomniała mnie, pamiętała, że jestem przyjacielem Andrzeja z dawnych lat. Spotykałem ją czasem na ulicy i wtedy nie tylko poznawała mnie, ale zwykle przystawała, żeby za pytać, co u mnie nowego. To utwierdzało mnie w przekonaniu, że kiedyś nie byłbym u niej całkiem bez szans. Gdyby nie Andrzej. Natknąłem się na nią następnego dnia po rozmowie, jaką miała z Andrzejem w Podhalance. Prawdę mówiąc, nie był to przypadek. Ja też zobaczyłem ją rano z Amerykaninem. To podsunęło mi pewien pomysł. Tego dnia biblioteka była czynna do piątej, a ja już kwadrans wcześniej czyhałem na Zuzannę przed wyjściem.

Właśnie wtedy, trochę z nudów, a trochę z nawyku zbierania szpargałów, które mogły się przydać, odkleiłem z tablicy ogłoszeń i schowałem do kieszeni niewielki, prymitywnie wydrukowany afisz, który teraz, złożony na czworo, wyleciał z pudła razem ze zdjęciami Zuzanny Bilskiej. Rozprostowałem papier dłonią i położyłem przed sobą. Było na nim napisane, że o godzinie 19.00 w Domu Kultury będzie miał wieczór autorski redaktor Adam Jaruga, wybitny reporter polski

ostatnich lat. Pod spodem ktoś dopisał chemicznym ołówkiem drukowanymi kulfonami: kłamca - kumunista.

Wpatrując się w ten stary kawałek papieru, wypilem łyk wódki i zobaczyłem wychodzącą z biblioteki Zuzannę w letnij sukience bez rękawów, z jasnymi włosami powiewającymi na wietrze. Na mój widok wyraźnie się ucieszyła, co mnie trochę zdziwiło, ale i ośmieliło.

- Czy mogę pani zająć kilka minut? - spytałem. - Mam pewną sprawę. Da się pani zaprosić na kawę?

Ku memu zaskoczeniu uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Prawdę mówiąc, ja też mam do pana pewną sprawę.

Teraz dopiero się zdumiałem, ale udało mi się nie okazać nadmiernej ciekawości. Usiedliśmy w kawiarni Karpackiej, która mieściła się wtedy naprzeciwko Podhalanki, po drugiej stronie rynku. Czekając na kawę, wymieniliśmy kilka uwag na temat pogody i tłoku, jaki zapanował w górach w związku z rajdem szlakami Lenina, który właśnie się rozpoczął. Wreszcie uznała, że trzeba mnie zachęcić:

- Ale chyba nie chciał pan ze mną rozmawiać o Leninie i w ogóle o polityce?

- W pewnym sensie tak - powiedziałem.

- O! - zdziwiła się.

- Jestem tu na obozie historycznym - uświadomiłem ją. - Widziałem dziś panią przypadkiem z tym gościem z Ameryki. Coś mi mówi, że to może być źródło, do którego jeszcze nikt nie dotarł.

Nagle zrobiła się czujna. Uśmiechała się wciąż, ale coraz bardziej sztucznie.

- A pan chciałby odkryć coś, czego jeszcze nikt nie odkrył?

- To panią dziwi?

- Nie. Ale obawiam się, że nie będę mogła panu pomóc. Ja tego pana znam bardzo słabo.

Skłamała. Nie wiem, dlaczego, ale byłem tego prawie pewny. Chyba czuła, że jej nie uwierzyłem, bo zaczęła mnie bardzo gorliwie przekonywać:

- A zresztą, jestem pewna, że on nie chciałby nic powiedzieć.

- Skąd pani wie?

- Wiem. On nie chce o tym wszystkim pamiętać. Rozumiem go.

Teraz wierzyłem jej jeszcze mniej. Akurat chciał zapomnieć. To, po co chodził, prowokował ludzi i budził ich strach? Andrzej mi wszystko opowiedział. Ale nie chciało mi się dalej cisnąć Zuzanny. Nagle straciłem zapał do tego pomysłu. Coraz częściej miałem dość Ognia i całej jego historii.

- Przepraszam. Jestem pewna, że wkrótce zrobi pan swoje od krycie - powiedziała, nie patrząc mi w oczy i mieszając bez sen su łyżeczką w kawie.

Czuła się winna. Teraz ja musiałem ją ośmielić.

- Pani też miała do mnie jakąś sprawę?

Popatrzyła mi w oczy.

- A nie gniewa się pan?

- Skądże. Prawdę mówiąc, to nie jestem zdziwiony. Nikt nie chce nic mówić. Więc jaka to sprawa?

Niespodziewanie położyła swoją dłoń na mojej.

- Boję się o Andrzeja - powiedziała.

- Dlaczego? - udałem zdziwienie. - Myślę, że o niego nie trze ba się bać.

- A ja myślę inaczej. Udaje twardego, ale wcale taki nie jest. Nie widzi pan, że wszystko mu się sypie? Studia, praca. A teraz widzę, że osobistego życia też nie umie sobie ułożyć.

- Rany! Andrzej ma dopiero dwadzieścia pięć lat - zawołałem, myśląc także o sobie. - Jeszcze sobie ułoży.

Pokręciła głową.

- Boję się, że będzie mu trudno. A tak bym nie chciała, żeby spotkało go to samo, co mnie. - Nagle popatrzyła mi prosto w oczy. - No, niech pan sam powie. Czy Paulina Rajska to dziewczyna dla niego?

Załamala mnie. Nie mogłem wykrzyknąć, że Andrzej i Paula tworzą idealną parę. - Trudno mi na ten temat coś powiedzieć - wymamrotałem.

- Nie szkodzi. Wystarczy to, co pan pomyślał. Przecież ja nie jestem taka głupia. Przed Andrzejem udaję, że nic nie wiem, ale dobrze widzę, co się dzieje. Niech mnie pan źle nie zrozumie. Znam Paulę Rajska od dziecka. To wartościowa dziewczyna. Ale pan też dobrze rozumie, że oni nie są dla siebie, prawda? To się nie może dobrze skończyć.

Cóż, nie mogłem zaprzeczyć. Ani nie chciałem. Powiedziałem tylko:

- Nie wiem, co ja bym tu mógł.

- Ja też nie wiem. Ale może coś by pan mógł. Między kolegami łatwiej o zaufanie niż między ciotką i siostrzeńcem. Ktoś powinien otworzyć mu oczy. Dla jego dobra. Wydawało mi się, że sama wstydzi się tego, co mówi. Jakby się bała, że sobie pomyślę, jaka z niej franca. A mnie w tym momencie przyszedł do głowy szatański pomysł. Jak to się mówi, jej ziarno padło na moją glebę.

- Jeśli pani tak mówi, to może spróbuję - powiedziałem niezobowiązująco. Ledwo się rozstaliśmy, pobiegłem na pocztę i zadzwoniłem do Andrzeja.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że Adam Jaruga ma dziś wieczór autorski w Domu Kultury. Myślałem, że może cię to zainteresuje.

Po drugiej stronie zaległa martwa cisza. A więc nie wiedział. Musiałem go naprawdę mocno zdenerwować. Jaruga był idolem Pauliny, jeszcze zanim postanowiła studiować nauki polityczne, żeby w przyszłości zostać słynną dziennikarką. Z pozoru wyglądała na całkiem normalną panienkę, można było odnieść wrażenie, że nawet dość rozrywkową. Ale miała tę swoją szajbę, która zwałała z nóg normalnych ludzi. Kogo obchodziły sprawy dziejące się w miejscach, co do których nawet nie było pewności, czy w ogóle istnieją? Na jakiejś Kubie, w Indochinach czy na Bliskim Wschodzie? A ona tym żyła. Kiedy inne dziewczyny wruszały się lekturą „Witaj smutku” Francoise Sagan czy „Lata nagich dziewcząt” Stanisławy Fleszarowej-Muskat, ona pochłaniała dzienniki Che Guevary, książki o powstawaniu państwa izraelskiego, reportaże Kapuścińskiego i Jarugi. Nikt przy zdrowych zmysłach nie rozumiał, po co jej to.

A już, kiedy na trzecim roku zaczęła chodzić na prowadzone przez Jarugę seminarium dziennikarskie, po prostu zwariowała na jego punkcie. Wszystkim naokoło opowiadała, jakie to objawienie. Wiem, bo sam spędziłem w Jaszczurach niejedną godzinę, wysłuchując peanów na jego cześć. W tamtych latach Jaruga rzeczywiście był jednym z najlepszych zagranicznych reporterów. To prawda. Ale gdyby podeszła do tego na zimno, nie mogłaby przecież zaprzeczyć, że i on siedział w tych samych układach, co wszyscy. Jego reportaże, choć takie świetne, też do druku zatwierdzała partia. Ale Paula nie pozwoliłaby nikomu powiedzieć o Jarudze nawet jednego złego słowa. Taka niby niezależna, nieuznająca żadnych autorytetów, jego traktowała niby jakiegoś bożka. Wytłumaczenie tego fenomenu mogło być tylko jedno. Andrzej musiał to czuć, jak cholera. Wcale się, więc nie dziwiłem, że teraz zaniemówił.

- Ogłuchłeś? - spytałem. - Słyszałeś, co mówiłem?

- Słyszałem - odezwał się drewnianym głosem. - Ale nie wiem, dlaczego przyszło ci do głowy, że to może mnie obchodzić?

Ja wiedziałem i on wiedział, dlaczego. Ale jasne, że nie mogłem powiedzieć tego głośno.

- Pomyślałem, że byłaby okazja przypomnieć gościowi jego dawne reportaże. Nie z Sierra Maestra, tylko z Podhala.

Chodziło o to, że Jaruga, zanim został gwiazdą reportażu zagranicznego, miał w karierze krótki epizod krajowy. W swoim czasie napisał reportaż „Krajobraz po wojnie domowej”. O tym, jak dawni partyzanci Ognia, wychodzący z więzień, znajdowali dla siebie miejsce w socjalistycznej rzeczywistości, w pegeerach i przy budowie huty imienia Lenina. Nie znałem dokładnie powodów, ale wiedziałem, że w związku z tym tekstem Andrzej żywił do niego głęboką urazę. Jeszcze długo przed tym, jak zainteresował się Paula Rajska. Nie wiem, czy mi uwierzył. Ale pretekst był dobry. Obaj mogliśmy udawać, że wcale nie chodziło o nią.

A o co mi naprawdę chodziło? Prawie trzydzieści lat później wpatrywałem w pożółkły i zmięty afisz zapowiadający wieczór autorski Adama Jarugi i nadal nie znałem odpowiedzi. Świt za stał mnie nad rozgrzebanym pudłem ze starymi szpargałami. Obok stała prawie opróżniona półlitrowka, a ja wiedziałem jeszcze mniej niż na początku. Nigdy nie przyznałem się Pauli, że to ja tak namieszałem. Ciekawe, czy wtedy też zadzwoniłaby do mnie z Nowego Jorku?

12

Telefon odebrał stary Rajski.

- O, jak to dobrze, że zadzwoniłeś - ucieszył się. - Ta moja zwariowana córka po prostu się wykańcza. Ja nie rozumiem, jak można z własnej woli włączyć w takie intelektualne bagno. Tłumaczyłem jej jak dziecku, żeby wykuła do egzaminu tyle, ile trzeba, zdała, co ma zdać, i jak najszybciej wyrzuciła wszystko z głowy. I wiesz, co? Mało mnie nie zabiła samym wzrokiem. Chce być mądrzejsza od Marksa. Nie rozumie, że to najgorsza metoda na takiego wojskowego tępaka jak ten generał

Wasilewski. Przecież ja ich znam. Kapral czy generał, jednakowe ćwoki. Nie spróbowałbyś jej namówić, żeby zajęła się czymś zdrowszym chociaż przez dwie godziny?

- Właśnie mam zamiar.

- Chwała Bogu. Dobry z ciebie chłopak. Przynajmniej na ciebie można liczyć.

Można, prawda? - zawiesił głos znacząco.

- Tak mi się wydaje - powiedział Andrzej.

- Myślałeś już o naszej sprawie?

- Wszystko będzie załatwione. Pracuję nad tym.

- Wiedziałem, że ty mnie zrozumiesz - odetchnął doktor.

Za to Paula, sądząc po głosie, była nieskończenie znudzona jego natręctwem.

- Dlaczego nie potrafisz mnie zrozumieć? - odezwała się niechętnie. - Już ci mówiłam, że dziś też jestem zajęta.

- Nie śmiałbym zabierać ci cennego czasu, ale nie wiem, czy słyszałaś, że w Domu Kultury jest spotkanie z Jarugą.

W słuchawce zapadła długa cisza.

- Odebrało ci głos? - spytał.

- No, słyszałam - powiedziała z ociąganiem. - 1 co z tego?

- Nie wybierasz się? Nie wierzę.

- Może się i wybiorę. Jeśli wystarczy mi czasu.

- Sama? Nie byłaś łaskawa pomyśleć o mnie?

- Nie przyszło mi do głowy, że to cię może zainteresować. - W jej głosie brzmiała złość. - Na każdym kroku dajesz do zrozumienia, że takie sprawy masz w nosie.

- Trudno, pójdę sam - powiedział. - Może się spotkamy.

I spotkali się. Paula zupełnie nie wyglądała na zachwyconą jego widokiem, ale mimo to w salce na pierwszym piętrze Domu Kultury usiedli obok siebie.

- A może ty się mnie po prostu wstydzisz, co? - nie wytrzymał. - To powiedz.

Paula tylko wyruszyła ramionami i posłała mu takie spojrzenie, że zrobiło mu się głupio. Sam czuł, że to dosyć śmieszne, być zazdrosnym o takiego niemłodego już, zmęczonego życiem faceta. Ale parę minut później, kiedy Jarugą stanął przed nimi, nie wysoki, łysiejący, w skórzanej kurtce, zmienił zdanie. Musiał przyznać, że gość jednak miał w sobie magnes. Tym bardziej udawał luz, rozwalony na krześle, z wyciągniętymi nogami i ramieniem przerzuconym przez oparcie krzesła Pauli.

Salka nie była pełna, ale zebrało się ze trzydzieści osób. Kilku partyjnych lektorów, kilkunastu przedstawicieli nowotarskiej inteligencji, przyciągniętych przez telewizyjne nazwisko. Jacyś młodzi inżynierowie z kombinatu obuwniczego. Jakieś nauczycielki z liceum, które przyniosły książki, żeby sławny autor wpisał im dedykacje. Jarugą najwyraźniej nie miał zbyt wielkiej ochoty na wspomnienie w tym gronie swego krajowego epizodu. Za to chętnie opowiadał o ostatniej podróży po Kubie i innych krajach Ameryki Łacińskiej, gdzie próbował wytropić prawdę o życiu i śmierci Che Guevary. To z kolei w Nowym Targu mało, kogo interesowało. Poza Paulina. Jarugą szybko wyłowił ją spośród reszty słuchaczy. Nie krył, że ją poznał.

Skinął jej głowę, uśmiechając się lekko. Od tej chwili mówił tylko do niej. Popisywał się jak smarkacz. Nie był taki głupi, żeby trzymać się linii oficjalnej propagandy. Przedstawił, więc Kubańczyków jako ofiary światowego konfliktu. Błysnął erudycją, cytując Szekspira: „O, biada słabym istotom, kiedy się dostaną pomiędzy ostrza potężnych szermierzy....”

Oczy mu naprawdę błyszczały, kiedy zapewniał zebranych, a właściwie Paulinę:

- Oni chcieli tylko wolności. Wydawało im się, że wystarczy obalić tyrana i już będą wolni. Nie wiedzieli, że na to świat im nigdy nie pozwoli.

Oczywiście, w czasie swych długich podróży nie odkrył żadnej nowej prawdy o Che. - Wiem, że poniosłem klęskę - przyznał, jakby chciał powiedzieć, że odniósł wielkie zwycięstwo. - Ale trzeba próbować.

Andrzej zerknął na Paulinę. Wpatrywała się w Jarugę, jakby był, co najmniej Danielem Olbrychskim. W tym momencie nie wytrzymał.

- Nie pierwszą - powiedział.

- Słucham? - Jaruga spojrzał na niego jak przebudzony ze snu.

- Nie musiał pan jeździć tak daleko szukać swoich klęsk.

Mistrz reportażu wzruszył ramionami.

- Chyba wiem, o co panu chodzi. Nie jest pan oryginalny. Powtarza pan tylko to, co od dawna plotą moi zawistni koledzy. Szepczą po katedrach, że Jaruga uciekł w świat, żeby nie zajmować się polskim burdelem. To są ci zbyt leniwi albo za słabi, żeby sobie wywalczyć prawo do wyjazdów. Rozumiem ich, gryzie ich zazdrość, bo sami nigdzie nie jeżdżą. Wydaje im się, że gdyby jakiś dobry wujek wysłał ich na jakąś egzotyczną wojenkę, to zaraz przemieniliby się w Hemingwayów, zaraz zaczęliby pisać genialne książki. Gównem by napisali, przepraszam państwa za to wyrażenie, posraliby się ze strachu w portki i tyle.

- Pan się posrał jeszcze przed wyjazdem - powiedział cicho Andrzej.

Rozległy się syknięcia i pomruki oburzenia.

- Coś podobnego, co za chamstwo! - odezwała się jedna z nauczycielek. - Niech pan się uspokoi!

- Chyba pijany - dorzuciła druga.

Całe to oburzenie publiczności było niczym w porównaniu z burzą, jaka musiała szaleć w duszy Pauliny. Jeśli ona, zawsze taka wygadana, teraz nie potrafiła wydobyć z siebie głosu, to znaczyło, że cios był ogłuszający. Siedziała jak porażona, czerwona na twarzy. Ona, która się nigdy nie czerwieniła. Mogło się wydawać, że w tej chwili Andrzej stracił u niej wszystkie szanse, jakie jeszcze mogły mu pozostać. Ale Jaruga uciszył oburzonych ruchem ręki. Patrzył na Andrzeja jak na rzadkie znalezisko.

- Więcej szczegółów? - spytał z ciekawością.

- Pamięta pan jeszcze, dlaczego zginął porucznik Góral? - powiedział cicho Andrzej. - Słucham? - Jaruga aż zamrugnął oczami.

- Dlaczego zginął porucznik Góral - powtórzył Andrzej spokojnie.

Coś zaiskrzyło. Chyba wszyscy to poczuli, chociaż nikt nie wiedział, o co chodzi. Paula też najwyraźniej nie miała pojęcia, że przed laty Jaruga bardzo interesował się okolicznościami śmierci Wawrzyńca Kurniawy. Kilka razy spotykał się z matką Andrzeja i spędził na rozmowach z nią wiele godzin. Ale w „Krajobrazie po wojnie domowej” nie pozostał po tym żaden ślad. Jaruga popatrzył na Paulinę, która uciekła przed nim oczami, jakby dręczył ją śmiertelny wstyd za sąsiada. Potem spojrzął znów na Andrzeja i powiedział:- Możemy o tym porozmawiać później? W węższym gronie?

I wrócił, jakby nigdy nic, do swojej południowoamerykańskiej opowieści. Pół godziny później najbardziej wytrwali uczestnicy spotkania zebrali się w kawiarence w podziemiach Domu Kultury. Kiedy tam schodzili, Paula odezwała się do Andrzeja:

- Co ty wyprawiasz, głupku? Chcesz mnie przed nim skompromitować? O to ci chodzi?

Andrzej nie odpowiedział. Ale w kawiarence usiedli znowu razem. Nie podawano tu alkoholu, więc musiały im wystarczyć papierosy i wkrótce prawie nie dało się oddychać, choć cała grupka, która jeszcze miała ochotę na dyskusję, zmieściła się przy dwóch złączonych stolikach.

- No, więc pan uważa, że stchórzyłem przed napisaniem prawdy o śmierci Górala? - zaczął zakłopotany Jaruga. - To nie było tak. Czy ta sprawa jakoś pana osobiście dotyczy? - Ona dotyczy wszystkich ludzi na Podhalu.

- Dobrze pana rozumiem, niech mi pan wierzy. Ale to już zamknięta karta. Trzeba to przeboleć i patrzeć do przodu.

- Przez kogo zamknięta? Przez pana i tych, którym pan służy?

- Zamknij się - rzuciła Paulina przez zęby.

- Nic nie szkodzi - machnął ręką Jaruga, ale popatrzył na nią jak na sojuszniczkę. - Ja rozumiem, że dla pana może to być przykre. Ja też myślałem wtedy, że jest tu jakaś ważna prawdą odkrycia. Ktoś chciał, żebym uwierzył, że Góral zginął, bo prowadził jakąś ważną misję. Rzekomo w imieniu Ognia pertraktował z władzami w sprawie wyjścia z lasu. Ale to były chyba tylko pobożne życzenia tej osoby.

- Chyba? Ciekawe, jak pana przekonywali, że pan w to uwierzył?

- Czy ty w ogóle wiesz, głupku, z kim rozmawiasz? - znów nie wytrzymała Paula. Jaruga spojrzął na nią z wdzięcznością i na moment dotknął jej dłoni.

- Proszę się nie gniewać na kolegę - powiedział. - Ja też kiedyś byłem taki młody. Też mi się wydawało, że ci ludzie, Ogień i cała reszta, działali w dobrej wierze.

- Tylko się panu wydawało? - Niestety. Naprawdę to oni wcale nie chcieli się dogadać. Ogień wolał zginąć, niż wrócić na gospodarstwo. On, który trząsał całym Podhalem, miałby się z powrotem zaprząć do pług? A taki Góral, ambitny chłopak z maturą, po co on miał wychodzić z lasu? Co na niego czekało? Praca w pegeerze albo w kopalni? Oni wszyscy mieli większe plany. Czekali na trzecią wojnę

światową. Łudzili się, że lada dzień Ameryka załatwi Ruskich i wtedy oni będą górą. Zachorowali na władzę, taka jest prawda.

- Bullshit - rozległo się cicho od drzwi.

Odwrócili głowy i zobaczyli Amerykanina. Stał oparty o framugę, nie zdejmując swoich okularów. Andrzej wydawał się całkiem zdezorientowany tą nową niespodzianką. Jaruga tym bardziej.

- Słucham? - spytał nieprzytomnie.

- Oni tylko wolności chcieli. Nie wiedzieli, że świat im nigdy nie pozwoli na to. Andrzej po raz kolejny został wytracony z równowagi tym niespodziewanym wsparciem. Jakby w biegnącym filmie nagle pojawiła się klatka z poprzedniego seansu. Przecież Amerykanin przyszedł dopiero teraz, nie było go na górze, nie słuchał wykładu Jarugi o rewolucji kubańskiej. A jednak powtórzył jego słowa niemal dokładnie.

- A pan kto znowu jest? - spytał Jaruga niepewnie.

- Nikt ważny. Po prostu z ulicy człowiek.

- To nie wiem, czy spodobałaby się panu wolność według Ognia. On chciał być panem życia i śmierci takich jak pan, to był jego prawdziwy cel.

- Dla pana to dziwne, że Polacy w Polsce o władzę bili się? Gdyby komuniści chcieli Polski Ludowej naprawdę, to Józek Kuraś, taki prawdziwy chłopski partyzant, dałby się dla nich zabić. Tylko, że wielki polityk on nie był. Taki jak pan, panie journalist. Dla niego ludowa znaczyło ludowa, a nie ruska.

- Piękny sojusznik, który zdradza i morduje sprzymierzeńców.

Z tyłu rozległ się cichy śmiech Amerykanina.

- Pan zabawny jest, panie journalist. Czekać miał? Aż sprzymierzeńcy zamordują jego? Kiedy dowiedział się, że w nocy urząd napadnięty ma być i wszyscy przez nieznaną sprawców wybici do nogi? Pan czekałby? Do lasu by nie poszedł?

- Pan tworzy jakieś fantazje, fabuły. - Jaruga wyraźnie tracił pewność siebie.

- Ja myślę, pan wszystko to wie, tylko interesu wiedzieć nie ma. Dla komunistów taki sojusznik niepotrzebny był. Mógłby urosnąć za duży. Dla komunistów najlepszy sojusznik, to martwy sojusznik. Może teraz miałby Józek w Nowym Targu pomnik, gdyby pozwolił zamordować się za Polskę Ludową. Co myśli pan, panie journalist?

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Jaruga stracił chęć do polemiki, przez chwilę siedział zły, z opuszczoną głową. Kiedy wreszcie się ocknął, jego oczy zrobiły się okrągłe.

- Boże - powiedział. - A gdzie ten człowiek się podział?

Andrzej obejrzał się. Czarnych okularów za nim nie było.

- Może to był duch - powiedział zgryźliwie.

Jaruga postanowił obrócić wszystko w żart.

- O, tak. - Uśmiechnął się. - Na pewno duch. Zły duch przeszłości. Ale to pan go wywołał.

- Ale skąd - powiedział Andrzej. - On wywołał się sam.

- Wszystko jedno. Najważniejsze, że zniknął i nie zawraca nam więcej głowy. - Jaruga uśmiechnął się wprost do Pauliny swoim słynnym uśmiechem chłopca, tak dobrze znanym wszystkim widzom programów międzynarodowych w Telewizji Polskiej.

Paula ze złością odwróciła się do Andrzeja.

- Co to był za cham zbuntowany? Znasz go? Widać, że znasz. Ty go tu sprowadziłeś? - spytała, nie przejmując się, że inni słyszą.

Nachylił się do niej i coś jej półgłosem tłumaczył. Wyglądała na jeszcze bardziej wściekłą. Tymczasem zbliżała się pora filmu w pierwszym programie telewizji i w końcu nawet najwierniejsza Jarudze nauczycielka straciła nadzieję na pozostanie z nim bez świadków. Zabrała swoją książkę z dedykacją i wyszła na palcach.

- Nareszcie sami - odezwał się bezczelnie Jaruga, jakby Andrzej był powietrzem. - Przez tego ducha przeszłości zaniedbałem panią.

- Po prostu Faula - powiedziała Paulina.

- Jesteś niesamowita, Paulo.

- A to czemu?

- Ty jedna z niewielu rozumiesz, że nie możemy się dłużej babrać w naszym własnym błotku, na naszym małym podwórku. Ze dzisiaj gra toczy się całkiem gdzie indziej. Przegramy ją, jeśli będziemy wciąż tylko opłakiwać nasze rany. Czytałaś Mrożka? - Wyszczrzył zęby i stuknął w nie palcem. - „Wybili, panie, za wolność wybili!”.

Paula zaśmiała się głośno.

- Szkoda, że wcześniej nie chciałeś zauważyć, jaka jestem wyjątkowa - powiedziała z pretensją w głosie.

- Ależ przeciwnie. Kto mógłby ciebie nie zauważyć? To ty nie zwracałaś uwagi na takiego weterana jak ja.

Jaruga był coraz bardziej bezczelny. Andrzej dziękował Bogu, że wcześniej nie wypił ani kieliszka, bo skończyłoby się tym, że połamałby krzesło na głowie reportera. I tylko by się ośmieszył.

- Chowałam się z tyłu - powiedziała Paula. - Jestem nieśmiała. Zresztą, przez większość roku cię nie było.

- No tak, jeździłem na tę Kubę.

- W nagrodę za to, że zgodził się pan nie babrać we własnym błotku, pozwolili panu opisywać walkę o wolność w Ameryce Południowej? - powiedział Andrzej.

- Pan wciąż nie chce nic zrozumieć - Jaruga nie krył już lekkiego znudzenia. Czuł teraz swoją siłę.

- Taki już jestem ciemny - powiedział Andrzej, podnosząc się. - Jestem tylko zwykłym szoferem, który rano musi wstać do roboty.

- Nie wygłupiaj się - powiedziała Paulina, nie podnosząc oczu. - Przecież nie będę sama wracać.

Próbowała zawrzeć rozejm. Jeszcze nie była pewna, czego na prawdę chce. Zaczęła się wahać. Dała mu jeszcze szansę. Ale on z niej nie skorzystał.

- Pan redaktor cię odprowadzi, prawda?
- Tak, oczywiście - odpowiedział Jaruga z wprawą starego cynika. - Może pan być spokojny.

Teraz Andrzej nie miał już odwrotu.

13

Brama cmentarza była już zamknięta. Andrzej przeskoczył przez parkan. Wicher szumiał niesamowicie w cmentarnych drzewach. Rodzice leżeli pod murem od strony rzeki, tuż obok drewnianego kościółka Świętej Anny. Mieli wspólny grób, krzyż z żółtego piaskowca i obramowanie z tego samego kamienia. Pośrodku rósł krzak bukszpanu, zasadzony przez ciotkę Zuzannę. Było z nim niewiele roboty, a grób wyglądał dość przyzwoicie. Zapalił jakąś starą świeczkę. Płomień wydobył z mroku wykute w kamieniu napisy:

Wawrzyniec Kurniawa

1920-1946

Wiktoria z Kossakowskich - Kurniawa

1922-1971

Kiedy matka Andrzeja przed laty stawiała nagrobek mężowi, zamówiła od razu podwójny. Już wtedy kazała wykuć swoje nazwisko i dzień urodzenia. Kiedy umarła, wystarczyło dorobić datę śmierci. Jakby się bała, żeby jej nie pochowali gdzie indziej. Płomień świeczki lepiej się rozpałił i u stóp krzyża zabłysły czerwienią róże. Wielki ich bukiet tkwił w kamiennym wazonie. Andrzej długo stał i zastanawiał się nad tym. Potem wrócił do miasta ciemnymi ulicami, wymiatanymi przez wiatr.

W Podhalance niezmordowana pani Bukowska spojrzała na niego znad skarpety. - Nie może Jędrus spać?

- Skąd pani wie?

- Dużo ludzi nie może spać tej nocy, proszę Jędrusia.

- To na pewno z wiatru - powiedział.

- To właśnie miałam na myśli, proszę Jędrusia. Że z wiatru.

- A może pani miała na myśli, pani Bukowska, że przez tego z Ameryki?

- A dlaczego Jędrus tak przypuszcza?

- Pan Morek coś ostatnio źle wygląda.

- Ja myślę, że on bez tego ma powody źle wyglądać.

- Pani Bukowska, pani wie wszystko. Pani jest jak żywa historia.

- Tak Jędrus uważa?

- Ja myślę, że jak pani czegoś nie wie, to nikt tego nie wie.

- Tyle że co wiem, to wiem dla siebie. Dlatego jestem żywa historia, a nie martwa. Chce Jędrus spytać o coś konkretnego?

- Czy to naprawdę jest ten Szafran, jak mówią? Pseudonim Zemsta?

Teraz prawie wsadziła nos w skarpetę.

- Skąd mogę wiedzieć? - wymamrotała. - Ja go nie znałam.

- On panią znał.

- Proszę Jędrusia, mnie tu wszyscy znali, a ja wszystkich nie mogłam. To byli tacy młodzi chłopcy, wszyscy do siebie podobni. Prędzej pan Morek ich znał. Jeśli mówi, że to nie Szafran, to ja myślę, że on wie lepiej.

Krwawy Staszek zbliżył się właśnie i usłyszał koniec ich rozmowy.

- Jestem tego pewny, jak tego, że pana tu widzę - potwierdził.

- Widział pan zwłoki?

- Widziałem, jak padał. Ciało zabrali bandyci. Ale ja wiem, jak pada nieżywy. Znam się na tym.

- W to nikt nie wątpi, panie Morek - odezwała się Bukowska.

Krwawy Staszek nie zareagował. Tej nocy rzeczywiście nie wyglądał dobrze. Jego czerwona zwykle i czerstwa twarz była zszarzała i zapadnięta. Ale to może też była wina światła i dymu, który wisiał pasmami nad bufetem.

- To było wtedy, jak rozbiliśmy bandę Wichra w Dolinie Chochołowskiej - powiedział. - Wzięliśmy jeńców. Ten Zemsta dał się zgarnąć jak dziecko. Kiedyśmy ich wzięli w krzyżowy ogień, obierał kartofle przy kuchni, nawet nie zdążył wystrzelić. Załadowaliśmy trupy na jeden samochód, żywych na drugi, i wracamy. Przy skałach zaatakował nas Góral ze swoimi. Nas było dużo, my i dwie kompanie wojska, więc nawet się nie pokazali, tylko strzelali z lasu. Ten Zemsta jakoś się wydostał z samochodu, zobaczyliśmy go dopiero, jak już dobiegał do lasu. Złapałem pepeszkę, chciałem go skosić, a wtedy Jasiek Sokolnicki mówi: Zostaw, ja skurwysyna załatwię. Wyjął gnata, wymierzył jak na strzelnicy. - Krwawy Staszek podniósł ramię, z którego zwisała kelnerska ściereczka, jego palce złożyły się, jakby obejmowały kolbę pistoletu, a wskazujący skurczył się, jak na spuście. Zgaszone i przepite oczy zaświeciły. - I trrrrach! Zemsta miał może trzy kroki do lasu, kiedy dostał. Bandyci przestali strzelać, my na samochody i jazda. Tak to właśnie było.

- I co, nie goniliście tych bandytów? - spytał Andrzej.

Krwawy Staszek ocknął się ze wspomnień, wzruszył ramionami. - Nie było rozkazu. - A kto wydawał rozkazy?

- Kto miał wydawać? Porucznik.

- Wie pan, jakieś to dziwne, że zostawiliście te zwłoki. Po prostu uciekliście przed słabszym przeciwnikiem? To tak się zachowywało zbrojne ramię ludu?

Krwawy Staszek trochę się zniecierpliwił.

- Nie wiem, czego się pan czepia, panie Andrzeju. Ja tylko panu mówię, co widziałem. - Ja myślę, proszę Jędrusia, że prawdziwy Stefek Szafran to by tyle nie wiedział, co ten w okularach - wyrwało się Bukowskiej.

- Tak pani myśli? Choć go pani wcale nie znała?

Nagle zaczęła liczyć oczka.

- Czy ja dobrze słyszałam, jak Jędrus mówił, że nie może spać? - powiedziała nie bardzo do sensu. - To lepiej niech się Jędrus idzie zabawić. To Jędrusiowi dobrze zrobi na spanie.

- Właśnie po to przyszedłem - zgodził się Andrzej.

- Póki jeszcze czas - zdobył się na złotą myśl Krwawy Staszek. - Póki jeszcze czas. Na sali zabawa toczyła się sennie, jak zwykle o tej porze. Gorąco i zaduch

mogły zabić kogoś mniej odpornego. Zespół rzępolił powolne przytulanki. Przy jednym ze stolików siedziała Marysia Zbójnik w towarzystwie dwóch koleżanek i jakichś wiejskich podrywaczy. Podszedł do niej.

- Już jestem - powiedział. - Czekalaś na mnie?

Podrywacze patrzyli nieprzyjaźnie. Marysia odwróciła się do niego nadąsana.

- Nie śpieszyłeś się.

- Wszystko można nadrobić. Chodź. - Wziął ją za rękę.

Jeden z wieśniaków uniósł się do połowy na krześle.

- Może więcej kultury, co? Ta panna nie jest sama.

- Ta panna jest ze mną - powiedział Andrzej i wyciągnął ją na parkiet.

Podrywacz chciał dalej protestować, ale inni zaraz go uspokoili. Widocznie on jeden wśród nich jeszcze Andrzeja nie znał. Solistka, mocno wymalowana kobieta ze spoconym dekoltem, śpiewała zmęczonym głosem:

Nigdy więcej nie patrz na mnie takim wzrokiem

Nigdy więcej nie mów do mnie, że nie kochasz...

- Przyczepili się, wcale nie chciałam - tłumaczyła się Marysia. - Wiesz, trudno się pozbyć chłopaków ze swojej wioski.

Andrzej nie marnował czasu.

- Nie dziwię im się. Też byłbym zazdrosny. Jesteś miss Podhala.

- Naprawdę, podobam ci się? - spytała naiwnie, a on już chyba wiedział, że tej nocy odegra się na Paulinie. Przyciągnął ją mocniej. Nadąsała się, ale już tylko po to, żeby się droczyć.

- To czemu kazałeś mi tak długo czekać? - powiedziała z wyrzutem.

- Musiałem pracować. Nie jestem taki bogaty z domu jak ty.

- Żartujesz sobie ze mnie.

- Wcale me - powiedział poważnie. - Muszę mieć trochę grosza na wypadek, gdybym na przykład chciał się żenić z taką bogatą panną. Żeby mnie jej starzy nie mieli za dziada. Przycisnęła brodę do jego ramienia. - A gdzie ty byś się chciał ze mną ożenić - powiedziała cicho. - Jestem dla ciebie za głupia, co? Dlatego nie chciałeś ze mną chodzić?

- Coś ty? Myślałem, że jestem dla ciebie za stary.

- Naprawdę? - spytała z nadzieją i zaśmiała się cicho. - Może faktycznie byłeś. Na wiosnę byłam jeszcze naprawdę głupia, nie doceniałam cię. Teraz mi się podoba, że jesteś taki poważny facet.

Andrzej trochę się zdumiał. Raczej nie podejrzewał, że ktoś może go uznawać za poważnego faceta. Zewsząd słyszał całkiem co innego.

- To co, myślisz, że możemy znowu z sobą chodzić? - spytała.

- Nie trzeba za dużo myśleć, tylko robić - zamruczał i położył obie dłonie na pośladkach Marysi.

Dwie godziny później dancینگ dogorywał, a Marysia wciąż nie miała ochoty wracać na swoją kwaterę. Andrzej wykosztował się już na trzy kawałki w ramach koncertu życzeń i solistka zupełnie zachrypła, męcząc się z angielszczyzną uwielbianej przez Marysię piosenki Paula Anki:

When somebody lewes you,

That's the time to cry...

[Kiedy ktoś cię porzuci, przychodzi czas łez...(Paul Anka, „Time To Cry”).

W końcu już żadne pieniądze nie mogły nakłonić zmarnowanych muzyków do jeszcze jednego wysiłku i Andrzej z Marysią wyszli objęci w pasie na smagany wichurą rynek, jak w romantycznym filmie.

- O Jezu - cieszyła się Marysia jak dziecko. - Nawet nie marzyłam, że jeszcze będę się z tobą bawić. Szkoda, że tak krótko.

Choć niedawno zdała maturę, ciągle przemawiała przez nią wiejska dziewczynka, dla której wszystko poza opłotkami jest dalekie i trudno osiągalne. Nawet kierowca z gminnej spółdzielni. Usiedli na ławce pośrodku skweru, w dusznych podmuchach wichury, a on wymusił na niej pocałunek.

- Chyba jednak przesadzasz - powiedziała zdyszana.

- Myślałem, że ci się podobam.

- Bardzo mi się podobasz - przyznała rozbrajająco. - Ale czy to nie za wcześnie? - Znamy się już prawie rok.

- Ale nie widzieliśmy się od wiosny. To tak, jakbyśmy zaczęli od nowa.

- Niedawno miałaś pretensje, że się za mało śpieszyłem.

- Ciągle się ze mnie śmiejesz - powiedziała tonem kapitulacji.

Broniła się jeszcze, ale tylko dla zachowania pozorów. Po chwili zmiękła całkiem w jego ramionach i nagle poczuł w ustach jej duży, silny język. Bez oporu pozwoliła włożyć sobie rękę za dekolt i zsunąć stanik z piersi. Jej sutki wyprężyły się i ona cała także. Jego palce błędziły po jej skórze bez przeszkód, dopóki nie dostały się między uda, szybko i brutalnie, żeby nie zdążyła przeszkodzić. Nagle zaczęła go odpychać z niespodziewaną stanowczością. Ale było za późno, trzymał ją jak w klinczu, a jego palce robiły tymczasem swoje.

- Co ty ze mną robisz? - powiedziała bardziej z żalem niż ze złością. - Co sobie o mnie myślisz?

- Że się w tobie zakochałem - wyszeptał jej do ucha.

Ale jesteś kłamca - powiedziała, ale widać tylko na to czekała, bo jej opór osłabł, a uda same się rozsunęły, a język znowu znalazł drogę do jego ust. Siedzieli tak jeszcze długo na wietrze, zanim nie spłoszyli ich spóźnieni przechodnie.

- To, co, chodźmy do mnie - powiedział.

- O nie! Za kogo ty mnie masz?

- Sama mówiłaś, że masz jeszcze ochotę na tańce.

- Bo na tańce bym miała.

- No, to możemy potańczyć u mnie. Mam fajne płyty i trochę wina. Potem odwiozę cię do hotelu.

- I nie będziesz chciał nic więcej?

- A wyglądam na takiego?

- Pewnie, że wyglądasz. Nie wierzę ci ani tyle.

- Trudno. - Puścił ją. - Jeśli mi nie wierzysz, to lepiej odwiozę cię już teraz.

- Zaczekaj - chwyciła go za koszulę. - A masz Paula Ankę?

- Jasne, że mam.

- I obiecujesz, że będziemy tylko tańczyć?

Oczywiście, że obiecał i pół godziny później u niego w mieszkaniu kołysali się boso przy nocnej lampce, a z Marysi spadała szmatka po szmatce. Najwyraźniej uznała, że rozebranie się od pasa w górę mieści się w granicach umowy. Albo wiedziała, gdzie tkwi jej siła i postanowiła to wykorzystać. Andrzej nie ukrywał swego zachwytu:

- Jezu, masz najpiękniejsze cyce, jakie w życiu widziałem.

- Jak ty do mnie mówisz? - znów zaprotestowała tylko dla zasady.

Potem rozpiął jej spódnicę, a ona podjęła ostatnią próbę obrony, przytrzymując ją rękami, żeby nie opadła.

- Widzisz, jaki jesteś? A obiecywałeś - powtarzała ni to gniewnie, ni to żałośnie. - Nie mogę się opanować - szeptał jej ucha. - Tak na mniedziałasz.

- Ale przecież ty mnie nie kochasz - zajęczała.

- Dlaczego tak mówisz? - spytał. - To ty nie chciałaś ze mną chodzić. Ledwo to przeżyłem.

- Naprawdę? Nie wierzę ci.

Spódnica zsunęła się na podłogę, oplątując stopy Marysi. Paul Anka skarżył się z patefonu:

I'm just a lonely boy

lonely and blue...

[Samotny ze mnie chłopak, samotny i smutny... Paul Anka, „Lonely Boy”].

Już się nie broniła, kiedy zsuwał z niej majtki i sam się rozbierał, nie przerywając tańca. Poczekał, aż skończy się kawałek, a potem pchnął ją łagodnie na kanapę.

- O Jezu, Jędrrek. Ale przecież nie możemy. To grzech.

Trochę go tym rozczuliła.

- Nic na to nie poradzimy. To silniejsze od nas, więc to nie grzech.

- To grzech, Jędrrek, to grzech - jęczała. - Proszę cię, nie dziś. Poczekajmy trochę, co? Andrzejowi chciało się śmiać. Marysia siedziała goła, z rozłożonymi nogami, i prosiła, żeby resztę odłożyć na inny termin. Nie czekał dłużej ani chwili.

- Co ty mi zrobiłeś - jęczała Marysia. - Obiecałeś. Ja ci, głupia, uwierzyłam. Wykorzystałeś mnie. - A potem: - O, Jędrrek, nie mogę!

I wbrew tym słowom, zaczęła się pod nim ruszać jak dzika. Poczuł, że to się zaraz skończy i że nie da rady nad sobą zapanować. Zdążył zauważyć, że wcale nie musi, bo Marysia też była już gotowa. Nigdy wcześniej nie spotkał tak szybkiej dziewczyny. Już zaczęła przytomnieć. Nie przestając podrzucać biodrami, odezwała się niespodziewanie trzeźwo:

- Jezu, Jędrrek, uważaj, bo zajdę.

Zachował się przytomnie i w następnej chwili spuścił się Marysi na te najpiękniejsze cyce, jakie widział w życiu. Zdaje się, że był to dla biednej dziewczyny spory szok. Choć zdążyła stracić wianek, najwyraźniej nie miała jeszcze zbyt wielu takich doświadczeń. Andrzej głąskał ją po włosach i całował po oczach, żeby

solennie odrobić grę końcową, ale ona skupiła się głównie na tym, co skapywało jej z piersi na brzuch. Dotknęła się palcami i bezskutecznie próbowała ukryć odruch lekkiego obrzydzenia.

- Puść mnie. Muszę się umyć - powiedziała.

- Nie ma ciepłej wody - uprzedził ją.

Nie powiedziała nic, odepchnęła go i poszła do łazienki. Zauważył, że wyglądała zachwycająco także od tyłu. Rozłożył pościel na kanapie, nalał sobie wina i czekał na nią z kieliszkiem w dłoni. Wróciła i usiadła naga na brzegu kanapy. Skórę miała chłodną od zimnej wody, a oczy czerwone.

- Odwieź mnie - powiedziała.

- Co się wygłupiasz? - spytał. - Gniewasz się?

- Oszukałeś mnie.

- Daj spokój.

- Ty mnie wcale nie kochasz. Wykorzystałeś mnie tylko.

- Źle ci było? - spytał.

- Nie kochasz mnie - powtórzyła.

Wziął głęboki oddech, zamknął oczy i powiedział:

- Kocham cię.

- Ale kłamiesz - powiedziała Marysia, położyła się na kanapie i odwróciła do niego plecami. Kiedy rozciągnął się obok niej, odsunęła się pod ścianę. Słyszał, jak pociąga nosem. - Zgaś światło - powiedziała. - Nie patrz na mnie.

Po chwili spała już jak dziecko. On też poczuł ogarniającą go wreszcie senność. Po raz pierwszy od wielu dni kładł się do łóżka spokojny. Marysia nie była Paulina, nie oszukiwał się. Paulina nigdy nie zmuszała go, żeby mówił, że ją kocha. I nie myślał sobie potem brzucha. Ale był z siebie zadowolony. Wreszcie czuł, że zrobił, co należało.

14

Mimo że zasnął tak szybko, spokój nie był mu pisany i tej nocy. Tym razem nie pamiętał sennego koszmaru, który go obudził. Przez to był jeszcze bardziej niespokojny i wszystko go drażniło. Nawet rozciągnięte obok nagie ciało Marysi, która przez sen zrzuciła koc i spała na brzuchu, oddychając cicho. Poczł, że musi zapalić. Wstał ostrożnie i naciągnął na siebie dres. Przez okno w kuchni wyszedł na ganek. Wicher aż zatykał.

Palił, zaciągając się głęboko i gapiąc w czarną studnię podwórka, kiedy naraz poczuł, że on stoi obok. Nie potrafił powiedzieć, co to było. Może doleciał go dym z camela. A może wyczuł Amerykanina w inny sposób, niezrozumiały dla niego samego.

- Kim pan jest, do cholery, duchem? - spytał.

Szafran zaśmiał się cicho.

- Stary zwyczaj. Kiedyś życie zależało od tego.

- Ja na niczyje nie nastaję.

- Ja też nie. Jeśli przestraszyłem pana, to sorry.
- Nie jestem taki strachliwy. Nie myślałem o sobie.
- Tylko?
- Nie wiem. Ale niektórzy podejrzewają, że pan przyjechał zemścić się na kimś.

- Bullshit! Zemsta to dla frajerów jest.
- A pan nie jest frajerem?
- Na pewno nie. Nie miałbym szukać, czego w Ameryce.
- To dziwne, co pan mówi.
- Bo?
- Bo podobno kiedyś wymyślił pan sobie właśnie taki pseudonim, Zemsta. Tak bez powodu?

- To inne czasy były - powiedział Amerykanin po chwili. - Ja też inny. Smarkacz, co mało wiedział, tyle, co nic.

Zamilkł. Ale zanim jeszcze dopaliły się ich papierosy, odezwał się znowu:

- Pan też nie może spać, kiedy wieje halny?
- Zawsze mogłem - odpowiedział Andrzej. - Ale tym razem coś mnie nosi.
- To tak jak mnie.
- Nieprzyzwyczajony pan - powiedział Andrzej grzecznościowo.
- Nie chodzi o to. Widzi pan, mnie szkoda spać, kiedy wieje on.
- Proszę?

- U nas nie ma go, w Kalifornii.

- Góralu, czy ci nie żal? Przyjechał pan sobie po prostu pooddychać halnym wiatrem? Amerykanin znów zaśmiał się w ciemności.

- To też. Ale ja zaraz wszystko wytłumaczę panu. Tylko przyniosę coś, małą buteleczkę. OK? Można? Chyba, że śpiący pan?

Andrzej nie był śpiący i już dawno chciał, żeby Amerykanin odkrył karty. Zaintrygowała go zwłaszcza wzmianka, że mógłby mu dać zarobić. Kiedy ta propozycja padła, w powrotnej drodze od Franka Mrugały, udawał, że wcale go nie zainteresowała. Właściwie z początku była to prawda. Ale potem coraz bardziej męczyła go ciekawość, co właściwie obcy chciał mu zaproponować. Polował na każdą możliwość dodatkowego zarobku. Kiedy zdecydował, że nie wróci na studia, wymyślił sobie na dalsze życie parę projektów, które wymagały sporej gotówki.

Amerykanin wrócił szybko, trzymając w ręce butelkę o dziwnym kształcie, na której Andrzej przeczytał napis „Wild Turkey”.

- To bourbon amerykański taki - wyjaśnił obcy.

Andrzej wiedział, co to jest. Jego ojczym dostał kiedyś podobną butelkę w prezencie od wyjątkowego pacjenta z Ameryki. Ale jej nie otworzył, tylko trzymał jako ozdobę kolekcji. Na co dzień pijał zwykłego old smugglera, łatwo dostępnego w dolarowym sklepie w Nowym Targu.

- Happy Birthday - powiedział Amerykanin, trącając swoją szklanką w szklankę Andrzeja.

Andrzej nawet nie musiał pytać, skąd tamten wie. Zresztą, znów miał ochotę się napić i było mu obojętne, z jakiej okazji. Intrygowało go tylko, po co naprawdę obcy spotykał się z ciotką Zuzanną.

- Widzę, że ciotka wprowadziła pana we wszystko bardzo szczegółowo.

- Co złego w tym?

- Nic. Ale szybko wam poszło. Chowańcowa była nawet pewna, że te czerwone róże kupił pan także dla ciotki.

- A pan się domyślił prawdy? Jak?

- Nie wiem. Telepatia.

- Pana rodzice zrobili dużo dla mnie kiedyś - powiedział Amerykanin cicho. - Ja pomyślałem, że należy się im ode mnie, choć parę kwiatków.

- A ciotka Zuzanna? - spytał Andrzej.

- Panna Bliska była dzieckiem wtedy.

- Dziś już nie jest. I ciągle jest do wzięcia. Rozumiał, że nie byłoby w tym nic dziwnego czy niewłaściwego, gdyby ktoś oświadczył się ciotce Zuzannie. A jednak ta myśl dziwnie go drażniła. Amerykanin się uśmiechnął.

- Pan swata mi ją?

- No, jeśli ona może gawędzić sobie z panem o moim życiu erotycznym? Co to pana obchodzi?

- Ją obchodzi. Ale niech pan nie martwi się. Uspokoilem ją, że nie żyje pan całkiem sam. Że ma pan taką czarną, podobną do Żydówki.

- Podobną do kogo?

- No, chyba nie powie pan, że nie zauważył?

- Wy, starzy, macie jakąś obsesję.

- Ja mam tylko oczy. Ale przecież pan i tak z nią nie żeni się, co?

Andrzej zdrętwiał. W głosie Amerykanina wyczuł jakąś aluzję i przyszło mu do głowy, że tamten widział Paulę wychodzącą z Jarugą, może wsiadającą z nim do taksówki albo coś w tym rodzaju.

- A skąd pan wie, że nie? - spytał wrogo.

Obcy nie przestał się uśmiechać.

- No, przecież teraz w pana łóżku to nie ona śpi, co? Sorry, ale przez ścianę słyszać wszystko, to jest nie moja wina.

Andrzej odetchnął. To mu wstydu nie przynosiło.

- O czym my gadamy? - Wzruszył ramionami. - Zdawało mi się, że chciał pan ze mną porozmawiać poważnie, a nie o bzdurach.

- Right. - Amerykanin skinął głową, potem wypił solidny łyk ze swojej szklanki. - Potrzebuję tu ładny kawałek ziemi kupić. Pan pomoże mi?

- Chce pan tu wrócić? - zdziwił się Andrzej szczerze.

- Jeszcze nie. Ale kiedyś, jak mówią, stare kości trzeba będzie złożyć gdzieś. Chciałbym mieć tu coś. Coś ładne w ładnym miejscu. Nie słyszał pan o czymś takim?

- Trzeba by się rozejrzeć.

- Rozejrzy się pan? Dobrze zapłacę za fatygę.

Andrzej nie mógł udawać przed sobą, że go ta propozycja nie zainteresowała. Choć jeszcze nawet nie przeczuwał, do czego to wszystko zmierza. Wtedy w Polsce, nawet ostro kombinując, ciężko było zgromadzić większą sumę. A już zauważył, że Amerykanin nie jest skąpy.

- To co, pan zgadza się?

Kiedy zdjął okulary, bardziej widoczne były blizny po operacji plastycznej na jego twarzy. Wyglądało to na coś więcej niż zwykły zabieg upiększający.

- Patrzy pan? - spytał. - Wypadek miałem. Doktorzy musieli mi zrobić nową gębę. Ciągle jakoś trudno przyzwyczać się. Kiedy bez okularów jestem, bez przerwy mi się wydaje, że wszyscy patrzą na to. To jak? Niech pan swoją cenę powie.

Andrzej postanowił jeszcze się podręczyc.

- To najmniej ważne - machnął ręką. - Ale niech pan zdradzi, naprawdę to kto pan jest? Przecież nie ten Szafran, jak pan opowiada ludziom.

Zdziwienie Amerykanina wydawało się szczere.

- Dlaczego myśli pan, że ja to ktoś inny?

- Szafran zginął - powiedział Andrzej.

- Kto panu powiedział to?

- Tacy, co widzieli.

- Źle widzieli. Byłem ranny, ale koledzy spod ognia wynieśli mnie. Jeśli wiedzieć chce pan, to Góral wyniósł mnie. Ojciec pana.

Andrzej milczał chwilę.

- Dlatego razem pijemy?

- Może, dlatego, może nie - odpowiedział tajemniczo. - A że zginąłem, to, kto właściwie wiedzieć miał?

- Staszek Morek, ten kelner.

- Morek, pacholek ubecki? Niech on lepiej byle, czego nie gada - wyrzucił z siebie gniewnie. - Niech Bogu dziękuje, że się kulka nie znalazła dla niego. Jego szczęście, że potrzebny był.

- Komu potrzebny?

- A komu by? Nam, Ogniomym. Pan myśli, że czemu on żyje jeszcze, chodzi po Nowym Targu i nie boi się? Przysłużył się nam, to mu Ogień życie darował. Ale to gnida jest. Taki był od wojny. Poszedł do lasu, bo narzeczona mu z Niemcami skurwiła się. Najpierw był u Ognia. Kazali mu kurwie łeb ogolić. Ogolił, ale robił w portki, że i tak stukną go. No i zaczął komunistę udawać.

- Może odezwała się w nim świadomość klasowa. Było nie było, kolejarski syn.

- Aha, już widzę to. Na Podhalu nie było komunistów, nawet kolejarzy. On się Ognia bał, stary nie certolił się, za byle, co kula w łeb i pod trawę. No to, kiedy przyszła w góry Armia Ludowa, ten oddział tak zwany „Za Wolność i Lud”, choć powinien się nazywać „Za Stalina i Sowiety”, tego Żyda Findera, Morek zaraz uciekł do nich.

- Mnie się zdawało, że dowodził nim jakiś Kordian.

- Sure, Kordian. Tak sam ochrzcił się, romantycznie. Ale przed wojną to on Izaak Finder nazywał się i studiował we Lwowie polonistykę. Jeszcze jeden młody głupek, idealista, zdawało mu się, że wszystkich pogodzi. I Polaków, i Żydów, i Ukraińców, i Ruskich. No i przyszedł godzić nas, pod czerwonym sztandarem. Wziął Morka pod opiekę, dał go Jaškowi Sokolnickiemu do zwiadu. Po wojnie Morek zniknął gdzieś, a jak Sokolnicki przyszedł do UB, wrócił razem z nim. Ogień zaraz posłał mu wiadomość, że albo trzyma z nami, albo kula.

- Tak z wami trzymał, aż go nazwali Krwawym Staszkiem?

- Pan tamtych czasów nie rozumie. Pan wie, że Ogień miał trzy tysiące ludzi pod bronią? Trzy tysiące desperatów? Pan myśli, że między nimi nie było kłótni, różnych intryg, zdrady? Czy ktoś wie, za co stary posłał do ziemi dwóch najlepszych dowódców kompanii? Może się bał, że zechcą być więksi od niego? A może podejrzewał, że się skumali z bezpieką? Musiał mieć na UB kogoś, kto mu donosił. Kto był do tego lepszy, jak nie Krwawy Staszek, najgorszy śledczy, wściekły pies komuny?

- A co z tą kochanką Ognia? Ludzie mówią, że Morek tak ją zmasakrował, aż Ogień przysięgł mu zemstę.

- To bajki są - zaśmiał się tamten. - Ogień miał żenić się, tej baby dawno miał dość. Podejrzenia były, że będzie sypać. Morek robił, co trzeba.

Butelka była już w połowie pusta.

- A ten...porucznik Sokolnicki? - spytał Andrzej z bijącym sercem. - On też był... wasz? Amerykanin niespodziewanie zmieszał się, uciekł oczami gdzieś w ką.

- Jasiak to dziwny człowiek był. On chyba wierzył, że przed komuną nie ma ucieczki. Bóg jeden wie, co on przeszedł tam na Wschodzie. On myślał, że walka z Sowietami to samobójstwo, trzecia wojna światowa to mrzonka. Robił swoje, ale starał się człowiekiem być. Kiedy mógł, pomagał ludziom. Ja bez niego też bym nie żył dawno.

- To, kto pana w końcu uratował, mój ojciec czy Sokolnicki?

- Obaj. Kiedy wieźli nas, po rozbiciu grupy Wichra, nie byliśmy skuci. Nagle z lasu zaczęli strzelać. Nie wiedziałem, kto. Myślałem, że Wicher i paru naszych, którym udało się wyrwać z kotła. A to Góral szedł na pomoc. Ubecy padli za samochodem, ja koło nich, żeby nie dostać od swoich. Nagle ja widzę, obok leży porucznik Sokolnicki. Pryskaj, mówi. Ja nic. Nie bój się, mówi, pryskaj, a jak usłyszysz pojedynczy strzał z pistoletu, padnij, ale tak, jakbyś nie żył. Na myślenie może sekundę miałem, ale niech mi wierzy pan, przez tę sekundę przemyślałem wszystko. Wiedziałem, że mogą mnie kropnąć po prostu przy próbie ucieczki, to by normalne było. Ale i to wiedziałem, że jak się dostanę w łapy śledczych, też mogę żywy nie wyjść. Co lepsze? Coś powie działo mi, że porucznik nie łże. Skoczyłem. Biegłem jak we śnie. Pan może nie wierzyć mi, ale tych strzałów od przodu ja nie słyszałem w ogóle. A ten jeden usłyszałem, ten z tyłu. Padłem, jak kazał mi. Ja widziałem, jak padali nieżywi, co dostali w plecy. Zrobiłem tak samo. Ja nie wiedziałem nawet, czy jestem trafiony, czy nie. Za chwilę wyskoczył z lasu Góral i

drugi ktoś. Wciągnęli za drzewa mnie. Tak było. Andrzej zamyślił się na chwilę. Potem powiedział:

- Pani Bukowska też sobie pana nie przypomina.

- Ludzie przypominają sobie, co chcą. Ja myślę, że pani Bukowska przypomina sobie dużo mniej, niż ona by mogła.

- Dlatego tak pan ją nastraszył, z tym przeznaczeniem? Czego pan od niej chciał? - Prawdę mówiąc, głupio mi wyrwało się. Bo ja słyszałem to od niej właśnie, o tym przeznaczeniu, co się upomniało o Jakubka Zuckerberga.

- Nigdy nie słyszałem, żeby coś takiego mówiła.

- Bo ona mówiła to, kiedy pana nie było na świecie jeszcze. Zaraz po Jakubka śmierci. To, dlatego nie zemdląca prawie. Chyba ona pomyślała, że ja też duchem jestem, że pamiętam to.

Andrzej poczuł dziwny niepokój.

- Ona wie, kto go zastrzelił?

- Pan zapyta ją.

- A gdybym zapytał pana?

- Jak na świętej spowiedzi, nie wiem.

- Przecież pan tam był.

Patrzył Andrzejowi w oczy długo i spokojnie.

- Pan rację ma. Byłem. Ale już po wszystkim. Milczeli. Amerykanin starannie rozlał resztę wódki.

- To powiedziałem już wszystko panu. Teraz pan ze mną umówi się?

Andrzej ani myślał mu wierzyć. W każdym razie nie do końca. Ale perspektywa bliskiego zarobku była ważniejsza.

- Myślałem, że już jesteście umówieni? Powiedziałem, że się rozejrzę.

- To jeszcze nie wszystko jest. Pan wie, że ja jestem obywatel Stanów Zjednoczonych Ameryki, kupić ziemi w Polsce komuniści nie pozwolą mi. Ja bym chciał, żeby pan kupił dla mnie ją. Jeśli nie odmówi pan.

Andrzej myślał jeszcze przed chwilą, że nieznajomy już niczym nie jest go w stanie zaskoczyć. Teraz zrozumiał, że się mylił.

- Czy pan się już upił? - zapytał.

- Może trochę? Ale ja przemyślałem wszystko na trzeźwo. Przecież tak ludzie w Polsce robią, ja wiem to.

- Ale pan mnie w ogóle nie zna. Nie ma pan krewnych?

- Nie mam. A pana znam. Pan jest syn Górala. Przecież pan nie oszuka mnie, prawda?

- Skąd pan wie?

- Ja czuję to. Mówmy po imieniu sobie, na znak, że pan zgadza się.

Andrzej nie był z tych, którzy lubili się długo zastanawiać.

- Jak pan chce. - Wzruszył ramionami. - W końcu to pana ryzyko.

Wypili i pijackim zwyczajem ucałowali się. Andrzej wymienił wcześniej wiele takich pocałunków, ale ten był inny. Amerykanin po prostu przycisnął go kurczowo do siebie, aż zrobiło mu się nieswojo.

- W porządku, Stefan - powiedział. - Nie wiem tylko, czy się zastanawiałeś, co na to powie twoja rodzina w Ameryce.

Tamten długo milczał. Wreszcie odpowiedział cicho:

- Ja rodziny nie mam już. Miałem. Żonę i córkę miałem. Ale już nie mam. One były zabite w wypadku obie.

Andrzej nie zdołał powstrzymać się przed szybkim spojrzeniem na jego twarz.

- Tak, rację masz. To wtedy było. Prowadziła Vicky, wiesz, moja córka. Wcześniej pokłóciliśmy się. Trudno nam było dogadać się. Poczułem się zmęczony, chciałem zdrzemnąć się. Teraz myślę, że gdybym nie oddał jej kierownicy... Gdybym jej wcześniej nie zdenerwował....Ale to nie twój problem, Jędrzek, wybacz mi. To smutne jest, że tak trudno porozumieć się. Ta piosenka, wiesz, co mi puściłeś na musie box.

- Przepraszam, to nie było mądre.

- Nie przepraszaj, może ty rację miałeś. - Był w tej chwili przygnębionym i starym facetem, bez tej swojej ciągłej pewności siebie. - It's all over - wyszeptał. - Nieznany żołnierzu, skończone wszystko. Czas, żeby z życiem swoim zrobić porządek.

Butelka była pusta. Za oknem szarzało.

15

Marysia siedziała na tapczanie ubrana, z podkulonymi nogami. Nic nie powiedziała, tylko popatrzyła na niego ze śmiertelną urazą, a potem odwróciła wzrok w stronę okna.

- Co ty wyprawiasz? - spytał. - Znów się wygłupiasz?

Miał teraz tylko jedno pragnienie, położyć się przy jej ciepłym ciele i zapaść w nieświadomość. Swoimi dąsami sprawiałam bardzo przykrą niespodziankę.

- Ale jesteś świnią - powiedziała. - Wolałeś pić całą noc.

Tylko westchnął. Marysia była jak większość wieśniaczek. Po jednym numerze już rościła sobie prawo do pretensji i mówienia mu, co ma robić. Zwykle po takiej odzywce od razu kończył z panienką. Ale Marysi nie mógł teraz pokazać drzwi. A nawet gdyby mógł, nie miał na to ochoty. Ona bardziej go rozczulała, niż złościła.

- Daj spokój. - Usiadł obok i objął ją ramieniem. - Robiłem to dla ciebie.

Tak ją zdumiał, że prawie zapomniała o złości.

- Schlałeś się dla mnie? Ciekawe, cc mi z tego przyjdzie,

- Załatwiłem twojemu tacie kupca. Na tę łąkę na Białym Po toku.

- Ale kłamiesz. Jak wszyscy pijacy.

Już miał spytać, czy sądzi tak właśnie po swoim ojcu, Józku Zbójniku, ale w porę się powstrzymał.

- Przekonasz się jeszcze dziś.

- Ciekawe, skąd wzięłeś kupca w nocy? Nie słyszałam, żebyś wychodził.

- Nie musiałem. To mój lokator.
- Masz lokatora? - Marysia aż się wzdrygnęła.
- A co, ja nie mogę? I to z Ameryki.
- I był tu cały czas, a ty mi nic nie powiedziałaś?
- Wstydzisz się mnie?
- To ty powinieneś się wstydzić.
- Ani trochę. Czego? Ze od razu pomyślałem o tobie? Józek mi sam mówił, że jak sprzeda łąkę, zacznie budować nowy dom dla ciebie. Nikt wam nie da lepszej ceny.

Na twarzy Marysi walczyły sprzeczne uczucia. Odwróciła wzrok i zacisnęła wargi, ale widział, że już mięknie.

- Obiecałeś, że mnie odwieziesz - powiedziała z wyrzutem. - Jak mnie odwieziesz pijany?

- Pozwól mi przespać się dwie godziny i będę jak nowy.

Padł obok niej na kanapę.

- No, nie uśpisz mnie? - spytał półprzytomnie.

Popatrzyła na niego z ukosa.

- I co ja mam z tobą zrobić? - usłyszał jeszcze i usnął, czując na ciele niepewny dotyk jej palców.

Andrzej, kiedy już się za coś brał, to nie marnował czasu. Jeszcze tego samego dnia, po odwiezieniu Marysi do pracy, pojechał do Kościeliska, do Józka Zbójnika. Wolał rozmawiać z nim sam, bez niej. Nie był pewny, co powiedziałyby ojciec Marysi, gdyby zobaczył ich razem. Za dobrze znali się z różnych imprez. Józek miał ledwo czterdziestkę i wciąż lubił używać życia, a kiedy był o kilka lat młodszy, nie żałował sobie niczego. Panienek też. Orientował się, więc bardzo dobrze, co grozi jego córce ze strony facetów. Przy tym był szajbusem, jak to góral. Mógłby się zdenerwować, gdyby dowiedział się za wcześnie, że Andrzej właśnie zaciągnął Marysię do łóżka. Wtedy nie przekonałaby go nawet perspektywa dobrego zarobku i cały interes diabli wzięliby już na samym początku.

Józek i tak był nieufny. Kiedy spotykali się przypadkiem w knajpie, bardzo dobrze im się razem piło. Obaj lubili pośpiewać po góralsku i czuli wtedy swoją siłę, wiedzieli, że im dwóm nikt nie podskoczy. Ale w sprawach interesów Zbójnik nie traktował Andrzeja poważnie. Znal go jako drobnego kombinatora, od którego kupował taniej kiszoną kapustę i ogórki, ukręcone z geesu. Handel nieruchomościami to jednak była całkiem inna skala. Zbójnik nie wierzył, żeby Andrzej mógł mieć poważnego kupca na łąkę i tylko po starej znajomości nie przepędził go od razu.

- To jakiś twój wujek? - spytał.

Andrzej wzruszył ramionami.

- Wiesz, że nie mam nikogo w Ameryce.

Zbójnik pokiwał głową z politowaniem. Ktoś, kto nie miał ni kogo w Ameryce, był na Podhalu obywatelem drugiej kategorii.

- I co, obcy gość uwierzył, że z tobą można zrobić dobry interes?

- Ty też możesz uwierzyć. A jak nie, to uwierzy ktoś inny - grał Andrzej dalej pewnego siebie cwaniaka.

Józek popatrzył na niego podejrzliwie, pokręcił z wahaniem głową, chwilę jakby się zastanawiał, o co tu chodzi, a potem rzucił cenę tak nierealną, że to powinno zamknąć sprawę. Ale Andrzej postanowił iść na całość.

- Minus moja prowizja - powiedział spokojnie.

Zbójnik tylko machnął ręką.

- A niech ci będzie.

Nie wierzył w to wszystko ani trochę. Andrzej zresztą też nie był na tyle szalony, by sądzić, że ktokolwiek mógłby się zgodzić na podaną przez Józka kwotę. Tymczasem Amerykanin przełknął ją bez mrugnięcia okiem.

- Ale przecież jeszcze nie widziałeś tej łąki - próbował przemawiać mu do rozsądku Andrzej, choć nie miał w tym żadnego interesu.

- A tobie podoba się ona? - spytał Szafran.

- Mnie bardzo.

- To nie ma co myśleć długo.

Wzięli taksówkę i pojechali oglądać. A kiedy zatrzymali się na skraju polany i Andrzej powiedział, że to tu, Amerykanin po prostu oniemiał i widać było, że już nie zrezygnuje.

- Skąd wiedziałeś, że właśnie o Białym Potoku ja marzyłem? - spytał.

- Nie wiedziałem. Skąd mogłem wiedzieć?

- No, to znak jest. Ja kupuję to.

Taksówkarz czekał, a oni usiedli na stercie drewnianych bali pod lasem, wystawiając twarze do słońca. Potem rozebrali się do pasa. Obaj mieli umięśnione ciała, z których jeszcze nie zeszła letnia opalenizna. Amerykanin był tylko bardziej suchy i żyłasty. Jak na faceta w jego wieku, trzymał się naprawdę imponująco Andrzej przyglądał mu się spod oka z lekką zawiścią.

- Widać, że sobie żyjesz po amerykańsku - odezwał się. - Te masaże, tenis, te wszystkie wynalazki dla bogaczy, to robi swoje.

Amerykanin się zaśmiał.

- Ty mylisz się, Jędrzek. To wszystko na budowie praca. Teraz to ja boss jestem, ale popracować lubię ja sobie dalej. Ty wiesz, że ja sam zbudowałem sobie cabin w górach? Piękny cabin, cały z kamienia i z drewna. Sam dźwigałem kamienie, sam deski ciąłem. To jest życie prawdziwe. Tutaj zbudujemy coś pięknego też - pokazał ramieniem rozciągającą się za szosą łąkę.

- My? - spytał Andrzej.

- Sure, partner.

Andrzej próbował udawać, że to wszystko jest normalne.

- Chcesz sobie na tej łące zbudować cabin? - spytał niewinnie.

- Co? Nie - zaśmiał się Szafran. - Tutaj my zbudujemy coś takie piękne, że ludzie z daleka przyjeżdżać będą. Ktoś zacząć musi górali budowania nauczyć na nowo. Ja przerażony jestem, co zobaczyłem tu. Oni zniszczyli Podhale całkiem.

Andrzej też był zdania, że domy, które ludzie budowali na wsi w tamtych latach, wyglądały na ogół ohydnie. Ale działa się tak z powodów, których Amerykanin nie rozumiał. I było bardzo denerwujące, że tak się wymądrzał.

- To właśnie Ameryka buduje - powiedział Andrzej. - Innych nie stać.

- Ja też Ameryka jestem. Ale prawdziwa Ameryka, a nie taka... - przez chwilę szukał odpowiedniego słowa - wsiowa.

- Przede wszystkim to jesteś skromny facet - powiedział Andrzej.

- Prawdę mówię tylko. Ja zarobiłem grosza trochę, ale to mi na głowę nie uderza. A oni, ty wiesz sam, żaden czarny; żaden Portoryk nie złapie się tej roboty. Potem przyjadą tutaj i co budują oni? That's terrible! To grobowce są, nie do życia domy.

- Budują, jak chcą. - Andrzej wzruszył ramionami. - Za swoje.

- Bullshit. To im tak zdaje się, że chcą. My pokażemy im, jak buduje się.

- Naprawdę po amerykańsku?

- Po góralsku, Jędreku. Naprawdę po góralsku. Jak ojcowie budowali. Jak stary Witkiewicz uczył.

Andrzej pomyślał, że Szafran ma jednak nie wszystko po kolei w głowie, jeśli w czasach wielkiej płyty chce propagować drewniane chałupy i powrót do stylu zakopiańskiego. Ale myśl o dolarach szybko go uspokoiła. Doszedł do wniosku, że to jeszcze jeden maniak, który na starość odkrył w sobie potrzebę misji. Naczytał się Witkiewicza, odgrzebanego w jakiejś polskiej księgarni. Uwierzył, że w góralskiej chałupie mieszka prastary polski duch, a styl zakopiański to klucz do narodowego odrodzenia. Jak pod zaborami, tak i za komuny. I postanowił utopić w tym swoje pieniądze. To był jego problem, nie Andrzeja.

- Więc to ma być willa w stylu zakopiańskim? - spytał Andrzej.

- That's right. Taka, jakiej Witkiewiczowi zbudować nie udało się. Ja w głowie już wszystko mam. High technology, wszystkie modern facilities, a do tego styl czysty góralski. Zobaczysz, za parę lat wszyscy będą naśladować nas.

- A można wiedzieć, po co ci to? Mówiłeś, że nie chcesz wracać.

- Co znaczy po co? - zdziwił się Amerykanin. - My zrobimy na tym duży interes. Tu będą z wszystkich stron przyjeżdżać Polacy. Urządzimy tu pensjonat sławny na cały świat. - Jakim cudem? Przecież wiesz, że nie możesz prowadzić biznesu w Polsce. Nie wolno ci.

- Sam nie mogę. Z tobą mogę. Ja wiem, ja mam swojego człowieka w United States Capitol. Komuniści potrzebują money. Za rok, dwa, zgodzą się na mieszany kapitał, joint ventures. To pewne jest. Rozmowy już kończą się.

Rozum mówił Andrzejowi, że to jakieś dzikie mrzonki, ale zaczynały mu się one podobać.

- Ale ja nie mam kapitału - bronił się w nim jeszcze rozsądek.

- Trochę masz. Resztę odrobisz mi.

Zdumienie Andrzeja rosło. Można było sądzić, że Amerykanin znał go nie dwa dni, ale dwadzieścia lat. Po prostu proponował mu majątek, jakby chodziło o drobne na piwo. Ale to było jeszcze nic wobec szoku, jaki przeżył Józek Zbójnik,

kiedy zobaczył ich na progu swego domu i przekonał się, że to, co rano wydawało mu się bredzeniem Andrzeja na kacu, może być prawdą. W wyglądzie obcego było coś takiego, co kazało wierzyć, że na prawdę jest przy forsie. Zresztą, miał ze sobą wyciągi ze swoich amerykańskich kont i inne kwity. Był naprawdę solidnie przygotowany do transakcji. Józek znał się na tym i umiał docenić klasę gościa. A kiedy już wyczuł forszę, próbował załatwić wszystko w cztery oczy, bez Andrzeja.

- Pan tu nie rozumie coś - wyprowadził go z błędu Szafran. - Andrzej kupuje. Ja płacę tylko.

Dopiero teraz Józkowi opadła szczęka. Był naprawdę cwany, ale do tej pory nie przyszło mu do głowy, że to Andrzej, którego lekceważył jako biedaka, ma zostać nowym właścicielem jego ojcowizny. Oczywiście, od razu zrozumiał, że Andrzej ma być tylko podstawiony, ale i tak musiało go to zabołec, jak diabli.

- Nie boi się pan tak ryzykować? - spytał półgębkiem.

- To tylko mój problem jest. Pan niech nie martwi się - odpowiedział Amerykanin na cały głos. - Dziś my podpiszemy preliminary contract, ja poręczenie dam. Jak wszystko sprawdzi się, pójdzie Andrzej z panem do notary public i pan dostanie pieniądze z ręki do ręki.

Zbójnik potarł dłonią zarośnięty policzek.

- Ale to chyba nie jest legalne, co? - powiedział powoli.

Obcy uśmiechnął się krzywo.

- A pan dobry obywatel jest? Sure, ja rozumiem to. Prawo jest prawo. Ja mogę dołożyć jeszcze dziesięć procent za trudności. Ale to jest ostatnie słowo.

Józek wyraźnie nie wiedział, jak się zachować. Ale trwało to tylko parę chwil, a potem kalkulacja zwyciężyła. Dzień wcześniej o takiej cenie nie mógł nawet śnić. Podpisywali już papiery, kiedy pojawiła się Marysia. Na widok Andrzeja mało nie ze mdlała. Ale ojciec nawet na nią nie spojrział. Rzucił tylko przez ramię:

- Weź, zrób coś do jedzenia. I podaj wódkę. Wypada to oblać.

Chyba nie przyszło mu do głowy, że oni oboje mogli mieć z sobą cokolwiek wspólnego. W przeciwnym razie na pewno nie był by taki spokojny. Marysia kręciła z kuchni do pokoju i z powrotem, jakby nie mogła znaleźć dla siebie miejsca. Kiedy Andrzejowi udało się wreszcie przyłapać jej wzrok, zaczerwieniła się i odwróciła. Potem puściła na patefonie swoją ulubioną płytę Paula Anki.

Don't gamble with love

Its only for fools...

[Nie igraj z miłością, to dla głupków...Paul Anka, „Dont Gambie With love]

- Czy ja muszę amerykańskiej muzyki słuchać tutaj? - zniecierpliwiał się Amerykanin. - Może coś swojskiego, góralskiego, co?

Andrzej chyba uwierzył, że teraz jest już w stanie podołać wszystkiemu.

- Marysia! - zawołał. - Przynies skrzypce.

Obcemu to się wyraźnie spodobało.

- Tak myślałem, Jędrzek, że ty musisz grać na skrzypcach - ucieszył się nie wiadomo z czego.

- Czasami. Łatwe kawałki.

- Ty za skromny jesteś. Pokaż, co potrafisz.

Andrzej najlepiej pamiętał marsza zbójników z „Harnasi”, więc się nie zastanawiał, czy to akurat najbardziej odpowiedni kawałek. Żyli jeszcze świadkowie, którzy pamiętali, że tę właśnie melodię jego dziadek Kurniawa grał na powitanie Himmlera w Zakopanem. Marysia i jej rodzice nie mogli o tym wiedzieć. Ale Amerykanin mógł. Jeśli tak było, nic nie dał po sobie poznać. Miał minę, jakby muzyka Szymanowskiego w wykonaniu Andrzeja brzmiała w jego uszach lepiej niż koncert w Carnegie Hali. A przecież musiał słyszeć, że Andrzej już od dawna nie trzymał skrzypiec w rękach.

Tymczasem towarzystwo się powiększyło. Pojawiła się Danka, kuzynka Marysi, z podpitym żołnierzem w mundurze Wojsk Ochrony Pogranicza, i jeszcze jakaś druga para. - To może do tańca zagrałbyś? - spytał Amerykanin. - Zrobiliśmy dobry interes, my wszyscy. Wypada zabawić się.

- Chyba nie będziecie do tańca pitolic na skrzypkach? - odezwał się żołnierz Danusi. - To wyszło z mody.

- Mówicie jak nie górale - rozgniewał się Amerykanin.

- A co wy, panie, wiecie o góralach?

- Ja nie wiem?

Zaczerpnął powietrza do płuc, wyprostował się, a potem nagle zaśpiewał na cały głos czystą gwarą podhalańską, jakby przez całe życie nie używał innego języka:

Jobyk śpiywoł, jobyk groł,

jobyk tobie, dziywce, fciół..

- Śpiewać po góralsku umiecie - przyznał żołnierz. - Ale my już tak nie chcemy. To dziś dobre, ale w zespole.

- To co u was teraz tańczy się?

- To, co i u was. Rokendrola.

- Widzę.-Amerykanin skrzywił się pogardliwie. - Kultura ojców już wam nie podoba się. Wolicie małpować cudze, choć wam nie wychodzi w ogóle to.

- Strasznie mądrze gadacie. - Żołnierz stanął przed nim w rozkroku. - Tylko, że was pojąć nie można. Co nam nie wychodzi?

- Te rokendrole - przedrzeźniał go Szafran.

- Może wy umiecie lepiej? - Od żołnierza aż bila pogarda młodego byczka, czującego rozsadzającą go siłę, dla weterana, który może kiedyś i był coś wart, ale jego czas minął. - Pokażcie nam.

Amerykanin tylko przesunął palcami po włosach i poszedł nastawić płytę. Ruchy miał całkiem pewne. Wybrał longa z klasycznymi kawałkami Billa Haleya. Były stare, ale wymagały żelaznej kondycji. Złapał Marysię i dopiero wszystkim pokazał. Tak, to był jego teren. Marysia, w odróżnieniu od Pauli Rajskiej, chyba nigdy nie była w tym zbyt dobra. Ale on ją jakby zaczarował. Tylko fruwała w powietrzu, choć miała swoją wagę. Teraz wszyscy zobaczyli, co warte było tańczenie żołnierza, który miotał Danusią jak workiem kartofli, bo krzepy mu Pan Bóg nie poskąpił, ale niewiele ponadto. Wytrzymali może z dziesięć minut. Kiedy za brzmiało „Crazy Man Crazy”, mieli dość i spadli na kanapę jak przejrzałe gruszki. A

Marysia wciąż wyglądała, jakby ją ktoś podłączył do akumulatora. W ogóle nie było po niej widać zmęczenia, nawet się nie zadyszała. Jej partner też zdawał się nie zniszczalny.

Było aż za bardzo jasne, kto tu jest najlepszy. Tak bardzo, że musiało to zabołec nie tylko wopistę Danusi, ale i Zbójnika. Amerykanin był przecież sporo od niego starszy. Zbójnik przyglądał się tanecznym wyczynom obcego najpierw z osłupieniem w oczach. Potem jakby nie mógł wybrać między podziwem a wrogością, aż w końcu chyba przeważała wrogość. W powietrzu zgromadziło się trochę za dużo elektryczności i gdyby nie ta kupa dolarów, która miała przepłynąć z konta Amerykanina na Józkowe, to nie wiadomo, co by się dalej działo. Obcy w końcu się opamiętał. Pokazał, co chciał pokazać, i dał spokój. Odprowadził Marysię do Andrzeja.

- Oddaję piękną miss w ręce bardziej odpowiednie - ogłosił.

Marysia zaczerwieniła się, spojrzała ukradkiem na ojca, potem w geście nagłej desperacji nalała sobie wódki do szklanki i wypła jednym haustem. Zdjęła z patefonu płytę Haleya i zastąpiła go z powrotem Paulem Anką.

Put your head on my shoulder....

[Połóż głowę na mym ramieniu...Paul Anka, „Put Your Head”]

Jeszcze przez chwilę była trochę sztywna, ale potem alkohol zaczął działać i przestała się przejmować. Naprawdę oparła głowę na ramieniu Andrzeja i wciśnięta w jego objęcia, przestępowała z nogi na nogę. Józek Zbójnik patrzył na to ze zgrozą, szeroko otwartymi oczami. Ale nie odezwał się ani słowem, całą złość zdusił w sobie, co znaczyło, że Marysia będzie miała później ciężką przeprawę. Za to obcemu widok tych dwojga splecionych w tańcu wyraźnie się spodobał. Podniósł szklankę.

- For the future! - zawołał.

[Za przyszłość]

Andrzej starał się nie myśleć o Paulinie.

Po latach (wrzesień 2000)

Przyłapałem się na tym, że wciąż myślę o niej jako o tej Pauli Rajskiej sprzed lat. A przecież musiała teraz być kimś zupełnie innym. Przez telefon nie słyszałem, żeby nabrała akcentu, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Mieszkała od dawna po drugiej stronie Ziemi. Nosila teraz inne, obco brzmiące nazwisko. Żyła innym życiem. Co mogliśmy jeszcze sobie powiedzieć?

Rano z ciężką głową powlokłem się do redakcji. Musiałem dokończyć artykuł o gangsterach, którzy przejęli w Krakowie dwie kamienice, legitymując się pełnomocnictwem od właścicielki, która w rzeczywistości została zamordowana w roku 1943 w obozie w Plaszowie. Były mi do tego potrzebne jakieś dane z internetu. Kupiłem w automacie kawę, siadłem przy komputerze, ale zamiast zająć się pracą, wszedłem do Yahoo! i wpisałem w okienku hasło „Yadir”. Wyszukiwarka wyświetliła koło dwustu adresów. Nie zawężyłem pola poszukiwań, bo chciałem znaleźć nie tylko Paulę, ale i tego kogoś, po którym wzięła swoje nowe nazwisko.

Zakładałem, że powinien to być ktoś obecny w Internecie. Wreszcie dotarłem do jakiejś strony, na której znalazłem notatkę o kimś, kto nazywał się Eli Yadir, mieszkał w Nowym Jorku i był „non-fiction writer”. Dalej wpisano kilka tytułów jego książek. Wszystkie, z wyjątkiem jednej, dotyczyły historii Izraela i wojen z Arabami. Ta jedna miała tytuł „Paula”.

Denerwowałem się, bo czas uciekał, mój artykuł był w prozku, a przejrzanie stu kilkudziesięciu pozostałych adresów musiało zająć trochę czasu. Zacząłem skakać na chybił trafił i nagle wyświetlił mi się odsyłacz po polsku: „Szkłana ściana. Rozmowa z Paulą Yadir”. Kliknąłem i otworzyło się archiwum „Rzeczpospolitej”. Wywiad był sprzed kilku miesięcy. Po prostu go przeoczyłem. Teraz dowiedziałem się, że Paula jest znaną w Nowym Jorku dziennikarką, specjalistką od problematyki żydowskiej. Dziennikarz „Rzeczy” pytał głównie o to, jak ona widzi możliwości polsko-żydowskiego pojednania. Widziała nie najlepiej:

- Wie pan, miałam męża Żyda i nawet w sytuacjach bardzo intymnych była między nami jakaś szklana ściana. Mimo że pod wieloma względami byliśmy sobie bardzo bliscy. A jednak i uczucie, i duże pokrewieństwo intelektualne musiały przegrać z uprzedzeniami, które zostawili nam w spadku nasi przodkowie...

A więc dowiedziałem się przynajmniej dwóch rzeczy. Że nie wytrzymała z Andrzejem. I że z Elim Yadirem też nie wytrzymała. Poganiany przez uciekające minuty, przebiegałem pobieżnie tekst. I nagle poczułem, jak bledną. Jedną z odpowiedzi Pauli była zaadresowana wyraźnie do mnie.

- Wydaje mi się, że są sytuacje, z którymi i ludzie, i społeczeństwa nie są w stanie poradzić sobie o własnych siłach. Wie pan, kiedyś w Polsce, w Krakowie, miałam przyjaciela. Nie połączyło nas nic ponadto, pozostał po prostu przyjacielem. Ale wiedział o mnie więcej niż którykolwiek z mężczyzn, z którymi byłam związana. I w pewnym momencie to właśnie on, a nie kto inny, pokierował moim życiem - Wierzę, że tacy bezinteresowni przyjaciele potrzebni są także w życiu publicznym....

Nie wiedziałem, cieszyć się, czy płakać. Faktem było, że Paula wysłała mi sygnał. Tylko, po co? Po tylu latach? A zresztą, może tak tylko się jej powiedziało. Ale domyślałem się, o co mogło jej chodzić.

W nocy po tym nieszczęsnym wieczorku autorskim Jarugi przyszła do mnie na kwatere, którą zajmowałem razem ze studentami Boryczki. Jeden z nich obudził mnie brutalnie. Miałem kaca i z trudem wracałem do przytomności. Mogła dochodzić czwarta, w każdym razie jeszcze nie świtało. Student był bardzo podekscytowany.

- Wstawaj. Jakaś samica do ciebie.

Może zamarzyła mu się orgietka. Ale kiedy wyjrzałem przez okno, wiedziałem, że nic z tego. Na dole stała Paulina Rajska. Obudziłem się natychmiast. Szybko wrzuciłem na siebie ciuchy.

- Przyrowadzisz ją na górę? - spytał z nadzieją student.

- Nie dla psa kiełbasa - odburknąłem i zbiegłem na dół.

Paula przyłgnęła do mnie jak zbite dziecko. Poczułem się niezręcznie. Przez okno obserwowali nas już wszyscy studenci z pokoju. Objąłem ją ramieniem i odprowadziłem dalej, na niedaleki skwer, gdzie byliśmy niewidoczni. Usiedliśmy na ławce. Nie mogła się uspokoić.

- Co się dzieje? - spytałem.

Nagle wzięła się w garść. Otarła oczy, odgarnęła włosy za uszy i powiedziała nadspodziewanie rzeczowo:

- Zdradziłam Andrzeja.

Poczułem się zły na nią. Po cholere mi to powiedziała? Ta szczerość była dla mnie gorsza niż to, co zrobiła. Jakby chciała mieć we mnie współnika przeciw Andrzejowi. A przecież czułem, że tak się to skończy. Choć musiałem przyznać, że właściwie była to bardziej jego wina. Przecież nie mógł żądać od Pauli, żeby została żoną kierowcy furgonetki i czekała z obiadem, aż on skończy objazd sklepów geesu. Nie starał się przekonać jej, że to tylko tymczasowa sytuacja, dopóki nie odbije się od dna.

Znałem prawdziwe marzenie Andrzeja. Marzenie o wolności. Takiej, jaka wtedy była do osiągnięcia w Polsce. Dla niego mieszkała ona w górach. Już w wojsku zamęczał mnie opowieściami, jak kiedyś zbuduje w jakimś odludnym miejscu drewnianą chałupę i urządzi w niej schronisko albo pensjonat. Problemem były pieniądze. To właśnie z myślą o swojej wizji kombinował z kradzionymi materiałami i wszystkie te lewe pieniądze zbierał na książeczkę oszczędnościowej. W tej sytuacji pojawienie się Amerykanina, jakby z niebytu, zakrawało na cud. Jakby ktoś na górze wiedział o marzeniach Andrzeja i nagle postanowił je spełnić. Tylko jak to można było pogodzić z Pauliną? Bo ona też była jego marzeniem. Jeszcze jak!

- To powiedz mi, co ja mam teraz robić? - wyrwała mnie z moich myśli.

- A dlaczego właśnie mnie o to pytasz?

- Bo ty znasz mnie najlepiej. Może lepiej niż ja sama.

Cholera, pomyślałem, ale mnie spotkało wyróżnienie. Tylko się zastrzelić. Odsunąłem się od niej na ławce.

- Wracaj do Andrzeja.

Powiedziałem to jakby poza własną wolą. Do dziś nie wiem, dlaczego. Jakby coś powiedziało to za mnie.

- Tak myślisz? - spytała. Wcale nie była zdziwiona. Jakby od razu właśnie to chciała usłyszeć.

- Właśnie tak myślę - skłamałem.

- Myślisz, że mnie nie wyrzuci?

- Nie wiem. Musisz spróbować.

- Dziękuję ci - powiedziała i niespodziewanie pocałowała mnie w usta. Pierwszy i jedyny raz w życiu.

- Odprowadzę cię - powiedziałem.

Nagle poczułem, że ktoś stoi za moimi plecami i ponad moim ramieniem patrzy na ekran komputera. Ocknąłem się. Była to Lula, kierowniczką wydania piątkowego.

- Zwariowałeś? Ja czekam na tekst, a ty zabawiasz się Internetem?

Poczułem się jak gówniarz przyłapany na brzydkiej zabawie. Z gorączkowym pośpiechem zgasilem okno Navigatora.

- Już się zabieram. Daj mi dwie godziny.

- Póltorej - powiedziała głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Zacząłem walić w klawiaturę z szybkością karabinu maszynowego. Nie, dlatego, że tak przestraszyłem się Luli. Po prostu chciałem jak najszybciej wrócić do tego, co teraz obchodziło mnie naprawdę.

16

Znów byli w pełnej ludzi, jasno oświetlonej sali. Koło Pauli stał Jaruga.

- Nie będę pisał o Góralu - wołał. - Nikt mnie do tego nie zmusi. To była banda morderców! A potem wyciągnął rękę i pokazał coś za plecami Andrzeja.

- Patrzcie, to on!

Andrzej odwrócił się. Amerykanin cofał się przed nim, przy ciskając okulary palcami do twarzy. Chciał strącić mu je uderzeniem. Wtedy zobaczył, że tamten trzyma w rękach rozpylacz. Nie słyszał wystrzałów, jakby odebrało mu słuch. Upadł na wznak i wszystko rozlało się mu przed oczami w oślepiającej jasności.

Pałała się górna lampa i świeciła mu prosto w oczy, aż bolały. W pierwszej chwili nie mógł się zorientować, co się dzieje. Mrużąc powieki, odwrócił głowę w stronę drzwi. Stała w nich Paula, dziwnie nieruchoma, z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami. W prawej trzymała pasek od torebki, a sama torebka leżała martwo na podłodze.

- Co ty wyprawiasz - powiedział. - Zgaś to.

Jej ramię mechanicznie podniosło się do kontaktu i zaraz opadło z powrotem. Stała wciąż bez ruchu, teraz schowana w mroku przed jego wzrokiem. Zapalił nocną lampkę.

- No, co się wygłupiasz. Zamknij drzwi i chodź tu.

- Nie wyrzucisz mnie? - spytała zdziwionym głosem.

Dopiero teraz trochę oprzytomniał i zaczęło do niego docierać, że pytanie wcale nie jest bez sensu. Ale odpowiedział:

- Nie.

- Dlaczego?

- Taki już jestem. Nie płacz.

Potarła oczy palcami, a potem szybko, jakby się bała, żeby nie odwołał tego, co powiedział, zatrzasnęła drzwi, podbiegła do kanapy, uklękła przy niej, złapała go za szyję i dopiero się naprawdę rozbeczała. Ostatnio miał szczęście do płaczących dziewczyn. A mimo wszystko nie lubił robić im przykrości bez koniecznej potrzeby. Gdyby była z nim teraz Marysia, musiałby wybierać. Ale nie było jej. Józek Zbójnik

zadbał o to, żeby córka pojechała prosto na swoją kwaterę w Zakopanem. Sam ją odwiózł. Andrzej nie musiał więc wybierać. Jeszcze nie tym razem. Odruchowo pogłaskał Paulę po włosach.

- Nie warto było? - spytał.

Pokręciła tylko głową. Gdyby nawet chciała coś powiedzieć, nie przeszłoby jej to przez gardło, tak się rozżaliła.

- Dlaczego? - spytał. - Nie było fajnie?

Znów potrząsnęła głową, tym razem energiczniej, jakby koniecznie chciała, żeby jej uwierzył.

- Chcesz mi udowodnić, jaka jestem wredna? - spytała żałośnie.

- Chcę tylko wiedzieć, dlaczego znów tu jesteś. I na jak długo.

Uspokoila się trochę i znowu, pociągając nosem, wytarła oczy palcami, rozmazując tusz.

- Nie patrz na mnie - poprosiła. - Wyglądam okropnie.

- Dobrze wiesz, że dla mnie nigdy nie wyglądasz okropnie.

- Wiem. Jesteś dobry chłopak.

- O kurwa! - powiedział. - Wcale nie jestem dobry chłopak.

- Źle się wyraziłam. Po prostu potrafisz wszystko zrozumieć, prawda?

- Staram się, ale nie zawsze mi wychodzi. Więc ty mi powiedz, dlaczego nie było fajnie. Przecież myślałaś, że będzie, prawda?

Dopiero po długiej, ciągnącej się chwili milczenia, powiedziała:

- Nie wiem.

A potem szybko wsunęła się w sukienkę pod koc obok niego.

- Pozwolisz mi chwilę przy sobie poleżeć? Tylko poleżeć.

- A twoi starzy?

- Przecież wiedzą, że jestem z tobą. Już się przyzwyczaili.

- Wiem. Jako alibi jestem całkiem niezły, prawda?

- Nie mów tak. Przecież to także twoja wina.

- Naprawdę?

- A nie?-1 po chwili: - Dlaczego to zrobiłeś?

- A mogłem coś zmienić?

- Może mogłeś.

Poruszył tylko ramionami.

- Już mnie nie lubisz, Jędrzek?

- Przeciwnie. Aż za bardzo. Bo co byś tu robiła?

- Nie wierzę ci. Po prostu chciałeś się ze mnie wyleczyć.

- Wcale nie. Chcesz dowodu? Nie musimy tylko leżeć.

Jego ręka szybko znalazła dobrze znaną drogę między uda Pauliny. Ona przez chwilę jakby nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. W końcu znów się rozbeczała, a potem rzuciła się na Andrzeja, jakby czekała na to tysiąc lat. Pogryzła mu wargi, język i szyję, i zanim zdążył ochłonać, już siedziała na nim. Dopiero wtedy zaczęła ściągać sukienkę niecierpliwymi ruchami. Światło lampki padało prosto na jej nieduże piersi i okrągły, lekko wypukły brzuch, pulsujący teraz nierównym rytmem.

Cały czas patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Były czymś wyjątkowym w całym ciele Pauli, wąskim i podłużnym. Po za nimi wszystko miała wąskie. Wąską głowę, nos trochę za duży, ale także wąski, wąskie ramiona i biodra, i nogi także. Nie była chuda ani koścista, wcale nie. Kiedy stanęła na baczność, między udami nie miała w ogóle prześwitu. Po prostu była wąska i tyle. Taka uroda. Tylko oczy pozostały wciąż wielkie i okrągłe, jak wtedy, kiedy była małą Paulinką. Inne od całej reszty. Ciało Pauliny było te raz agresywne i zachłanne, i nieznające wytchnienia. A oczy nie. Oczy wciąż były tylko wielkie i wpatrzone w Andrzeja, i była w nich i uległość, i oddanie.

Dużo później leżała spokojnie, uśmiechnięta łagodnie i zagadkowo, z brodą na jego piersiach i ciągle patrząc mu w oczy, powiedziała:

- Ty mnie naprawdę ciągle lubisz.

- Przecież mówiłem.

- Nie chciało mi się w to wierzyć. Naprawdę nie przeszkadza ci to, co zrobiłam?

- Trzymajcie mnie. Pewnie, że przeszkadza. Ale to by się stało tak czy tak.

- Nieprawda. Gdybyś mi kazał wyjść z sobą, to bym poszła. Nie wiedziałeś?

- Wiedziałem.

- Kto by cię zrozumiał. Więc dlaczego tego nie zrobiłeś? Chciałeś mnie sprawdzić, tak? - Usiadła nagle i przestała się uśmiechać. - Chciałeś mi udowodnić, że jestem dziwką? - Tylko bez grafomanii - powiedział. - Co to za słowa? Popatrz na mnie. Wyglądam na takiego?

Przez chwilę przyglądała mu się uważnie. Potem uśmiech powrócił i znów położyła się przy nim. Zrobiła to z ulgą, widział, że miała jeszcze wielką ochotę iak poleżeć.

- To o co ci, do diabła, chodziło?

- Musiałaś sama się przekonać. Gdybyś tego nie zrobiła, wydawałoby ci się, że straciłaś nie wiadomo co.

- Taki byłeś pewny, że nie sprostą moim wyobrażeniom?

- Jasne.

- Ciekawe.

- Nikt na świecie nie mógłby im sprostać. Wymarzyłaś sobie, że to Zorro reportażu, który długopisem zmienia świat. A to taki sam facet, jak każdy inny. Za dużo pije, za dużo pali, rano ma kibel w gębie i chwytają go ataki kaszlu. Żołądek zrujnował sobie jedzeniem byle czego byle gdzie. Jest przepracowany, już nie taki młody, coraz więcej zdrowia kosztują go wojny z cenzurą i lawirowanie między Wolną Europą a Wydziałem Prasy KC. Czasem jest cholernie tym wszystkim zmęczony i zastanawia się, czy przypadkiem nie zmarnował życia. No, nie mam racji?

Pokręciła głową.

- Upraszczaś.

- Chyba nie tak bardzo. W każdym razie, gdybym cię od niego odciągnął siłą, dalej byś myślała, że straciłaś nie wiadomo co. A tak, masz to już z głowy.

- I wszystko jest po staremu? - spytała z niedowierzaniem.

- Tak myślę.

- Przysięgnij. - Nie bądź dziecinna.

Zamilkła. Wydawała się spokojniejsza. Z roztargnieniem gładziła go po piersi końcami palców.

- Dlaczego nigdy nie rozmawiałeś ze mną o twoim ojcu? - spytała niespodziewanie. - A po co?

- Myślałam, że naprawdę coś dla ciebie znaczę.

- Oczywiście, że znacysz. Ale o tym nie rozmawiałem z nikim. Może nawet z samym sobą.

- Więc co ci się nagle stało, że tak się rzuciłeś się na Adama?

- Adama?

- No, chyba się domyślasz, że jesteśmy po imieniu.

Było to bolesne, ale musiał się zgodzić, że normalne.

- Czy to znaczy, że rozmawiałaś o mnie...z tym panem?

- Trochę.

- Akurat z tobą chciał sobie o tym pogadać?

- Wcale nie chciał. To ja chciałem.

- I co ci powiedział?

- Niewiele.

- Nie dziwię się. Nie mógłby ci dalej imponować, gdyby się przyznał, że stchórzył. Że ukrył prawdę, choć mógł zdemaskować kłamstwa, którymi czerwoni karmili ludzi.

- Skąd wiesz, że w ogóle czegoś się dowiedział?

- Jestem pewny, że matka zwierzyła mu się z takich rzeczy, które nawet przede mną ukrywała. Dała mu takie kontakty, jakich nawet bezpieka nigdy nie miała. Widziała w nim wybawcę. Wierzyła, że oczyści nasze nazwisko.

- A nie przyszło ci nigdy do głowy, że było na odwrót? - spytała Paula.

- To znaczy, jak?

- Ze zrezygnował z tematu, bo chciał twojej matce oszczędzić przykrości?

- Tak ci powiedział?

- Nic mi nie powiedział. Jest konsekwentny. Jeśli rzeczywiście coś wie, to wciąż zachowuje dyskrecję.

- To skąd te przypuszczenia?

Nie odpowiedziała. Na długą chwilę pogrążyła się we własnych myślach.

- Andrzej - odezwała się wreszcie.

- No?

- Czy ja jestem podobna do Żydówki?

Tego już było stanowczo za dużo, jak na jeden dzień.

- O matko - powiedział. - Co ci znowu strzeliło do głowy?

- Odpowiedz. Jestem?

- Prawdę mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Chciał się wymigać od odpowiedzi, bo nie miał pojęcia, co po wiedzieć, żeby jej nie urazić. O mało, co nie wyrwało mu się, że Amerykanin od razu to zauważył.

- To przypatrz mi się dobrze i zastanów się - powiedziała ze zniecierpliwieniem.

- Bo ja wiem, może i jesteś. Nie przypominam sobie, czy widziałem kiedyś Żydówkę. Ale co cię w ogóle napadło? Akurat teraz? Nagle zrozumiał. A przynajmniej tak mu się wdawało.

- A, już wiem. Jaruga przekonywał cię, że nie mógł wziąć w obronę żydowskich katów, którzy nie byli lepsi niż Hitler. I co, przekonał?

Wciąż milczała. Ale jej dłoń na jego piersi znieruchomiła.

- Skąd on wie, że to ludzie Ognia ich zabili? Był przy tym?

- A kto? - spytała cicho.

- No widzisz - powiedział. - Więc jednak.

- Co jednak?

- Przekonał cię. Słuchaj, oni zabili wielu ludzi. To była wojna. Tylko, że jeśli zabili komunistę Polaka, to mówiło się, że zabili komunistę. Ale jeśli zabili komunistę Żyda, mówiło się, że zabili Żyda.

- Widziałam ulotki, podpisane przez Ognia. Że komunizm wymyślili Żydzi, żeby Polaków pozbawić ojczyzny. Że Marksa spłodził diabeł, a urodziła parszywa Żydówka. I że wszyscy Żydzi pod karą śmierci mają opuścić Podhale, zostawiając cały dobytek

- Fałszywki.

- Nie sądzę.

- Bo on tak mówi? To, dlaczego tu przyszłaś?

Nagle objęła go obiema rękami.

- Andrzej, przecież ja o twoim ojcu wiedziałam od początku. Po prostu, jeśli chciałam cię mieć, to musiałam cię wziąć całego, razem z tym. Przecież nie jestem już dzieckiem, zdawałam sobie z tego sprawę.

Nie wierzył własnym uszom. Pomyślał, że albo on źle słyszy, albo ona majączy. Aż usiadł.

- Zaraz, chwilę. O czym ty mówisz? Z czego zdawałaś sobie sprawę? A co ja, do cholery, mam z tym wszystkim wspólnego?

- Nie masz? Nawet to mieszkanie masz, dlatego, że jego właściciele zostali zamordowani.

- Co ty bredzisz? Ja się tu urodziłem, w tym pokoju

- Wiem - powiedziała cicho. - Czy właśnie to nie nazywa się grzech pierworodny? Zamurowało go zupełnie. Nie miał pojęcia, co z tym począć.

- Nie rób takiej miny - powiedziała. - Przecież mówię, że między nami to niczego nie zmienia.

Wyciągnęła ramiona i pociągnęła go na siebie. Potem długo udowadniała mu, że mówiła szczerze. A kiedy było już po wszystkim, ułożyła wygodnie głowę na jego ramieniu. - Ale nam dobrze z sobą, co? - zamruczała.

- Mogłoby tak być zawsze - odpowiedział. - Ale ciebie ciągnie tam, gdzie ludzie chodzą do góry nogami

Teraz ona przez dłuższą chwilę zastanawiała się, jak zareagować. Wreszcie odezwała się pojednawczo:

- Chcesz powiedzieć, że uciekam? Może. Każdy chciałby stąd uciec. A ty niby, co robisz?

- Ja? Siedzę na swoim miejscu.

- Nie rozśmieszaj mnie. To twoje głupie udawanie szofera, że by wszyscy podziwiali, jaki jesteś dzielny, choć pokrzywdzony. Niby, co to jest?

- Już niedługo udawania szofera - wyrwało mu się.

Zaskoczył ją. Naprawdę się zainteresowała.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Jeszcze kilka minut wcześniej nie zamierzał zwierzać się Paulinie ze swoich najnowszych planów. Po prostu zaczął mieć dość tego, że wciąż traktowała go jak ofiarę losu. Opowiedział jej więc o łące w Białym Potoku i o planach wielkiego interesu do spółki z Amerykaninem.

Ona spodziewała się najwyraźniej, czego innego. Przyglądała mu się najpierw z zawodem i niedowierzaniem, a potem z coraz większą niechęcią. Ale on tak zapalił się do swoich marzeń, że tego nie widział.

- Ty to bierzesz poważnie? - sprowadziła go na ziemię tak obcesowo, że aż zrobiło mu się głupio,

- Nie sądzisz, że to dobry pomysł?

- O czym ty mówisz? Jaki pomysł? Głupota, nie pomysł. W co ty się chcesz wpakować?

- W nic złego. Facet jest w porządku. Nawet nie zauważył, że sam przyznał to po raz pierwszy.

Ale Paula wcale nie była skłonna zgodzić się z nim.

- Dziecko jesteś? Co się z tobą stało? Wierzysz, że on jest takim cholernym milionerem, jak udaje? Tu zgrywa milionera, bo wie, że znajdzie naiwnych, którzy się na to złapią. No i znalazł, moje gratulacje. Założę się, że w najlepszym wypadku ma jakąś podejrzaną firmę remontową, w której frajerzy z Peerelu harują na czarno za pół tego, co musiałyby zapłacić Murzynom. I ty chcesz być jednym z tych frajerów? Boże, a przed chwilą próbowałeś mi wmówić, że jesteś panem siebie.

- Nie słuchałaś mnie uważnie. To ja mam być szefem.

- Szefem czego? Chyba zwariowałaś. Jakiegoś burdeliku dla starych amerykańskich pizd? Będziesz im nosił śniadanka do łóżek? I jakie jeszcze usługi będziesz im świadczył? - Widzę, że nie spodobał ci się mój plan.

- A co myślałeś? Że zdobędziesz kupę zielonych i uwijesz z nich miłosne gniazdko dla nas obojga?

- Może właśnie tak myślałem - odparł. Ciągłe był spokojny.

- A nie przyszło ci do głowy, że gdyby nawet to wszystko, co mówisz, miało sens, to ja wcale bym takiego gniazdko nie chciała. Myślisz, że dałabym się zagrzebać

w jakimś grajdole? Jak to sobie wyobrażasz? Przecież ty musiałbyś siedzieć i pilnować tego swojego bajzlu. A ja?

- A ty pewnie ciągle chcesz zostać Jarugą w spódnicy?

- Przecież cały czas wbijam ci to do głowy. Chcę i zostanę. Sama. Bez twoich dolarów, które chcesz wyczarować nie wiadomo jak i skąd.

Andrzej poczuł się razem ze swoim pięknym marzeniem co raz bardziej śmieszny. - Wiesz, co? - powiedział. - Chyba powinnaś już iść do domu.

- Masz rację. To chyba najlepsze, co mogę zrobić.

Spuściła nogi z kanapy i sięgnęła po sukienkę. Zrobiła to z ociąganiem, jakby czekała, że ją powstrzyma. Patrzył na jej wąskie białe plecy w ostrym świetle lampki i miał wielką na to ochotę. Ale nic nie zrobił i kiedy zatrzasnęły się za nią drzwi, poczuł się jak obity pies. Musiał szybko coś zrobić, żeby znów nie wpaść w beznadziejne uzalanie się nad sobą. Wstał, ubrał się i zbiegł na podwórko. Motocykl trzymał w szopie u Chowańców. Miał swój klucz. Drzwi z desek skrzypnęły, przestraszone króliki zatłukły się w klatkach. Niezawodna jawa 350 wiernie na niego czekała. Wyprowadził ją przez sień na rynek, poklepał po błyszczącym chromem baku i kopnął rozrusznik. Zagrała od pierwszego dotyku, jakby tylko na to czekała. Odkręcił gaz do oporu. W uśpionych uliczkach zabrzmiało to, jak by eskadra myśliwców przeleciała tuż nad dachami. Nie zastanawiał się, dokąd jedzie, jego jawa sama go prowadziła. Nawet nie zauważył, kiedy wyskoczyła na szosę do Zakopanego. Nad ludźmi tracił kontrolę, a ona była zawsze oddana i posłuszna. I sama wiedziała, czego mu naprawdę trzeba. Kiedy bywało mu całkiem do niczego, dosiadał jej i pruł przed siebie. Najczęściej pomagało. A kiedy było potrzebne silniejsze lekarstwo, na pełnym gazie zamykał oczy i nie otwierał ich tak długo, jak tylko potrafił. Pewnie nie trwało to dłużej niż pięć sekund, ale kiedy leci się setką, to wcale nie jest mało.

Ledwie wyskoczył poza opłotki Nowego Targu, już wiedział, dokąd jedzie. Nawet nie zauważył, kiedy przeleciał przez uśpione wioski i znalazł się w Zakopanem, przed domem wczasowym, w którym Marysia mieszkała na kwaterze. Wyłączył stacyjkę, że by nie obudzić całej okolicy, i przez otwartą bramę samym rozpędem podjechał na tył budynku. Była to stylowa przedwojenna budowla z brzydkimi powojennymi przybudówkami. Stażystki mieszkały w najmniej atrakcyjnym pokoju, z widokiem na wiatę, pod którą składowano koks. Miało to tę dobrą stronę, że z dachu wiaty ktoś fizycznie sprawny mógł przy pewnym wysiłku dostać się do środka. Okno było uchylone, trzeba było tylko na chwilę zawisnąć na jednej ręce, a drugą szybko odsunąć haczyk.

W pokoju nie było całkiem ciemno i kiedy oczy Andrzeja przyzwyczyły się do półmroku, stanął mu przed oczami obraz jakby z erotycznej fantazji. Marysia i jej trzy koleżanki spały odkryte, w koszulach podciągniętych wysoko z gorąca, posapując i wzdychając przez sen. Żadna nie miała pod koszulą bielizny. Gdyby to działo się jeszcze rok wcześniej, już by coś wymyślił, żeby wykorzystać okazję do końca. Ale od tego czasu myślenie o panienkach całkiem mu się zmieniło.

Marysia spała tuż pod oknem, skulona jak dziecko, ze złożonymi dłońmi pod głową. Ostrożnie położył się przy niej. Westchnęła. Była spocona, zmięte prześcieradło zepchnęła pod ścianę razem z kołdrą, a sama leżała na gołym materacu. Zamknął jej usta swoimi, żeby nie zaczęła wrzeszczeć, kiedy się obudzi. Westchnęła i przewróciła się na wznak, a potem nagle otworzyła oczy bardzo szeroko. Puścił ją dopiero wtedy, kiedy nabrał pewności, że go poznała.

- Jezus Maria - szepnęła. - Zgłupiałeś? Co ty wyprawiasz?

- Musiałem cię zobaczyć.

- Jeśli chcesz, żeby mi kiedyś serce stanęło ze strachu, rób tak dalej.

- Nie złość się. Nie mogłem usnąć bez ciebie.

- Ale kłamiesz.

- Kiedy to święta prawda. Nie wierzysz?

Zarzuciła mu ramiona na szyję i zamruczała, przeciągając się i pocierając twarzą o jego policzek.

- Jak tak mówisz, to wierzę. Ale nie możesz tu zostać. Jeszcze by brakowało, żeby dziewczyny zobaczyły.

- Ty też tu nie zostaniesz. Wstawaj.

- Chyba zwariowałeś.

- Wolisz czekać, aż się pobudzą?

- Przecież jestem goła.

- To co? Jest ciepło jak w lipcu. Przelecimy na motorze raz dwa.

Zgarnął z oparcia krzesła jej sukienkę, majtki i biustonosz, podniósł z podłogi sandaalki, włożył sobie to wszystko za koszulę i już był po drugiej stronie parapetu.

- Nie bój się - szepnął. - Nie pozwolę ci spaść.

Taki już był, że dziewczyny dawały mu się nakłaniać do różnych szaleństw. Później to się przeważnie źle kończyło, ale na początku głupiały dla niego. Zeskoczył na dach wiaty, a w następnej chwili w oknie ukazały się gołe nogi Marysi, potem reszta. Wiatr natychmiast zadarł jej nocną koszulę aż nad głowę i w ramiona Andrzeja zsunęła się naga i ślepa. Kilka chwil później niezawodna jawa wiozła ich z powrotem, przelatując z rykiem przez uspione wioski, a koszula Marysi powiewała z tyłu niby ślubny welon. To cud, że żaden z kierowców nielicznych o tej porze pojazdów nie wylądował w rowie, porażony tym widokiem.

W bramie zrobił coś, co mu się nigdy wcześniej nie zdarzało. Wziął Marysię na rękę. Szybko przekonał się, że to był głupi pomysł. Ważyła więcej, niż się wydawało i musiał się dobrze wysilić, żeby nie upuścić jej na schody. Ale nie to było najgorsze. Kiedy już doniósł ją szczęśliwie do pokoju, prosto na tapczan, zobaczył w jej oczach tyle szczęścia, że zrozumiał swój błąd. Marysia jego wygłup wzięła za symboliczne zaręczyny. Widział po niej, że teraz pozwoli mu robić z sobą, co zechce. Nie mógł jej zawieść, choć prawdę mówiąc, po wieczorze spędzonym z Paulina nie czuł się zbyt mocny. Ale starał się, jak mógł. I zaraz potem usnął jak kamień, nawet nie wiedząc, kiedy. Śniła mu się Paulina.

Tej samej nocy spalił się Mrugała. Andrzej przez sen usłyszał syreny samochodów strażackich, wyjeżdżających z remizy przy Kościuszki. Męczył się, bo chciał za wszelką cenę pozostać w śnie z Paulina. Ale to już było niemożliwe. Przez otwarte okno wyraźnie słyszał, że jadą przez most na Kowaniec. Kiedy wycie przycichło, próbował wrócić do snu. I już prawie mu się udało, kiedy na dobre obudziły go jeszcze dwa albo trzy wozy, przelatujące na sygnałach przez miasto. Pomyślał, że to zawodowa straż z Zakopanego. A więc pożar był nie byle, jaki. Usiadł na łóżku. Obudziła się też Marysia.

- Czemu wstajesz?
- Nie słyszysz, że się pali?
- Przecież gdzieś daleko.
- Ale chyba wiem, u kogo.

Nie mógł opanować ciekawości, musiał to sprawdzić. Nałożył dres i wyszedł na dach. Tak jak się spodziewał, blask bił zza pagórka, z samego końca doliny. Usiadł, oparł się o komin i patrzył długo. Luna nie gasła, nawet jakby się chwilami wzmagała. Te raz już prawie nie miał wątpliwości, że to o Franka Mrugałę przyszło upomnieć się przeznaczenie. Wreszcie podniósł się, a nagły podmuch wiatru o mało nie zrzucił go z dachu, aż musiał złapać się komina. Przy schodach na strych czekała już na niego Chowańcowa. Jej nocna koszula wyglądała nieswieżo, siwiejące włosy miała nakręcone na papiloty, w ręce trzymała flaszeczkę, z której wydobywał się zapach waleriany.

- Gdzie to się pali, widział Andrzejek?
- Pod lasem.
- O Jezus Maria, żeby tylko nie u Franka.
- A czemu zaraz u niego? Niech pani śpi spokojnie, pani Chowańcowa.

Ale widział, że nie będzie spała. Ona też miała przecucie. Reszty dowiedział się rano w sklepie spożywczym na Kowańcu. U Mrugałów spalił się prawie cały dobytek: stary drewniany dom, zabudowania gospodarskie, a w nowym budynku wszystko, czego miał się ogień. Krowy zdążyli wyprowadzić, kury uciekły, ale świnię upiekły się w chlewie. W końcu wybuchła beczka z benzyną i od niej napalił się nowy samochód za dolary. Samego Mrugałę zabrali do szpitala, ledwo żywego. Innym domownikom nic się nie stało, jeśli nie liczyć szoku.

Żona jednego ze strażaków przyniosła do sklepu wiadomość, że to było na sto procent podpalenie, bo ogień szedł pod wiatr. Inne kobiety mówiły, że jeśli tak, to podpalaczem nie mógł być obcy, bo psy wcale nie czekały, dopiero potem, kiedy już się paliło, strasznie wyły. Ale że Mrugała sam się nie podpalił, bo się wcześniej nie ubezpieczył. Stracił wszystko.

Andrzej nie umiał przejąć się losem Franka, choć gdyby nie pożar, mógłby wyciągnąć z niego jeszcze trochę pieniędzy. On też nie wierzył, że to wypadek. Kiedy tylko zszedł z dachu, zajrzał do gościnnego pokoju, Amerykanin spokojnie spał.

Kiedy kilka godzin później wstąpił do Podhalanki, Bukowska też już wiedziała. Od razu to po niej poznał.

- Niech Jędrus patrzy, jakie nieszczęście. A już się miał za wielkiego pana. Mówią, że strasznie poparzony, kto wie, czy ślepy nie zostanie. Podobno najbardziej ucierpiał, jak ratował auto. A ono i tak się spaliło. - Potem dodała, patrząc na Andrzeja a jakby go nie widząc: - Spełniło się przekleństwo Jakubka.

Przy barze Krwawy Staszek spytał:

- Piweczko?

- Dwa od razu, panie Staszku.

Z butelkami w rękach wrócił do szatni.

- Napije się pani ze mną, pani Antosiu?

Popatrzyła podejrzliwie nad okularami.

- A co to za interes ma Jędrus do starej baby, co?

- Bez interesu nie można?

- Niech Jędrus nie czaruje. No? O co Jędrusiowi chodzi?

- Pani mi powie wszystko o tym Jakubku.

- A co ja tam, proszę Jędrusia, mogę powiedzieć o Jakubku.....

- Pani robiła jakieś interesy z jego ojcem, z adwokatem Zuckerbergiem. A potem z samym Jakubkiem też - strześlił.

- Jak się Jędrus dowiedział? To on Jędrusiowi coś nagadał?

- Kto?

- No, niech Jędrus nie udaje. W czarnych okularach.

- On tylko kręci - powiedział.

- Ho, ho! A co Jędrus chciał? W takich sprawach wszyscy kręcą. No, dobrze - zgodziła się jednak. - Ale nie tu, przy ludziach. Chodźmy do kantorka.

Schowała pod ladę prawie skończoną skarpetę alpinistyczną, wydostała się nie bez trudu ze swojego miejsca i ciężko szurając nogami, poprowadziła go do pokoiku na zapleczu. Dokładnie zamknęła drzwi, usiadła, wypila duszkiem pół flaszki.

- Więc co to było za przekleństwo, pani Antosiu?

Pociągnęła jeszcze spory łyk.

- Widzę, że się Jędrus zainteresował.

- To źle?

- Jeśli naprawdę chce Jędrus znać moje zdanie, to nie wiem, co dobrego mogłoby z tego wyniknąć.

Ale widocznie miała w sobie potrzebę wygadania się, bo zaraz zaczęła opowiadać:- Jak tylko się wojna skończyła, jeszcze w Nowym Targu była ruska komendantura, jeszcze Ogień był komendantem UB, patrzę ja, kto wchodzi? Jezus, Maria! Jakubek Zuckerberg! Żywy! Mówię: Wszelki duch Pana Boga chwali, Kubuś, a ty gdzie byłeś schowany? A on tylko ręką machnął: Moja Bukosiu, ani niech mi Pani nie przypomina.

- Jak on do pani mówił? Moja Bukosiu?

- A co Jędrus myśli? To było wielkie państwo. Ja u nich siedziałam w kieszeni. Jakby nie oni, ani bym nie zipla. Sama bym Jakubkowi znalazła ukrycie, jakby mnie poprosili. Ale Szlomko wolał go wysłać do Mrugałów, że pod lasem bezpieczniej.

- Że też Mrugała ukrywał Żyda? Właśnie on?

- Dziwne to się Jędrusiowi widzi? - Popatrzyła na niego pobłaźliwie. - Przecież nie z dobrego serca. Stara Mrugałka może by go i przygarnęła z czystej litości. Przed wojną służyła u Zuckerbergów, była z nimi zżyta jak z rodziną. Aż ludzie na nią krzywo patrzyli, bo nie dała na Żydów źle mówić. Ale Franek? Gdzie tam! On Jakubka nie cierpiał. Nie mógł zapomnieć, że matka kazała mu chodzić do mecenasowej po stare ubrania i jeszcze dziękować. Dobrze, że Szlomko wyszkolił syna, co ma robić, jak zostanie sam między obcymi. Jakubek zakopał pieniądze gdzieś w lesie, tylko on wiedział gdzie, i płacił po trochu. Tak ludzie mówili. Bo inaczej może by go od razu sprzedali, a tak się uchował.

- Ale w końcu sprzedali?

- Co to, to nie. Stara Mrugałka nie dała. Tylko pech chciał, że Ogień wybrał sobie chałupę Mrugałów na punkt kontaktowy. Bo też mu było wygodnie, że zaraz pod lasem. Franek bał się Ogniewi przyznać, że Żyda chowa. Ale też bał się trzymać go dalej, narażać cały oddział. No, więc wziął i wygnał Jakubka w las. Na szczęście było jeszcze ciepło, więc jakoś przeżył po szafasach, dobrzy ludzie mu czasem przynieśli jeść, no a na początku zimy to już przyszedł w Gorce z oddziałem ten Żyd Kordian i przygarnął swojego. No i tak to było, proszę Jędrusia.

- To Morek stąd go znał, tego Jakubka? Z partyzantki? - spytał Andrzej.

- Chyba. Pan Morek mi się nie zwierza. My tylko razem pracujemy.

- W takim razie musiał też wiedzieć, że Mrugała pracował dla Ognia. W czasie wojny i po wojnie.

- Trafiał Jędrus w sedno. Morek od tego był, żeby dużo wiedzieć. Zaraz jak Ogień poszedł z powrotem w góry i w UB nastał nowy komendant, zrobili u Mrugały rewizję. Wtedy jeszcze nic nie znaleźli i Franek myślał, że już dadzą mu spokój. Ale zaczął opowiadać po ludziach, że to Jakubek Zuckerberg na niego doniósł.

- A doniósł?

- Nie wierzę. - Pokręciła głową. - Jakubek mi sam o tym opowiadał. Prawie, że płakał. Moja Bukosiu, mówił, posądzają mnie, że to ja wydałem Franka. Ale pani mnie zna od dziecka, czy ja mógłbym coś takiego zrobić. Ja mogę mu życzyć, żeby go ogień pochłonał. Ale donosić? Nigdy.

Andrzej słuchał ze zdumieniem.

- Żeby go ogień pochłonał? Za to, że ukrywał Żyda, ryzykując, że Niemcy wystrzelają całą rodzinę?

- Nie nam to sądzić, proszę Jędrusia. Co on tam przeżył, to jeden Bóg wie. Ja z nim rozmawiałam przed samą tą jego ucieczką nieszczęsną. Jego wcale nie ciągnęło do tego Izraela ani nawet do Ameryki. On się tylko bał zostać tutaj. Mówił: Moja Bukosiu, ja kocham Nowy Targ jak żadne inne miejsce w świecie. Ja bym się stąd nie ruszał, mówił, ale sama Bukosia widzi, że tu już nie ma dla mnie miejsca. Co wyjdę

na rynek, co się popatrzę na ulicę Nadbrzeżną, na nasze gimnazjum, na Dunajec, to mi się na płacz zbiera. Ale mnie już tutaj nikt nie chce. Już pogrzebaliście Żydów, już rozdzieliliście, co po nich zostało. Już nie potrzebujecie, żeby wstali z martwych. To właśnie powiedział mi Jakubek Zuckerberg, proszę Jędrusia. I pojechał.

- Pani Antosiu, przecież on nie uciekał, tylko innych przeprowadzał.

- To i to Jędrus wie? A skąd?

- Po prostu wiem.

- Już ja się domyślam, skąd. To ten zły duch ciągle wilka wywołuje z lasu.

- A pani skąd wiedziała?

- Też po prostu wiedziałam - zakpiła, ale zaraz dodała: - Na pewno chciał jeszcze wrócić, bo nie zdążył sprzedać kamienicy po rodzicach. W hipotece wyraźnie stoi, że własność państwa, jako mienie porzucone.

- Może nie miał kupca?

- Kupiec by się znalazł. Ale może przestraszył się tego, co spotkało jego dwóch kolegów. Bo przecież nie tylko Jakubek nie dojechał do Izraela. Słyszał Jędrus o tym? Herszowic i Rotter, tacy ładni, tacy mili chłopcy. Przeżyli wojnę w jakimś obozie. W obozie, rozumie Jędrus? W obozie przeżyli. I wrócili tutaj, do domu a tu już nie było dla nich domu. Więc postanowili, że pojedą. Młody Herszowic sprzedawał kamienicę, tę na rogu.

- Wiem. Gdzie jego ojciec miał hotel.

- Tę samą. I wie Jędrus, co? Na drugi dzień znaleźli ich przy drodze pod Szaflarami. Zabitych, obdartych do naga. Dlaczego do naga? Przecież nikt nie złakomił się na stare buty i portki. Ale oni te dolary, co wzięli za kamienicę, musieli mieć zaszyte w ubraniu, może schowane w podeszwie. Więc żeby nie tracić czasu, zostawili ich nagich jak łazarzy. Tacy piękni, młodzi Żydzi, czy oni nie mogli sobie żyć w tym Izraelu? Czy trzeba ich było zabijać, jak Hitlerowi się nie udało?

- Kto ich zabił, pani Antosiu?

Popatrzyła na niego z cierpieniem w oczach.

- Zaschło mi w gardle. Niech Jędrus nie dręczy starej kobiety i coś na to zaradzi. Przy bufecie Krwawy Staszek puścił do niego oko.

- Uuu, nasza Bukosia lubi, lubi. Tylko nie trzeba wierzyć we wszystko, co wtedy wygaduje.

Niby żartował. Ale może naprawdę bał się czegoś, co Bukowska mogła powiedzieć. W kantorku starsza pani siedziała wciąż bez ruchu, uciskając palcami skronie. Chwyciła łąpczywie butelkę i wypła szybko kilka łyków.

- Czy to takie ważne kto, proszę Jędrusia? Poszło na Ognia. Przez to wszystko sobie zniszczył, całą piękną kartę partyzancką. Widać wojna w końcu odebrała majorowi rozum, ja sobie tego inaczej nie umiem wytłumaczyć. Tyle lat wojował z Niemcami, potem z komuną, ścigany jak wilk, tropiony dzień i noc, że miało mu się prawo pomieszać w głowie. Ale co to zmienia, niech Jędrus sam powie, co to zmienia? Cały świat się dowiedział, że Ogień Żydów morduje, jak Hitler. To była istna katastrofa. Najpierw ciągle było słyhać, że miał dostać pomoc z Zachodu.

Broń, dolary. Ale potem wszyscy się od niego odwrócili. To była klęska i dla niego, i dla nas wszystkich, cośmy mu pomagali.

Dla Andrzeja było to coś nowego, choć znał Bukowską niemal od urodzenia. Ona, babcia klozetowa, w konspiracji? Nie bardzo mu to pasowało.

- Pani też?

- A co Jędrusień myśli, że ja zawsze tylko siedziałam w szatni? Wydaje się Jędrusiowi, że tak łatwo się pogodziłam, jak mi czerwoni zabrali moją restaurację, całe moje życie? Marzyłam sobie, że wszystko się jeszcze odwróci, będą wybory, komuniści przegrają, Ameryka im nie pozwoli gnębić Polaków, nasi chłopcy zejną z gór. Będziemy mieć prawdziwe polskie wojsko, naprawdę ludowe, swoje, nie przywiezione z Rosji. No i wszystko diabli wzięli. Czerwoni wybory sfałszowali, Ameryka się nie ruszyła, a nasi chłopcy, nasi chłopcy....

Przez chwilę milczała, tarmosząc wargi zębami, jakby się miała rozplakać.

- Pani Antosiu, to mógł zrobić każdy - przekonywał Andrzej bardziej siebie niż ją. - Zwykli bandyci.

- A co tam Jędrusień wie. Na drogach panowali leśni. Milicja i UB mieli tylko posterunki, las i drogi miał Ogień. Nawet jak sam nie robił, to pozwalał. Co mi kto będzie opowiadał. Nie lubił Józus Żydków i tyle. Kto ogłosił, że mają iść precz z Nowego Targu albo on sam zrobi z nimi porządek? No to ludzie myśleli, że wolno. Tak czy siak, była wina majora i koniec. On tu rządził, nie, kto inny.

Wypiła resztkę piwa i zamilkła. Andrzej też siedział cicho. Wreszcie spytał:

- Myśli pani, że mój ojciec też to robił? Wierzy pani w to. Czy on mógłby zabić Jakubka Zuckerberga?

Zamachała rękami.

- A o co znowu Jędrusień mnie pyta? Co to ja jestem, sąd ostateczny? Ja tylko pamiętam, że jak oni u profesora w ogrodzie wygrywali serenady, to ludzie za rzeką stawali i słuchali. Pan profesor mówił, że to jest bratanie się młodzieży z różnych stanów. Dziadzio Jędrusia, niech mi Jędrusień wybaczy, był taki wariatuńcio, to jest, źle się wyraziłam, taki idealista. Myślał, że jak się młody biedak zaprzyjaźni z młodym bogaczem, młody chłop z młodym paniczem, młody Żyd z młodym gojem, to już tak będzie na wieki. A oni po prostu grali dla Wikci, dla Jędrusia mamy. Pamiętam jak dziś, jeszcze dzień przed wybuchem wojny, wieczorem. Grali, że się niosło na pół miasta, a tak pięknie, że się na płacz zbierało.

- Pani Antosiu, czy to mój ojciec go zabił?

Złapała się rękami za głowę i poczęła nią trząść, jakby straciła rozum.

- Ale mnie Jędrusień męczy, ale dręczy. A skąd ja bym takie rzeczy mogła wiedzieć?

- Pani Antosiu - powiedział. - Ja chcę tylko usłyszeć odpowiedź na jedno pytanie. - No to ja się boję, że Jędrusień jej nigdy nie usłyszy. I wie Jędrusień, co stara kobieta Jędrusiowi radzi? Niech Jędrusień to wszystko wyrzuci ze swojej głowy. Niech się Jędrusień nie zatruwa, bo to tylko trucizna, nic więcej.

- A pani potrafi?

- Co? - Wyrzucić to wszystko ze swojej głowy?

- Niech pan zwolni - powiedział Amerykanin do taksówkarza.

Zbliżali się do rozwidlenia dróg w Kościelisku. Pośrodku skrzyżowania była wysepka, na której rosły trzy stare świerki.

- O co chodzi? - spytał taksówkarz. - Tu nic nie ma.

- Jest. - Obcy uśmiechnął się lekko. - Na tym drzewie górale powiesili Wacka Krzeptowskiego.

W taksówce zaiskrzył' żeby w obecności górali wspominać nazwisko góralskiego księcia z łaski gubernatora Franka, trzeba być albo głupim, albo mieć w tym jakiś cel. Andrzej, siedzący na tylnej kanapie i zajęty głównie Marysią, w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na słowa Szafrana. A kiedy ich sens wreszcie do niego dotarł, wpadł w lekką panikę. Nie wiedział, jak powinien zareagować. Czy to prowokacja pod jego adresem? A może Amerykanin był nieświadomy, że dziadek Kurniawa należał do Goralenvolku? To drugie wydało się Andrzejowi nieprawdopodobne. Ale nie chciał przez takie głupstwo ryzykować utraty szansy, do której zdążył się już przyzwyczaić. Szczęśliwie nie musiał nic mówić, bo wyręczył go taksówkarz.

- Propaganda, panie.

- Co mówi pan?

- Wacka Ruscy powiesili.

Amerykanin niespodziewanie zdenerwował się niewspółmiernie mocno jak na taki błąhy powód.

- Pan nie wie nic - wybuchnął. - To pan robi propagandę, powtarza ruskie kłamstwa. Jak ja mówię coś, to znaczy, że było tak.

Teraz także kierowca był cały w nerwach.

- Bo kto pan jesteś, papież? Pan mnie mówisz, że ja robię ruską propagandę? Ja jestem z Warszawy, panie. Przyjechałem tu po powstaniu. Widziałem, co się działo. Myśmy ginęli, a górale jedli szkopom z ręki. Mieli z nimi dobrze. Knajpy, sklepy zabrali Żydom, dali góralom. Za co mieli wieszać Wacka?

Andrzej poczuł przypływ niechęci, jak zawsze, kiedy wojenni weterani zaczynali się kłócić, kto ważniejszy.

- A czy to ważne, kto go powiesił? - próbował przerwać dyskusję.

Ale to już nic nie dało.

- Pan zatrzyma - powiedział Amerykanin. - My wysiadamy.

Taksówkarz nie posłuchał.

- Był zamówiony kurs na Biały Potok - odpowiedział wściekły.

- Ja zapłacę za wszystko. Pan zatrzyma w tej chwili.

Kierowca z furią nacisnął na hamulec, aż Andrzej z Marysią polecili do przodu. Amerykanin wyciągnął banknot dziesięciodolarowy.

- Wystarczy? - spytał.

- Wysiada pan - powiedział taksówkarz. - Pieprzę pana dolary.

Wysiadając, Amerykanin rzucił banknot na siedzenie. Andrzej miał dość tej awantury, jak zawsze, kiedy musiał uczestniczyć w czymś, na co nie miał wpływu. W tej chwili był gotów zerwać wszystkie umowy z Szafranem, tak go wyprowadził z równowagi. Wyciągnął Marysię z taksówki brutalniej, niż miał zamiar, choć ona nie była niczemu winna. Kierowca ruszył z piskiem opon, potem równie gwałtownie zahamował otworzył drzwi i wyrzucił przez nie dziesięciodolarówkę.

- Wsadź se je pan w dupę! - krzyknął jeszcze, zanim odjechał na dobre.

Podmuch wiatru porwał zielony papierek, zakręcił nim i poniósł między chałupy. I to całą trójkę tak rozbawiło, że sytuacja sama się rozładowała.

- Ktoś się ucieszy - rzucił Andrzej.

- Sorry, młodzi ludzie - odezwał się Amerykanin. - Teraz musimy iść piechotą.

- Szajbus jesteś - powiedział Andrzej. - Robisz aferę o byle, co.

Widać było, że Szafran ma ochotę zaprotestować, ale zrezygnował.

- To nawet lepiej, że się przespacerujemy. Tak jest pięknie - wtrąciła Marysia z naiwnością małej dziewczynki, jakby chciała jak najszybciej zatrzeć wspomnienie o awanturze.

Pół godziny później usiedli na stercie pni pod lasem, tam gdzie zaczynała się polana Biały Potok. Marysia zagłębiła się w las, a oni wystawiali twarze do słońca, słuchając, jak wiatr, wiejący górą w koronach świerków, zagłusza szum strumienia płynącego za ich plecami.

- Fajna dziewczynka, ta Marysia, co myślisz? - odezwał się Amerykanin. - Podoba ci się?

- No, podoba - odpowiedział Andrzej, żeby go zbyć.

- To teraz twoja girlfriend, I hope?

Andrzej wzruszył ramionami.

- Jedna z kilku.

- No, no. - Amerykanin pogroził mu palcem. - Tylko nie zrób jej krzywdy. To uczciwa dziewczyna jest.

- A ty skąd to wiesz?

- Wiem. I zakochana w tobie. Lepsza niż ta druga, czarna, przemądrzała. Lepiej do ciebie pasuje.

- Ty ciągle lepiej wiesz, co do mnie pasuje?

- Wiem. To będzie dobra gospodyni. Zadba o ciebie. Tobie właśnie tego potrzeba. A urodę ma też.

Marysia znikła na tak długo, że kiedy wreszcie wróciła, Andrzej nie umiał odmówić sobie złościwości.

- Myśleliśmy już, że cię zżarły mrówki.

- Nie musisz być taki miły. Zbierałam dla was poziomki. Chcecie?

I rzeczywiście, wyciągnęła pełną garść czerwonych jagód.

- Z pani rąk, miss? Pani pyta się?

Speszyła się i zaczerwieniła. Nie wiedziała, co może znaczyć ta poufałość i jak ma na nią reagować.

- Ja nie uwodzę pani, miss Marysia. Pani jest dla Andrzeja w sam raz i to mnie cieszy bardzo.

Marysia rozanieliła się na te słowa, jakby trafiła główny los na loterii. Tylko Andrzeja nikt nie zapytał, co on o tym myśli.

- Musi mi pan ciągle mówić miss? - spytała.

- Pani nie podoba się?

- Dlaczego, podoba. Ale prościej byłoby Marysia, nie?

- Jestem szczęśliwy, Marysia - ucieszył się z właściwą Amerykanom przesadą.

Na obiad zaprosił ich do Harnasia, ludowej karczmy w Kirach. Byli przy deserze, kiedy przy wejściu rozległ się nieoczekiwany gwar, a zaraz potem dosłownie wtargnął do środka Zespół Pieśni i Tańca Juhasi. Wydawało się, że jest ich strasznie dużo. Byli od stawieni w regionalne stroje, jakby na wesele. Występowali tego dnia na Tatrzańskiej Jesieni i najwyraźniej było im mało. Podnieceni i wciąż niewyżyci w tańcu i śpiewie, dalszy ciąg przedstawienia przyjechali dać w Harnasiu, po prostu dla własnej przyjemności. Nie mogli przewidzieć, że będą tu mieli taką publiczność, jakiej drugiej nie znaleźliby na całym świecie.

Ledwie weszli, jakiś stary zaczął przygrywać na skrzypcach, a dwaj młodzi zaśpiewali coś dziko, wywijając ciupagami. Andrzej poznał braci Tatarów z Gronia. Im jeszcze góralska muzyka naprawdę grała w duszach. Nie byli z tych górali, którzy woleli bez powodzenia naśladować Presleya czy innego Chubbyego Checkera. W Juhasach występowali z prawdziwej potrzeby serca. Ale Andrzej najlepiej wiedział, jak niewiele brakowało, żeby taneczny zapal przemienił się w ich duszach w ochotę do bijatyki. A gdyby tak ktoś przypadkiem zarobił w głowę taką paradną ciupagą; to po nim.

Kiedy zobaczyli Marysię, od razu koło stolika zrobiło się gęsto od zbójnickich pasów, wyszywanych portek i kierpców. Amerykanin, w odróżnieniu od Andrzeja, był szczęśliwy. Aż mu się oczy zaświeciły. Pewnie pomyślał, że są jeszcze na świecie górale, z którymi będzie mógł wskrzeszać swój styl zakopiański. Już po pięciu minutach był z wszystkimi po imieniu. Zaczęli przepijać do siebie, znów rozległy się góralskie śpiewy. Tym razem Amerykanin mógł pokazać, co umie, nie było nikogo, kto by mu powiedział, że to już niemodne. Głos miał zresztą jak prawdziwy góral, piękny i mocny.

Juhasi zaczęli tańczyć w kole, na co w Harnasiu nie było dość miejsca. Wydawało się, że buda zaraz się rozleci. Andrzej już trochę wypił i cały ten folklor tylko go drażnił. Piski skrzypek wierciły mu w uszach, głowa rozpadała się od trzaskania ciupag i łomotu kierpców o podłogę, a od wirowania białych plam góralskich koszul kręciło mu się w głowie. Wyszedł na chwilę na dwór, żeby odpocząć od hałasu. Kiedy wrócił, w środku kręgu tańczył Amerykanin z Marysią. Nie mógł nie skorzystać, kiedy trafiła się taka okazja, prawdziwa góralska kapela.

Andrzej od razu wytrzeźwiał. Coś mu podpowiadało, że z tego wszystkiego nie może wyniknąć nic dobrego. Knajpa była pełna pijanych górali, co zlekceważyć mógłby tylko ktoś, kto nigdy nie widział, czym się taka zabawa może skończyć. Niestety polegało na tym, że był to taniec, w którym pary tańczą po kolei. Jedna

wiruje pośrodku kręgu, a reszta tylko się przygląda, co najwyżej przytupuje sobie na boku. I żeby zabawa przebiegała spokojnie, tańcząca para musi szybko ustępować miejsca następnej, zanim energia rozpierająca tancerzy znajdzie sobie inne ujście. Ale Amerykanin tak się rozpalił, że o tym starym góralskim obyczaju zapomniał. Walił podszwami o dechy i walił, i wyginał się przed Marysią, jakby ktoś go nakręcił i nie mógł przestać. Tamci stali spokojnie i patrzyli, dopóki starczyło im cierpliwości. Tylko, że górale, zwłaszcza po kielichu, nie są bardzo cierpliwi.

Młodszy z braci Tatarów z początku delikatnie próbował ode słać Amerykanina na widownię. Sam aż przebierał nogami, żeby się popisać, ale jeszcze czuł trochę respektu przed gościem. Tylko, że gościnność gościnnością, a jemu krew biła do głowy podwójnie mocno, z powodu gorzały i halnego. Nie mogło to trwać zbyt długo. Kiedy zrozumiał, że Amerykanin w żaden sposób nie zechce ustąpić dobrowolnie, spróbował wepchnąć się na siłę między niego a Marysię.

- Ustąp się pan już poprosił grzecznie.

Na to w Amerykaninie odezwała się krew góralskich przodków i odruchowo odepchnął Tatara. Od tej chwili nie mogło być mowy o ugodowym załatwieniu sprawy. Tatar już bez żadnych ceregieli odsunął Marysię na bok. Po prostu przestawił ją na inne miejsce i stanął naprzeciwko Amerykanina na rozstawionych nogach, z zaciśniętymi pięściami, naładowany energią, jakby miał za chwilę wystartować w niebo.

- Ustąp się, przybłędo! - zawołał, a głos miał taki, że przekrzyczał całą kapełę.

W tej chwili Andrzej zaczął się rozglądać, którędy można uciec z Harnasia. Tatar chwycił przeciwnika za bary i wydawało się, że zaraz rozbije go o ścianę. Ale to pięść Amerykanina wyleciała do przodu jak rakietka. Trafiony na punkt góral padł na wznak z rozłożonymi ramionami i nie wstał.

Wszyscy patrzyli na to bez ruchu, jak zaczarowani. Starzy muzykanci z kapeli znieruchomieli z uniesionymi w pół taktu smyczkami. Zwabione przez awanturę kucharki zastygły w swych białych fartuchach jak rzeźbione ludowe anioły. To, co się stało, było tak niewiarygodne, że wszystkich poraziło. Amerykanin nie należał do małych, ale młodszy z braci Tatarów był od niego większy dobre półtora raza. A przy tym miał taką sławę, że w okolicy trudno byłoby znaleźć frajera, który odważyłby się do niego wystartować. Nie tylko w samym Kościelisku, ale od Chochołowa po Biały Dunajec i Bukowinę. A tu został załatwiony jednym strzałem i to przez emeryta.

Nagle któraś z kucharek wrzasnęła przeraźliwie. Andrzej spojrzał w bok i w rękach starszego z Tatarów zobaczył ciupagę. Żarty się całkiem skończyły. Góral miał w oczach prawdziwą rozpacz. Czul obowiązek stanąć za bratem, a był od niego dużo mniejszy i słabszy. Kiedy zobaczył, co stało się z młodszym, musiał poczuć, że z gołymi rękami nie ma żadnych szans. Ciupaga aż zafurczała w powietrzu. W tym momencie biedna Marysia osunęła się na podłogę, prosto pod nogi kapeli. Skoczyły do niej kucharki i wciągnęły bezwładne ciało za bufet. Bóg jednak czuwał nad Amerykaninem. Musiało tak być, bo ostrze minęło jego czoło dosłownie o centymetry. Ci Tatarowie to jednak były prawdziwe szajbusy, a już, kiedy wiał

halny, dosłownie dostawali małego rozumu, W tej chwili każdy inny już by się opamiętał. Ale nie Tatar. Bluznął przekleństwem i zamachnął się drugi raz. A wtedy, w pierwszej chwili Andrzej pomyślał, że to przywidzenie, ale nie, w rękach Amerykanina zobaczył także ciupagę. Nawet gdyby mu się to tylko śniło, wyglądałoby zbyt nieprawdopodobnie. A to wcale nie był sen. Czuł, że jeśli zaraz czegoś nie zrobi, poleje się krew. Siekiera Tataru znów przecięła powietrze. Amerykanin zasłonił się swoją tak zgrabnie, jakby przez całe życie nie robił nic innego, tylko trenował walkę na ciupagi. Mimo to nie wiadomo, czy wytrzymałby w dłuższym starciu z Tatarem, którego musiał do prowadzić do rozpaczliwych widoków leżącego na podłodze brata. Ale szczęście go nie opuszczało. Tatar wziął za duży zamach i ostrze, zamiast opaść, uderzyło w belkę pod sufitem, aż zatrzęsły się ściany, a drzewce pękło na pół. Ostatecznie miało służyć tylko od parady. Tatar wytrąciło to zupełnie z równowagi. Dosłownie, bez żadnej przenośni. Okręcił się w kółko i padł koło swego brata. Pozostali Juhasi patrzyli na ten pogrom ciągle z tym samym nieruchomym osłupieniem w oczach. To była ta jedna, jedyna chwila, żeby coś zrobić, zanim się opamiętają. Andrzej nagle znalazł się na środku sali, złapał Amerykanina za rękę i pociągnął do kuchni. Planował, że wyskoczą przez kuchenne okno. Zapomniał, że okna na zapleczu Harnasia były zakratowane. Teraz zatrzymał się przed jednym z nich, nie wiedząc, co dalej robić. Usłyszał, że ci na sali ocknęli się. Ich krzyki i łomot przewracanych zydli świadczyły, że nie mają zamiaru sprawy na tym zakończyć.

Byli w pułapce. Andrzej próbował przytrzymać drzwi, ale były to dwuskrzydłowe, wahadłowe drzwi bez zamka i musiałyby mieć nie wiadomo ile siły. Udało mu się zastopować pierwsze uderzenie z tamtej strony, ale tylko, dlatego, że Juhasi napaarli kupą, blokując się nawzajem.

I nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby nie kucharki. Największa z nich, której ciało wprost wylewało się z białego fartucha, szybko wsunęła w skoble u drzwi żelazną zasuwę, jednym gestem odsunęła Andrzeja i zastawiła przejście swymi szerokimi plecami, zapierając się stopami o podłogę. Zrobiła to tak zwinnie i bez wysiłku, że Andrzej mógłby się zachwycić jej gracją, gdyby miał na to czas. Druga kucharka popychała ich za kuchenny piec, do tylnych drzwi.

- Bierzcie się stąd, szybko - popędzała ich. - Dziewczyną się zajmujemy.

W ostatniej chwili Andrzej ujrzał jeszcze, jak plecy tej dużej kucharki zatrzymują drugie natarcie Juhasów. Białe w podłogę stopy nawet nie drgnęły, zatrząsł się tylko cały jej tłuszcz w białym fartuchu. Wyglądało to jak dreszcz. Oczy miała przymknięte, a na pogodnej, młodej twarzy dziwny uśmiech, jakby to, co poczuła z tyłu, było pieszczotą. Więcej nie zdążył zobaczyć, bo ta druga już ciągnęła go za rękę ciemnym korytarzykiem obok schodów. Otworzyła jakieś następne drzwi i znaleźli się w po mieszczeniu, które w półmroku wydało mu się sypialnią. Tu w oknie nie było kraty. Kobieta szarpnęła okiennice i usłyszał szum wiatru wysoko w koronach świerków na zboczu.

Wypchnął Amerykanina przez okno i sam wyskoczył w ślad za nim. Spadli do ogródka, w którym zamiast floksów i georginii rosły wysokie na chłopa

pokrzywy. Poczul wyraźnie ich cierpki za pach, jeszcze zanim zanurzyli się w nich z głowami. Biły ich po rękach i twarzach, kiedy przedzierali się do płotu, ale jakie to miało znaczenie. Drewniany parkan wzięli z biegu i już Andrzej usłyszał pluskanie strumienia, przebijające się przez wielki szum wiatru. Obejrzał się ostatni raz. Koło rogu budynku zobaczył białe koszule. A więc duża kucharka obroniła przejście przez kuchnię, Juhasi musieli gonić naokoło.

Teraz niewiele mogli im zrobić. Andrzej z Amerykaninem w kilku susach dopadli wody, pokonali potok w bród i już byli w lesie. Tu Andrzej znał każdą dziurę dziesięć razy lepiej niż ktokolwiek inny. Nie miał jeszcze czternastu lat, kiedy po ucieczce z domu spędził w Dolinie Kościeliskiej cały tydzień, radząc sobie o własnych siłach. Żywili go pasterze, których nie obchodziło, dlaczego chłopak włóczy się samotnie po górach. Dla nich nie było to nic dziwnego.

Mimo że po biegu płuca o mało nie rozsadziły mu żeber, nie dał się zwieść pozorom bezpieczeństwa i nie zatrzymał się, kiedy przestali słyszeć z tyłu głosy ścigających. Miał wbite w głowę bardzo głęboko, że górale, zwłaszcza pijani, tak łatwo nie rezygnują. Ciągnął Amerykanina pod górę przez las, a potem płasko, ku krawędzi wznoszących się nad potokiem skał. Wierzył, że tędy Juhasi nie odważą się ich gonić.

Poczul niebezpieczeństwo przez skórę, zanim jeszcze zobaczył gwiazdy między pniami drzew. Na oślep wyciągnął rękę, trafił na ramię Amerykanina i ścisnął jak obcęgi. Poczul się dumny, że przez tyle lat nie zapomniał, gdzie stok urywa się wapienną ścianą. Zrobił ostrożnie jeszcze dwa kroki i migotliwe błyski gwiazd zobaczył także w dole, odbite w wodzie płynącego trzydzieści metrów niżej strumienia.

- Jędreku, ty jesteś prawdziwy góral - odezwał się Amerykanin z podziwem, kiedy już opanował zadyszkę.

- W górach ty widzisz nawet w nocy.

- Byłoby głupio, gdybym cię najpierw uratował przed śmiercią od ciupagi, a potem zrzucił ze skały, co? - odpowiedział Andrzej, zadowolony z pochwały jak rzadko. Trzymając obcego za ramię, poprowadził go dalej bezbłędnie brzegiem skał, a potem znowu przez las, z powrotem w dół. Tam, gdzie potok szerokim łukiem oddala się od drogi, mogli już zatrzymać się bezpiecznie. Andrzej padł na kolana na brzegu potoku i pił, zanim znów nie poczul się zdolny do życia.

Nagle tuż nad głową usłyszał jakiś niesamowity dźwięk, który na chwilę zupełnie go sparaliżował. Znieruchomiał z twarzą zanurzoną w wodzie, zanim zrozumiał, że to obcy znów śpiewa po góralsku.

Mom jo se za wodom,
hej, dziywcyne s urodom,
będzie moja...

Pomyślał, że to już przechodzi wszelkie pojęcie. To on wypluwał z siebie płuca, ryzykował skręcenie karku, żeby zmylić pościg, a ten sam zdradzał miejsce ich ukrycia, jak skończony debil. Ale nie czuł złości. Przeciwnie. Głos niósł się po mokrej od wieczornej rosy łące za potokiem i odbijał od skalnych ścian w głębi doliny. To

było po prostu piękne. Tak właśnie pomyślał Andrzej i nagle przestał się bać. Nikt by go już teraz nie zmusił do dalszej ucieczki. Koniec, niechby tylko przyszli Juhasi, już by oni ich pogonili, Andrzej razem ze swoim górale z Kalifornii. Znalazł równe miejsce w zaroślach, parę kroków od brzegu, i padł na gołą ziemię. Ostatnią rzeczą, jaka dotarła do jego świadomości, było nagle uderzenie wiatru, które spadło z gór z taką siłą, że cały las zawył i zatrzeszczał, jakby za chwilę miał zwalić się na nich. Ale Andrzej już się niczym nie przejmował. Po raz pierwszy od kilku nocy spał twardo i do samego rana.

19

Obudziło go wstające nad doliną słońce i dziwna cisza. Ten spokój i bezruch, zakłócanie tylko przez szum bliskiego potoku, były niezwykle po halnym, wiejącym już tak długo, jakby wiał zawsze. Otworzył oczy i zobaczył zwisające mu nad głową gałęzie świerka. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest i dlaczego. Uniósł się na łokciach i zobaczył obok Amerykanina, który spał jak dziecko w błyszczącej od rosy trawie. Lewym ramieniem obejmował leżącą na ziemi ciupagę. Andrzej przypomniał sobie zakończenie poprzedniego dnia i poczuł się trochę głupio. Kiedy Amerykanin zaczął się budzić, szybko położył się z powrotem i udawał, że śpi.

Szafran wstał, przeciągnął się kilka razy, a potem nagle padł na ziemię, wyciągając przed siebie ramiona i zaczął robić pompki. Musiał ich zrobić chyba z pięćdziesiąt. Andrzej patrzył na to z początku szyderczo, później z rosnącym zdumieniem, a w końcu poczuł się prawie znieważony. Skąd ten stary brał siłę? Nie dość, że miał te swoje lata, to jeszcze parę godzin wcześniej wlał w siebie gorzały za dwóch młodych. Kiedy skończył pompki, szybko rozebrał się do naga i wskoczył do potoku. Andrzej poczuł dreszcze od samego patrzenia. Pomyślał, że stary zwariował, zapalenie płuc ma jak w banku. Ale Amerykanin jakby w ogóle nie czuł zimna. Chlapał się i mrucał jakąś melodię, która od początku wydała się Andrzejowi znajoma, ale w głowie go tak łupało, że nie mógł sobie przypomnieć, co to. W każdym razie nie było to nic góralskiego. Poznał dopiero, kiedy tamten zanucił głośniej:

If you're going to San Francisco,
be sure to wear some flowers in your hair...

[Jeśli pojedziesz do San Francisco, nie zapomnij kwiatów we włosy wpiąć....Scott McKenzie, „San Francisco”]

Chcąc nie chcąc, Andrzej zaczął go trochę podziwiać. W tym wieku bawić się w komandosa, to jednak musiało budzić szacunek. Poza tym naprawdę ładnie śpiewał, głębokim, ciepłym tenorem. Wreszcie Amerykanin zauważył, że Andrzej już nie śpi i zawołał:

- Obudziłem cię, Jędrzek? Sorry!
- Nic nie szkodzi, podobało mi się

Szafran wyskoczył na brzeg i szybko naciągnął spodnie i koszulę na mokre ciało. - Moja mała Vicky często śpiewała to. - Zmarkotniał. - W łazience rano. Na

wycieczkach też. Byliśmy na biwaku jednego dnia w dolinie takiej, podobnej jak ta, w Sierra Nevada. Ona śpiewała wtedy to. Damn it, na wspomnienia zebrało mi się.

Zamilkł. Andrzej chciałby go poprosić, żeby opowiedział coś więcej o swojej małej Vicky, ale zabrakło mu odwagi. Wolał zmienić temat.

- No, tośmy dali wczoraj czadu - powiedział, otrzepując świerkowe igły z ubrania. - Co znaczy to? - zaśmiał się Amerykanin, jakby to był nie wiadomo jaki dowcip. - Narozrabialiśmy.

- Nie przesadzaj. Zabawiliśmy się fajnie. Tobie nie podobało się?

- Raczej średnio.

- A ja dawno nie bawiłem się tak. Jakby pół życia ubyło mi.

- Zawsze mi się wydawało, że to właśnie Ameryka jest wymarzonym miejscem do szaleństw.

- Bullshit. W Ameryce ty musisz robić money. Tam nie ma miejsca na fantazję.

- Wiesz co? - burknął nieprzyjaźnie Andrzej, zdenerwowany tym ciągłym narzekaniem Szafrana na Amerykę. - W tym ubogim kraju nie ma wielkiego popytu na teorie, że pieniądze nie dają szczęścia.

- Dają, sure. Dają bardzo. Tylko, że mnie brakuje czegoś. Jaki ja Amerykan.

- Rzeczywiście? Ciekawe, jak ci się w takim razie udało zrobić w Ameryce majątek? Tamten chwilę milczał, łamiąc w rękach patyk i ciskając po kawałku do strumienia. - Ja wyjścia nie miałem. Ty nie wierzysz?

- A zależy ci na tym?

- Ty wiesz.

Andrzej wciąż był nieufny, wciąż wydawało mu się podejrzane, że dla tego obcego człowieka jest to takie ważne.

- Przepraszam - powiedział. - Tak się tylko zgrywam.

- Nie mów przepraszam. - Amerykanin potrząsnął głową. - Całkiem jakbym moją małą Yicky słyszał. Oh, damn it! Dlaczego nigdy nie mogłem z tymi dogadać się, na których zależało mi?

Obaj byli gotowi do drogi. Szafran postanowił zmienić temat.

- No, musimy znaleźć właściciela tego tomahawka teraz - potrząsnął ciupagą.

- Wcale nie musisz go szukać. Zostawimy pierwszemu lepszemu wozakowi. Odda komu trzeba.

- Zostawić? Nigdy w życiu. Ja kupię to.

Zadziwił Andrzeja nie po raz pierwszy.

- Chcesz kupić ciupagę? Trzeba było powiedzieć, znalazłbym ci inną, lepszą.

- Ja nie chcę inną. Ja powieszę ją obok szabli Pułaskiego.

Chwilami naprawdę trudno było traktować go jak normalnego.

- Masz szablę Pułaskiego? Poważnie?

- Dlaczego nie? - spytał, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. -

A teraz ja chcę ciupagę.

- To po prostu weź ją sobie.

- Jak to, weź?

- Normalnie. Jako zdobycz wojenną. Będziesz opowiadał gościom, że za szablę Pułaskiego zapłaciłeś ileś tam dolarów, a ciupagę zdobyłeś osobiście w walce z bandą dzikich górali, narażając życie. Co zresztą będzie zgodne z prawdą. No, czy to nie będzie więcej warte niż cała forsa Ameryki?

Obcy patrzył zdziwiony, jakby podejrzewał, że Andrzej kpi sobie z niego, a potem zaśmiał się niespodziewanie radośnie, jak uczeń, któremu ktoś zaproponował świetny kawał.

- You're great, Jędrak! - zawołał i zniemacka otoczył go ramieniem.

Andrzej zeszytniał. Nie znosił, kiedy dotykali go obcy. Ale Amerykanin tego nie zauważył.

Śniadanie zjedli w schronisku na Ornaku. Jajecznicą na szynce z dużą ilością chleba i kubek gorącego mleka wprowadziły Andrzeja w leniwy nastrój. Najchętniej posiedziałby teraz na ławce przed szafasem, wystawił twarz do słońca i nie myślał o niczym. Ale Amerykanin nie pozwolił mu na to.

- To co, miss Marysię weźmiesz do pomocy sobie? - spytał. - Na pewno nie pożałujesz; ja widzę to.

- A ty znowu o tym? Ale nudzisz. Chcesz mnie wyswatać czy co?

- Twoja sprawa. Ale wiesz, ta czarna nie pasuje do ciebie. To Żydówka naprawdę jest? - Już kiedyś o to pytałeś. Co ci przyszło do głowy? Przecież to Rajska. Skąd by się wzięła Żydówka w tej rodzinie?

- Może zdawało mi się. Ale że do siebie nie pasujecie, to fakt.

- Bo co? Bo wydała ci się Żydówką?

- Nie, w ogóle tak.

- A do czego ja właściwie pasuję? - spytał Andrzej, bardziej siebie niż jego.

- Do miss Marysi - zaśmiał się Amerykanin. - Jędrak, żony trzeba szukać blisko. Czasem człowiek szuka w żonie, czego on nie ma sam. Ale z tego nie wychodzi nic dobrego. - Tak jak moim rodzicom? To chciałeś powiedzieć?

Tym razem Amerykanin nie odpowiedział. Andrzej poczuł gniew. Był już w takim dobrym nastroju, a ten znów go popsuł.

- A ten Jakubek? - spytał. - Też nie pasował do kogoś? I przez to znaleźli go w kaczeńcach?

Cios był celny. Andrzej patrzył tylko kątem oka, ale widział, że Amerykanin z trudem się opanował.

- On wyrok miał - powiedział niechętnie.

- Jaki znowu wyrok? Od kogo?

- Od Ognia, oczywiście.

- Za to, że był Żydem?

- Bullshit. Za to, że przez granicę chodził.

- I wyprowadzał Żydów z Polski? To bez sensu. Przecież Ogień sam chciał ich wyrzucić.

- Ale żeby majątek wywozili, to nie chciał. I żeby ktoś rządził się sam na terenie jego. On był prawem tu.

- Dlatego wykonaliście ten wyrok?

- Już mówiłem ci - zniecierpliwiał się. - To nie my. My przyszliśmy za późno.

- To kto? Jakaś inna grupa?

- Ja nie wiem. - Prowadził ich Wojtek Mrugała, brat Franka. Może to on ich wydał, wziął od Żydów pieniądze i wciągnął w zasadzkę?

- Wojtek zginął też.

- Może przechytrzył. Po co temu komuś byłby świadek? - Jędrrek, o co chodzi tobie? Czego ty szukasz?

- A mój ojciec? - spytał Andrzej, nie zwracając uwagi na jego pytanie.

- O twojego ojca chodzi tobie? - Amerykanin, tłumiąc wzburzenie, podniósł z ziemi kamyk i cisnął z rozmachem w las. - Ja myślę, że Góral chciał ratować Jakubka za wszelką cenę. Choć wiedział, że stary może mu dać czapę za to.

- Dlaczego?

- Ty pytasz się, dlaczego? Bo twój ojciec właśnie taki był. Bo chodził do szkoły z Jakubkiem. Bo z nim przyjaźnił się. Dlatego.

Nie wiedzieć, czemu, w tych ostatnich zdaniach zabrzmiał gniew. Andrzej nagle poczuł się zmęczony rozmową. Długą chwilę milczeli. Wreszcie Amerykanin poderwał się. - O czym my gadamy? Wstawaj, Jędrrek. Idziemy w góry.

Ruszył ścieżką w głąb doliny tak szybko, że Andrzej musiał go gonić.

- Wiesz, chociaż, dokąd chcesz iść? - zapytał.

- Sure - odpowiedział. - Do Ogrodu Czarownic. Ty wiesz, gdzie jest to?

Andrzej wiedział, aż za dobrze. Do Ogrodu Czarownic był cholerny kawał ciężkiej drogi w głąb gór. Pomyślał, że nie mogło go spotkać nic przyjemniejszego tej niedzieli. Diabli wzięli drzemkę w słońku na polanie, którą sobie w duchu planował. Ale z jakiegoś powodu nie umiał po prostu odmówić.

- Chce ci się? - spytał tylko z resztką nadziei.

- Czy mi chce się? Sure! Going to the mountains is going home - Jasne! Iść w góry, to iść do domu.] zawołał Amerykanin i wyrzucił ramiona w górę, jakby chciał pokazać, jak rozpiera go nadmiar energii. Może było tak naprawdę, Andrzej zdążył się już przecież przekonać, jaki ten stary jest niezniszczalny.

- Chodź, chodź, nie bądź leniwy - poganiał go. - Ogród Czarownic, w Ameryce on mi śnił się w nocy. Ja widzę go do dziś. To wspaniałe miejsce jest, prawdziwa dzika puszcza, jak dawno, przed wiekami. Kiedyś ja znałem tam każde drzewo, każdy kamień.

- Kiedy?

- Ty wiesz, kiedy. My chroniliśmy się tam zawsze, kiedy trze ba było przeczekać. To była melina, ja mówię ci! Naokoło świat walił się, a tam ja czułem, że nic mi się stać nie może.

Pewnie mówił prawdę, ale Andrzej przede wszystkim czuł, że prędzej chyba skona, niż się tam dowlecze. Amerykanin wciąż przyspieszał, jakby ktoś go ścigał. W dodatku wybrał drogę okrężną, o wiele bardziej morderczą. Ścieżka pięła się stromo pod górę wśród ciemnego i wilgotnego świerkowego starodrzewu, a krok przybysza był lekki i posuwisty, jakby przez całe życie nie robił nic innego, tylko biegał po górach za kozicami, jak w młodości dziadek Kurniawa. Jakie Andrzej miał wyjście,

musiał udawać, że przychodzi mu to z taką samą łatwością. Ale wciąż zdawało mu się, że zaraz padnie.

- Dlaczego tędy? - spytał z ledwo ukrywaną rozpaczą.

- Tamta droga, dolina, niedobra jest. Za bardzo odkryta, wszystko widać z daleka. Ty wiesz, dlaczego bezpieka oddział Wichra rozbiła? Bo miał z sobą babę i obóz wygodny zachciało mu się mieć, koło drogi. No to przyjechało wojsko samochodami i połowę chłopaków wystrzelało.

Jak miał mu tłumaczyć, że nie są żadnymi cholernymi partyzantami, a Zespół Pieśni i Tańca Juhasi, ich jedyny wróg, na pewno śpi jeszcze pokotem po nocnych występach? Wiedział już, że takie tłumaczenie byłoby bez sensu, bo najwyraźniej miał do czynienia z maniakiem. Starał się, więc nadażyć, choć czuł się, jakby za chwilę miał wypluć płuca. Pierwszy raz widział dorosłe go mężczyznę podnieconego jak dziecko perspektywą zobaczenia jakiegoś kawałka lasu. Tym bardziej, że w swoich stronach, w górach Kalifornii, na pewno miał do diabła i trochę dzikich zakątków. I to nie takich, jak Ogród Czarownic, wielkości chłopskiego zagonka. To prawda, miejsce miało swoją legendę. Ale Andrzeja miejscowe legendy nigdy nie podniecały. Na mapach Ogród Czarownic nazywa się zupełnie inaczej. Ochrzcili go tak pomyleńcy z Młodej Polski, którzy biegali w czarnych pelerynach i wypisywali dzikie brednie o górach i góralach, jakby chcieli napisać nową mitologię, lepszą od greckiej. Andrzejowi te zabiegi zawsze wydawały się śmieszne.

- Zobaczysz, to widok naprawdę niezwykle jest - przekonywał go tymczasem Amerykanin, jakby Andrzej nie znał Tatr lepiej od niego. - Ja widzę je przez te wszystkie lata. Ogromne, pierwotne świerki. Wielkie głązy, obrośnięte mchem. Na nich korzenie jak moje udo. Z gałęzi mchy zwisają też, do samej ziemi, jak włosy czarownic. Prawdziwy bór, jak sprzed tysiąca lat, jak z baśni.

Wszystko to było jak wyuczone, jakby już nieraz opowiadał to komuś, gdzieś daleko. Może swojej Vicky. A może samemu sobie. W dodatku brzmiało tak dziwacznie. - Krótko mówiąc, żyłeś w baśni? Wojowałeś w baśniowym wojsku? - nie powstrzymał się od złośliwości Andrzej. Musiał przystanąć. Złapał się obiema rękami w pasie i oddychał ciężko. Był naprawdę zły, że dał się wyciągnąć na tę głupią wyprawę. Zawsze lubił połazić sobie po górach, ale nie na takim strasznym kacu.

- Jędrak, ty nie rozumiesz tego. To był dom kiedyś. Miejsce, w którym czułem się bezpieczny naprawdę. Kiedy Góral odbił mnie, przez tydzień kryliśmy się w Ogrodzie Czarownic. Wojsko szukało, naokoło, ale nie znaleźli nas. Siedzieliśmy sobie jak w mamy brzuchu.

W jego głosie nie było słyhać nawet śladu zadyszki i to Andrzeja doprowadzało do szału.

- Mieliście po prostu szczęście - wysapał - że jeszcze nie było helikopterów bojowych, napalmu i rakiet powietrze-ziemia. Gdyby was w tym brzuchu mamy dopadły wasze wspaniałe zielone berety, które teraz biorą w dupę w Wietnamie, nie pożylibyście ani pół godziny. Zrobiliby z was hamburgery. Wreszcie udało mu się

zdenerwować Amerykanina. - Zielone berety? One byłyby z nami, ty wiesz bardzo dobrze.

- Przecież nie były. Ameryka miała was w dupie, choć tak liczyliście na nią. Szafran nie odpowiedział. Był naprawdę wzburzony. Odwrócił się i ruszył dalej, nie oglądając się za siebie. Andrzej mógł po prostu zostać. Ale wciąż nie umiał. Wyszli na goły garb, z którego otwierał się widok na drugą stronę, a potem zaczęli schodzić przez rumowiska skalne i zarośla kosodrzewiny. Tu nie było nawet ścieżki, ale teraz Amerykanin prowadził bezbłędnie wzdłuż skalnych obrywów, szlakiem, którego istnienia można się było tylko domyślać. Tym razem to on udowodniał, że czegoś nie zapomniał.

Przed nimi leżała wielka odnoga doliny, zamknięta długim na parę kilometrów skalnym murem. Ogród Czarownic był właśnie tam, na dnie. Ze swego miejsca jeszcze go nie widzieli. Andrzej był tu ostatni raz bardzo dawno, pewnie na jakiejś wycieczce z liceum, a może nawet jeszcze z dziadkiem Kossakowskim. Nie przypuszczał, że wielki halny sprzed paru lat uczynił tu aż takie spustoszenia. Jeszcze większe niż w innych częściach gór. Na stokach całe połacie lasu były powalone, jakby je ktoś pościął wielką kosą. Tylko gdzieniegdzie sterczały samotne świerczki. Wreszcie odsłonił się widok na Ogród Czarownic w kotlinie u stóp skalnego muru. Ale tam też nie było już żadnego ogrodu. Andrzej zrozumiał to wcześniej niż Amerykanin, który rozglądał się bezradnie dookoła, zanim wreszcie wydusił z siebie:

- Chyba, chyba ja drogę pomyliłem?

Andrzej właściwie powinien się w tym momencie złośliwie ucieszyć. Ale kiedy patrzył teraz na Amerykanina, nie czuł już ani trochę wrogości. Było mu go tylko żal. W jednej chwili z niezwykłego komandosa zrobił się stary człowiek. Andrzej nawet trochę się przestraszył. Choć na wyprawę ratunkową chodził kiedyś ledwo przez dwa sezony, zdążył zobaczyć paru naiwnych, którym też zdawało się, że ich serca są niezniszczalne, ale się pomylili.

Ogród Czarownic przedstawiał naprawdę smutny widok. Wszystkie te pierwotne świerki leżały połamane jak patyki, które wichura wyrwała z korzeniami, ale większość złamała się na wysokości dwóch metrów albo wyżej. Ich kikuty sterczały w niebo ostrymi drzazgami. Leśnicy nie zdążyli jeszcze sprzątnąć powalonych pni, ale wszystkie były już nagie, obdarte z kory dla ochrony przed kornikami. Spod pobojuwiska gdzieś niegdzie wyłaniały się słynne głązy, w których zakamarkach uciekinierzy czuli się kiedyś jak w brzuchu mamy. Wichurę przetrwały tylko nieliczne młode świerki i jarzębiny, na których z daleka czerwieniły się w słońcu kiście jagód.

Amerykanin stał nieruchomo, z rękami złożonymi jak nad grobem. Było cicho i upalnie, jak zwykle przed nadchodzącą ulewą. Powietrze bardzo mocno pachniało świerkową żywicą.

- Zostaw mnie tutaj - poprosił cicho Szafran.

Andrzej nic nie powiedział, tylko odwrócił się i odszedł w dolinę.

Przed domem dziadków na Krzeptówkach zatrzymał się i jeszcze długą chwilę walczył z sobą, zanim zdecydował się wejść. Było tu tak pięknie; aż czasem robiło mu się przykro, że nigdy z tego nie skorzysta. Nic nie zasłaniało widoku z okien na ścianę Giewontu i ciemny las na zboczu Sarniej Skały. Między domem a lasem rozciągała się tylko szeroka łąka, w kwietniu fioletowa od krokusów, a w czerwcu obłędnie pachnąca świeżym sianem. Prawie tam nie bywał. W dzieciństwie nie poznał uroków wiejskiego życia, choć jego stryjkowie wypędzali owce na hale jeszcze przez wiele lat po wojnie. Rodziny Kossakowskich i Kurniawów nie utrzymywały żadnych kontaktów. Jedni drugich nie lubili i mieli do siebie nawzajem pretensje o wszystko.

Krewni Wawrzyńca uważali, że ożenił się z nieodpowiednią osobą. Na dodatek zrobił to w tajemnicy, bez zapowiedzi i bez wesela. Prawie dwa lata nikt o niczym nie wiedział, a niektóre bogate góralki wciąż wodziły za Wawrzkiem oczami. Dopiero, kiedy Wiktorii zaczął rosnać brzuch, przyznali się, że są małżeństwem. I to tylko najbliższym, ona oficjalnie wciąż używała panińskiego nazwiska. Kurniawowie musieli zrozumieć to po swojemu: że nie chodziło tu tylko o wymogi konspiracji, ale że panna Kossakowska zwyczajnie się ich wstydziła. I na pewno mieli przynajmniej trochę racji. Do tego najbardziej przyczynił się dziadek Kossakowski. On nawet nie starał się kryć, że ich rodziną pogardzał. Choć taki klasyczny humanista, dla nich nie miał przebaczenia.

Dziadek Kossakowski nigdy nie darował dziadkowi Kurniawie Goralenvolku. Bardzo dbał o swoją nieskazitelną opinię. Przez całą wojnę narażał się w tajnym nauczaniu, kilku pokoleniom wbijał w głowę polskość, zdobył szacunek sław uniwersyteckich, a tu w najbliższej rodzinie znalazł się ktoś taki. Mała Wikcia miała zdjęcia na kolanach krakowskich profesorów. A teraz każdy z nich mógł się dowiedzieć, że jej teść to zdrajca, pokazujący się w towarzystwie Himmlera i Franka.

Andrzej tylko raz w życiu widział dziadka Kurniawę. W każdym razie tylko ten jeden raz zapamiętał. Kurniawa przyjechał do nich do Nowego Targu. Przywiózł kosz jajek. Potem odbyła się rozmowa między dwoma dziadkami.

- No to jak, krewniaku - rozpoczął zafrasowanym głosem dziadek Kurniawa. - Jakże to tak dalej będziemy żyć? Jak było, tak było, aleśmy przecież rodzina. Pogodzimy się chyba, co? Przyniosłem jajek na przeprosiny. Przecież wiem, że się u was nie przelewa. No to jak będzie? Poprosicie dalej?

A na to Kossakowski:- Pogodzić się? My z panem? Przenigdy. Rodzina? Pan chyba oszalał. Nie zapraszaliśmy pana i nadal niech się pan nie czuje zaproszony. Pańskich jaj też nie potrzebujemy. Proszę je sobie zabrać.

Andrzej podsłuchiwał przez drzwi z kuchni i choć był uprzedzony, że dziadek góral jest niedobry, wcale nie podobał mu się sposób, w jaki potraktował go dziadek profesor. Było mu wstyd za obu. Kossakowski nie krzyczał, mówił aż za bardzo spokojnie, ale w jego głosie Andrzej słyszał coś, czego sam później nie znosił jak mało, czego: wyniosłość i zimną pogardę wielkiego pana. Czasami myślał

mściwie, że może i nie stało się najgorzej, że bolszewicy zabrali Kossakowskiemu majątek na wschodzie.

A jajka jednak zjedli. Dziadek Kurniawa, w młodości wielki awanturnik i zabijaka, postawił koszyk w przedpokoju i po prostu uciekł przed dziadkiem Kossakowskim. I więcej się nie narzucał. O te jajka babcia Kossakowska trzy dni kłóciła się z dziadkiem, aż w końcu go przekonała, że przecież to nie dziadek Kurniawa je zniósł. W ich domu rzeczywiście się nie przelewało.

Teraz u babki zastał ciotkę Klarę. Gotowała obiad, a babka siedziała pod oknem i haftowała kolorowymi nićmi góralskie spodnie. Obie oderwały się od swoich zajęć i patrzyły na niego jak na zjawę.

- A co się to stało, że pan pofatygował się w te niskie progi? - spytała Klara z przekąsem.

- Było nie było, jesteśmy rodziną. Zapomnieliście?

- Dziwne, że pan sobie akurat przypomniał. Bo pomoc starej babce koło chałupy to przez lata nie ma, komu.

- A wy, ciotko, od czego jesteście? - nie wytrzymał. - Weźmiecie majątek, to róbcie. - Widzicie go, jaki się zrobił wyszczekany. Wielki pan z miasta. Z gołą dupą.

- Dejcie pokój - włączyła się babka. Tylko ona jedna w całej rodzinie mówiła prawdziwą gwarą. - Ty nie musis zara na niego scekoć. A ty byś się choć s babkom przywitał - Witajcie, babko. Szczęść wam Boże. - Schylił się i pocałował ją w rękę. Aż sam się zdziwił, że to zrobił. One też.

- Pewnie przyszedł po prośbie - powiedziała Klara. - A mecenasem miał zostać. No, to gdzie twoja kancelaria? Gdzie twoje bogactwo?

- A dejeze mu choć oddychnonć - niespodziewanie ujęła się za wnukiem Kurniawina. - Przecie pracuje.

- A co wy go tak nagle bronicie, mamó? Widać po nim, jaki robotny. Stary chłop, a czego się dorobił? Był gołodupcem i gołodupcem zostanie.

- To cieszcie się, ciotko, że wy nie jesteście, bo trzeba mieć, co pokazać.

Klara wreszcie zamilkła. Próbowwała znaleźć jakąś odpowiedź, ale nic nie mogła wymyślić. Tylko sapała i robiła się coraz bardziej czerwona na twarzy. Babka próbowała ukryć rozbawienie, pochylając się nad swoją robotą. Widocznie i ona miała dość Klary. Andrzej zauważył, że wyraźnie posunęła się od czasu, kiedy widział ją poprzednim razem. Ostatnio jeszcze przytyła i już ledwie się ruszała, co przy jej sercu szybko ją wykańczało. Całymi dniami siedziała przy oknie i wyszywała te spodnie dla zespołów regionalnych, musiała mieć z tego niezłe pieniądze, ale wszystko wyciągała od niej Klara. Zresztą, co go to mogło obchodzić. Żałował, że tu przyszedł. Tylko, że skoro już się na to zdobył, po stanowił doprowadzić sprawę do końca.

- Chciałem was o coś spytać, babko - powiedział.

- To pytoj.

- Znaliście jakiegoś Szafrana?

Jakby iskra przebiegła między babką a ciotką Klarą. Babka pochyliła się niżej nad robotą i mruknęła:

- O nijakim Safranie nie słyśałaś.

Czuł, że babka skłamała. Ale nie chciał jej za szybko spłoszyć.

- A dziadek? - spytał.

- Dziadek by prendzy móg - przyznała. - Groł u Karpowica, to dužo ludzi znoł. A ty, Jendrus? Gros jesce? - zmieniła temat.

Zdumiał go prawie pieszczotliwy ton w jej głosie. Pomyślał, że po prostu chciała uniknąć dalszych niewygodnych pytań. I od razu wpadło mu do głowy, jak mógłby ją jeszcze bardziej zmiękczyć.

- Trochę gram - odpowiedział. - Jak mam na czym. A wy? Macie jeszcze te skrzypce po dziadku?

- Chciołbyś mi zagroć?

- Mógłbym spróbować.

- Widzieliście - odezwała się Klara. - Znalazł się grajek.

- Co zaś od niego fces? - Babka już po raz drugi ujęła się za Andrzejem. - Kie bel mały, to groł piyknie co cud. Po dziadku to mo. Twój ociec, Klara, to beł prowdziwy artysta, przisam Bogu.

Nagle zapatrzyła się w bezruchu przed siebie.

- Warn też już się dobrze w głowie mroczy - zdenerwowała się ciotka. - Dobrze pamiętam, jaki on był. Łobuz i tyle.

Babka tylko machnęła ręką i wydobyła gdzieś z głębi spódnic pęk kluczy, wybrała jeden, nieduży, i podała Andrzejowi.

- W tyj mniejsyj sofce, co wiys - powiedziała.

Klara szła za nim krok w krok.

- Patrzycie, ciotko, żebym czegoś nie ukradł? Nie bójcie się, nic nie wezmę, choć to tak samo moje jak wasze.

- Żebym ja o wszystkim nie myślała, to by się już dawno to wszystko zawałiło.

- Pan Bóg wam to wynagrodzi jeszcze na ziemi. Już wy Go przypilnujecie, jak was znam.

W sypialni nad podwójnym łóżkiem wisiała ślubna fotografia dziadków. Wyglądali trochę śmiesznie w odświętnych góralskich strojach, on z ciupagą na ramieniu, ona w wianku. Ale każdy musiałby przyznać, że dziadek Andrzeja to rzeczywiście był piękny chłop. Wyższy od babki prawie o głowę, z orlim nosem, kościstą szczęką i ciemnymi, zwisającymi wąsami. Włosy opadały mu spod kapelusza na boki, jak Andrzejowi. A babka nic nadzwyczajnego. Zwykła góralka, mała, dość okrągła, z jasnymi warkoczami. Ale pewnie w czasach, kiedy to zdjęcie było zrobione, coś do niej czuł, bo majątku nie miała. On wniósł większość. Jej był tylko ten kawałek łąki na Krzeptówkach, na którym postawili dom.

Niżej wisiało jeszcze inne zdjęcie. Sławne zdjęcie dziadka Kurniawy z Piłsudskim. Dziadek stał w grupie chłopców ubranych w mundury Strzelca. Piłsudski nie został jeszcze marszałkiem, na fotografii miał brodę i trudno było go poznać. Dziadek Kurniawa miał także w swoim życiorysie piękne rozdziały, ale te ciemne bardziej się pamiętało.

- Babko, nie macie drugiego takiego zdjęcia, z Piłsudskim? - spytał Andrzej, kiedy już wrócił ze skrzypcami do kuchni.

- A co, tciółbyś?

- Pewnie - przyznał.

- To se poproś u Morawetza, na Krupówkak. Widzisz, Jendrek, jakik wielgik ponów twój dziadek znoł? Nawet Lenina.

- Żartujecie, babko. - Przisam Bogu. Chodzili razem w góry. Mój Józek, kie bel młody, to chodził z ponami. Z Leninem tyz.

Andrzej był pewny, że tym razem babka fantazjuje. Czytał gdzieś, że Lenin chodził w Tatry z psem i parasolem, ale nic nie było wiadomo, żeby i z dziadkiem Kurniawą.

- To dziadek naprawdę miał znajomości. Piłsudskiego znał, Lenina, Himmlera - wyrwało mu się i zaraz przestraszył się, że może pożegnać się ze skrzypcami.

Ale babka tylko tynęła okiem i udała, że nie rozumie.

- Twojogo dziadka, Jendrek, wioldzy ludzie uważali, bo bel ja ko oni - powiedziała. - Ale wam się bredzi - nie wytrzymała Klara. - Znaleźliście sobie wielkiego człowieka. Zapomnieliście już, jak wam ten wielki człowiek połamał zęby? Jakeście wiecznie w siniakach chodzi li, aż wstyd było przed ludźmi?

- Miał prawo. - Babka wzruszyła ramionami, nie odrywając oczu od haftu. - Choć kiedy w kufę przywalił, ale serce dobre miał.

Dobre serce dziadka Kurniawy zostało nawet opisane w pamiętnikach legionistów. Kiedy w roku 1939 przystał do Goralenvolku, przekreślił swoje dawne zasługi, ale wcześniej, na wojnie bolszewickiej, zabłysnął i odwagą, i dobrocią. W bitwie pod Łowczówkiem, a może Kostiuchnówką, podobno już miał na szyku jakiegoś ruskiego żołnierza, kiedy ten padł przed nim na kolana i złożył ręce jak do modlitwy. Dziadek Kurniawa, zamiast wysłać wroga do piekła, kazał mu się odwrócić. Ten zrobił to posłusznie, żegnając się pewnie ze światem, a dziadek kopnął go tylko w tyłek, wołając przy tym: Pamiętaj, żebyś nigdy więcej nie hipkał do polskiego górala. Tłumaczył później, że Pan Bóg jest miłosierny dla wszystkich, którzy się do niego modlą, więc i on, Józef Kurniawa z Krzeptówek, jako dobry katolik, nie mógł zachować się inaczej.

- Aż przykro was słuchać - złościła się Klara. - A nam to, ale było z nim dobrze. Jak w raj.

- Boga się bój, na oćca nie scekoj. On już downo w grobie.

- Pies byłby lepszym ojcem; - Klara wpadła w histerię, już nie panowała nad językiem. - Czy on miał dla mnie, kiedy choć dobre słowo? Jak ojciec? Zrobił, kiedy co w domu, jak gospodarz? Wami tylko orał jak starą kobyłą. A sobie kupił kanapę i tylko po całych dniach się na niej wylegiwał. Oficerki wyłożył na krzesło i odstawiał wielkiego pana. Widział tylko Wawrzka, swojego synka, bo ten też nic nie robił, tylko pitolił na skrzypkach. A kto koło niego skakał, najwyżej w pysk zarobił.

Babka popatrzyła na Klarę spod oka.

- Jak się komu nalezoło, to się nalezoło.

- Aleście mądrzy. Wam się pewnie też należało za to, żeście na niego całe życie robili. - Kie gupia byłak, to się nalezoło.

- Pewnie, żeście byli głupia, boście go nie przegnali precz, tylko czekaliście, aż was sam zostawił na pośmiewisko przed ludźmi.

Było to niedługo przed wojną, kiedy dziadek Kurniawa, który miał wtedy blisko pięćdziesiątkę, zostawił babkę z pięciorgiem bachorów i uciekł do Krakowa z artystką kabaretową. Nie na długo, ale sprawa stała się głośna. Artystka nie była żadną Połą Negri, ale w Krakowie ją znali i jej romans z góralskim grajkiem trafił na języki. Fotografie z tamtych lat utrwaliły ją jako czarnowłosą trzydziestolatkę pozującą na femme fatale. Siadając, ukazywała udo w rozcięciu sukni i paliła papierosy w długiej fifce, jak Marlena Dietrich w „Błękitnym aniele”. Gazety pisały, że w sezonie zimowym 1938 na 1939 oczarowała Zakopane, śpiewając zmysłowym altem „Ostatnią niedzielę” i „Tango notturno”.

- I to dla kogo - ciągnęła Klara. - Dla takiej glisty. Ani to cycków nie miało, ani zadka, wymalowana jak spod latarni, siniaki pod oczami, cygarety ćmiła i tylko wielką panią udawała, wywłoką żydowska. Jemu chyba na rozum padło.

- Gupiasz - powiedziała babka jeszcze spokojnie. - Co ty wiys. To bela artystka.

- Kurwa była, nie żadna artystka! - zawołała Klara z prawdziwą wściekłością.
- Zydowica przeklęta. Kurwa i czarownica.

Babka w jednej chwili straciła cały spokój. Prasnęła robótką o podłogę tak gwałtownie i zniecka, że aż Andrzeja podrzuciło na krzesło, a Klara odskoczyła do tyłu.

- Co? - wrzasnęła babka. - To Józek mnie lo kurwy zucił?

Klarę zamurowało. Naprawdę się przestraszyła. Nie śmiała nawet pisnąć ani spojrzeć babce w oczy.

- Carownica, widzisz jom! Skoły pokończyła, a jako ciemna. Wbij się do głowy, gupia babo, że to bela prawdziwa artystka i Józek musioł się niom iść. Ona jedna go rozumioła. Jo byłak za gupia lo niego. Pyskowałak mu, robiłak awantury. Nie rozumiałak go. Mencył się se mnom, ale siedzioł. Do byle, jakiej nie polecioł. Ale kie już poznoł prawdziwom artystkę, to wola bosko.

Klara nagle się rozplakała.

- To tak - pociągnęła nosem żałośnie. - Nad nim, łajdakiem, to umiecie się litować. A nade mną, kto się ulituje? Co ja miałam z dzieciństwa? My wszyscy cośmy mieli? Jeden Wawrzek się liczył, a reszta mniej niż psy.

Babka tylko już machnęła ręką i schyliła się ku podłodze po swoje góralskie portki. Andrzej był szybszy. Popatrzyła na niego łaskawie.

- No to zagroję mi co, Jendrusz. Bo mnie tu zaraz ślag trafi.

- Ale co wy - powiedział. - Ja już nie umiem. Muszę się uczyć od początku.

- Umiys, umiys - powiedziała babka. - Nie darmo jezdeś Józka wnuk. No, groję. Co miał robić. Wyjął skrzypce z futerału i nastroił. Nic im nie brakowało, po latach wciąż miały dźwięk piękny i czysty. Prawdę mówiąc, szkoda ich było na umiejętności Andrzeja. Wziął głęboki oddech i zagrał. Oczywiście, marsza zbójników z „Harnasi”. Sam czuł, że Szymanowski chyba się w grobie przewracał. Palce miał

sztynne, smyk chodził po strunach, jak sam chciał. Z dawnych czasów zostały mu tylko wrażliwe uszy, więc teraz zgrzytało w nich, jakby ktoś piłował mu czaszkę. Ale babka, kiedy odważył się na nią popatrzeć, minę miała rozmarzoną.

- Widzisz - powiedziała. - Pięknie gros.

- Pięknie? - Od Klary po prostu biła wściekłość. - Chybaście na starość całkiem ogłuchli. Rzępoli jak pijany.

Babka uśmiechnęła się do siebie.

- Zol ci, ze twoje nie umiom? - westchnęła. - Widzisz, Jendruś, kiebyś przichodził do dziadka na nauki, jesce byś piykniej groł. Ale tyś nie fciół. Nie przisedeś do dziadka nawet kie już lezoł w trumnie. Tego ci nie mogem darowoc.

Andrzej opuścił skrzypce.

- Wy mnie robicie wymówki, babko? Było się nie pchać do góralenwolku.

W babkę jakby piorun strzelił.

- Co ty wiys!

- Himmlerowi grał.

- Gównu groł!

Wydawała mu się żałosna, kiedy zaprzeczała oczywistym faktom.

- Grał Himmlerowi, nie gadajcie.

- Groł, nie groł, nikomu do tego nic. Od grania jesce nikt nie umar. Insi gorse rzeczy robili.

- Nie gniewajcie się, babko - powiedział. - To tylko prawda. Mnie to nigdy za wiele nie obchodziło. Ale przez to mnie z domu do was nie puszczali. To mi teraz nie wymawiajcie. - Widzioleś jego góralenkarte?

- Są tacy, co widzieli.

- A nie mówiłam wam? - odezwała się ciotka Klara. - Na pewno ten Szafran mu głupot nagadał. Dobrze myślałam, że nie wiadomo, po co on przyjechał. Chyba tylko po to, żeby mieszać.

- To jednak go znacie, ciotko. Widzieliście go? To na pewno on? - spytał Andrzej. Nie było sensu dociekać, dlaczego wcześniej się wypierały. Musiały mieć swoje powody.

- Jeszcze bym go miała oglądać! Ludzie sami wszystko doniosą. Dość nam już zła narobił.

Babka nie wyglądała na zadowoloną, że Klara zaczęła o tym mówić. Ale sama nie odzywała się.

- Co wam zrobił, ciotko?

- A widzicie, mamó? Mówiłam wam, że wasz wnuk zaprzyjaźnił się z Szafranem, toście nie wierzyli. To sami powiedzcie mu, że to przez Szafrana Ruscy za ojcem chodzili, że musiał pół roku w górach siedzieć. Jakby go złapali, to na Sybir albo na miejscu kula, jak Bronkowi Krzeptowskiemu.

Andrzej nawet już się nie zdziwił. W ostatnich dniach dowiadywał się tylu przykrych dla siebie rzeczy, że jedna więcej nie robiła różnicy.

- Może był powód - powiedział ponuro.

- Nic nie wiys, Jendrek - powiedziała babka ze smutkiem. - A ludzi nie słuchoj. Twój dziadek wzion góralenkarte, zeby ludziom robić dobrze. Ilu ich bez granice przeprowadził. Nawet Zidów.

- Powiedźcie lepiej prawdę, że jedną Zydowicę i jej pociotków. Rodzinę narażał na śmierć; żeby się swoją kurwą jeszcze trochę nacieszyć - zaperzyła się ciotka.

- Cemu zrobiył, to zrobiył. Ale ich uratowol.

To byłoby piękne. Tylko, że Andrzej już w nic nie wierzył.

- A gdzie świadkowie? - spytał.

- Świadkowi? Dy jeździł ku ponu profesor, prosiył, błagoł, coby za niego poświadczył. Byłoby mu Izuj umiuroć. Ale pon profesor przegnoł go jako psa.

Andrzej do tej pory nie miał pojęcia, jaki był prawdziwy powód pamiętnej wizyty dziadka Kurniawy w ich mieszkaniu przy rynku. Tyle lat musiało minąć, żeby się dowiedział, dlaczego przez dwa tygodnie jedli jajka.

- Dziadek Kossakowski nie umiał kłamać - powiedział cicho. - Taki już był.

- Po co kłamać. Móg mu uwiezyć, kie mu się przysiengoł ja ko Ponu Bogu. Ale pon profesor beł za wielgi pon.

- Z gołą dupą - skorzystała z okazji Klara. I potem ciągnęła dalej, coraz bardziej zawzięcie: - A co wy się tak przed nim tłumaczycie? Co to on, ksiądz, żebyście się mu spowiadali? A powiedźcież mu prawdę, niech wie, jak było. Ze ojciec się do góralenwolku zapisał, bo mu Wacek Krzeptowski obiecał, że Wawrzka nie wezmą do Niemiec na roboty. A lepiej by było, żeby go wzięli.

- Nie godoj bele cego - powiedziała babka, ale już słabiej.

- To już zapomnieliście, jakeście płakali, że jakby go do rajchu wywieźli, to może by żył do dzisiaj? Ale on musiał zostać, bo się w miastowej pannie zakochał. Znalazł sobie nowych krewniaków, co na jego własnego ojca pluli. Choć teraz mielibyście trochę honoru. Andrzeja nagle opadło go znużenie. Znów pytał sam siebie, co tu właściwie robi. - Pójdę już - powiedział. - Zostańcie z Bogiem, babko.

- Boże cię prowadź - odpowiedziała ponuro, ale kiedy już był na progu, zawołała: - Jendruś! Odwrócił się.

- Skrzipki se weź. Dziadek by ci je rod dół.

Nie wiedział, jak się zachować. Z tego wszystkiego podszedł do babki, jeszcze raz podniósł góralskie spodnie, które wciąż leżały na podłodze, a potem pocałował ją w rękę. Na krótką chwilę objęła go za szyję i uściśnęła.

Wyszedł przed dom i dopiero wtedy głęboko odetchnął. W obejściu pachniało sianem i drewnem. Na góry zachodziła mgła. Kiedy ze skrzypcami pod pachą szedł przez łąkę ku szosie, spadły pierwsze krople deszczu.

21

Załamanie pogody przyszło gwałtownie. W górach spadł śnieg, a kotlina pogrążyła się w lodowatej ulewie. W drugim dniu deszczu utopił się Krwawy

Staszek. Kiedy Andrzej pojawił się w Podhalance, Bukowska przywitała go tragiczną miną.

- A widzi Jędrus? Mówiłam, że z tego wszystkiego będzie jakieś nieszczęście.

- Ale co się stało, pani Antosiu?

- To Jędrus nic nie wie? Morek nie żyje. Utonął.

- Co pani mówi? Gdzie?

- W Kirowej Wodzie, koło Harnasia.

Złapał się na tym, że nie jest to dla niego aż takie zaskoczenie, jak powinno. Tylko udawał równie przejętego, jak ona.

- Niemożliwe. Co mu się stało?

- Sam Jędrus wie, co potrafią potoki po takim deszczu. Omskła mu się noga na brzegu. - Sama?

- A, Jędrus ciągle tak pyta, jakbym ja była Duchem Świętym. Nikt tego nie widział. Widać ześlizgnął się do wody i popłynął. Wyłowili go dopiero w Chochołowie, koło mostu. Ledwie był do poznania.

- Pijany był?

- Pewnie, że pijany. Chyba by nie laźł do wody po trzeźwemu, bo i po co? I to właśnie mnie dziwi, bo on już od dawna tak nie pił. Jędrus wie, że goście ciągle mu chcieli stawiać, ale on wypił kieliszek, dwa, no, może trzy przez cały wieczór i na tym koniec.

Kiwał głową, próbując robić odpowiednio poważną minę, bo zdawał sobie sprawę, że Krwawy Staszek nie miał lekkiej śmierci. Prawie, co roku po gwałtownych deszczach ktoś topił się w potokach, sięgających normalnie do połowy łydki. Kiedy Andrzej chodził jeszcze na wyprawy ratownicze, wyciągał raz topielca z Kirowej Wody i miał okazję widzieć, co nurt i kamienie potrafią zrobić z pechowcem, któremu omsknie się noga. Zwłoki wyglądały jak oskubane nożem. Woda zdarła z nich nie tylko ubranie, ale i skórę.

Wypił piwo, czekając, czy nie pojawi się Amerykanin. Nie widział go od rozstania w Ogrodzie Czarownic. Kiedy nie wrócił na noc, zaczął się niepokoić. Ale w Podhalance też się go nie doczekał. Kiedy wychodził, Bukowska odezwała się znowu znad skarpety:

- Dziś go nie było.

- Kogo?

- Jędrus dobrze wie. W czarnych okularach.

- No to co?

- Jędrus się pyta, co? A Jędrus to niby, za kim się rozgląda?

Zaśmiał się sztucznie.

- Przed panią nic się nie ukryje, pani Antosiu.

- A widzi Jędrus. Sam Jędrus niespokojny, a ze starej się naśmiewa. A ja tu coś czuję niedobrego. Odkąd się pokazał, same nieszczęścia. Mrugała spalony, Morek utopiony, Chowańcowa w szpitalu ledwie zipie, a ja też się czuję, jakby już był czas na mnie.

- Pani Chowańcowa w szpitalu? - Jeszcze nic o tym nie wiedział.

- A jakże, nie tylko w szpitalu, ale jedną nogą na tamtym świecie. Jak brat się spalił, dostała takiego ataku, jak jeszcze nigdy.

- Chyba go pani nie podejrzewa, że to on podpalił Mrugałę, utopił Morka i śmiertelnie nastraszył Chowańcowa?

- Ja podejrzewam, proszę Jędrusia, że on ich wszystkich śmiertelnie nastraszył. Wie Jędrus, czego on naprawdę szuka?

- A kto to wie, pani Antosiu?

- Widzi Jędrus. Odkąd przyjechał, to ja, proszę Jędrusia, też nie mogę spać. Co zacznę przysypiać, to mi się jakieś zjawy zwidują, jakieś strachy. Tych Żydów widziałam, tych spod Obłazowej. Tak ich widziałam wyraźnie, jak Jędrusia teraz. Wszyscy pomordowani. Jedna młoda Żydówka z rozwaloną głową. Ja ją znałam, ona się nazywała Rebeka Anioł. Była śliczna jak prawdziwy anioł. Co ja mówię, jak sama Matka Boska. W gimnazjum grała w szkolnym teatryku pana profesora, to znaczy Jędrusiowego dziadzia. On napisał takie przedstawienie: „Kochajmy się”. Taką sztukę, trochę z wierszy Mickiewicza, a trochę ze swoich. Wszyscy w niej grali, Jędrusia mama i tatuś też, i Jaś Sokolnicki, i Jakubek, i inni gimnazjaliści. A Rebeka Anioł grała Miłość Między Ludźmi. A teraz, widzi Jędrus, zastrzelili ją. Wołała, panowie partyzanci, to o taką niepodległość walczyacie? A wtedy któryś włożył jej lufę w usta i strzelił.

Opowiadała to jak historię, którą od kogoś usłyszała, nie jak prawdziwy sen. Takie wrażenie odniósł Andrzej. I bardzo możliwe, że się nie mylił. Podobnie opisał tę scenę w swoich wspomnieniach pułkownik Gniadosz. A on przecież nie mógł wiedzieć, jak było. Wymyślił to tak, jak mu pasowało.

- Jędrus mi tu opowiada, że Jakubek Zuckerberg miał jakiś wyrok. Niech będzie, może i miał. A ci inni, dwanaścioro niewinnych Żydów? A Rebeka Anioł, biedne dziecko? Za co było ich mordować, obdzierać do naga? Tylko dla pieniędzy? Ja nie wiem, czy tylko. Nie, proszę Jędrusia, to się musiało zemścić. A wie Jędrus, co mi przyszło do głowy? Całą noc się nad tym zastanawiałam. Skąd ta biedna Rebeka Anioł wiedziała, że... to partyzanci? Może ktoś chciał, żeby ona tak myślała?

- Pani Antosiu, przecież to tylko sen.

- Sen, nie sen. Ja ostatnio myślałam, kto mógł wiedzieć o tych Żydach, że mieli uciekać? Franek Mrugała mógł wiedzieć, bo je go brat ich prowadził. A jak wiedział Franek, to mogła i Chowańcowa, i jej mąż milicjant. I Morek wiedział, nie mam pojęcia, skąd. Za dużo ludzi wiedziało.

- A mój ojciec? Wiedział?

- Znowu Jędrus zaczyna? Proszę, niech tylko Jędrus znowu nie zaczyna.

- Pani Antosiu, a dlaczego pani ciągle o tym myśli?

- A czy on właśnie nie robi tak, żeby wszyscy o tym myśleli, żebym ja spać po nocach nie mogła? Wie Jędrus, co? Ja z początku myślałam, że on szuka na kimś zemsty. Ale teraz mi się zdaje, że może śmierci?

Odetchnął. Zaczął wracać do rzeczywistości, z której wyträcił go potok słów starej kobiety.

- O nie, pani Antosiu. Co jak co, ale na kogoś, kto się wybiera na tamten świat, to on nie wygląda. Bardziej na takiego, co by chciał zacząć nowe życie.

W godzinę później potwierdziło się, że miał rację. Chciał zrobić sobie coś do zjedzenia i zmywał właśnie brudne naczynia w kuchni, kiedy Amerykanin otworzył drzwi od mieszkania swoim kluczem i wszedł jak do siebie. Był bez parasola, ubranie miał mokre, a włosy pozlepiane na czole

- Myślałem, że zgubiłeś się w górach - powiedział Andrzej. I nagle domyślił się. - Nocowałeś u ciotki Zuzanny?

- No, tak. Zrobiło się późno i ja zostałem u niej. Ty masz żal do mnie, Jędrzek?

- Ja? Jesteście dorośli ludzie. Myślałem, że to ty jesteś obrażony.

- Daj spokój. - Zaśmiał się. - To bzdury są. My mamy plany za wielkie, żeby obrażać się, nie?

- Jakie ty masz plany, to najbardziej dręczy panią Łukowską

- Old lady trochę dziwna, co? W jej wieku ma prawo. Ale dlaczego dręczy się tak bardzo?

- Ma ciężkie dni. Słyszałeś o Morku?

- O tym starym ubeku? Well, on miał darowane pół życia i tak.

- Mówiłeś, że nie był taki zły.

- Ale ja nie mówiłem, że był dobry.

- Czy to nie dziwne, że się utopił właśnie teraz?

- Co dziwne? Że utopił się po deszczu? Nie mógł utopić się, kiedy potok był suchy, right? Rzeczy są proste, Jędrzek. Ty już wiesz, że Mrugała sam podpalił się?

- Co ty wygadujesz?

- No tak. Upił się i podpalił swojego psa.

- A ty skąd możesz to wiedzieć?

- Z gazety.

- Z gazety? - powtórzył Andrzej jak nieprzytomny.

- No, ty masz ją też, ja widzę.

Rzeczywiście, ostatnia „Gazeta Krakowska” leżała w kuchni na stole, pod patelnią, na której rano Andrzej usmażył jajecznice. Jeszcze nie zdążył posprzątać po śniadaniu. Amerykanin wygładził ją i otworzył na kolumnie lokalnych wiadomości. Napisano tam, że Franciszek Mrugała przyznał się do nieumyślnego spowodowania pożaru. W nocy pilnował budowy, zamknięty razem z psem w drewnianej szopie. Wypił trochę za dużo i usnął, a kiedy się obudził, wokół zobaczył płomienie. Udało mu się otworzyć drzwi, a wtedy płonący pies wyskoczył z szopy i rozniósł ogień po całym obejściu.

- Ale on musiał się bać - powiedział Andrzej.

Amerykanin wzruszył ramionami.

- On miał powody, ja myślę.

- Mój dziadek też miał, prawda?

- Ty wiesz sam, Jędrzek.

- To ty zakapowałeś go Ruskim?

- Kto powiedział ci tak? Babka?

- To jak było?

- Nie tak, jak ona myśli. Twój dziadek obiecał Ruskim, że wystawi im Wacka. A wystawił go nam. To jest powód, dlaczego chodzili za nim. Wściekli się.

- Ty powiesiłeś Wacka Krzeptowskiego?

- Ja? Nie. Ale nasi.

- Ale ty zmusiłeś dziadka, żeby go zdradził?

- What means, zdradził? To Wacek był zdrajca. My musieliśmy dopaść jego, zanim Ruscy zrobili to. To była sprawa honoru.

- A może trzeba było Wacka zabić, bo za dużo wiedział o innych, co? Ruscy by to z niego wyciągnęli. A tak, po Wacku i po strachu.

Amerikanin rozłożył ręce.

- Jak stało się, tak stało się. Ale to jest nie nasz problem, Jędrak. My mamy sprawy ważniejsze teraz. - Wyraźnie chciał zmienić temat. - Ty napijesz się?

Wyciągnął pół litra zza paska spodni i postawił na stole. Andrzej zaśmiał się.

- Wy tam w Kalifornii macie zwyczaje całkiem podobne do naszych.

- Ty przyjedziesz, to sam przekonasz się.

- Słucham?

Pomyślał, że Amerikanin prowadzi z nim jakąś grę w ciągle zaskakiwanie.

- Ja przyślę tobie invitation do San Francisco. Od Nowego Roku może?

Andrzej z trudem opanował podniecenie. Mógł sobie udawać, co chciał, ale na pewno żałował, że nigdy nie był w Ameryce. A przecież żył na Podhalu. Tutaj, kto nie jeździł za wielką wodę, ten miał powody, żeby czuć się kimś gorszym.

- A co by ci z tego przyszło? - spytał, siłąc się na obojętny ton.

- Nie mogę ja zrobić prezent dla ciebie?

- Nie przyjmuję takich drogich prezentów. Nie lubię mieć długów

- Nie będzie żadnych długów. Ty nie odmawiaj, Jędrak. Ty jesteś potrzebny mi. Ty nauczysz się robić biznes na amerykański sposób i zarobisz trochę grosza dla ciebie. Ja zapłacę tobie dobrze.

Andrzej wzruszył ramionami, żeby zamaskować ogarniające go coraz mocniej podniecenie.

- Człowieku, przecież ty mnie w ogóle nie znasz - powiedział. - Taki jesteś ryzykant? - Ja już poznałem ciebie, Jędrak. - Patrzył na niego jakoś dziwnie. - Tyle, że wystarczy mi.

- Może tobie tak. Ale ja ciebie nie znam.

- Ty nie wierzysz mi? - Nie o to chodzi. Nikt nie wie, po co naprawdę przyjechałeś. - Co mówisz, Jędrak? Ja przyjechałem kupić ziemię.

- Może i tak. Ale co, w Ameryce mało ziemi? Po co ryzykować tu, gdzie komuniści znów mogą wszystko odebrać?

- Ty nie wierzysz mi - powtórzył Amerikanin. - OK. Ty masz prawo. Przyjedziesz, to lepiej poznamy się. Daj mi czas.

- Dlaczego robisz z siebie taką wielką tajemnicę? Dlaczego nikt nie może wiedzieć, kim naprawdę jesteś?

- Co ludzi obchodzi to? Ja nie wiem sam. Ja myślę czasem, że nikim - powiedział Amerykanin cicho, jakby na chwilę przeniósł się gdzie indziej.

- Bredzisz.

Szafran milczał długą chwilę, zapatrzony w szyjkę butelki, za nim powiedział:

- Ty widziałeś mój paszport.

- Pieprzę twój paszport. Chcę wiedzieć, kim byłeś, zanim stąd wyjechałeś.

- Po co? Co by z tego przyszło tobie? To było w innym życiu, dziś nie ma znaczenia. - Czyżby? Nie ma? A wiesz, co ja myślę, na czym polega twoje nieszczęście? Ty do dziś nie możesz się zdecydować, co jest największym przebojem twojego życia. „If You're Going To San Francisco” czy „Góralu, czy ci nie żal”.

- Ty mówisz mi to? - A co, ja nie mogę? - Ty przecież żyjesz tak, jakbyś nie mógł zdecydować się na nic. Jakbyś nie wiedział, kim jesteś w ogóle.

- Ciekawe. Jesteś jasnowidzem czy co?

- Ja widziałem trochę w moim życiu. - Wypił, źle mu poszło, zakrztusił się. - Ale wiesz, może ty masz rację. Jak moja mała Vicky, że wszystko, co stało się, to moja wina. Kiedy my pokłóciliśmy się ostatni raz, ona krzyczała: Z wami nie można wytrzymać i z tą waszą fucking Poland.

- Nie wiem; o co jej chodziło. Ale może miała rację, co? - spytał Andrzej.

- Ja teraz myślę czasem, Jędrak, że miała. Ja niepotrzebnie z nią kłóciłem się. Niepotrzebnie zdenerwowałem ją. - Milczał chwilę, a potem powiedział nagle: - Upijmy się, Jędrak, co?

Zrobili to. Kiedy później szli spać, Amerykanin dopytywał się bełkotliwie:

- To co, Jędrak, umowa stoi? Ty przyjeżdżasz na Nowy Rok do Kalifornii i robimy biznes?

- Pozwól mi się z tym przespać - powtarzał Andrzej.

- Zgoda, ale i tak nie chcę słyszeć nic innego, tylko że zgadzasz się. Rano wyjeżdżam po auto i załatwić inne sprawy, a jak wrócę, ty jesteś zdecydowany. Okay?

- Ou kej, ou kej - odpowiedział Andrzej, bo już bardzo chciało mu się spać

Na sam koniec Amerykanin przypomniał sobie jeszcze:

- A pozdrów ode mnie miss Marysię.

- Panienci to już nie ty będziesz mi wybierać - odburknął Andrzej, ale tamten już nie słyszał.

Zaraz potem padł w ubraniu na wersalkę i słuchając bębnienia deszczu o blachę na dachu, zasnął jak niemowlę. Przyśniło mu się coś naprawdę dziwnego. W jakimś Nowym Jorku, Chicago czy San Francisco szli z Amerykaninem środkiem ulicy, zabudowanej drapaczami chmur. Strumień samochodów rozstępował się przed nimi, a oni obejmowali się ramionami i całkiem wyraźnie zataczali się. I wydzielali się na całe gardła.

Mom j o se za wodom,

hej, dziwywcyne s urodom,

będzie moja....

Ich dzikie, góralskie głosy wybijały się wysoko ponad obłądne trąbienie klaksonów. I było to piękne.

22

Wchodząc do bramy, zauważył, że ktoś stoi ukryty w cieniu. Nie było jeszcze bardzo późno, ale w sieni panował półmrok i widział tylko niewyraźny zarys postaci i ognik papierosa. Sprężył się od ruchowo i kiedy tamten chwycił go za rękę, już miał uderzyć. Poznał go w ostatniej chwili. Jaruga.

- Nareszcie pan jest. Już myślałem, że pan w ogóle nie przyjdzie - odezwał się, jakby miał do Andrzeja pretensje.

- Nie umawialiśmy się.

- Najważniejsze, że się doczekałem. Muszę z panem porozmawiać.

- O czym? -

Wcale nie miał ochoty na pogawędki, a już najmniej z nim.

- Niech pan się nie wygłupia. Gdyby to nie było ważne, nie sterczałbym tu godzinami. Chcę panu pokazać coś, co powinien pan zobaczyć.

Na pewno nie był całkiem trzeźwy. Ale jego zdecydowanie stąd się wzięło, nie z upojenia. Andrzej czuł, że się od niego nie odczepi. Nawet gdyby go pobił.

- No dobrze - powiedział. - To chodźmy na jednego.

Bukowska, kiedy zobaczyła ich razem, zrobiła tragiczną minę, jakby chciała powiedzieć: A jednak Jędrus dalej się w tym babrze, z tego znów będzie jakieś nieszczęście. - Pan mnie nienawidzi - powiedział Jaruga, kiedy usiedli. - Z powodu tamtej starej sprawy, prawda?

- Ale skąd. Nie budzi pan we mnie takich mocnych uczuć. Pana po prostu dla mnie nie ma.

- Nie czuję się winny.

- Cekał pan na mnie specjalnie, żeby mi to powiedzieć?

- Nie. - Jaruga potrząsnął głową. - Żeby pana przekonać.

- Tym, co ma pan do pokazania? Więc niech pan pokazuje.

Jaruga zbierał się w sobie dobrą chwilę, zanim się odważył.

- Najpierw niech mi pan odda Paulinę - wystrzelił, pochylając się ku Andrzejowi i wbijając w niego wzrok, jakby próbował obezwładnić go oczami. Andrzej pomyślał, że reporter jest równie bezczelny jak głupi.

- Dlaczego jej pan sam nie weźmie?

- Niech pan nie kpi. Ja mówię poważnie.

- A miał ją pan w ogóle?

- Wątpi pan w to?

- Ma pan na myśli ten pożałowania godny incydent?

- Ani godny pożałowania, ani incydent, w głębi duszy pan to dobrze wie. Przydarzyło się nam obojgu coś bardzo ważnego, mnie i Pauli.

Miał oczy człowieka, który wie, czego chce i jest zdecydowany na wszystko, żeby to osiągnąć.

- Paula twierdzi całkiem co innego - powiedział Andrzej.
- Ona po prostu nie zrozumiała.
- Czego?
- Samej siebie.
- Chce pan jej to wytłumaczyć? Życzę powodzenia. Przecież nie zamknąłem jej w szafie.

Jaruga stropił się.

- Straciłem z nią kontakt - przyznał. - Niech mi pan da jej adres, telefon, wszystko jedno.

Andrzej zaśmiał się szyderczo.

- Nawet nie powiedziała panu, jak się nazywa? I pan twierdzi, że jest mężczyzną jej życia?

- Pokłóciliśmy się, zaszło między nami nieporozumienie. Opuściła mnie w gniewie, nie zastanawiając się, co robi.

- Po prostu zrozumiała, że to była pomyłka.

- Tak panu powiedziała? Jeśli tak, to myli się właśnie teraz. Jesteśmy jakby specjalnie dla siebie zaprogramowani. A poza tym ja mogę spełnić jej marzenia.

- I uwolnić ją od przykrej konieczności zajmowania się tym krajem?

- Pan ciągle do tego wraca. Ale pan uparty. Jeśli to panu może zrobić przyjemność, to powiem panu, że Paula wstawiała się za panem.

- Co takiego?

- Namawiała mnie, żebym dla pana, jakby to powiedzieć, spróbował trochę poprawić rzeczywistość. Prosiła mnie, żebym skorzystał z moich kontaktów i znalazł coś, co by świadczyło, że pana ojciec nie miał nic wspólnego z tymi Żydami pod Obłazową. Ta dziewczyna naprawdę panu współczuje.

Andrzej pociągnął kilka długich łyków piwa.

- Pieprz się pan - powiedział. - Nie trzeba nic poprawiać. Trzeba tylko dotrzeć do prawdy.

- To samo próbowała mi wmówić pana matka. Nie wiem, czy sama w to wierzyła. Może tak. W końcu chyba kochała pana ojca, jeśli przez to zniszczyła sobie życie. Dlatego nigdy jej nie pokazałem, co znalazłem. Pauli też nie. Ale panu pokażę, jeśli pan się tak upiera. Sięgnął po swoją kanciąstą dyplomatkę, otworzył szyfrowy zamek, wyjął plik kartek i położył przed Andrzejem, obok kufla z piwem. Były to światłokopie jakiegoś maszynopisu. - Proszę, niech pan czyta, jeśli pan chce.

- Co to jest? - spytał Andrzej, już czując, jak oblewa się gorącem. - Wyjaśnienia pana matki w śledztwie. Wiktoria sądziła chyba, że do nich nie dotrę. W aktach sądowych ich nie ma, zostały usunięte. Ale ja chciałem dobrze wykonać swoje zadanie. Trochę za dobrze. Drżącą ręką Andrzej sięgnął po odbitkę starego protokołu. Pierwsze wpadło mu w oczy nazwisko przesłuchującego: st. sierż. Morek Stanisław.

- Proszę, niech pan czyta - zachęcił Jaruga.

Już czytał. W świetle knajpianych kinkietów wbijał sobie w pamięć zdanie po zdaniu. Miał ich nie zapomnieć do końca życia.

Pyt.: Co podejrzanej wiadomo na temat śmierci Zuckerberga Jakuba i innych osób pochodzenia żydowskiego, zabitych w pobliżu granicy polsko-czechosłowackiej?

Odp.: Mnie na temat jego śmierci nic nie wiadomo

Pyt.: Podejrzana nie zaprzeczyła, że dobrze знаła Zuckerberga Jakuba i kontaktowała się z nim jeszcze na krótko przed jego śmiercią. Co było przedmiotem tych kontaktów?

Odp.: Zuckerberga Jakuba znałam jeszcze sprzed wojny, stąd, że był uczniem mojego ojca i bywał w naszym domu. W czasie wojny straciłam z nim kontakt. W miesiącu kwietniu zgłosił się do mnie i prosił, abym w jego imieniu spytała Sokolnickiego Jana, wówczas mojego przełożonego w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Nowym Targu, czy nie zgodziłby się za wynagrodzeniem dać ochrony grupie osób celem nielegalnego przekroczenia granicy państwowej.

Pyt.: Dlaczego Zuckerberg nie zwrócił się bezpośrednio do Sokolnickiego? Podejrzanej wiadomo, że oni znali się osobiście?

Odp.: Tak, jest mi to wiadomo. Oni chodzili razem do szkoły, a następnie w czasie wojny byli przez jakiś czas w jednym oddziale Armii Ludowej „Za Wolność i Lud”. Ja myślę, że Zuckerberg nie był pewny i bał się reakcji Sokolnickiego. Prosił, abym go wypytała ogólnie, bez mówienia szczegółowo, o kogo chodzi.

Pyt.: Podejrzana, będąc pracownicą PUBP, zgodziła się na takie pośrednictwo do swego przełożonego?

Odp.: Tak jest, zgodziłam się.

Pyt.: Dlaczego?

Odp.: Zuckerberg obawiał się zamachu na swoje życie ze strony bandy Ognia i było mi go żal.

Pyt.: Do jakiego kraju planował nielegalnie przedostać się Zuckerberg?

Odp.: Do Ameryki. To jest do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie miał jakieś kontakty.

Pyt.: Czy podejrzanej wiadomo, że były to kontakty o charakterze szpiegowskim? Odp.: Nic mi o tym nie wiadomo, nie rozmawialiśmy o tym. Przypuszczałam, że były to kontakty o charakterze rodzinnym.

Pyt.: Czy jako pracownica PUBP nie bała się podejrzana zwracać się z taką sprawą do swego przełożonego?

Odp.: Ja nie bałam się, gdyż Sokolnickiego Jana znałam też jeszcze sprzed wojny i miałam do niego zaufanie.

Pyt.: Co wam odpowiedział Sokolnicki?

Odp.: Sokolnicki odpowiedział, że on się tego podjąć nie może, gdyż tego by się przed jego przełożonymi ukryć nie dało, a poza tym, ponieważ PUBP jest za słaby, aby dawać ochronę na terenie, nad którym panuje banda.

Pyt.: Powiedzcie dokładnie, co za banda.

Odp.: Banda Górala, która była częścią bandy Ognia. To znaczy działała samodzielnie, ale podlegała rozkazom Ognia.

Pyt.: Powiedzcie dokładnie, co wiecie na temat, kto to był pseudonim Góral.

Odp.: Pseudonim Góral, prawdziwe nazwisko Kurniawa Wawrzyniec, syn Józefa, to był mój narzeczony.

Pyt.: Czy tylko narzeczony?

Odp.: Nie tylko.

Pyt.: Odpowiedzcie jasno.

Odp.: Ja już wtedy byłam z nim w ciąży.

Pyt.: Kto jeszcze wiedział, że jako pracownica PUBP byliście w ciąży z dowódcą faszystowskiej terrorystycznej bandy pseudonim Góralem?

Odp.: Wówczas jeszcze nikt o mojej ciąży nie wiedział, oprócz mojego narzeczonego pseudonim Górala.

Pyt.: Potwierdzacie, że Sokolnicki Jan jako oficer PUBP poradził wam, abyście w sprawie nielegalnego przerzutu osób przez granicę państwa zwrócili się do pseudonim Górala, który był dowódcą terrorystycznej bandy?

Odp.: To nie było tak. Sokolnicki tylko powiedział, że teren przy granicy polsko-czechosłowackiej w rejonie rzeki Białka opanowała banda Górala, która dokonywała wypadów na teren Słowacji, gdzie zaopatrywała się w żywność oraz chroniła się przed pościgami. Ja sama wyciągnęłam z tego wniosek, żeby w sprawie ochrony zwrócić się do mojego narzeczonego pseudonim Górala.

Pyt.: Czy podejrzana to zrobiła?

Odp.: Tak jest, ja umówiłam w tej sprawie pseudonim Górala z Zuckerbergiem Jakubem.

Pyt.: Opiszcie, gdzie i w jakich okolicznościach do tego doszło.

Odp.: Ja spotkałam się z Góralem w punkcie kontaktowym bandy Ognia na Kowańcu, w domu Mrugały Franciszka pseudonim Śmiech.

Pyt.: Czy Zuckerberg był także obecny?

Odp.: Zuckerberg nie był obecny, gdyż obawiał się wejść do domu Mrugały Franciszka, o którym wiedział, że ma kontakty z bandą Ognia. Umówiłam ich w bezpiecznym miejscu na skraju lasu, wiedząc, że o tej porze nie będzie w pobliżu milicji i UB.

Pyt.: Skąd podejrzana to wiedziała?

Odp.: Zapewnił mnie o tym porucznik Sokolnicki.

Pyt.: Zapewnił was, czy wam to obiecał?

Odp.: Prostuje, on mi to obiecał.

Pyt.: Przytoczcie treść rozmowy Zuckerberga i Kurniawy pseudonim Górala.

Odp.: Ja nie znam treści ich rozmowy, gdyż oddaliłam się o kilkadziesiąt kroków, aby mogli swobodnie rozmawiać.

Na tym przesłuchanie przerwano z powodu późnej pory i zmęczenia. Wznowiono nazajutrz, w obecności oficera śledczego WUPB Kraków, por. Grunfelda Eliasza.

Pyt.: Czy podejrzana chce sprostować swoje poprzednie wyjaśnienia?

Odp.: W uzupełnieniu moich wczorajszych wyjaśnień prostuję i uzupełniam; ja poznałam treść rozmowy Zuckerberga Jakuba i mojego narzeczonego pseudonim Górala na skraju lasu, gdzie ich umówiłam. Ja poznałam ich rozmowę, gdyż narzeczony mi ją opowie dział.

Pyt.: Niech podejrzana przytoczy jej treść.

Odp.: Jej treść była taka, że mój narzeczony Kurniawa Wawrzyniec pseudonim Góral, zgodził się na zapewnienie ochrony podczas nielegalnego przekroczenia granicy państwa przez Zuckerberga Jakuba i grupę innych osób.

Pyt.: Jak miała wyglądać ta ochrona?

Odp.: Z grupą osób nielegalnie przekraczających granicę miał jechać Mrugała Wojciech pseudonim Śmieszek, młodszy brat Mrugały Franciszka pseudonim Śmiech. Reszta oddziału, to jest bandy Górala, miała zapewnić grupie bezpieczeństwo, przemieszczając się w pewnej odległości.

Pyt.: Niech podejrzana wyjaśni, dlaczego pseudonim Góral podjął się tej ochrony, mimo że Ogień, którego rozkazom podlegał, zabronił pod groźbą śmierci udzielania pomocy osobom narodowości żydowskiej w nielegalnym przekraczaniu granicy państwa?

Odp.: Kurniawa Wawrzyniec pseudonim Góral, zgodził się na to za wysokim wynagrodzeniem w dolarach USA, które miał mu wypłacić Zuckerberg Jakub.

Tu odbity na światłokopiarce fragment urywał się, ale Andrzej wciąż udawał, że czyta, żeby się jakoś uspokoić

- No i co mi pan tu pokazuje? - wyrzucił z siebie, kiedy już mógł podnieść wzrok na Jarugę. - Jakieś ubeckie brednie. Przecież to wymuszone. Dopiero z tego widać, jaka to prowokacja.

- Nie wiem. Mogę tylko powiedzieć panu jeszcze, że podczas rewizji znaleziono te dolary w pokoju pana matki. Nie rozumiem, jak mogła być taka lekkomyślna.

- Podrzucili. Przecież to jasne jak słońce.

- Może tak, a może nie. Ja widzę tylko to, co napisane. I pan też to widzi, prawda? Chce pan następną porcję czy wystarczy?

- Chwilę. Muszę kupić sobie papierosy.

W rzeczywistości potrzebował, choć trochę ruchu, żeby opanować wzburzenie. I było jeszcze coś.

- Pani Antonino, tego się po pani nie spodziewałem - odezwał się do Bukowskiej głosem dużo mniej miłym niż zazwyczaj.

- O co znów Jędrusiowi chodzi?

- Dlaczego nigdy mi pani nie powiedziała, że to Morek przesłuchiwał moją matkę? - O Jezus! To Jędrus dowiedział się? Od kogo? Od tego z Ameryki czy z tych papierów, co mu ten pokazuje?

- Ja się pytam, dlaczego nie dowiedziałem się od pani?

- Ja przysięgam Jędrusiowi, że sama tego nie wiedziałam. Morek mi się dopiero przyznał dzień przed swoją śmiercią. On się bał, że się Jędrus dowie. Pytał

mnie, czy już się nie dowiedział. A potem zaczął się tak żałośnie tłumaczyć: Pani Bukowska, ja zrobiłem, co mogłem. Ja tak słuchałem pannę Kossakowską, żeby ona nie powiedziała za dużo. Jakby ona zeznała inaczej, nie dożyłaby do procesu,

- Gdyby co zeznała?

- Tego mi już nie powiedział, niech mi Jędrus wierzy.

Andrzej wziął papierosy, wrócił do stolika i bez słowa wyciągnął rękę w stronę dziennikarza. Jaruga podał mu następny plik światłokopii. Był to dalszy ciąg tego samego protokołu, ale kilku stron brakowało. Teraz w przesłuchaniu pojawił się nowy wątek.

Pyt.: Niech podejrzana powie, co jej wiadomo na temat zaginięcia Sokolnickiego Jana, oficera PUBP Nowy Targ, i śmierci Kurniawy Wawrzyńca pseudonim Górala, dowódcy terrorystycznej bandy, będącej częścią bandy Ognia?

Odp.: Mnie na ten temat nic nie wiadomo.

Pyt.: W jakich okolicznościach podjęła podejrzana intymne stosunki z pseudonim Góralem i zaszła z nim w ciążę?

Odp.: Ja podjęłam intymne stosunki z moim narzeczonym w czasie wojny, kiedy spotykałam go jako łączniczka moich władz konspiracyjnych do ówczesnego oddziału partyzanckiego Ognia. Stosunki te kontynuowałam po wojnie, także wtedy, kiedy pseudonim Góral przystąpił do faszystowskiej terrorystycznej bandy Ognia, której celem było obalenie siłą ustroju Rzeczypospolitej Polskiej. Ja nie pamiętam, w jakich okolicznościach zaszłam w ciążę.

Pyt.: Co podejrzanej wiadomo na temat kontaktów Kurniawy Wawrzyńca pseudonim Górala i Sokolnickiego Jana, oficera PUBP Nowy Targ?

Odp.: Nic mi na temat takich kontaktów nie wiadomo. To znaczy, prostuję, oni utrzymywali kontakty przed wojną. Jednak w czasie wojny Sokolnicki przebywał na terenie ZSRR i te kontakty się urwały. Po wojnie nie utrzymywali kontaktów, gdyż Sokolnicki był funkcjonariuszem PUBP, a Kurniawa pseudonim Góral członkiem bandy Ognia.

Pyt.: Niech podejrzana wyjaśni, dlaczego po uzyskaniu informacji o znalezieniu zwłok Kurniawy Wawrzyńca pseudonim Górala, podejrzana pobiegła na miejsce zdarzenia, płakała i próbowała rzucić się na zwłoki, w czym przeszkadzili jej funkcjonariusze PUBP i MO?

Odp.: Wpadłam w rozpacz na wiadomość o śmierci mojego narzeczonego.

Pyt.: Wtedy jeszcze nie było wiadomo, czyje to zwłoki. Podejrzana otrzymała wiadomość, że został zabity pracownik PUBP. Skąd podejrzana wiedziała, że to zwłoki jej narzeczonego?

Odp.: Miałam przeczucie.

Pyt.: Czy podejrzana nie przypuszczała, że są to zwłoki Sokolnickiego Jana?

Odp.: Nie. To jest, prostuję, w pierwszej chwili mogłam tak po myśleć

Pyt.: Czy podejrzana wpadła w rozpacz, kiedy powzięła przeczucie, że są to zwłoki Kurniawy Wawrzyńca, czy już wcześniej, kiedy mogła myśleć, że są to zwłoki Sokolnickiego Jana?

Odp.: Ja Sokolnickiego też bardzo lubiłam. Zналиśmy się od dziecka i przyjaźniliśmy się.

Pyt.: Niech podejrzana odpowie na pytanie.

Odp.: Wpadłabym w rozpacz niezależnie od tego, którego z nich byłyby to zwłoki. Pyt.: Czy podejrzana utrzymywała intymne stosunki z Sokolnickim Janem?

Odp.: Nie, ja z Sokolnickim Janem nigdy takich stosunków nie utrzymywałam.

Pyt.: Czy podejrzana może wyjaśnić, co to za przedmiot? (Podejrzanej okazano dowód rzeczowy).

Odp.: To jest złoty medalik.

Pyt.: Czy to jest jakiś szczególny medalik?

Odp.: To jest medalik mojego narzeczonego Kurniawy Wawrzyńca pseudonim Górala.

Na tym przesłuchanie przerwano z powodu niezdolności podejrzanej do składania dalszych wyjaśnień. Wznowiono nazajutrz, w obecności oficera śledczego WUBP Kraków, por. Grunfelda Eliasza.

Pyt.: Niech podejrzana wyjaśni, po czym poznała dowód rzeczowy jako medalik należący do Kurniawy Wawrzyńca pseudonim Górala?

Odp.: Takich medalików nie ma w sklepach. To jest medalik z Matką Boską Leśną, patronką partyzantów, wykonany na moje zamówienie przez złotnika Fryźlewicza.

Pyt.: Czy podejrzana chce jeszcze coś uzupełnić w związku ze swoimi wczorajszymi wyjaśnieniami?

Odp.: Tak jest. W związku z pytaniem, czy utrzymywałam intymne stosunki z Sokolnickim Janem, prostuję i wyjaśniam, że takie stosunki utrzymywałam z nim od chwili podjęcia wspólnej pracy w PUBP Nowy Targ.

Pyt.: Opiszcie dokładnie, jak często i gdzie te stosunki miały miejsce?

Odp.: Te stosunki miały miejsce bardzo często, na ogół w pomieszczeniach PUBP, a czasem także w lesie i na łąkach. Pytana wczoraj na tę okoliczność powiedziała nieprawdę, gdyż nie chciałam, aby o moich intymnych stosunkach z Sokolnickim dowiedziała się moja rodzina.

Pyt.: Czy wasz narzeczony Kurniawa Wawrzyńiec pseudonim Góral, wiedział o tych stosunkach?

Odp.: Nie wiedział. To znaczy, tak myślę.

Pyt.: Czy mógł się dowiedzieć?

Odp.: Jestem przekonana, że się nie dowiedział.

Pyt.: Czy Sokolnicki Jan wiedział o waszych intymnych stosunkach z Kurniawą Wawrzyńcem pseudonim Góralem?

Odp.: Myślę, że Sokolnicki mógł domyślać się prawdy o moich intymnych stosunkach z pseudonim Góralem, ale nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy.

Pyt.: Czy Sokolnicki Jan wiedział, że podejrzana zaszła w ciążę z Kurniawą pseudonim Góralem?

Odp.: O mojej ciąży nie wiedział na pewno, gdyż mu o niej nie mówiłam, a kiedy już mógłby się zorientować, przestałam utrzymywać z nim intymne stosunki, mówiąc mu, że jestem chora. W ostatnich tygodniach przestałam chodzić do pracy z powodu choroby. O mojej ciąży wiedział tylko mój narzeczony pseudonim Góral.

Pyt.: Jak długo podejrzana chciała jeszcze ukrywać stan faktyczny, wiedząc, że prawda i tak musi wyjść na jaw?

Na tym przesłuchanie przerwano, z powodu chwilowej niezdolności podejrzanej do składania wyjaśnień. Wznowiono po przerwie.

Odp.: W związku z poprzednim pytaniem wyjaśniam: miałam im o wszystkim powiedzieć dopiero za granicą.

Pyt.: Czy w związku z tym podejrzana chce jeszcze wyjaśnić jakąś inną okoliczność związaną z poprzednimi wyjaśnieniami? Odp.: Tak jest, chcę jeszcze sprostować i wyjaśnić, że pytana o kontakty Sokolnickiego Jana z Kurniawą Wawrzyńcem pseudo nim Góralem po wojnie, także powiedziałam nieprawdę. Mnie są znane ich kontakty po wojnie. Pyt.: Czy potwierdzacie, że już w czasie, kiedy Sokolnicki Jan był pracownikiem PUBP w Nowym Targu?

Odp.: Tak jest, potwierdzam.

Pyt.: Opiszcie, jakie to były kontakty. Czy miały one charakter spisku mającego na celu obalenie siłą ustroju Rzeczypospolitej Polskiej?

Odp.: Nic mi o tym nie wiadomo. Jestem pewna, że nie.

Pyt.: Kłamiecie. Czy przyznajecie się, że to wy, korzystając z intymnych stosunków, wciągnęliście Sokolnickiego Jana do spisku mającego na celu obalenie siłą ustroju Rzeczypospolitej Polskiej?

Odp.: Ja nie przyznaję się. To nieprawda.

Pyt.: Niech podejrzana wyjaśni, czego w takim razie dotyczyły potajemne kontakty Sokolnickiego Jana i Kurniawy Wawrzyńca pseudonim Górala?

Odp.: One dotyczyły tylko planów wspólnego nielegalnego przekroczenia granicy państwa.

Pyt.: Wyjaśnijcie dokładnie, kto miał nielegalnie przekroczyć granicę państwa?

Odp.: Jan Sokolnicki i Kurniawa Wawrzyńiec pseudonim Góral mieli nielegalnie przekroczyć granicę państwa.

Pyt.: Czy podejrzana też miała uczestniczyć w nielegalnym przekroczeniu granicy państwa?

Odp.: Tak jest, ja też miałam uczestniczyć w nielegalnym przekroczeniu granicy państwa.

Pyt.: Opiszcie, dlaczego do tego nie doszło.

Odp.: Ja umówiłam się z Sokolnickim Janem i pseudonim Góralem na cmentarzu żydowskim przy Waksmundzkiej.

Pyt.: Wyjaśnijcie, dlaczego na cmentarzu żydowskim?

Odp.: To było miejsce rzadko odwiedzane. Ludzie bali się tam chodzić.

Pyt.: Wyjaśnijcie, dlaczego nie spotkaliście się od razu wszyscy troje?

Odp.: Dla większego bezpieczeństwa.

Odp.: Nie, oni nie pojawili się.

Pyt.: Opiszcie, co zaszło w trakcie, kiedy oczekiwaliście na cmentarzu żydowskim. Odp.: Usłyszałam strzały, dochodzące od strony miasta.

Pyt.: Opiszcie bliżej, jakie to były strzały?

Odp.: Najpierw pojedynczy wystrzał. Potem długa seria.

Pyt.: Czy kiedy podejrzana usłyszała strzały, przypuszczała, że mają one związek z nieprzybyciem na miejsce spotkania Sokolnickiego Jana i Kurniawy Wawrzyńca pseudonim Górala?

Odp.: Nie chciałam dopuścić do siebie takiej myśli. Wróciłam do domu i czekałam na wiadomość. Bałam się.

Pyt.: Czy podejrzana zdaje sobie sprawę, że za ukrywanie ważnych dla śledztwa faktów grozi surowa kara?

Odp.: Nie rozumiem. Powiedziałam już wszystko.

Pyt.: Podejrzana podstępnie zdobyła zaufanie władz bezpieczeństwa, zatajając przed nimi, że utrzymywała intymne stosunki z Kurniawą Wawrzyńcem pseudonim Góralem, członkiem faszystowskiej bandy Ognia. W śledztwie podejrzana nadal próbuje wprowadzić w błąd funkcjonariuszy śledczych, nazywając Kurniawę Wawrzyńca swoim narzeczonym. Czy podejrzana nadal podtrzymuje to twierdzenie?

Na tym przesłuchanie przerwano, z powodu chwilowej niezdolności podejrzanej do składania wyjaśnień. Wznowiono po przerwie.

Pyt.: Czy podejrzana podtrzymuje twierdzenie, że Kurniawa Wawrzyńiec pseudonim Góral był jej narzeczonym?

Odp.: Prostuje i wyjaśniam, że Kurniawa Wawrzyńiec był moim mężem. Wzięliśmy potajemny ślub kościelny pod koniec 1944 roku.

Pyt.: Czy podejrzana zataiła ten fakt również przed Sokolnickim Janem?

Odp.: Tak, zataiłam.

Pyt.: Na co podejrzana liczyła, przewidując nielegalne przekroczenie granicy państwa wspólnie z mężem i kochankiem? Co planowaliście zrobić po dotarciu na terytorium państw imperialistycznych?

Odp.: Nie mieliśmy żadnych planów. Mnie było wszystko jedno, byle wyrwać się z tego przeklętego kraju.

Pyt.: Co podejrzana nazywa przeklętym krajem? Rzeczpospolitą Polską?

Z urzędu stwierdza się, że podejrzana z powodu ataku nerwowego nie jest zdolna do składania dalszych wyjaśnień. Na tym przesłuchanie zakończono.

Niżej były już tylko podpisy przesłuchujących:

Funkcjonariusz śledczy PUBP Nowy Targ, st. sierż. Morek Stanisław.

Oficer śledczy WUBP Kraków, por. Grunfeld Elias.

Andrzej siedział jak dotknięty paralizem.

- I to ma być prawda? - wykrztusił.

- Nie wiem, nie wnikałem w to. Ale dokument jest autentyczny. - Jaruga wyjął mu delikatnie kartki z palców. - Niech pan jeszcze zwróci uwagę tutaj.

Przez maszynopis biegła na ukos odręczna adnotacja; Ściśle tajne. Specjalnego przeznaczenia. Jako podpis widniał nieczytelny zawijas, ale obok odcisnięta była pieczętka: Z-ca kierownika WUBP Kraków, mjr Światło Józef.

- Co to znaczy? - spytał Andrzej.

- To jest polecenie, żeby tego protokołu nie ujawniać w sądzie, tylko wykorzystać dla celów bezpieczeństwa.

- W jaki sposób?

- Nie wiem. Szantaż, prowokacja, zależnie od potrzeb.

Jaruga uporządkował światłokopie i schował z powrotem do dyplomatki z szyfrowym zamkiem.

- No i co? - spytał cicho. - Wolałby pan, żebym to wywlókł na światło dzienne?

Andrzej milczał.

- Nie musi mi pan nic mówić na temat Pauliny. Sam ją znajdę - powiedział reporter. - W końcu sam pan zrozumie, że wy do siebie nie pasujecie.

- Bo jestem tylko szoferem? - spytał Andrzej i odchrząknął, kiedy usłyszał swój schrypnięty głos.

- Nonsens. Bo pan chciałby widzieć rzeczy prosto. Chciałby pan na przykład, żeby ktoś panu konkretnie powiedział, kto i dlaczego zabił pańskiego ojca. A Paula ma potrzebę ucieczki, będzie uciekać całe życie. Tak samo jak ja.

- i pan chciałby, żebyście uciekali razem?

- Byłoby to jakieś wyjście dla nas obojga. Wy me bylibyście ze sobą szczęśliwi. Szarpalibyście się tylko. Pan chciałby ją trzymać, ona by uciekała.

- Dlaczego? Bo wydaje się jej, że jest Żydówką?

- Pan nie wie, co to jest.

- Ja nie wiem? - powiedział Andrzej. - Na to nie trzeba być Żydem.

Pomyślał, że może jednak powinien obić Jarudze mordę. Z wielu powodów. Ale nie chciało mu się nawet podnieść na niego ręki. Powiedział tylko:

- No to niech pan ucieka, ale sam.

Wiedział już, co powinien zrobić. To było takie proste.

Po latach (wrzesień 2000)

Po nocy spędzonej w samotności z flaszką wódki i starymi papierami nie nadawałem się do żadnej roboty. Przespałem się do południa, potem próbowałem załatwić kilka telefonów, ale nawet do tego nie miałem cierpliwości. Nie mogłem się powstrzymać i od nowa zacząłem grzebać w szpargałach z pudła. Jeszcze raz przeczytałem kopie protokołu przesłuchania Wiktorii Kossakowskiej. To, co przed laty udało się zdobyć Jarudze niemal cudem, ja dostałem bez kłopotów. W 1990 roku rozpoczęły się procesy o unieważnienie starych wyroków przeciw działaczom

podziemia i wszystkie akta zostały ujawnione. Wbrew temu, co Jaruga powiedział Andrzejowi, wyjaśnienia Kossakowskiej znalazłem w materiałach z procesu i też je skopiowałem, nadużywając trochę życzliwości i zaufania pań z sekretariatu. Brakowało tylko fragmentu kartki, na którym być może znajdował się dopisek dokonany ręką majora Józefa Światły.

Koło trzeciej spakowałem kserokopie do papierowej teczki i poszedłem z nimi do Klubu Dziennikarza. Nie miało to większego sensu, bo pułkownik Gniadosz już od kilku miesięcy nie pokazywał się Pod Gruszką. Miał osiemdziesiąt pięć lat i krążyła pogłoska, że jest śmiertelnie chory. Ale to właśnie była jakaś szansa. Przez całe życie milczał jak grób, jeśli nie liczyć tych propagandowych bzdur, które wypisywał w swoich książkach. Pomyślałem, że może przed śmiercią zechce zrzucić z siebie ciężar. Liczyłem na niezwykley przypadek, jakie czasem zdarzają się w tym fachu.

Gniadosz już dawniej nieraz ciężko chorował, a kiedy poprawiało mu się, choćby na krótko, zaraz włókł się do klubu, nawet, jeśli ktoś musiał go przyprowadzić. Przed laty, po wydaniu „Beskidów w ogniu”, poczuł się człowiekiem pióra i został najwierniejszym bywalcem baru Pod Gruszką. Nawet, kiedy był zastępcą komendanta milicji w Krakowie, spędzał tu całe wieczory, pijąc wódkę i grając z dziennikarzami w szachy. Duży, kanciasty, ze szpakowatym jeżem, przyciętym zawsze na tę samą długość, stał się jedną z najbardziej charakterystycznych klubowych postaci. Niezorientowanych zaskakiwał widok Katona, czołowego publicysty antyreżimowego, podejrzewanego o kontakty z Wolną Europą i paryską „Kulturą”, przy jednym stoliku z pułkownikiem Gniadoszem.

- Może to i bandyta, ale dobry szachista - odpowiadał ze wzruszeniem ramion indagowany na tę okoliczność autor „Potyczek z głupotą”, znany ze swych niekonwencjonalnych zachowań.

Dwadzieścia dziewięć lat wcześniej, we wrześniu 1971 roku, kiedy zaproponowałem Gniadoszowi partyjkę, nie byłem oczywiście takim idiotą, żeby pytać go o jakieś protokoły przesłuchań z UB. Wtedy na pewno nie mógłbym już liczyć na jego pomoc. A najważniejszy był egzamin Pauli. Obiecując Andrzejowi, że załatwię tę sprawę, liczyłem na moje szachowe umiejętności. W swoim czasie zdobyłem wicemistrzostwo szkoły. To było zbyt mało, żeby marzyć o pokonaniu Gniadosza. Ale wystarczyło, że by zechciał ze mną zagrać. Konkurentów nie brakowało. Przykład starego Katona sprawił, że rozegrania partyjki z Gniadoszem nie uważano za hańbę. Poza tym wszyscy wiedzieli, że przy jego stoliku Pod Gruszką można było wiele załatwić. Brał swoją dolę, ale na ogół nie zawodził. Mimo to, kiedy przyszło, co do czego, miałem małego stracha. Skąd mogłem wiedzieć, czy Gniadosz nie wyśle mnie do diabła, nie zrobi afery, która skończy się tym, że Paula dostanie wilczy bilet?

Stary ubek od razu wyczuł mój niepokój.

- Nie denerwuj się tak, synu - powiedział łagodnie. - To tylko szachy.

W jego głosie dzwięczała lekka kpina. Najwyraźniej domyślał się, że to nie tylko szachy. I to mnie dziwnie uspokoiło. Kilka pierwszych ruchów wykonałem szybko i pewnie. - Obrona indyjska? - zdziwił się. - Ciekawe, nikt już tego nie gra. I w dodatku białymi? Próbujesz odwlec klęskę, synu?

- To źle?

- No tak, może i racja. Kiedy przeciwnik mocniejszy, co możemy zrobić? - zauważył filozoficznie. - Ale naprawdę myślisz, że ci na to pozwolę? W ilu ruchach chcesz mata? W dwudziestu? Jeśli wytrzymasz dłużej, stawiam wódkę.

Gniadosz był naprawdę mistrzem. Ale chyba trochę mnie zlekceważył. Próbował zniszczyć mnie błyskawicznie za pomocą dość prostych tricków, znanych chłopaczkom z lepszych szkółek szachowych. Ja tymczasem ograniczałem się do bardzo uważnego unikania jego ciosów. Sam nie atakowałem. I w ten sposób, zanim się wreszcie do mnie dobrał, miałem już u niego wódkę. Podałem partię dopiero po dwudziestym siódmym posunięciu. - Nie doceniłem cię, synu - przyznał. - Z tym większą przyjemnością załatwię twój problem. Nie jesteś jak te pajace, które podkładają mi się, żeby mnie tylko nie zrazić. Tak jakby mnie były potrzebne ich podkładki. No, powiedz sam, synu. Czy ja potrzebuję, żeby mi się ktoś podkładał?

- Z pewnością nie - powiedziałem z przekonaniem.

- No, to gadaj śmiało, co ci leży na wątrobie?

Zacząłem przygotowaną wcześniej opowieść o wybitnie zdolnej, wybitnie pracowitej studentce, gorącej zwolenniczce idei socjalistycznej, która na skutek godnego ubolewania nieporozumienia podpadła generałowi Wasilewskiemu, którego skądinąd bardzo podziwiał jako niezłomnego bojownika o socjalizm i wybitnego teoretyka współczesnych doktryn politycznych. I gdyby pan pułkownik zechciał się wstawić. Gniadosz kiwał głową ze znudzoną miną, wreszcie przerwał mi:

- Nie pierdol, synu. Przynies jutro forszę i masz załatwione. Znasz stawkę? Potrząsnąłem głową. Napisał kwotę na serwetce, pokazał mi, wrzucił serwetkę do popielniczki i teatralnym gestem podpalił. To była zgrywa. Jawnie kpił ze mnie, że jestem taki ciemny. Niespodziewanie spytał:

- To Żydówka?

- Nie, skąd? Dlaczego Żydówka?

- U kolegi Wasilewskiego przesrane mają przeważnie Żydówki. Zwłaszcza zdolne. No tak, może i racja. Mądry Żyd gorszy niż głupi Żyd. Oczywiście, dla kolegi Wasilewskiego. Ja przeciw Jewrejom nic nie mam. Dobrzy szachiści. Trzeba im przyznać, że łby to oni mają, Jewreje. Może, dlatego, że śledzie wpierdalają. Fosforem karmieni, w żopu ich mać. No, ale wszystko jedno. Żydówka, nie Żydówka. Forsa nie ma narodowości.

Już miałem ochotę powiedzieć, że polskie wojsko, co odczułem na własnej skórze, też było karmione śledziami, a kto był ćwokiem, ten ćwokiem został. Ale ugryzłem się w język. Łaskawość Gniadosza i takich jak on, wiedziałem to bardzo dobrze, miała swoje granice. Nagle zdecydowałem się zadać mu jeszcze jedno pytanie.

- Panie pułkowniku, nie chciałbym nadużywać uprzejmości, ale gdyby chodziło o pana docenta Pollaka-Schumachera....

Przerwał mi władczy ruchem ręki.

- Z tym chujem nie mam nic wspólnego. Nie wiesz, że on mordował polskie dzieci? - Widząc moją zawiedzioną minę, dodał łagodniejszym tonem: - Ale nie przejmuj się, synu. Ten chuj bierze bez żadnych pośredników. Trzeba pójść i dać, to wszystko.

Była to z mojej strony całkowita samowola. Andrzej nie upoważnił mnie do żadnych działań ani nawet pytań w swojej sprawie. Ale pomyślałem, że jeśli Paula może za łapówkę zdać poprawkę, to dlaczego on nie mógłby za łapówkę wrócić na studia? Przecież było bez sensu, że tak się zmarnował. Jeśli chciał być właśnie z nią, to była jedyna szansa. Albo powinien pozwolić, że by ją też wywalili, albo sam musiał przestać się wygłupiać. Oczywiście, gdyby się ostatecznie rozstali, Paula byłaby znów do wzięcia. Ale co z tego, kiedy i tak nie wyleczyłaby się z uzależnienia od Andrzeja. Przekonała mnie o tym afera z Jarugą. A że właśnie ja, przynajmniej w jakiejś części, byłem jej sprawcą, zapragnąłem zrobić coś, żeby to odkręcić. Niechby już w końcu zeszedli się raz na zawsze i byłby spokój. Następnego dnia rano Andrzej przywiózł osobiście pieniądze do Krakowa, ja załatwiłem resztę, a potem poszliśmy to opić Pod Szóstkę.

- Myślisz, że to na pewno wypali? - spytał. - Jak coś wyjdzie nie tak, stary jeszcze pomyśli, że ukradłem jego pieprzoną forszę.

- Nie ma takiej możliwości - zapewniłem go. - Towarzysz pułkownik Gniadosz musi dbać o swoją wiarygodność. Kto by więcej do niego przyszedł?

Andrzej pokręcił głową.

- Czym się jeszcze martwisz? - spytałem.

- Nie, to się w pale nie mieści. Wiedziałem, że w geesie kradną. Ale tacy wielcy komuniści? Myślałem, że to są przynajmniej przeciwnicy na jakimś poziomie.

- Ja bym się tym tak bardzo nie przejmował. Nieprzekupni komuniści dla idei strzelali w potylicę. A z przekupnymi idzie się jakoś dogadać.

Nic już nie powiedział, tylko wypił duszkiem całą szklanekę rumuńskiego wina. Zrobiłem to samo i zamówiliśmy po następnej.

- Mógłbyś i ty wyciągnąć z tego właściwe wnioski - zacząłem ostrożnie.

- To znaczy?

- Towarzysz docent Pollak-Schumacher też bierze.

- Wiem - warknął. - Co z tego?

- Studenckie życie ma swoje uroki, zapomniałeś?

Niedwuznacznym gestem dał do zrozumienia, co myśli o moim gadaniu. Ale wiedziałem po nim, że sam musiał już o tym rozmyślać. Wystarczyło tylko popchnąć go we właściwym kierunku.

- Co, miałbym pójść do niego z kopertą?

- A czemu nie? Lepiej z kopertą niż z podaniem. Nikogo byś się o nic nie prosił. Płacisz i wymagasz.

Machnął ręką, jakby słuchał debila, ale mógłbym się założyć, że zabiłem mu niezłego klina.

- Ty też myślisz, że jestem frajerem? - spytał nadspodziewanie trzeźwo.

Dwadzieścia dziewięć lat później rozmyślałem o tym na szklanką piwa Pod Gruszką, kiedy przysiadł się do mnie Dominik, nasz sekretarz redakcji. Zamieniliśmy kilka nieważnych zdań, potem zainteresował się nagle:

- A co ty tu właściwie robisz? Nie wiedziałem cię od dwóch dni.

- Miałem nadzieję, że może pułkownik Gniadosz cudownie ozdrowiał.

- Zwariowałeś? Gniadosz? On już od dawna jest trupem. A tutaj, co masz? - Sięgnął po mój skoroszyt. - Pracujesz nad jakimś hitem, mam nadzieję?

- Może.

Bez ceregieli otworzył teczkę i przejrzał kartki.

- A co to za bzdury? - skrzywił się z niesmakiem. - Chyba nie powiesz mi, że chciałbyś robić o tym materiał?

- Dlaczego nie?

- Facet, kto to kupi? Holokausty, partyzantki, martyrologie, kogo to obchodzi? Wyrzuć te śmieci.

- To nie śmieci, stary - powiedziałem.

- A co?

- Nasze, kurwa, życie.

23

Przyjechała z Krakowa nocnym pociągiem i zadzwoniła do niego z dworca.

- Słuchaj, nie będę ci się narzucać, obiecuję. Ale muszę z kimś pogadać. To znaczy, muszę z tobą, bo nikt inny tego nie zrozumie.

- Znasz drogę - powiedział tylko. - I wciąż masz klucz.

Wyrwała go z najtwardszego snu i był zbyt nieprzytomny, że by się zdziwił, że odezwała się właśnie wtedy, kiedy on postanowił zrobić to samo. Przyjął to jak normalną rzecz i zaraz zasnął z powrotem. Po raz drugi obudził go dym z jej papierosa. Tym razem nie zapaliła światła i zdziwiony zobaczył w ciemności, że zamiast rozebrać się i wejść do łóżka, siedzi nieruchomo na jego brzegu.

- Co, nie zdajesz tej poprawki? - spytał.

- Już zdałam.

- Naprawdę? To, co tak siedzisz, jakby się stało jakieś nie szczęście? Czemu się nie kładziesz?

Jeszcze nie do końca rozbudzony otoczył ją ramieniem i pociągnął na kanapę, nie zważając na papierosa, którego trzymała w dłoni. Aż dziw, że udało się jej przy tym nie podpalić pościeli. Okazało się, że tylko czekała na jego gest. Szybko zdusiła niedopałek w popielniczce, kilkoma ruchami zrzuciła z siebie całe ubranie i wpełzła pod koc. Przywarta do Andrzeja jak do ostatniej deski ratunku. Opasała go ramionami tak mocno, jakby była przerażona, że może wyrwać się jej i uciec. Tempo,

które na rzuciła, było niesamowite nawet jak na nią, a on jeszcze nie całkiem wytrzeźwiał i poczuł się trochę przestraszony. Niepotrzebnie. Wciąż działała na niego, jak dawniej. Kiedy kwadrans później oderwali się od siebie, uciekający potem i wykończeni, miał uczucie, że wszystko wreszcie zaczyna się układać.

Ale Paula wciąż nie była spokojna. Zaraz przyłgnęła do niego jeszcze mocniej, kurczowo, przyciskając twarz do jego szyi. Leżała tak długo, nic nie mówiąc, aż zaczął się trochę niecierpliwić. Nie rozumiał, o co jej chodzi.

- Słuchaj, stało się coś oprócz tego, że wreszcie zdałaś te pieprzone doktryny?

Nagle usiadła i oparła się plecami o ścianę, podkurczając nogi i zakrywając się kocem aż po szyję. Zapaliła nowego papierosa.

- Wolałabym nie zdać - powiedziała.

- Nie żartuj.

- Nie widzisz, że wcale nie jestem w nastroju do żartów?

- To ja nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Nie można zdać u takiego faceta i mieć jeszcze później szacunek dla samej siebie. Lepiej bym się czuła, gdyby mnie oblał.

- Nie powiesz mi, że nie umiałaś.

- Oczywiście, że umiałam - zdenerwowała się. - Problem w tym, że umiałam za dużo, jak na jego możliwości intelektualne. Tępy żołdak - powtórzyła dokładnie określenie swego ojca. - Dla niego polityka to musztra. Nie rozumie, że może być w niej na przykład coś takiego jak etyka.

- Boże! Znowu pokłóciłaś się o jakiegoś Marcusego?

Potrząsnęła głową.

- A o co?

- O Izrael.

- No nie, ja się zabiję. Czy ty nigdy nie przestaniesz odstawiać takich numerów? Co ma Izrael do etyki?

- Ma. Nie można głosić jednych poglądów dla siebie, a innych dla drugich. Nie można mówić, że tak zwane odzyskanie Wrocławia i Szczecina było aktem dziejowej sprawiedliwości, a zajęcie Jerozolimy przez Żydów jest okupacją. W końcu to też był powrót do macierzy.

- Nie gniewaj się, może się na tym nie znam, ale czy tu nie chodziło po prostu o to, żeby zdać jeden dupiany egzamin?

- Nie tylko. Nie rozumiesz tego?

- No, ale przecież mimo wszystko zdałaś. To, o co chodzi?

- Zdałam, ale za jaką cenę?

Zesztywniał. Postanowił jednak niczego po sobie nie pokazać. Wiedział, że dwa dni wcześniej generał Wasilewski dostał swoją dołę. Nie sądził, że Paula może się czegoś domyślić.

- Za jaką? - spytał ostrożnie.

- No, co się tak gapisz? - spytała. - Chyba nie podejrzewasz, że załatwiłam to przez dupę, co?

- Jesteś przeczulona.

- Wcale nie jestem. Właśnie on byłby do tego chętny. Uważa się za wielkiego jebakę, stary eunuch.

- O matko, nie zaprzeczaj samej sobie w jednym zdaniu.

- Eunuch intelektualny - zniecierpliwiła się. - Wiesz, co mi powiedział ten debil? „Wpiszę pani trójkę, ale niech pani ma świadomość, że robię to tylko, dlatego, żeby pani więcej nie oglądać. Pani poglądy są żalosne”

. Moje są żalosne!

- Naprawdę nie mogłabyś zmienić poglądów na czas egzaminu?

- No wiesz, mówisz całkiem jak mój stary.

- Dobra, już się zamykam. W końcu to nie moja sprawa - powiedział ugodowo, ale pomyślał, że akurat w tej sprawie jej stary miał zdrowe poglądy. Rajski był praktycznym facetem i dzięki temu ona mogła sobie pozwolić na to, żeby być niepraktyczną. Ucieszył się, że spisek uknuty wspólnie z doktorem udał się tak dobrze. Zdanie poprawki, czy to się Pauli podobało czy nie, zlikwidowało przeszkodę, która w ostatnich dniach kosztowała Andrzeja tyle nerwów. Trochę tylko niepokoiło go jej zachowanie. Jakby coś jednak podejrzewała. - Wiesz, co, dziwię się, że akurat ty przyjmujesz to tak spokojnie - powiedziała. - Nie rozumiesz, że wszystko było nagrane? Mogłam się nie wygłupiać, tylko od razu dać mu indeks do pod pisania.

- Masz rację, nie rozumiem - wydusił z siebie, ale głos miał drewniany. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że Wasilewski przyzna się przed nią do wzięcia łapówki. Ale najwyraźniej tak zrobił.

- Jezu, ślepy jesteś? Przecież to Jaruga załatwił mi ten egzamin. Myślał, że mnie w ten sposób kupi. Załatwił mi trójkę! Rozumiesz? I na pewno mu się zdaje, że powinnam z wdzięczności zaraz do niego pobiec. Co za palant. A ja go miałam za mistrza świata.

Teraz Andrzej o mało nie zaśpiewał z radości. Dzięki temu mógł sobie pozwolić na łaskawość.

- Coś ty, może ci się zdaje? Może generał naprawdę przestraszył się, że musiałby się z tobą spotkać jeszcze raz na komisie i tam załatwiłabyś go przy świadkach.

- Myślisz? - spytała podejrzliwie, ale wyczuł, że takie wyjaśnienie bardzo by jej odpowiadało. Na chwilę zamilkła, jakby musiała się nad tym zastanowić.

- Pamiętasz, kiedyś cię pytałam, czy jestem podobna do Żydówki?

- Rany, ty znowu o tym? Jaki to problem?

- Dla generała Wasilewskiego jest.

- Pierdol generałów. Szeregowcowi się podobasz. Przyciągnął ją do siebie. Cmoknęła go zdawkowo.

- To nie takie proste. Wiesz, co mi powiedział? Żebym sobie nie wyobrażała, że jestem nową Różą Luksemburg. Zaśmiał się.

- I tym tak się martwisz?

- Nie kpij. Nic nie wiesz. Powiedział, że moje geny nie upoważniają mnie do tego, żebym się uważała za mądrzejszą od zwykłej studentki.

- No i co? Zwykły cham i tyle. Masz zamiar tak się przejmować zawsze, kiedy ktoś zrobi aluzję do twojego nosa?

- Wcale nie jestem pewna, czy tylko do nosa - powiedziała cicho.

- Co ty gadasz?

- To, co słyszysz. Już dawno odkryłam, że urodziłam się o wiele za szybko po ślubie państwa Rajszych. Ale sądziłam, że po prostu wpadli ze mną.

- A nie było tak?

- Coraz bardziej w to wątpię. Z moich wyliczeń wynika, że w czasie, kiedy powinnam zostać poczęta, matki nie było w Nowym Targu. Po szkole pielęgniarstwa dostała nakaz pracy do szpitala gruźliczego w Zakopanem. Dali ją na oddział, gdzie leczyli się szczególnie zasłużeni towarzysze, którzy stracili zdrowie w boju. Tam był starannie dobierany personel, trzeba było sobie zasłużyć na takie zaufanie. No, więc powiem ci, że moja mamusia w młodości też modliła się do brodatego żydowskiego boga Marksa. Podejrzewam, że naprawdę w niego wierzyła. Tak bardzo, że aż puściła się z jednym z tych bohaterów walki o socjalizm. Chciał coś wtrącić, ale nie dopuściła, go do słowa.

- Nie myśl, że się gorszę. Po prostu mówię, jak było. Kojarzysz nazwisko Izaak Finder? Andrzej zaśmiał się.

- Oczywiście. Towarzysz Kordian. „Za Wolność i Lud”.

- Z czego się śmiejesz?

- Żyd Kordian!

- Dziwne?

- W każdym razie zabawne.

- A mnie wcale nie jest do śmiechu. Paulina Finder, nawet pasuje.

Poczuł się głupio.

- Daj spoko j. Twój stary cię uwielbia.

- Nie musisz mi tego tłumaczyć. Wiem, od początku tak mnie uwielbiał, że wziął matkę razem ze mną i zawsze traktował mnie jak swoją córkę. Ja go zresztą też uwielbiam, choć czasem trudno się tego domyślić. Chcę tylko wiedzieć.

- Po co?

- Właśnie po to, żeby wiedzieć.

- Bez sensu. Przecież to nie ma najmniejszego znaczenia.

- Oczywiście, że ma - powiedziała prawie ze złością, jakby Andrzej był matolem, któremu trzeba tłumaczyć najprostsze rzeczy. Ale on przecież bardzo dobrze wiedział, o co jej chodzi.

- No więc znajdź tego... Kordiana i spytaj go.

- Próbowałam. Wyjechał do Izraela już w pięćdziesiątym szóstym. Zdaje się, że to był porządny człowiek. Poza tym miał dużo szczęścia, słabe płuca uchroniły go przed służbą w UB. Przez jakiś czas był redaktorem w partyjnej gazecie, ale i stamtąd się go pozbyli. Podobno gruźlica nie tylko zwiększa zainteresowanie seksem, ale także wyostroża inteligencję. Może szybciej niż inni zrozumiał, że komunizm to nie jest dobre lekarstwo na żydowską chorobę.

- Napisz do niego.

- Napisałam. Odpisała mi jego żona, że jest jej bardzo smutno, ale jej drogi Icchak umarł parę miesięcy wcześniej. Że rozumie moje rozterki i bardzo mi współczuje, ale nic nie umie mi pomóc, bo jej drogi Icchak wprawdzie często wspominał Nowy Targ i Zakopane, ale nigdy nie napomknął, żeby zostawił tam jakieś dzieci.

- Rzeczywiście umarł?

- A bo ja wiem?

- To tym bardziej powinnaś dać sobie z tym spokój.

- Ale ja nie mogę, rozumiesz? - Nagle usiadła i ze złością uderzyła pięścią w koc. - Nie mogę, nie mogę. Nie potrafię. - Dotknęła palcem czubka nosa. - Co mam z tym zrobić? Zoperować?

- A więc jednak chodzi o nos. - Jeszcze raz spróbował obrócić wszystko w żart, ale Pauli naprawdę nie było do śmiechu.

- Chodzi o to, mój koziółku, że nie wiem, kim właściwie jestem. Rozumiesz to? Czy ją rozumiał? Jeśli ona nie wiedziała, kim jest, to, co on miał powiedzieć?

- Stwarzasz sobie sztuczne problemy - odparł, bo sam chciał uwierzyć, że tak jest. - Tak sądzisz?

Czuł, że Paula znów może się obrazić, ale, jak zwykle, nie zdołał się opanować.

- A co mam sądzić? Nie chodzisz po ziemi. Wściekasz się, że zdałaś egzamin, jakby to było nieszczęście. Tylko, dlatego, że musisz mieć własne zdanie na temat jakiegoś kraju na końcu świata, o którym tak naprawdę nic nie wiesz. Czy to nie są urojone problemy? Czym ty się w ogóle zajmujesz? Uciekasz gdzieś za morza, tak jakby nasze życie nie toczyło się tutaj. Jakbyśmy nie mieli własnych zmartwień. Izrael, Południowa Ameryka, o matko święta, nie uważasz, że byłby już czas wyrosnąć z bajek o Indianach?

Sięgnęła po następnego papierosa. Pstryknęła zapalniczką kilka razy, zanim zdołała go zapalić. Trzęsły się jej ręce. Zaczynała go denerwować. Przyszła do niego ze sprawami, z którymi on sam nie umiał sobie poradzić. Czekał, kiedy się na niego wścieknie i pójdzie. Ale Paulina wcale się nie wściekła. Czuł, że miała na to wielką ochotę, ale zamiast tego rozplakała się. Łzy zawsze go zmiękczały. Wyciągnął rękę i położył na jej nagich plecach. Zadrżała i odwróciła się, a potem znów przycisnęła się do niego z całej siły. Leżała tak i chlapała mu pod pachą, a on głaskał ją po włosach. Pozwolił jej spokojnie się wypłakać. Kiedy skończyła, uniosła się na łokciu, obtarta oczu palcami i powiedziała:

- Nie rozumiesz, że to właśnie, dlatego?

- Dlaczego?

- Dlatego, że nie mogę nawet na pewno wiedzieć, kim jestem, lubię zajmować się tym, co dzieje się na drugim końcu świata. Ty nigdy nie marzyłeś, żeby pojechać gdzieś daleko, przeżyć coś innego?

- Owszem - uśmiechnął się. - Na Dzikie Zachód.

- No? - Ale dawno z tego wyrosłem.

- A ja może nigdy nie wyrosnę. Taka już jestem.

Kiedy już myślał, że znowu się pokłóca, ona nagle powiedziała niemal prosząco:

- Nie bądź na mnie zły. Bądź ze mną. Ja wiem, pewnie cię wkurzam, może nudzę. Ale nie zostawiaj mnie teraz samej z sobą. Proszę.

Nie był bez serca. Takie teksty zawsze go wzruszały. Nie odepchnął jej. Nawet objął i przyciągnął do siebie jeszcze mocniej, a potem zaczął uspokajająco gładzić po plecach. Była gorąca i spocona.

- Dobrze mi z tobą, wiesz? - zamruczała.

No jasne, że o tym wiedział. Było jej z nim dobrze zawsze wtedy, kiedy musiała lizać się z oparzeń.

- Prześpijmy się teraz trochę - powiedział.

Leżała przy jego boku, z twarzą wciśniętą w jego pachę, z ramieniem przerzuconym przez jego pierś, tak cicho i spokojnie, jakby bała się, że się rozmyśli. Nawet nie zauważył, kiedy usnęła. Nareszcie mógł odpocząć, czując tylko na biodrze ciepło jej brzucha i jej delikatny oddech na szyi.

Rozumiał ją, jeszcze jak. Przypomniawszy sobie czasy, kiedy sam nie bardzo wiedział, czy w ogóle ma jakiegos ojca. Waśnie wtedy dowiedział się, że dzieci mogą brać się z wiatru. Stało się to na lotnisku, które spędzał z dziadkiem Kossakowskim w Ostrowsku. Dziadek wynajął pokój u bliskich krewnych bliźniaków Srali, więc Andrzej spędzał ze Zbyszkiem i Tadkiem prawie całe dnie. Bliźniaki Srale, jako synowie ludu mający, na co dzień do czynienia z kryciem krów i klaczy, dużo więcej niż on wiedzieli na temat, skąd się biorą dzieci. To właśnie oni, kiedy towarzyszył im przy pasieniu krów na łące nad Dunajcem, uświadomili go, że czasem ojciec wcale nie jest potrzebny. Wystarczy, że kobieta w nieodpowiedniej chwili wystawi się do wiatru, a może zostać przez niego zapyłona. Tak właśnie mówili, a jemu robiło się gorąco w uszy, jakby za chwilę miały się zapalić żywym ogniem. Kiedy się ma siedem czy dziewięć lat, takie sprawy są aż za bardzo poważne. Co prawda każdemu, kto znał jego matkę, byłoby trudno wyobrazić ją sobie wystawiającą się do wiatru, ale właśnie dlatego takie podejrzenie mogło być tym bardziej nieznośne.

Dopiero jakiś czas później babka Kurniawina wytłumaczyła mu, jak to właściwie jest z tym zapyłaniem przez wiatr, że tak się mówi, kiedy pannie zaczyna rosnać brzuch, a ona nie potrafi wskazać, z czyjego powodu. Czasami babka Kurniawina potrafiła być bardzo złośliwa. Pamiętał, że jeszcze parę razy ni stąd, ni zowąd wyskakiwała z gadką o takich, co to wzięli się z wiatru, przez co są czymś takim nie wiadomo, czym.

Obudził się, kiedy za oknami szarzało. Deszcz ciągle padał. Paulina spała odwrócona do niego plecami, z kolanami podciągniętymi pod piersi. Wiedział, że nie będzie z nią łatwo. Ale łatwizna nigdy go nie pociągała. Może, co najwyżej w chwilach słabości. A te miał już za sobą. Życie z Paulą wydawało mu się teraz godnym jego wyzwaniem. Nie chciał zakłócać jej snu i długo leżał nieruchomo, słuchając bębnienia deszczu o parapet.

Kiedy szedł spotkać się z ojczymem, wziął skrzypce po dziadku Kurniawie. Był właśnie z nimi u lutnika i jeszcze nie ochłonął po tym, co przy okazji usłyszał. Po powrocie od babki zauważył, że jeden z kołków nie jest oryginalny, tylko dorobiony byle jak, po partacku. Zaszedł do starego pana Szmita, który kiedyś udzielał mu lekcji skrzypiec, za półdarmo, bo był starym przyjacielem dziadka Kossakowskiego. Teraz prowadził niewielki warsztat, gdzie naprawiał instrumenty. A prawdę mówiąc, głównie tam przesiadywał, bo prawie nikt do niego nie zaglądał. Kiedy tylko wziął skrzypce do ręki, aż podbiegł z nimi do okna i oglądał na wszystkie strony.

- Święty Boże - zawołał na cały głos, może dlatego, że był trochę głuchy. - A skąd pan ma ten piękny instrument?

- Po dziadku - powiedział Andrzej obojętnie. - Po Józefie Kurniawie - dodał, żeby nauczyciel nie pomylił sobie jego dziadków.

- Proszę wybaczyć! - zawołał Szmit. - Pański dziadek był wybitnym artystą ludowym, naprawdę wybitnym, cenilem go wysoko. Ale takich skrzypiec to on na pewno nie miał. Ani nie były mu potrzebne, ani nie było go na nie stać.

- Proszę pana - powiedział Andrzej dość opryskliwie - właśnie wyjąłem je z szafy mojej babki, gdzie leżały od jego śmierci.

Staruszek aż podniósł obie ręce do góry.

- Ależ uchwaj Boże! Nie miałem na myśli niczego, co mogłoby pana urazić. Przecież znam pana nie od dziś. Gdybym nie znał, to, co innego. Chciałem tylko powiedzieć, że dziadek pański nie mógł być ich pierwszym właścicielem. Być może podczas wojny, kiedy ludzie wyzbywali się z musu różnych przedmiotów, wszedł w ich posiadanie. Przed wojną były w Nowym Targu tylko jedne takie skrzypce. Mecenas Zuckerberg kupił je w Wiedniu dla młodego Jakuba, swojego jedynaka, za dobrze zdaną maturę.

- No nie - powiedział Andrzej. - Chyba szlag mnie zaraz trafi.

Starego pana bardzo przeraziła ta reakcja.

- Ależ ja pana najmocniej przepraszam! - wrzasnął. - Chciałem tylko powiedzieć, że to bardzo niezwykły instrument. Jestem w stu procentach przekonany, że jest pan jego jak najbardziej legalnym właścicielem.

- Ja myślę - powiedział Andrzej. - Jak on taki cenny, to proszę, niech mi go pan lepiej odda.

- Ależ kochany panie! - wykrzyknął Szmit. - Ja pana najuprzejmiej proszę zaczekać jedną sekundę. Ja panu zaraz dopasuję kołek na poczekaniu i całkiem gratis. - A potem jeszcze mamrotał pod nosem: - Zachwycające. Ma pan w swoim posiadaniu naprawdę rzadki skarb.

Drzwi otworzyła mu ciotka Zuzanna. Trochę go to zdziwiło, choć nie powinno. Po śmierci Wiktorii ciotka szybko zaopiekowała się doktorem Zawadą, który był naprawdę załamany. Dwa albo trzy razy w tygodniu dojeżdżała z Zakopanego i gotowała mu obiady. Wtedy jedli razem, a resztę, która została, odgrzewał sobie następnego dnia. Andrzej był też pewny, że czasem Zuzanna

zostawała u ojczyma na noc. Nie miał pojęcia, czy przespali się z sobą, ale to by go wcale nie zabolalo. Nawet gdyby wyszła za doktora za mąż, byłoby to w jakiś sposób naturalne. I jeśli się zdziwił, to tylko dla tego, że w ostatnich dniach ciotka wydawała się dużo bardziej zajęta Amerykaninem. Ale jej obecność była mu nawet na rękę. W ten sposób mógł od razu załatwić dwie sprawy. Ona zresztą była zdumiona dużo bardziej. Aż zaniemówiła, kiedy ujrzała go w drzwiach z futerałem pod pachą.

- No, co, nie cieszysz się? - spytał.

- Wreszcie zdecydowałeś się przyjść - odblokowała się w końcu. - Ojciec przyjmuje, ma dzisiaj dużo pacjentów.

- To się nawet dobrze składa - powiedział. - Porozmawiamy sobie tymczasem jak w rodzinie.

Zmieszała się. Miała na sobie sztruksowe spodnie, trykotową bluzkę, a na wierzchu ceratowy, kuchenny fartuch.

- Robisz u niego za kuchnię? - spytał.

- Nie staraj się być nieprzyjemny. Przynajmniej mam, komu gotować. Wiedziałaś, kiedy przyjść, właśnie zrobiłam pierogi z mięsem i kapustą.

- A Szafranowi nie gotujesz?

- Nie. Zabiera mnie do restauracji - odpaliła.

- I co? Będzie z tego coś?

- Z czego?

- Nie udawaj. Zdecydowałaś się już na któregoś?

Zakłopotowała się jeszcze bardziej.

- No wiesz? Stefanowi pomagam tylko w sprawach urzędowych. To mi chyba wolno? - A co ja mam do tego? Choć szczerze mówiąc, wolę już Szafrana. Jest jakiś bardziej męski.

Machnęła ręką, wepchnęła go do pokoju stołowego, a po chwili przyniosła herbatę. - Co, zacząłeś znowu grać na skrzypcach - zauważyła.

- Chyba będę musiał. - Otworzył futerał. - Coś takiego nie powinno się marnować. Właśnie się dowiedziałem, że mam w swoim posiadaniu niezwykle cenny skarb. Wiesz, co to jest?

- No, skrzypce, chyba nie fortepian? - powiedziała przytomnie.

- Bystra jesteś. Ale ja też nie jestem taki głupi, jak się niektórym zdaje. I wiem nawet, czyje to skrzypce. A ty?

- A ja skąd mogę wiedzieć?

- A widzisz. No, więc tak się jakoś dziwnie składa, że to są skrzypce jakiegoś Jakubka. Zdaje się, Zuckerberga, czy jakoś tak.

Nie wyglądała na bardzo zdziwioną. Może już w ogóle przestała się dziwić czemukolwiek.

- Aha - powiedziała. - I co z tego?

- Nie jesteś ciekawa, skąd je mam?

- Pewnie sam mi powiesz?

- Wyobraź sobie, że znalazłem. U babki na Krzeptówkach, w bielizniarce. Nie wiesz przypadkiem, jak się tam znalazły?

Przysiadła koło niego na oparciu fotela.

- Jędrak, czego ty szukasz? - spytała. -1 po co?

- Przeznaczenie czasem się spóźnia. Nie mówił ci?

Wyciągnęła niepewnie rękę i pogłaskała go po włosach, jakby ciągle był tym małym chłopczykiem, którego wychowała pod nieobecność matki.

- Nie przejmuj się tak tym wszystkim.

- Właśnie pomału przestaję.

- To dobrze - ucieszyła się. - Naprawdę. Nie warto.

- Ale jeszcze o coś chciałem cię zapytać. O coś osobistego, dobrze?

Znów zrobiła się czujna.

- No, słucham?

Zdjęła fartuch i teraz było widać, że trochę przytyła. Spodnie wrzynały się jej w brzuch. Ale wciąż była warta grzechu, a jej włosy nie wyglądały na farbowane.

- Dlaczego ty właściwie nigdy nie wyszłaś za męża? - spytał.

- No wiesz, delikatny jesteś.

- Odpowiedz. Nigdy nie chciałaś być z kimś?

- Chyba każda chce. Ale nie spotkałam takiego.

Była dobrze opancerzona. Nie wiedział, jak przebić się przez ten pancerz. Uderzył wprost, bez znieczulenia.

- Kochałaś się w moim ojcu?

Szklanka zabrzęczała, kiedy odstawiała ją na spodek.

- Upiłeś się? Po to przyszedłeś? Żeby mnie dręczyć?

- Ja ciebie dręcę? Kochałaś się w nim? Zuzanna, coś ty między nimi namieszała? No powiedz mi, coś ty między nimi namieszała? Byłaś zazdrosna? Powiedziałas mu, że matka zdradza go z Sokolnickim?

- Na litość boską, co ty wygadujesz?

- Och, przestań wreszcie udawać. Doniosłaś mu, że matka pieprzy się z Sokolnickim? Co jeszcze, komu doniosłaś?

- Jesteś bez serca.

- Ja jestem bez serca? O, proszę cię! - Wziął w ręce futerał ze skrzypcami i miał ochotę rąbnąć nimi o podłogę, ale zrobiło mu się żal. - Jak myślisz, skąd skrzypce Jakubka wzięły się u babki w szafie?

- Skąd ja mogę wiedzieć? Pewnie podarował je Wawrzukowi.

- Hojny podarunek. Mógłby sobie za nie kupić bilet do Ameryki. Ojciec wiedział, któredy ci Żydzi będą uciekać. I Sokolnicki też wiedział. Ale ty udajesz, że nic nie wiesz - już prawie na nią krzyczał, choć wcale nie podnosił głosu - ty nic nie wiesz, prawda?

- Uspokój się, wszystko pokręciłeś. Śmierć Jakubka była dla nich katastrofą. To on wszystko organizował. On miał kontakty na Zachodzie, znał trasę, języki, wszystko się na nim trzymało. Bez niego byli jak dzieci. Wszystko się opóźniło, pokręciło. Jeśli chcesz wiedzieć, to od śmierci Jakubka zaczęły się wszystkie nieszczęścia.

- To ty o wszystkim wiedziałaś?

- A co myślałeś? Pewno, że wiedziałam.

- I co, nie chcieli cię zabrać?

W głębi domu usłyszeli trzaśnięcie drzwi i kroki. Kiedy ojczym wszedł, siedzieli już oboje grzecznie, Andrzej nadal na fotelu, ciotka Zuzanna na kanapie.

- Co to za hałasy? - spytał, zanim jeszcze go zauważył.

- Andrzej nas odwiedził! - zawołała ciotka głosem sztucznie radosnym.

Doktor Zawada od razu wszedł w swoją rolę. Podszedł do pasierba z wyciągniętymi ramionami.

- No, nareszcie. Witaj, synu - zadeklamował, jakby naprawdę występował w amatorskim przedstawieniu.

- Cześć, tato. - Andrzej podał mu rękę, a doktor ucieszył się, jakby trafił milion w totka.

Na pogrzebie matki Andrzej ni stąd, ni zowąd zaczął mówić mu „proszę pana”. Zawada z radości zaproponował, żeby sobie przed obiadem pozwolili na mały aperitif. Jak na zwykłego laryngologa z prowincji wyrażał się zawsze dość wyszukanie. Za komuny właśnie lekarze, a nie sekretarze partii, spijali najlepsze alkohole w Polsce. Zawada nie mógł wprawdzie konkurować z kolekcją koniaków i szampanów doktora Rajskiego, ale miał parę okazów, którymi mógł się chwalić przed znajomymi. Odkąd chłopci z okolic uwierzyli, że warto porządnie leczyć zapalenia zatok, i jemu się poprawiło. Nie miał zresztą aż tak wyszukanych wymagań, jak jego przyjaciel ginekolog. Zazwyczaj wystarczała mu pospolita whisky Old Smuggler, bo podobała mu się jej nazwa. Do znudzenia nazywał ją Starym Szmuglerem i robił na ten temat niewyszukane dowcipy. Teraz też, kiedy wybierali alkohol, zażartował:

- To co, mały szmugielek?

Andrzej zmusił się do uśmiechu, bo pamiętał, po co przyszedł. Nie mógł ojczyma zrażać. Popijali powoli ze szklanek i nie bardzo wiedzieli, o czym rozmawiać. Wreszcie Zuzanna pierwsza nie wytrzymała milczenia.

- Wiesz co, Piotrze - odezwała się - może pokażesz Andrzejowi swoje nowe zdobycze, a ja tymczasem zajmę się obiadem.

- Świetny pomysł - ucieszył się doktor.

Wziął Andrzeja pod rękę i zaprowadził do nowo urządzonego gabinetu. Nie był to jego gabinet lekarski, ale coś w rodzaju filii muzeum wojskowego. Od wielu lat kolekcjonował militaria. Ściany gabinetu były obwieszane pistoletami, bagnetami i hełmami. Na wieszakach wisiały mundury, na ścianach fotografie.

Andrzej zauważył, że nie jest to już przypadkowa kolekcja, jak dawniej, ale jakby specjalnie przygotowana wystawa. Nie musiał się długo przyglądać, żeby odkryć, na jaki temat. Gabinet jego ojczyma był teraz po prostu izbą pamięci Ognia.

- A cóż to? - spytał. - Muzeum Józka Kurasia?

- Ktoś musiał się tym wreszcie zająć - odpowiedział Zawada. - Komuna kiedyś upadnie. Może za pięćdziesiąt lat, może za, sto, ale upadnie. A wtedy ludzie oddadzą im sprawiedliwość. Twojemu ojcu także. To jest tylko mój skromny wkład, żeby pamięć nie zginęła.

Andrzej nie bardzo wiedział, co ma mówić, rozmowy z ojczymem nigdy nie przychodziły mu łatwo. Po prostu nudził się natychmiast. Skupił się, więc na oglądaniu fotografii.

- Interesujące, prawda? - W głosie Zawady brzmiała duma. - Mam teraz trochę pacjentów wśród dawnych partyzantów. Okazuje się, że wiele rzeczy przetrwało. Większość z tych zdjęć Andrzej widział rzeczywiście po raz pierwszy. I pierwszy raz uświadomił sobie, jaka w rzeczywistości musiała być siła partyzantki Ognia. Słowo „banda” zupełnie tu nie pasowało. Fotografii pokazywały setki ludzi, jednakowo umundurowanych i uzbrojonych. Mieli nawet cekaemy i moździerze. Na szczęście ciotka Zuzanna szybko uwinęła się z obiadem i wrócili do stołowego. Teraz mógłby otwierać usta tylko do jedzenia i udawać, że tak trzeba. Tylko, że przy ciotce od razu wracała mu ochota do rozmowy. I to na jeden temat. Jakoś go do tego prowokowała. Nie wytrzymał już przy rosole.

- A wiesz - zwrócił się do ojczyma, choć treść była przeznaczona oczywiście dla Zuzanny - chyba ja też mam jeden cenny eksponat do twojej izby pamięci. Takiego na pewno nikt nie ma.

- Tak? No to świetnie! - Zawada zainteresował się tak gwałtownie, aż nitka makaronu ześliznęła mu się po brodzie.

- Cieszę się, że zaraziłeś się moją ideą.

Za to ciotka domyśliła się od razu, że nie będzie to nic przyjemnego.

- Może poczekaś do końca obiadu? - spytała.

Ale Andrzej już sięgnął do plecaka i wydobył z niego fotografię, którą dopiero niedawno odnalazł w papierach po matce. Zabral ją ze sobą nie przez przypadek. Na zdjęciu widnieli dwaj młodzi mężczyźni, roześmiani i objęci ramionami. Byli rozebrani do pasa, mieli na sobie tylko wojskowe spodnie i buty. Siedzieli na pniu powalonego drzewa, a za nimi widać było zamazany las.

- Aha, twój ojciec i porucznik Sokolnicki. - Ojczym pokiwał głową. - No, no, interesujące. - Najwyraźniej nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

- Prawda? Tak myślałem, że to cię zainteresuje, taka przyjaźń bandycko-ubecka. - Andrzej! - powiedziała ciotka Zuzanna.

Doktor Zawada przyglądał się zdjęciu przez okulary.

- Ach, ono musiało być zrobione, kiedy Ogień chodził na wspólne akcje z oddziałem tego Kordiana - powiedział z zakłopotaniem.

- A może później?

- Nie, to wykluczone.

- A ty, co o tym sądzisz, Zuza? - zwrócił się Andrzej do ciotki.

- Nic nie sędzę - powiedziała ze złością. - Pierogi wystygną.

Widział, że Zuzanna wpatruje się w fotografię z lekką paniką w oczach. Już rozumiała, o co mu chodziło. Kurniawa i Sokolnicki mieli na szyjach jednakowe medaliki. Oczywiście, na zdjęciu nie było widać, czy są identyczne, ale tak wyglądały.

- Obaj z tatą lubimy odsmażane, prawda? - powiedział Andrzej, a Zawada znów nie wiedział, jak się zachować. Wtedy Andrzej spojrzał na ciotkę. - To, co, nie powiesz mi, kto leży w grobie razem z matką?

Doktor był już teraz całkiem zdezorientowany. A Zuzanna Bilaska nie zemdliała z wrażenia, jak przypuszczał Andrzej. Ona miała dla niego jeszcze większą niespodziankę. - Nic nie rozumiesz, Jędrzek. W grobie nikt nie leży. Trumna była pusta. Bezpieka nie wydała ciała rodzinie.

Zawada spoglądał to na niego, to na nią. On rozumiał jeszcze mniej, to było oczywiste.

- Aha - powiedział Andrzej. - No to jedźmy. Żeby te pierogi nie wystygły.

Ale po chwili znowu zaczął:

- Wiesz, Zuza? Robisz świetne pierogi. Mama, zdaje się, prawie nie gotowała?

- Czy to takie ważne? - spytała ciotka ostrożnie, jakby czekając, z czym Andrzej tym razem wyskoczy.

- Nie. Zastanawiam się tylko, jak oni się dobrali z ojcem?

- Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem - uznał za stosowne wkroczyć doktor Zawada.

- Nie wątpię. Ale to jeszcze nie powód, żeby zaraz brać ślub. Przecież zupełnie do siebie nie pasowali. Naprawdę to ona kochała się w tym Sokolnickim, co?

Ciotka westchnęła.

- Jaś wyjechał tak nagle, przepadł, nie dał znaku życia. Nikt nie wiedział, co się z nim stało na tym strasznym wschodzie. Nikt nie przypuszczał, że jeszcze kiedyś wróci.

- I to w takiej roli, prawda?

Ciotka zignorowała te słowa.

- Ale Wikta nigdy o nim nie zapomniła. Nawet, kiedy Wawrzek wreszcie zdobył ją swoją miłością, była w rozterce.

- Ależ Zuzanno, co ty opowiadasz? - przerwał jej niezadowolony Zawada.

- To nie ma sensu. Piotrze - zaprotestowała cicho ciotka.

- Trzeba się wreszcie przestać z tym kryć. Przecież może wiedzieć.

- Tak? No to powiedz mu sama, jeśli tak uważasz.

Ale najwyraźniej dla niej także nie było to łatwe. Zamiast podjąć wątek, zaczęła zbierać hałaśliwie talerze. Dopiero przy poobiedniej kawie i koniaku z zapasów doktora Andrzej przypomniał:

- To, o czym właściwie miałem się dowiedzieć?

- Twoi rodzice nigdy nie byli małżeństwem - powiedziała ciotka. - Popełniliśmy oszustwo. Kościółek spłonął, a razem z nim księgi parafialne. Proboszcz umarł od poparzeń, wikary uciekł. Była dobra okazja, żeby zdobyć fikcyjny akt ślubu. Za pieniądze znaleźli się świadkowie, którzy potwierdzili, że twoja mama w czasie wojny wzięła konspiracyjny ślub z Wawrzyńcem. Piotr to wszystko załatwił.

- Ty to zrobiłeś? - Zdumienie w głosie Andrzeja nie było udawane.

- Ja - powiedział Zawada spokojnie, nawet jakby z dumą.

- Słowo daję, że cię nie rozumiem. Co ty jesteś za facet?

- Czego nie rozumiesz? Zrobiłem to po śmierci twojego ojca, bo prosiła mnie Wiktoria. Chodziło przecież o to, żebyś miał ojca. Żebyś nie był dzieckiem bez nazwiska. - Z wiatru? - spytał Andrzej cicho, ale ojczym tego nie dosłyszał. Tylko ciotka Zuzanna.

Wyglądało na to, że Zawada jest naprawdę dumny ze swojego postępku. Wyciągnął nogi przed siebie i zapalił swoją fajkę, z którą wyglądał jakby sam był nie wiadomo, jakim kombatantem, a nie skromnym, prowincjonalnym laryngologiem bez życiorysu. Tylko ze swoją izbą pamięci.

- Piotr zrobił to wszystko dla was - powiedziała Zuzanna drżącym głosem. - Przez całe życie tylko o was myślał.

- Wiem, poświęciłeś się dla nas, prawda?

- Tak, to jest prawda - potwierdził doktor spokojnie. - Z miłości do Wiktorii zrezygnowałem z własnych ambicji, które też kiedyś miałem. Tylko niech ci się nie wydaje, że tego żałuję. Nie żałuję niczego. I wcale nie oczekuję od ciebie wdzięczności. Chciałbym tylko, żeby ci się w życiu ułożyło. Żeby Wiktoria, patrząc na nas z nieba, miała chociaż tę radość.

To była właśnie odpowiednia chwila, żeby wreszcie powiedział, z czym naprawdę przyszedł.

- Wiem, nie podoba ci się, że jestem kierowcą, prawda? Uważasz, że poniosłeś klęskę?

- Tu nie chodzi o moją klęskę, tylko o twoją - zaprotestował doktor. - A jeszcze bardziej o to, że lekceważysz sobie obowiązek wobec Pana Boga i ojczyzny, jaki spoczywa na tobie z racji uzdolnień, jakie zostały ci dane. Z tym właśnie trudno mi się po godzić.

- Przyszedłem specjalnie po to, żeby ci powiedzieć, że postanowiłem to zmienić. Zawada spojrzał z nadzieją, choć wciąż nieufnie.

- A, to dobra nowina.

- Ale jest pewien problem. Najpierw muszę, powiedzmy, zainwestować. Nigdy dotąd nie prosiłem cię o pożyczkę, ale dzisiaj cię proszę.

Zaskoczenie było absolutne.

- No, oczywiście, chętnie, w miarę tych możliwości, jakimi dysponuję.

- W dolarach - uściślił Andrzej.

- Dobrze, mam trochę schowanych, na wszelki wypadek. Ale możesz mi powiedzieć, na co są ci potrzebne? Mam nadzieję, że nie chcesz się wplątać w jakieś spółki z tym.....osobnikiem nie wiadomo skąd.

Ciotka Zuzanna spuściła oczy.

- Masz na myśli Stevena Safrana? - spytał Andrzej.

- Jeśli naprawdę tak się nazywa. Coś mi się obilo o uszy i muszę przyznać, że nie byłem zachwycony. To jest, oczywiście, twoja decyzja, ale....

- Chodzi właśnie o to, że się rozmyśliłem. Nie będzie żadnej spółki z Szafranem - powiedział Andrzej. A potem wyjaśnił ojczymowi w skrócie, co zaplanował i po co mu są potrzebne jego dolary.

- Nie, naprawdę? - wykrzyknął Zawada. - Andrzeju, to najwspanialsza wiadomość, jaką mogłem usłyszeć.

Poderwał się i z zniechęceniem ucałował pasierba w oba policzki, cmokając głośno. Ten wybuch czułości trochę Andrzeja oszołomił. Sądził, że pójdzie mu z ojczymem dużo trudniej. Potem przeszli obaj do gabinetu, w którym doktor Zawada miał sejf, jak na filmach, ukryty za obrazem ze świętą Marią Magdaleną i czaszką. Ojczym odliczył sumę, o jaką Andrzej prosił i dołożył jeszcze od siebie sto dolarów, co wtedy było nie lada gestem. Kiedy wychodził już z kopertą pełną banknotów, ciotka odprowadziła go aż do furtki.

- Wiesz - powiedziała szybko - Stefan będzie zawiedziony. Ale może to i lepiej, że tak postanowiłeś. A jeśli chodzi o Piotra, to mam nadzieję, że będziesz teraz dla niego lepszy? On na swój sposób bardzo cię kocha.

- Przecież wiem - powiedział Andrzej, uderzając się po kieszeni. - Właśnie dał mi dowód.

25

Ludzie przystawali na ulicy i nie wiedzieli, czy patrzeć na Andrzeja jak na wariata, żebraka czy szalonego artystę, którego powinni podziwiać. Było jeszcze rano, kiedy stał na chodniku przed bramką ogrodu Rajskich i grał na skrzypcach „Oczarowanie”. Zdawał sobie sprawę, że nie jest to zbyt ambitny repertuar. Ale co mógł zrobić. Jeśli pominąć lekcje skrzypiec w dzieciństwie, jego wykształcenie muzyczne było na poziomie knajpy z dancینگiem. Wybrał porę, kiedy Rajscy wyszli już do pracy, ale Paulina najwyraźniej jeszcze spała, bo grał i grał, a ona nie dawała znaku życia. Zdążył już wzbudzić zainteresowanie we wszystkich okolicznych domach, zanim wreszcie otworzyła okno i wyjrzała, ubrana w nocną koszulę. Powiedziała coś, czego nie usłyszał przez dźwięki „Oczarowania”. Ale chyba nie było to nic złego, bo za chwilę wybiegła otworzyć mu furtkę. Miała teraz na sobie płaszcz kąpielowy i wcale nie wyglądała na niezadowoloną. Popatrzyła wyniośle na gapiów, którzy zatrzymali się na drugim chodniku, wzięła Andrzeja pod rękę i wprowadziła do domu.

- Ale ty jednak jesteś wariat, słowo daję - powiedziała. Więcej w tym było podziwu niż nagany. - To dla mnie, ta serenada?

- A dla kogo? Kto tu jest moją Kapuletą?

Zaśmiała się i usiadła mu na kolanach. Przez długi czas przezywali ją tak w liceum, po tym, jak zagrała Julię w szkolnym przedstawieniu. Kapuleta, tylko buźka nie ta.

- Nic nie mówiłeś, że ciągle grasz na skrzypcach.

- Znasz się na tym?

- Jeśli mam być szczerą, to raczej nie. Mnie uczyli na fortepianie. Ale bez większych sukcesów.

- No i chwała Bogu. Przynajmniej nie możesz ocenić poziomu.

- Jestem pewna, że jest świetny.

Coś mu w jej zachowaniu nie pasowało.

- Ty, a coś ty dzisiaj taka dla mnie słodka? Ostatnio przeważnie witałaś mnie całkiem inaczej.

- Bo ostatnio przeważnie nie wygrywałeś dla mnie serenad, tylko przyzywałeś władczy gestem. Pan samiec miał ochotę na samiczkę, więc ona miała zaraz lecieć i nadstawiać? A tyle!

- Zdawało mi się, że nigdy nie traktowałem cię jak samiec.

- A jakże, dobrze mówisz. Zdawało ci się. Więc to lepiej ty powiedz, co to dzisiaj za święto, że witasz mnie z rana serenadą.

- Święto, nie święto, ale przyjęli mnie z powrotem na studia. Wiadomość, że właśnie została spadkobierczynią Johna Rockefellera któregoś tam nie zrobiłaby chyba na niej większego wrażenia.

- Andrzej, poważnie? Nie, ja chyba śnię.

Aż zeskoczyła mu z kolan i uklekła naprzeciwko niego na podłodze, żeby móc patrzeć mu prosto w oczy. Cieszyło go, że zrobił na niej aż takie wrażenie. W tym momencie czuł się prawie cudotwórcą.

- Nie wierzysz? To zobacz - wydobyl z kieszeni indeks i wręczył go jej gestem iluzjonisty.

- Jak to zrobiłeś? No nie, to chyba cud. Przecież nie złożyłeś podania.

- Jestem tak wybitny, że nie wymagali ode mnie podania.

- Żartujesz sobie, a ja jestem naprawdę ciekawa. Nie dręcz mnie. Jak ci się to udało? Kto ci pomógł?

- Nikt mi nie pomógł.

- To co, jesteś czarodziejem czy jak? Opowiadaj.

Oczywiście, że jej opowiedział. Głównie, dlatego przybiegł do niej z samego rana, że nie był w stanie dłużej zwlekać z przekazaniem jej tej wspaniałej wiadomości. Opowiedział ze szczegółami. Żeby dokładnie wiedziała, jakie to było z jego strony poświęcenie. Hę kosztowało go już samo wejście do gabinetu Pollaka-Schumachera.

Docent przyjął go łaskawie, w ogóle cały był samą łaskawością, żadnych krzyków, pouczeń i groźnych min, całego tego cyrku, jakiego można by się spodziewać po byłym zawodowym żołnierzu. Wszedł w skórę dostojnego krakowskiego profesora jak w stare kapcie. Dobroduszny dziadzio. Siwe włosy, starannie wymodelowane, twarz gładko wygolona, pachnący, mucha pod szyją. Przejrzał papiery Andrzeja, nawet udając zainteresowanie. Naprawdę interesowały go tylko dodatkowe dokumenty, które Andrzej przyniósł w białej kopercie. Docent Pollak-Schumacher był szeroko znany z tych zainteresowań.

- No cóż - odezwał dobrotliwie. - Zdaje się, że był pan nawet całkiem niezłym studentem. Marzec, co? Marzec. Jeden błąd i hop. Ale myślę, że od tego czasu pan to sobie wszystko przemyślał, prawda?

- Przemyślałem. Pomogła mi w tym służba wojskowa.

- Otóż to. Wojsko to niezastąpiona szkoła charakterów. Sam jestem żołnierzem. - Docent wyprężył się odruchowo. - To, co, zdecydował się pan służyć nadal ojczyźnie swoim talentem prawniczym?

- Tak jest.

- Chwali się. Ojczyzna potrzebuje oddanych jej prawników. Czy chciałby pan jeszcze coś dodać? - pomógł mu.

- Tak, mam tu jeszcze dodatkowe dokumenty - ocknął się Andrzej.

Kopertę z dolarami podał mu z takim uczuciem, jakby serce miało wyskoczyć mu gardłem. Pollak-Schumacher mógł przecież wyrzucić go na zbity pysk, wezwać milicję, zamknąć mu wstęp na uczelnię na wieki wieków. Ale bał się niepotrzebnie. Były bezkompromisowy sędzia Wojskowego Sądu Rejonowego wziął kopertę z taką naturalnością i dobrodusznym wdziękiem, jakby został poczęstowany dobrym amerykańskim papierosem. - Dobrze, przejrzę je później - mruknął i uśmiechnął się wyrozumiale. - No cóż, wszyscy popełniamy błędy, prawda? Ale później dorosłejemy, mądrzejemy i sami śmiejemy się z siebie, jacy byliśmy naiwni? Mam rację?

Andrzej uśmiechnął się do docenta. W tym momencie zaczął rozumieć, jak muszą się czuć prostytutki z dworca głównego.

- No tak, marzec, marzec. Niepotrzebna awantura, wroga robota, która na pewno się Polsce nie przysłużyła. Ale cóż wy, studenci, byliście winni? Okłamali was, zbałamucili, zmanipulowali. A po co to zrobili? O, na pewno nie w interesie Polski. Kiedy was ustawili przeciwko ludowi, was, będących elitą tego ludu, która powinna mu służyć, to na pewno nie było w interesie Polski. Ale cóż pan wtedy o tym wiedział, prawda? Dał się pan za pewne ponieść romantycznemu porywowi.

- Mnie tylko zgarnęli z ulicy - powiedział Andrzej.

- Ach, więc po prostu młodość, młodość, gorąca krew, która musiała się wyszumieć. Rozumiem, rozumiem, mnie też kiedyś podniecały gonitwy z sanacyjną policją. Drogo pan zapłacił za ten sport. Cóż, towarzysze ze straży robotniczej bywali często nadgorliwi. Mnie samego często napełniało to niesmakiem. Muszę panu zdradzić, że sercem byłem po stronie studentów. Kocham studentów - wyznał niespodziewanie.

Andrzej postanowił na samym początku, że nie da się ponieść emocjom. Powiedział sobie, że ma do załatwienia konkretną sprawę i tylko to się liczy. Powstrzymał się, więc przed pytaniem, czy docent kochał studentów, których powieszono w 1947 roku na mocy jego wyroku. I przed drugim, czy kochał także Wiktorię Kossakowską, której uniemożliwił studiowanie, skazując na spędzenie studenckich lat w Rawiczu. Nie spytał o nic, a nawet próbował robić wrażenie, że we wszystko wierzy. Siedział przed Pollakiem-Schumacherem, patrzył mu w oczy, słuchał jego gładzenia i uśmiechał się.

- No, ale widzę, że w wojsku pan wydorósł.

Bawiąc się kopertą, którą Andrzej mu dał, zajrzał do środka, niby to przypadkowo. Wyglądał na zadowolonego. Wyraźnie spodobał mu się kolor banknotów, który świadczył, że jego osoba traktowana jest poważnie i z szacunkiem.

- Tak, jest pan teraz całkiem innym człowiekiem. Ale zaraz, pana nazwisko wydaje mi się jakieś znajome.

No, pomyślał Andrzej, to koniec, przypomniał sobie. Teraz był już prawie pewny, że ma studia z głowy do końca życia. Ale Pollak-Schumacher nie skojarzył go wcale z napisem na murze Collegium Iuridicum, tylko z czymś zupełnie innym.

- Pan jest z Nowego Targu. Czy ktoś z pańskiej rodziny nie był przypadkiem w oddziale Ognia?

No, wrócił z daleka.

- Ma pan docent na myśli bandę Ognia?

- Och, w swoim gronie nie musimy bawić się w propagandę. Jesteśmy ludźmi inteligentnymi, prawda? Nie musi się pan mnie obawiać.

- Nie obawiam się.

- Więc co, dobrą mam pamięć?

- Bardzo dobrą.

- Oczywiście, nie mogło być inaczej. - Docent się uśmiechnął.

- To niechże mi pan powie, co tam u was mówią teraz o Ogniu?

Andrzej pomyślał, że nie musi się już tak bardzo podlizywać.

- Mówią, że walczył o prawdziwą Polskę Ludową.

- A widzi pan - Pollak-Schumacher zrobił ręką okrągły, profesorski gest, jak na wykładzie. - I bardzo słusznie mówią, bardzo słusznie. Chciał Polski dla Polaków, prawda? Kaprys historii pchnął nas przeciwko sobie. Albo może raczej perfidna intryga naszych wspólnych wrogów. A to był naprawdę niegłupi chłopak. Wprawdzie nie udało mu się zdać matury, ale jak to się wtedy mówiło, nie matura, lecz chęć szczerą, prawda? Miał wybitny, samorodny talent wojskowy. Poczuliśmy to na własnej skórze. Byłby z niego niezły generał. - Westchnął. - Szkoda, że zrobiliśmy z nim taki błąd.

Andrzej zdumiał się. W tej chwili Pollak-Schumacher wydawał się naprawdę szczerzy. - Tak, proszę pana, nic nie przesadzam. Kiedy zbieramy się czasem w gronie starych towarzyszy z tamtych lat, to wszyscy żałujemy, że tak daliśmy się zbałamucić jakimś złym duchem. Tak..... - Pokiwał głową do jakichś własnych wspomnień. - Mógłby z niego być wspaniały ludowy generał. Zrobiliśmy z nim wielki błąd.

- Chyba niejeden - mruknął ośmielony Andrzej.

- Jedne błędy pociągają za sobą następne - przyznał docent jakby sam sobie. - Wojna ma swoje prawa. To, co w czasach pokoju jest błędem, a nawet zbrodnią, na wojnie staje się zasługą.

- Nawet, jeśli płacą niewinni?

- Młody człowieku, zawsze płacą niewinni. Pan myśli, że mnie nie jest ich żal? Bardzo mi ich żal. I naszych, i tamtych. I nawet tych Żydów, co mieli pecha znaleźć się pod Obłazową.

Andrzej pomyślał, że te ostatnie słowa chyba wmówił docentowi telepatycznie.

- To też był błąd? - spytał.

Ale tego pytania jego rozmówca jakby nie usłyszał.

- Pewnie mówiono panu, że jestem antysemitą, ale niech pan w to nie wierzy. Niechby sobie żyli, niechby jechali w cholere do swojego Izraela. - Zamilkł na krótką chwilę, potem otrząsnął się. - Ale ktoś nie popełnia błędów, prawda? Prawda, panie słuchaczu trzeciego roku?

Andrzej miałby ochotę ciągnąć jeszcze tę rozmowę, ale Pollak-Schumacher nagle wstał, obszedł szybko biurko.

- Gratuluję i żegnam - powiedział, wyciągając rękę.

Andrzej odruchowo podał mu swoją.

- Dziękuję, panie pułkowniku.

- Jestem generałem brygady w stanie spoczynku - sprostował docent łagodnie. Odprowadził Andrzeja do drzwi, trzymając dłoń na jego ramieniu. Był to tylko pozór serdeczności. W rzeczywistości popychał go stanowczo, nie dając już szansy na dalszą rozmowę. Audiencja była skończona.

- A to skurwysyn - powiedziała Paulina, kręcąc głową.

- Gdyby był inny, nie byłbym teraz studentem.

- Jesteś niesamowity, słowo daję.

Wskoczyła mu z powrotem na kolana i przyssała się do niego na nieskończenie długą chwilę. Pomyślał ze zdumieniem, że chyba zdobył jej podziw. Kiedy wreszcie pozwoliła mu odetchnąć, spytał:

- I co, nie przeszkadza ci to?

- Co?

- Sposób, w jaki zdobyłem indeks.

- Ani trochę. Ciebie to dziwi?

- Jak ma mnie nie dziwić. Dopiero, co sama histeryzowałaś, że zdałaś przez protekcję, a kupienie indeksu cię nie razi?

- To zupełnie co innego.

- A co tu innego?

- Ty zrobiłeś to dla mnie, prawda?

Zdumiała go po raz kolejny. Nawet się nie zająknęła, że to przecież dla jego dobra. To ją różniło od innych znanych mu osób.

- No, chyba tak - przyznał.

Patrzył z bliska w te jej oczy bez dna. Zrozumiał, że Paulina Rajska naprawdę była jego Kapuletą. Bo kto inny?

- To co? - spytał. - Teraz już możemy się pobrać?

- Jeśli wciąż tego chcesz?

Popchnął ją łagodnie w stronę tapczanu.

- Nie tak prędko - powstrzymała go. - Najpierw szampan. Taka okazja wymaga, żebym ograbiła staruszkę z najcenniejszego eksponatu.

Chyba rzeczywiście była w wielkiej euforii. Nie liczyła się nawet ze zdrowiem doktora Rajskiego, bo w jej dłoni pojawiła się butelka z napisem Dom Perignon, a kiedy korek wystrzelił w sufit, wypili od razu wszystko bez żadnego szacunku,

prosto z szyjki. Potem zapomnieli się tak bardzo, że kiedy doktorowa Rajska wróciła z pracy, tapczan był wciąż rozbabrany, a na prześcieradle świeże ślady. Paulina wyszła właśnie z kąpieli w całkowitym neglizżu, Andrzej wciąż siedział w wannie i doktorowa nie mogła skorzystać z łazienki. Kiedy wreszcie wyłonił się stamtąd, w damskim szlafroku, z mokrymi, zmierzwionymi włosami, popatrzyła na niego, jakby był potworem.

- No co, mama? - powiedziała Paulina, w ogóle niespieszona. - Nie poznajesz Andrzeja? Oświadczył mi się, wiesz?

26

Amerikanin zniknął i nie pokazał się przez następne dwa dni. Zostawił na stole klucz i należność za czynsz, bez jednego słowa wyjaśnienia. Dolarów było tyle, że Andrzej prawie mógł już zwrócić dług ojczymowi. Zrobiło mu się głupio. Pomyślał, że Szafran mógł się obrazić, kiedy dowiedział się od ciotki Zuzanny, że wszystkie wspólne plany są nieważne. Andrzej nie chciał robić mu przykrości, ale snucie dalszych wspólnych projektów było już bez sensu. Miał teraz w głowie zupełnie, co innego. Znowu pojechał do Krakowa, zaszedł do księgarni naukowej przy Podwalu, kupił kilka nowych podręczników z dziedziny kryminologii i prawa karnego. Zagłębiał się w tej lekturze, kiedy tylko miał wolną chwilę. I może nie wydarzyłoby się już nic szczególnego, gdyby nie zechciał poszukać starych notatek z wykładów. W szafie z papierami wszystko było wymieszane; jego szpargały z tymi, które zostały po dziadku i po matce. Odruchowo zaczął przeglądać stare zeszyty matki, w których zapisywała jakieś swoje próby literackie i uwagi o przeczytanych książkach. W ten sposób natrafił na złożoną we czworo kartkę, zapisaną nie jej piśmem. Był to najwyraźniej krótki, niepodpisany list:

Nie wiem, dlaczego nie odpisujesz na moje listy. A może one wcale do Ciebie nie docierają? Jeśli otrzymałeś je i milczysz, jesteś chyba bez serca. Dlaczego nie chcesz dać mi znaku? Umarli nie wrócą, a żywi mają prawo choćby do jakichś okruczeń. Pomyśl, chociaż o chłopcu. Jeśli i ten list zostawisz bez odpowiedzi, więcej się nie odezwę. Resztę wiesz. Kartka była zapisana odręcznie, drukowanymi literami. Jakby jej autor bał się, że wpadnie w niepowołane ręce. Andrzej przetrząsnął teraz dokładnie wszystkie papiery, jakie zostały po matce, ale nic więcej nie znalazł. Telefon ciotki Zuzanny milczał, w jej pracy powiedzieli mu, że pani Bliska jest na zwolnieniu lekarskim. Tu poczuł rękę doktora Zawady. Ale ojczym też nie umiał powiedzieć, gdzie ciotka się podziała. Andrzej znów nie mógł znaleźć sobie miejsca. Głupia kartka papieru sprawiła, że na nowo zaczął czuć niepokój, który męczył go przez cały czas, kiedy wiał halny.

Wracając z pracy, na ławce przed ratuszem już z daleka zobaczył Marysię. Zrobiło mu się przykro. Pomyślał, że jeszcze z tego musi się wyplątać i nie było to przyjemne zadanie. Zdażył ją już polubić i te raz czuł się głupio. Patrzyła na niego mokrymi, zranionymi oczami. Jej piękne piersi prawie rozsadzały białą, zapinaną na

guziki bluzkę. Przez chwilę pomyślał, że szkoda, ale nie można mieć wszystkiego. Nie wiedział, co powiedzieć i odezwał się beznadziejnie:

- Fajnie, że jesteś. Co u ciebie? Wpadniesz do mnie?

- Co ty sobie właściwie wyobrazasz? Że kto ja jestem? Ścierka?

- O co ci chodzi?

- Jak ty mnie traktujesz? Myślisz, że jestem na twoje zawołanie, kiedy tobie się podoba?

- Wszystko ci wytłumaczę - powiedział. - Chyba możemy porozmawiać spokojnie? - A co tu tłumaczyć?

- Po prostu się pomyliłaś. Nie mam sumienia tego wykorzystywać.

- Ja się pomyliłam? To ty się pomyliłeś, jeśli ci się zdaje, że jestem taka głupia. Sam jesteś idiota, jeśli myślisz, że ta panna zarozumiała za ciebie wyjdzie. Nigdy w życiu.

- Kiedyś przyznasz mi rację. Zrozumiesz, że nie byłoby ci ze mną dobrze - brnęła. - Nie wysilaj się tak - powiedziała. - Nie myśl sobie, że oczy za tobą wypłacę. Tylko, dlaczego mnie tak oszukałeś? Mogłeś przynajmniej nie robić cyrku przed moimi rodzicami. Po co było to gadanie, że łąka ma być zapisana na ciebie?

- Przecież z tym jeszcze nic nie wiadomo - płątał się i nie miał pojęcia, jak się wypłatać.

- Jak nie wiadomo, kiedy już ją kupił na twoją ciotkę? Chyba nie z twoją ciotką spałam, tylko z tobą, co? Nie wierzył własnym uszom.

- Co ty opowiadasz? - Przynajmniej byś nie udawał - spojrzała na niego z obrzydzeniem. - Byli dziś z moim ojcem u rejenta i spisali papiery. Potem ten z Ameryki i twoja ciotka pojechali na Biały Potok.

Czuł się coraz bardziej oszołomiony i zdradzony po raz któryś z kolei.

Chwycił ją za ramię.

- Widziałaś?

- Puszczaj, kretynie, złap się drzewa, nie mnie. Pewnie, że widziałam. Wsiedli w srebrne amerykańskie auto i pojechali. Wieźli się jak jacyś narzeczeni.

Nie myślał już o Marysi. Bez słowa, jak ostatni drań, zostawił ją samą na ławce pod ratuszem i pobiegł do bramy. Nie zajrzał nawet do mieszkania. Otworzył komórkę i wyprowadził motor. Jego jawa 350, jak zwykle, czekała na niego z pełnym bakiem. Popędził na skróty bocznymi drogami przez Czarny Dunajec.

Podejrzewał, że Zuzanna z Amerykaninem nie pojechali oglądać łąki, która przecież nie zmieniła się przez tydzień. Był prawie pewny, że zabrała obcego do swego szałas. Jeszcze ponad dwadzieścia starych szałasów przetrwało przy drodze biegnącej przez polanę Biały Potok. Większość z nich, jak przez stulecia, wciąż służyła pasterzom. Ale niektóre kupili ludzie z miasta, tęskniący do dzikiego życia. Jeden z nich, przedostatni od strony lasu, Zuzanna Bliska wydzierżawiła przed laty od starego górala z Bystrego, którego zmógł reumatyzm. Kiedyś była to ich kryjówka, Zuzanny i jego. Jeszcze dwa dni wcześniej Andrzej nie widziałby pewnie nic złego w tym, że ciotka znalazła wreszcie swego mężczyznę. Ale kartka, na którą trafił w papierach po matce, wszystko zmieniła. Coś naprawdę działo się wokół

niego. Coś, czego nie rozumiał, nie chciał i czego chyba trochę się bał. I teraz fakt, że ciotka za szyla się razem z tym Szafranem w ich dawnej kryjówce, po prostu go rozwścieczył. Już z szosy zobaczył pod lasem srebrzysty samochód, do połowy schowany między szałasami, ale błyszczący w przezierającym zza chmur słońcu. Z daleka poznał, że to ford mustang, marzenie wszystkich chłopców. Jego też, od dawna. Wpadł na polną drogę z pełną szybkością, aż motocyklem zaczęło rzucać na dziurach. Dopadłby ich w szałasie, gdyby drogi nie zagradało stado baranów. Nie przestraszyły się motocykla i musiał stracić dużo czasu. Zanim przebił się przez kłębowisko beczących i pobrzękujących dzwoneczkami zwierząt, srebrny mustang ruszył. Nie wiedział, czy był to przypadek, czy jakimś cudem wyczuli go. Może ciotka rozpoznała z daleka jego szałowy błękitny kask, jakiego wtedy po za nim nie miał nikt w całej okolicy.

Tamci jechali pod lasem, do asfaltu mieli dużo bliżej. Chciał przeciąć im drogę na przełaj przez łąkę i to był błąd. Zapomniał w zdenerwowaniu, że na środku polany jest mokradło i gdyby w ostatniej chwili nie wrócił mu rozsądek, musieliby go z błota wyciągać końmi. Oni odskoczyli tymczasem niezły kawałek.

Już myślał, że mu uciekli. I na prostym odcinku z pewnością tak by się stało, ale na krętej i zatłoczonej szosie przez Kościelisko mustang nie mógł wykorzystać nawet połowy swoich możliwości. Andrzej bez większej nadziei kręcił się po ulicach Zakopanego, kiedy ze skrzyżowania przy cementarzu dojrzał srebrny błysk w perspektywie ulicy 1 Maja. Teraz już go nie puścił. Kiedy wyjechali na szosę do Łysej Polany, siedział mustangowi twardo na ogonie, choć nie za blisko. Pomyślał, że gdyby wybierali się na zagraniczną wycieczkę, i tak dopadnie ich przy kontroli paszportowej. W gruncie rzeczy nie wiedział, po co to robi, nie miał czasu o tym pomyśleć. Ale mustang nie pojechał w stronę granicy. W Brzezinach odskoczył niespodziewanie w boczną drogę przez las, srebrna karoseria błysnęła Andrzejowi w ostatniej chwili między drzewami.

W lesie asfalt był jeszcze mokry i zapaprany rozjeżdżonym końskim gnojem. To zgubiło Amerykanina. Nie wiadomo, czy w zdenerwowaniu nie zauważył niebezpieczeństwa, czy za bardzo wierzył swojej maszynie. Andrzej nie widział, jak mustang wyleciał z zakrętu. Usłyszał tylko łoskot gruchotanej blachy. Uważał się zawsze za odpornego, ale kiedy zbiegał przez las do miejsca, gdzie samochód zatrzymał się na drzewie, nogi mu miękły. Z największym wysiłkiem wziął się w garść. Amerykanin nie żył. Miał przetrącony kark, wystarczyło popatrzeć. Zuzanna Bliska siedziała przypięta pasem do fotela i się trzęsła. Kiedy otworzył drzwiczki, usłyszał, jak dzwonią jej zęby. Oswobodził ją z pasa i siłą wyciągnął na zewnątrz. Upadłaby na ziemię, gdyby jej mocno nie trzymał.

- Dlaczego przede mną uciekał? - spytał. - Dlaczego?

- Wpadł w panikę.... - Ledwo mówiła przez te dzwoniące zęby. - Nie chciał, żebyś sobie pomyślał Bóg wie, co. Tak mu na tobie zależało.

Andrzej popatrzył jeszcze raz na głowę Amerykanina, dziwnie przekrzywioną, jak u martwego koguta. Okulary spadły mu przy uderzeniu.

Wydawał się jakiś nienormalnie mały. - Mors et fuacem psrsequiur virum - powiedział Andrzej bezwiednie.

Dużo później zdał sobie sprawę, że musiało to zabrzmieć okropnie w tej sytuacji, ale Zuzanna i tak nie zwracała na nic uwagi. Przywarła do niego rozpaczliwie. Chciał ją pogłaskać po włosach i wtedy zobaczył w nich strzępki siana. Znowu poczuł dławiące uczucie żalu.

- Poszłaś z nim do naszego szałasu - powiedział z wyrzutem. - Przynajmniej wiedziałaś już wcześniej, kto to? Czy dopiero tam się dowiedziałas?

- Boże, on jakby coś przeczuwał, jakby wiedział - odezwała się głosem nieprzytomnym, ale już bardziej normalnym. - Tak się śpieszył. Jakby czuł, że nie ma wiele czasu. Kiedy ty nie chciałaś, zapisał tę łakę na mnie. I auto. I pieniądze. Ale wszystko jest twoje.

- A na co mi jego łaka. Powiedz mi tylko wreszcie, kto to był? To mi wystarczy.

- Nie wiem - powiedziała tym samym, jakby nieswoim głosem.

- Nie wiesz? Teraz też go nie poznałaś? Chcesz mi to wmówić?

- Jędreku, daj mi spokój, nie dręcz mnie - jęczała, czepiając się go kurczowo.

- Na miłość boską - powiedział przez zęby, ściskając jej ramiona. - Nie okłamuj mnie przynajmniej teraz.

- Nie wiem, Jędreku, uwierz mi, nie wiem, ja nic nie wiem. Przysięgam ci, że nic nie wiem.

Zrozumiał, że to na nic. Aż przestraszył się o nią. Uświadomił sobie, że zachowuje się jak kretyn, jak histeryk, a ona pewnie jest w szoku. I w tej chwili uspokoił się.

Nagle jakby wszystko z niego opadło.

- A ja wiem - powiedział. - To był nikt. Po prostu nikt. Sam mi to powiedział. Pozwolił jej przytulić się, jak kiedyś. Ale teraz miało to całkiem inne znaczenie. Po prostu była jego kochającą ciotką. Jedyłą bliską osobą z rodziny. I właśnie chciał przedstawić jej swoją narzeczoną. Przecież tak jej na tym zależało. Spytał łagodnie:

- Możesz jechać?

Kiwnęła głową. Wyglądała już lepiej, nie była taka zielona, jak jeszcze przed chwilą. Podprowadził ją do motocykla, posadził na siodełku i sam zaplótł jej dłonie na swoim brzuchu. Potem jechał tak ostrożnie, jak tylko umiał.

Zatrzymał się na Cyrhli, przed Siedmioma Kotami. Wszedł do restauracji i poprosił o telefon. Wykręcił dwie dziewiątki i siódmkę. Głos w słuchawce przedstawił się jako oficer dyżurny jakiś tam. Andrzej powiedział mu, że w lesie obok drogi do Murzasichla leży rozwalony srebrny mustang z trupem w środku.

- A wy, kto jesteście? - zapytał głos.

- Sam chciałbym to wiedzieć - powiedział.

- Słuchajcie, bez głupich żartów - zawołał głos ze złością. - Wasze nazwisko! Andrzej odłożył słuchawkę i wyszedł.

Po latach (wrzesień 2000)

Ta historia mogła skończyć się właśnie tak. I tak by się skończyła, gdyby samochód prowadzony przez Steyena Safrana uderzył w drzewo z większą siłą. Uważałem, więc, że miałem prawo dać jej takie zakończenie, kiedy napisałem ją po raz pierwszy. Teraz, kiedy na lotnisku w Balicach czekałem na Paulę Rajską, miałem dużo czasu, żeby wszystko przypomnieć sobie i przemyśleć od nowa. Samolot z Zurychu, którym miała przylecieć, spóźniał się z jakiegoś powodu już trzy godziny, a ja nawet nie byłem w stanie czytać gazety. Mogłem tylko myśleć.

Obiecałem sobie, że nigdy nie wrócę do historii Andrzeja Kurniawy. Zbyt wiele kosztowała mnie ona kiedyś nerwów, niespełnionych nadziei i upokorzeń. Przed laty, kiedy dowiedziałem się, że Andrzej wyjechał do Ameryki, napisałem o nim długie opowiadanie, które po wielu perypetiach opublikował jeden z ukazujących się wówczas miesięczników literackich.

W tym czasie nie mieszkalem już w Krakowie. Wyjechałem stąd na prawie dwadzieścia lat. Zajął mnie inne sprawy, w innym mieście. Zatrudniła mnie tam bez dyplomu redakcja podrzędnej gazety, umożliwiając równocześnie dokończenie studiów. Moje kontakty z Andrzejem Kurniawą urwały się zupełnie. Żaden z nas nie próbował nawiązać ich od nowa. Wiedziałem tylko, że studiował znów na wydziale prawa i miał przed sobą zupełnie nowe nadzieje.

Więcej wiadomości docierało do mnie na temat Pauliny Rajskej. Jej nazwisko coraz częściej pojawiało się w czasopiśmie. Szybko spełniła swe największe marzenie z czasu pamiętnych wakacji w Nowym Targu i z międzynarodową brygadą pracy wyjechała na Kubę. W jednym z tygodników natrafiłem na cykl jej reportaży z tej, jak się wtedy mówiło, wyspy wolności. Przebijało z nich tajone rozczarowanie.

Później spotkałem Paulę jeszcze raz, na jakiejś imprezie w klubie reporterów. Jej uroda wciąż zbijała z nóg. Nawet ucieszyła się z naszego spotkania i w miłej atmosferze wypiliśmy parę wódek. Ale była wtedy wschodzącą gwiazdą, otoczoną takim rojem facetów, gotowych pomagać jej w karierze, że ciężko było zamienić z nią choćby dwa zdania bez świadków. Toteż nawet nie próbowałem. Spytałem ją tylko mimochodem przy bufecie, czy już wyszła za Andrzeja Kurniawę. Pokazała mi swoje piękne zęby w trochę niepewnym uśmiechu i odpowiedziała wymijająco:

- Wciąż jestem do wzięcia.

Niedługo potem ktoś powiedział mi, że nie wróciła z Ameryki. Minęło kilka miesięcy i dowiedziałem się, że także Andrzej, nie obroniwszy pracy magisterskiej, wyjechał do Stanów. Byłem przekonany, że pojechał tam za nią i razem zostali za oceanem na zawsze. Wtedy właśnie uznałem, że mogę już opisać wszystko, co wydarzyło się latem 1971 roku. Długo nie mogłem znaleźć nikogo, kto zechciałby wydrukować moje opowiadanie. To, że w końcu opublikował je ów miesięcznik, zawdzięczałem chwili słabości poety, który był wówczas jego redaktorem naczelnym, a z którym upiłem się pewnej nocy w Budapeszcie. Pojechaliliśmy tam obaj na kongres czasopism młodoliterackich Europy Wschodniej. Atmosfera w knajpie była gorąca, podpici Węgrzy śpiewali

Elyen a Magyar szabatsag,
elyen a haza.....

[Niech żyją wolne Węgry, niech żyje ojczyzna.]

i dla wszystkich było jasne, przeciw jakiej niewoli były naprawdę skierowane słowa tej starej piosenki z czasów powstania Lajosa Kossutha. Wszyscy, kilkanaście osób z różnych krajów bloku sowieckiego, żaliliśmy się sobie nawzajem na nasz pieski los, na knebel w ustach i niemożność wykrzyczenia prawdy. W naszym gronie było przynajmniej dwóch informatorów KGB, ale ta świadomość podkreślała nas jeszcze bardziej, każdy następny kieliszek czereśniowej palinki wywoływał potoki coraz ostrzejszych słów. Wreszcie Jerzy odezwał się z determinacją w głosie:

- Trzeba coś zrobić. Nie możemy być jak te barany. Puszczę ci to opowiadanie o chłopcu, którego ojciec był partyzantem Ognia.

Później trochę z tym zwlekał, ale kiedy zaczął przeczuwać, że i tak wyleci, puścił mój tekst w całości i nawet walczył o niego z cenzurą. Opowieść o Andrzeju Kurniawie nie spodobała się nikomu. Ani wrogom Ognia, ani ludziom pielęgnującym w sercach jego legendę. Ani Żydom, ani antysemitom. W Wydziale Kultury KC PZPR Jerzy został zmieszany z błotem, a na antenie Wolnej Europy ktoś powiedział, że motywy napisania i opublikowania tego utworu są podejrzane. To mnie jeszcze nie zniechęciło. Pomyślałem, że widocznie nadałem mojej historii nie dość dobrą formę, nie umiałem dostatecznie jasno przekazać intencji. Prze dyskutowałem kilka godzin z doktorem Boryczką. W Nowym Targu odwiedziłem izbę pamięci doktora Zawady, który stał się prawdziwym fanatykiem dziejów Ognia i wzbogacił moją wiedzę o kilka istotnych szczegółów. Potem rozbudowałem tekst, dodałem niektóre wątki i złożyłem w wydawnictwie jako propozycję książki. Recenzenci skopali mnie. Razem z odmową wydania mojej powieści wydawnictwo przesłało mi ich oceny. Pierwsza, na pisana z pozycji partyjnego betonu, niegodna jest wzmianki. Tą wcale się nie przejąłem. Ale druga sprawiła, że ręce mi opadły. Jej autor przyznawał, że przeczytał maszynopis jednym tchem. Ale już w następnym zdaniu dodawał:

Tym gorzej! Zgrabnie sklecona fabuła wciąga czytelnika w intelektualną i moralną pułapkę. Autor od samego początku roztacza przed nami tajemnicę. Mnoży zagadki: Kim jest tajemniczy przybysz? Wawrzyńcem Kurniawą czy jego zabójcą? A może jeszcze kimś zupełnie innym? Kto wymordował Żydów, uciekających z Polski przed antysemityzmem, panującym zarówno w kręgach władzy, jak i wśród rzekomych obrońców niepodległości? Czyim synem jest naprawdę Andrzej Kurniawa, „leśnego bandyty” czy ubeka?

Autor potęguje napięcie i atmosferę niejasności, pobudzając ciekawość czytelnika do granicy bólu. I cóż się okazuje? Ano, okazuje się, że czyni tak tylko po to, by na końcu odmówić odpowiedzi na postawione pytania. Jest to zabieg haniebny! (to zdanie zostało podkreślone dwa razy). Cóż to, bowiem może oznaczać? Że między mordercą i jego ofiarą można postawić znak równości? Że jest w gruncie rzeczy obojętne, która z walczących stron morduje niewinnych ludzi i dlaczego? Tak myśleć i pisać nie wolno!

Uświadomiłem sobie, że podobnie, jak ów recenzent, może pomyśleć większość czytelników. Nie chciało mi się nawet nikomu niczego wyjaśniać. W pierwszym odruchu wziąłem teczkę z maszynopisem pod pachę, wyniosłem na podwórko i wrzuciłem do kubła. Potem zrobiło mi się żal i miałem ochotę wyciągnąć je z powrotem ze śmieci. Ale zawzięłem się i nie uległem słabości, aż w końcu przyjechali śmieciarze. Zostały mi tylko odręczne szkice i tekst opublikowany w nieistniejącym już miesięczniku. Powiedziałem sobie, że to tylko na pamiątkę po kumplu, którego kiedyś miałem. I że nigdy więcej! Ale wciąż gryzłem się, że może jednak czegoś nie dopatrzyłem, coś ważnego przeoczyłem. Postanowiłem, więc, że jeszcze tylko raz spotkam się z Zuzanną Bliską, Nie po to, żeby znów coś pisać. Tylko dla spokoju sumienia.

Umówiła się ze mną w Zakopanem, w kawiarni Kmicic, mieszczącej się w ładnej drewnianej willi, po której dziś nie został nawet ślad. Wtedy był to jeden z najmodniejszych lokali w mieście; na ścianach wisiały tatrzańskie pejzaże, a jakiś człowiek grał na fortepianie stare przeboje. Zuzanna Bliska, wówczas już pani dobrze po pięćdziesiątce, nie utraciła jeszcze swego blasku. Skromny kostium opinał wciąż zgrabne ciało, a włosy nadal opadały na ramiona, może tylko były lekko rozjaśnione. Na jej twarzy zachował się ten wyraz rozmarzonej, nieco sennej pogody, który tak zdumiewał u osoby z jej życiorysem. Potrafiłem zrozumieć Andrzeja bardzo dobrze. Kiedy zamówiłem tokaj, uśmiechnęła się trochę kpiąco.

- To miłe, że ktoś jeszcze pamięta, co lubię - powiedziała, jakby chciała mnie w ten sposób ośmielić, dać do zrozumienia, iż ma świadomość, że wiem wszystko o niej i Andrzeju Kurniawie.

Ale mnie wciąż trudno było zacząć, wypytywać ją, ciągnąć za język. Jakoś nie mogłem jej powiedzieć, że robię to z czysto osobistych pobudek. Mogłaby jeszcze pomyśleć, że kieruje mną niezdrowa ciekawość. Skłamałem, więc, że chcę od nowa napisać historię Andrzeja i szukam faktów, które mogłyby ją uzupełnić. Trochę się przy tym jękałem i chyba czerwieniłem. Bliska zrozumiała mnie opacznie.

- No cóż - powiedziała. - To, że miałam romans z Andrzejem, jest publiczną tajemnicą. Nie chwalebę się tym specjalnie, ale też nie ukrywam. Było, jak było. Zresztą, to stara historia. Jeśli zgrzeszyliśmy, to już odbyliśmy naszą pokutę. Niech pan pisze, jeśli to panu do czegoś potrzebne.

- Pani Zuzanno - powiedziałem cicho. - Ja chciałem zapytać, kto to był Steven Safran. Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem. Podniosła kieliszek do ust, wypijała mały łyk, odstawiła, chwilę patrzyła w bok, na pianistę, grającego akurat „Tango nocturno”. Potem pochyliła się nagle ku mnie i chwyciła mnie za rękę swoją ciepłą, suchą dłonią. Patrzyła mi prosto w oczy.

- Miły młody panie - powiedziała. - Steven Safran to był Steven Safran. Nikt inny. Andrzej wciąż szukał dowodów na coś, co było tylko jego pragnieniem.

Milczałem. Dalsze pytania były bez sensu. Dała mi to wyraźnie do zrozumienia, tonem głosu i spojrzeniem. Musiała jednak zrozumieć, jaki byłem zawiedziony. I jakby chciała trochę mi to osłodzić, sama zaczęła opowiadać, co naprawdę wydarzyło się, kiedy srebrny mustang uderzył w drzewo na szosie, do

Murzasihla. Powiedziała, że do wypadku doszło wcale nie dlatego, że jechali zbyt szybko. Prawdziwy powód był taki, że Amerykanin zasłabł za kierownicą. Musiał zdawać sobie sprawę, co się dzieje, bo zaczął hamować, ale nie zdołał już opanować samochodu, zanim zemdłał. Andrzej rzeczywiście z początku myślał, że Szafran nie żyje. Dopiero, kiedy przyjechało pogotowie, okazało się, że obrażenia nie były groźne, a utratę przytomności spowodował atak serca. Szafran, mimo iż udawał niezniszczalnego komandosa, miał kłopoty z krążeniem już od dłuższego czasu. I doskonale o tym wiedział.

Po tygodniowej kuracji w klinice kardiologicznej w Krakowie odleciał do Ameryki. Zuzanna Bliska podążyła za nim jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Zmarł dwa lata później, po następnym ataku. Była z nim do końca.

- Widzi pan - powiedziała - Stefan po śmierci żony i córki czuł się bardzo samotny. Okazało się, że nie ma, komu zostawić tego, co z takim trudem zdobył. A Wawrzek uratował mu kiedyś życie, umożliwił ucieczkę za granicę. Pomyślał, że może teraz spłacić dług. I to cała tajemnica.

Patrzyła na mnie wzrokiem pełnym życzliwości, jakby chciała mi pomóc, ale nie mogła.

- Czytałam pana opowiadanie - powiedziała. - Niech pan się nie przejmuję. Goni pan cień, więc niech pan nie słucha, kiedy mówią, że go pan nie złapał. Ja też kiedyś chciałam wiedzieć. Przecież ja ich wszystkich znałam nie tylko z opowiadań. Ja jeszcze dziś widzę ich jak żywych. Wawrzka, Jasia Sokolnickiego, Wikte, Jakubka Zuckerberga, wszystkich. Też chciałam wiedzieć, co się stało. Boże, jak bardzo chciałam. Ale już się pogodziłam z tym, że nie dowiem się nigdy. Może są tylko same kłamstwa?

- To nie jest dobre zakończenie - mruknąłem.

- A, na to już panu nic nie poradzę - powiedziała i uśmiechnęła się.

Patrzyłem na nią i nie mogłem się zdecydować, czy mówiła prawdę, czy chciała mnie tylko uspokoić albo uprzejmie zbyć. Jej oczy były nieprzeniknione. Prosiła, żebym jej nie odprowadzał. Patrzyłem chwilę za nią, kiedy odchodziła przez przysypany śniegiem park. Więcej jej nie zobaczyłem. Był początek grudnia 1981 roku, tydzień później został ogłoszony stan wojenny. Teraz tym bardziej nie było sposobu, żeby nawiązać kontakt w Ameryce z Andrzejem Kurniawą. Na jego temat Zuzanna Biliska nie powiedziała mi prawie nic. Tylko tyle, że przyjechał do Stanów dopiero po śmierci Szafrana. Ani słowa więcej. Andrzej podobno nie życzył sobie tego. Zabronił jej także, by komukolwiek zdradzała jego adres. Od tej ostatniej rozmowy z ciotką Andrzeja minęło prawie dwadzieścia lat, runęła epoka, mapa Europy zmieniła się nie do poznania, a ja po prostu czekałem na Paulinę Rajską na lotnisku w Balicach. Zaczęło mi się to wydawać zupełnie nieprawdopodobne, kiedy samolot z Zurychu wreszcie wylądował. Pasażerów było niewiele i całkiem niepotrzebnie kazałem ogłosić komunikat, że pani Paula Yadir z Nowego Jorku jest proszona do informacji. Wcześniej bałem się, że jeśli Paula jest teraz grubą kobietą z rudymi, kręconymi włosami, to mogę strzelić jakieś głupstwo. Ale poznałem ją od razu. Jej włosy były wciąż czarne i proste i jak dawniej okalały szczupłą twarz. Szła

ku mnie, ciągnąc prawą ręką walizkę na kółkach. Lewą zarzuciła mi na szyję i przyłgnęła do mnie policzkiem. Zaskoczyła mnie tym zupełnie. Trzydzieści lat wcześniej nigdy nie obdarzyła mnie podobną pieśczęcią. Wtedy chyba bym od tego skonał. Teraz nie wiedziałem, jak się zachować.

- Witaj w domu - powiedziałem w końcu.

- Nie mów tak, bo się rozplaczę - odpowiedziała i w następnej chwili rzeczywiście się rozplakała.

Pomyślałem, że naprawdę palnąłem głupstwo. Z bliska Paula Yadir już dużo mniej przypominała tamtą Paulinę Rajską sprzed lat. I widziało się, że jej dom jest zupełnie gdzie indziej. Z początku było trochę niezręcznie. Po niewczesnym wybuchu czułości na początku teraz byliśmy oboje speszeni. Zaprowadziłem ją do mojego samochodu, wsiedliśmy, zapuściłem już silnik, a ona wciąż nic nie mówiła. Wreszcie spytałem:

- To co, gdzie cię podrzucić? Masz jakiś hotel zarezerwowany czy co?

- Możemy pojechać do Nowego Targu? - spytała cicho.

Nie powiem, żeby mnie nie zaskoczyła. Ale to był chociaż jakiś konkretny i pięć minut później sunęliśmy już autostradą w stronę skrzyżowania z szosą zakopiańską.

- Przepraszam, miałeś pewnie jakieś swoje plany? - odezwała się niepewnie.

- Paula Rajska nie przyjeżdża co dzień - odpowiedziałem.

Na szczęście przewidziałem, że moje plany mogą ulec zmianom. Do Myślenic prawie nie odzywaliśmy się do siebie. Dopiero, kiedy wjechaliśmy w dolinę Raby, Paulina westchnęła:

- Jak tu pięknie.

- Piękniej niż w Kalifornii?

Odwróciła szybko głowę. Patrzyła na mnie ze zdumieniem.

- Dlaczego w Kalifornii?

- Nie mieszkałaś tam z Andrzejem?

- O Boże, to ty nie wiesz, że ja w końcu nie wyszłam za niego?

- A skąd miałbym wiedzieć? - Nie byłem zdziwiony, ale jeszcze bardziej skołowany. - Rzeczywiście. No, więc nic nie wyszło z tej naszej wielkiej miłości. Choć staraliśmy się oboje. Próbowaliśmy od nowa jeszcze w Ameryce. Ale widocznie nie byliśmy dla siebie. On się ze mną męczył.

- A ty z nim.

- No tak, a ja z nim. On chciał mnie przerobić na swoje kopyto, a ja jego po swojemu. To się nie mogło udać. Szkoda, bo to mnie tak walnęło, że ledwo się pozbierałam. Wszyscy myśleli, że to on mnie bardziej kochał, bo tak za mną gonił. Dla mnie wrócił na te swoje nieszczęsne studia, których tak nie znosił. Boże, zmusiłam go, żeby studiował komunistyczne prawo. On! Ale to nieprawda, że ja go mniej kochałam. Przecież widziałeś, byłeś przy tym. Pamiętasz?

- Pamiętam. I szczerze mówiąc, nie mogłem zrozumieć, co ci się stało.

- Kurczę, jak to co? Zakochałam się.

Potem rozgadała się, ale unikała już mówienia o Andrzeju. Opowiadała za to dużo o sobie i swojej rodzinie, co też było dla mnie ciekawe. Po rozstaniu z

Andrzejem miała dłuższy okres, jak się wyraziła, robienia głupstw. Utrzymywała się jakoś na powierzchni, pisząc do różnych gazet, głównie polskich, bo jej angielski był wciąż za bardzo sztywny. Wszystko się zmieniło, kiedy poznała Eliego Yadira, swego późniejszego męża. Był Żydem, przyjechał z Izraela kilka lat przed nią. Miał za sobą udział w wojnie na Synaju i ugruntowaną już pozycję na nowojorskim rynku prasowym. Wciągnął ją do poważnego dziennika, gdzie wkrótce wyrobiła sobie markę znawczynie spraw polsko-żydowskich. Kiedy dzieci szły do szkoły, udało jej się ściągnąć do Stanów swoich rodziców. Przez jakiś czas wszystko układało się wspaniale.

- Ale wiesz - powiedziała - nie byłabym sobą, gdybym w końcu czegoś nie namotała. Przyszedł czas, kiedy za utrzymanie pozycji w gazecie trzeba było zapłacić wyborem. Były już lata 90. Przyjechała kilka razy do Polski, żeby pisać o pierwszych wyborach prezydenckich, które wygrał Wałęsa, o rządach Solidarności i wyprowadzeniu wojsk radzieckich. Nawet nie spytałem, dlaczego nie odezwała się do mnie już wtedy. Po co miałem stawiać ją w niezręcznej sytuacji. Widocznie nie czuła jeszcze takiej potrzeby.

Jej reportaże z Polski bardzo chwalono za kompetencję i obiektywizm. Było w porządku, dopóki do Oświęcimia nie przyjechał z Nowego Jorku rabin Weiss i nie zaczęła się awantura o usunięcie siostr karmelitanek z terenu obozu Auschwitz. Teraz obiektywizm nie był już dobrze widziany. Pauli dano do zrozumienia, że jeśli chce utrzymać dotychczasową pozycję, musi się jednoznacznie opowiedzieć. Odmówiła.

- Powiedziałam: O, nie! Beze mnie. Nie będę wybierać między fanatykami obrzezanymi i nieobrzezаныmi.

Odeszła. Jej wartość na giełdzie dziennikarskiej była już taka, że bez trudu znalazła inną pracę. Ale zniszczyła swoje małżeństwo.

- Wiesz, on nawet próbował udawać, że to między nami niczego nie zmienia, ale już nie pożyliśmy razem długo. Zachowałam nazwisko, bo ma wartość rynkową, a poza tym, wiesz, dzieci. Na szczęście moje córki są rozsądne. Dużo rozsądniejsze niż ich mama. - Zaśmiała się swoim nerwowym śmiechem.

- Sądziłem, że nie ułożyło ci się z Andrzejem, bo za mocno chciałaś wrócić do swoich korzeni - powiedziałem nieostroźnie.

- Do jakich korzeni? - Odwróciła głowę w moją stronę, otwierając szeroko oczy. Zorientowała się dopiero po chwili. - Ach, ty o tym! Słusznie, skąd możesz wiedzieć. Więc widzisz, kiedy mój tata przyjechał do Ameryki, nie wytrzymałam i zrobiłam nam testy DNA. Oczywiście on o tym nic nie wiedział. No i wyszło, że jestem na sto procent córką doktora. To znaczy, biologiczną. Zabawne, co?

Rzeczywiście, mnie też to wszystko już się całkiem mieszało.

- Byłaś zawiedziona? - spytałem.

- Ani tak, ani nie. Wiesz, to chyba jest tak, że te tak zwane korzenie nie są w gruncie rzeczy takie ważne. Jesteś taki, jakim siebie wymyślisz.

Wjeżdżaliśmy już w uliczki Nowego Targu. Auto postawiłem na rynku, który był teraz wielkim parkingiem. Paulina Rajska wzięła mnie pod rękę i obesłaliśmy plac

dookoła. Niby wszystko wyglądało podobnie, ale nic nie było tak samo. Od ponad dwudziestu lat nie odwiedziłem tego miasta ani razu. Choć leży tak blisko Krakowa, robiłem wszystko, żeby je omijać. Jeżdżąc do Zakopanego, nie zbaczałem nigdy z obwodnicy, nawet nie odwracałem w bok głowy.

Historią Ognia zupełnie przestałem się interesować, choć kilka razy namawiano mnie, żebym do niej wrócił. Moją książkę historyczną napisał w końcu, kto inny. Ale i jemu nie udało się rozwikłać najważniejszych tajemnic. Do dziś nie wiadomo, z czyjej ręki zginęli Żydzi pod Obłazową. W roku 1947 został o to oskarżony niejaki Śmiały, który przez kilka miesięcy po śmierci Góra la dowodził resztką jego ludzi. Skazano go, ale za inne winy. Od tego jednego zarzutu sąd go uwolnił.

Na rynku w Nowym Targu wszystko teraz zdawało mi się obce. Podhalanki nie było. W lokalu tym mieścił się teraz sklep odzieżowy. Nowa restauracja pojawiła się za to w dawnym hotelu Herszowica. Kamienica Zuckerbergów zachowała niezmienną fasadę, ale poza tym wszystko było inne. Paulina długo stała przed bramą i wpatrywała się w okna na pierwszym piętrze.

- Niby to samo, a dusza uciekła - powiedziała.

Do mieszkania Salomona Zuckerberga, w którym Andrzej Kurniawa urodził się i spędził połowę życia, wprowadziły się biura jakiegoś banku. Podwórko też było nie do poznania. Znikły komórki, gdzie były milicjant Chowaniec prowadził warsztat ślusarski, jego żona hodowała króliki, Andrzej zaś trzymał swoją jawę 350. W tym miejscu zostało dobudowane podłużne skrzydło, w którym urządzono sklep z artykułami gospodarstwa domowego.

Podobnie było wszędzie naokoło. Tylko drewniane ściany kościoła Świętej Katarzyny i gonty na jego stromym dachu nie zmieniły się od dwustu lat. Paula wciągnęła mnie na chwilę do środka. Jakaś stara kobieta przyglądała się nam ciekawie z ławki przed głównym ołtarzem. Dopiero, kiedy wyszliśmy, Paula przypomniała sobie:

- Boże, to była moja nauczycielka angielskiego. Nie poznałam jej.

Nie znaleźliśmy żadnego miejsca, w którym mielibyśmy ochotę usiąść i pogadać. - Jedźmy stąd - powiedziała Paula. - Nikt nie woła.

Zawiozłem ją do Kir, do Hamasia. Tu było jeszcze prawie jak dawniej, choć w ogródku były po oczach tandetne reklamowe parasole pepsi-coli i piwa Żywiec. Usiedliśmy na drewnianej ławie.

- To co, nie zapytasz nawet, z kim wreszcie ożenił się Andrzej?

- Myślę, że i tak mi powiesz?

- Zgadnij.

- Bo ja wiem? Z Indianką?

- Ale skąd, coś ty! Z taką panią z Kościeliska. Na imię miała Marysia, a jak na nazwisko, to nawet nie wiem.

- Marysia Zbójnik - powiedziałem bez zdziwienia. A przecież jeszcze minutę wcześniej byłaby to ostatnia rzecz, o jakiej mógłbym pomyśleć.

- Jak na to wpadłaś?

- Jeden kolega pojechał zimą w Góry Skaliste. Potem opowiadał, że ostatnio wielu Polaków pootwieralo tam górskie motele. I czy to by nie zainteresowało mnie jako temat. Jasne, że mnie zainteresowało. Tym bardziej, kiedy sobie przypomniał, że jeden z tych moteli nazywał się White Brook. Utkwiło mu to w pamięci, bo nie mógł zrozumieć, dlaczego ktoś tak dziwnie go nazwał, Biały Potok, chociaż stał nad jeziorem.

- Widziałaś się z nim? - spytałem ze ściśniętym gardłem.

Potrząsnęła głową.

- Już nie zdążyłam. Jego żona, ta Marysia, wszystko mi opowiedziała. Miałam stracha jak nie wiem. Myślałam, że mnie przepędzi. Ale coś ty! Poryczyłyśmy się obie jak głupie, a na pożegnanie dała mi te fotki. To dzielna kobieta, radzi sobie.

Wyjęła kilka amatorskich kolorowych zdjęć. Andrzej wyglądał na nich dość potężnie. Mięśnie wciąż rysowały się pod koszulką, ale przytył, włosy trochę mu się przerzedziły. Z Marysią Zbójnik czas obszedł się łagodnie, jak na góralkę. Z przepaską na jasnych rozpuszczonych włosach wyglądała na czterdziestoletnią hipiskę. Na zdjęciach była też trójka ich kilkunastoletnich dzieci; dwóch chłopaków i dziewczyna.

Paula powtórzyła mi opowieść Marysi o tym, jak umarł Andrzej. Pewnego dnia pod koniec ostatniej zimy wsiadł do dżipa, pojechał w góry i już nie wrócił. Wypatrzone go z helikoptera dopiero po trzech dniach, kiedy ustała śnieżyca. Okazało się, że dostał ataku serca. Musiało to nastąpić nagle, bo nie zdążył użyć radiostacji, którą miał w samochodzie. - Widzisz, ale był szczęśliwy - pociągnęła nosem. - Znalazł swoje miejsce. Ze mną nie miał tej szansy.

Zjedliśmy obiad, potem popatrzyła na zegarek.

- O rany! Muszę polecieć wieczornym samolotem do Warszawy. Zdązysz?

Co miałem nie zdążyć? Wszystko zostało już powiedziane. Jeszcze tylko na odchodnym położyła swoją dłoń na mojej i spytała:

- A ty, co, zostałeś tutaj?

- Tak - odpowiedziałem. - Ja zostałem tutaj. Ktoś musiał.

Wlekliśmy się w długiej kolejce aut pod Obidową, kiedy ode zwała się znowu:

- Nie spytałeś, po co właściwie przyjechałam?

Nie spytałem. Przecież i tak wiedziałem, że nie po to, aby mi pokazać, jak jest wciąż szczupła i czarnowłosa. Więc jaka różnica?

- Jakiś reportaż? - spytałem dla podtrzymania rozmowy.

- Kazali mi przewąchać, jak to naprawdę jest z tym żydowskim majątkiem, którego nie chcecie oddać.

Już od kilku miesięcy ciągnęła się sprawa zbiorowego pozwu, który amerykańscy Żydzi złożyli w sądzie w Nowym Jorku, zamiast w Warszawie albo Krakowie. Sprawa to przycichała, to wybuchała w mediach z nową siłą.

- Życzę powodzenia - powiedziałem. - Cokolwiek napiszesz, będzie źle.

- Wiem. - Wzruszyła ramionami. - Ale zgadniesz, kogo znalazłam na liście domagających się zwrotu mienia?

- No? - spytałem z grzeczności.

- Spadkobierców Jakuba Zuckerberga, syna Salomona i Chany, urodzonego w roku 1920 w Nowym Targu, zmarłego w Nowym Jorku.

O mało co nie wjechałem w tył wlokącego się przede mną poloneza. Dobrze, że nie miałem na liczniku więcej niż dwadzieścia na godzinę i w ostatniej chwili odruchowo zahamowałem w miejscu, tuż przed jego zderzakiem.

- Jacyś oszuści? - spytałem.

- A skąd ja mogę wiedzieć? Jeszcze jedna zagadka.

- Będziesz się tym zajmować?

- Nie - potrząsnęła głową. - Moją gazetę interesuje tylko Warszawa. Kto w Nowym Jorku wie, gdzie leży Nowy Targ?

Kiedy przyjechaliśmy do Balic, pasażerowie odlatujący do Warszawy byli już wzywani do odprawy. Patrzyłem za nią, jak odchodziła, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. I tyle było mojego spotkania z Paulina Rajską po prawie trzydziestu latach. A czego można się było spodziewać?

Zostawiła mi jedno zdjęcie, właściwie reklamową ulotkę motelu White Brook w Górach Skalistych. Położyłem je przed sobą na biurku, kiedy wieczorem zabrałem się do porządkowania starych notatek, zawierających pierwsze szkice opowieści o Andrzeju Kurniawie. Byli na tym zdjęciu wszyscy. Andrzej, Marysia, ich dwaj synowie i córka. Stali upozowani na tle baru. Nad barem namalowany był napis: Going to the mountains is going home. Pod spodem wisiała jakaś stara szabla i drugi przedmiot, do złudzenia przypominający góralską ciupagę.